BIBLIOTEKA
PWSP.
KRAKÓW
14.903
Brückner
Sztuka o języku
KDN., 15. 10. I. 53, 20.000

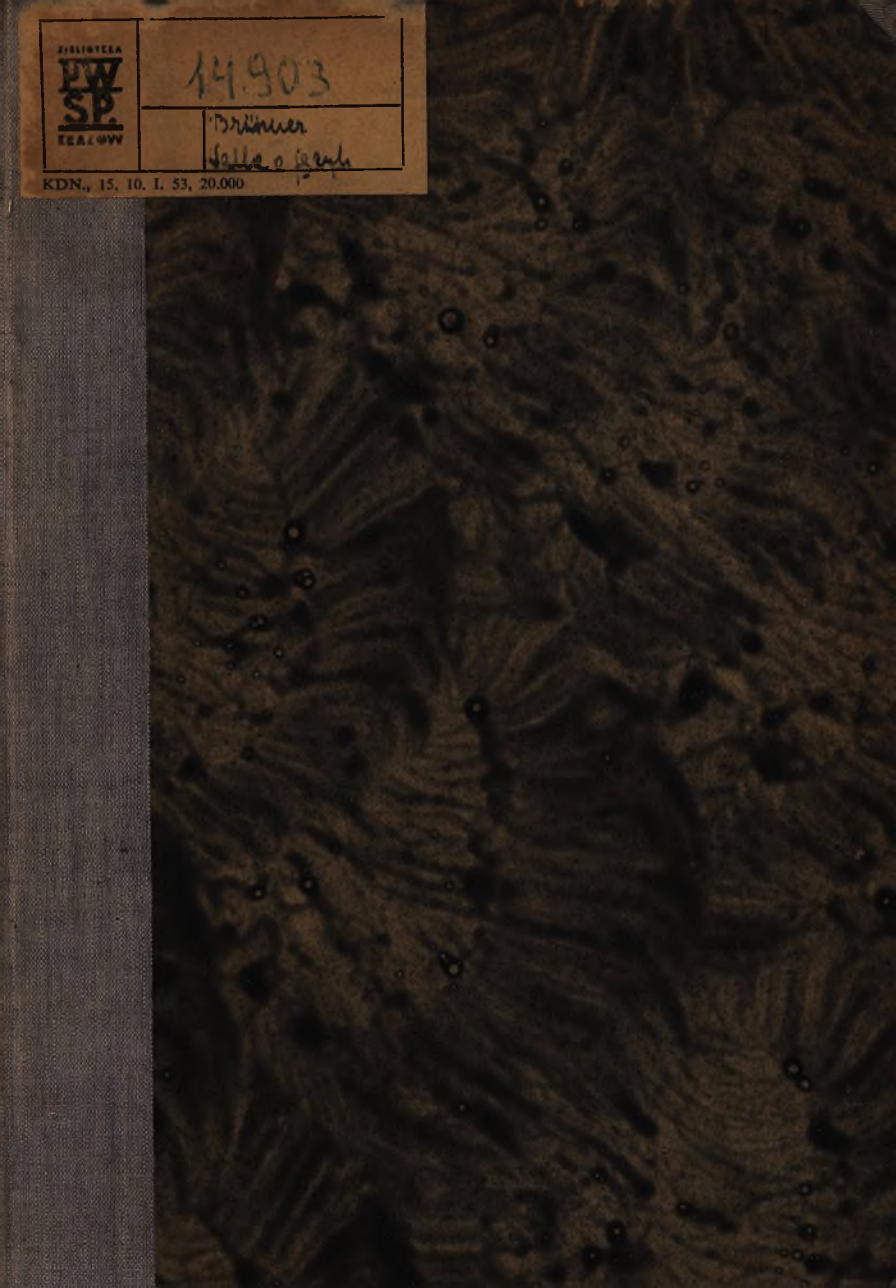

ex libris
KAZIMIERZA GOLACHOWSKIEGO

A III 66

podr do 134084

Aleksander Brückner

Walka o język.

Lwów. Książnica Polska.

a III 66

ALEKSANDER BRÜCKNER

WALKA O JĘZYK

LWOW 1917

NAKŁADEM KSIĄŻNICY POLSKIEJ TOWARZYSTWA NAUCZYCIELI SZKÓŁ WYŻSZYCH WE LWOWIE
WARSZAWA — GEBETHNER i WOLFF. POZNAŃ M. NIEMIERKIEWICZ.

zd. 96

14.903

WYKONANO W ZAKŁADZIE DRUKARSKIM „GRAFIA"
LWÓW, UL. CHORĄŻCZYZNY L. 27. TELEFON Nr. 1998.

Prześwietna Rado Szkolna
Królewstwa Polskiego!

Prześwietna Rado Szkolna
Królewstwa Galicyi!

Szanowne Towarzystwo
Przyjaciół Języka Polskiego!

Z KSIĘGOZBIORU
Kazim. Gołachowskiego
L. 1594 IV

państwowienie Królewstwa Polskiego i wyodrębnienie Galicyi nabiera z każdym dniem coraz bardziej przełomowego znaczenia w całem życiu narodowem i każdej tegoż dziedzinie nowe nadaje piętno. Ten zwrot stanowczy ku lepszemu dotyczy i mowy samej, powołanej teraz w Królewstwie do coraz okazalszego występywania, przewodzącej wszechwładnie tam, gdzie ją do niedawna na milczenie skazywano, rozlegającej się obecnie, bez owych dawnych ograniczań, z mównic i uczelni, z urzędów i sądów, z pola walki i z koszar polskich.

Przeglądami wojsk uświetnia się obchody narodowe, dnie chwały i zwycięstw, bojów i pokoju, od któregośmy, niestety, zawsze jeszcze bardzo dalecy. Przeglądem mowy naszej przysłużmyż się czasowi, jaki przeżywamy w największej radości dla zdobyczy narodowych, w smutku najgłębszym dla ofiar niezliczonych; obliczmy, czego naszej praktyce piśmiennej nie dostaje, co w niej zbyteczne, czy nie należy odmienić lub usunąć jakiej nawyczki. W chwilach uroczystych, co mimo nas biegą, zastanówmyż się nieco i nad tych chwil wyrazem zewnętrznym, nad owem narzędziem myśli naszej, czy nikłej, szarej, codziennej, czy odświętnej, wzniosłej a trwałej: nad pismem i mową naszą, których piastowanie, przez długie

lata i na najszerszej przestrzeni narodowej, okazywało się, wbrew wszelkiej słuszności, już niemal jedynem tej narodowości znamieniem na zewnątrz. Takiemu to przeglądowi służą wywody poniższe, co badają niektóre dziedziny, szczególniej pisma, pod względem rozmaitych niedoborów, dla ich wypełnienia; przeróżnych skaz i nałogów, dla ich poprawy; wszelakich zbytków, dla ich okrzesania.

W ustroju narodowym oprócz wiary najbardziej zachowawczą dziedzinę stanowi właśnie język; nie znosi żadnych przewrotów czy przeskoków i rozwija się tak powoli, że po upływie całych wieków ledwie w nim jakich dostrzeżesz odmian i to całkiem zewnętrznych, n. p. w samem wysłowieniu. Więc umyślnie unikamy wszelakiej nowizny; nie zrywamy z utartym zwyczajem, choćby i mylnym; uderzamy raczej na jawne ułomności, zagrażające językowi, jeżeli się im w czas nie zapobiegnie; zwracamy się głównie przeciw zbytniej dowolności, walczymy o większą jednostajność; żądamy przedewszystkiem zgody jakiejkolwiek, żeby tylko powszechnej i obowiązującej wszystkich. Rozbieżności umysłowej nie usuniemy przenigdy; natomiast winniśmy przeprowadzić, czem rychlej tem lepiej, jednolitość językową, znamionującą piśmiennictwo każdego wielkiego narodu. Mogła Francya rozsadzać wszelkie pęty państwa i wiary, język jej piśmienny nie zerwał żadnego i znosi w najprzykładniejszem posłuszeństwie uciążliwe nieraz a niemądre przepisy. W Anglii trudności pisowni są jeszcze znaczniejsze; mimo to o ich ułatwieniu nikt tam poważnie nie myśli i powszechnej zachowawczości obyczajowej właśnie na tem polu najściślej się przestrzega. Język piśmienny rosyjski do takiej samej nawykł karności i biedzi się po dziś dzień z przekazem minionej, nawet nie własnej przeszłości; również utrzymują czeski język piśmienny wręcz

w karbach żelaznych. Dopiero u Niemców, wobec ich rozbicia państwowego, dawniej o wiele większego jeszcze, dostrzegamy niejednę niejednostajność w szczegółach rozmaitych, dziś ile sił starczy usuwaną. U nas, wobec naszego położenia, wobec braku urządzeń, coby cały obejmywały naród, wobec zdawania wszystkiego na dobrą wolę ogółu i jego niezgodnych przewodników, okazy niejednostajności i nieustalenia w piśmie mnożą się ciągle i dopiero od niedawna przychodzimy do przekonania, że wypada temu zaradzić, że miejsce przeróżnych wątpliwości i dowolności winny zająć zasady stałe, obowiązujące nietylko brać piśmienną w chwilach zajęć zawodowych, lecz każdego, kto się pióra dotknie, jeżeli nie chce zdradzić braku najpierwotniejszej ogłady; obowiązujące przedewszystkiem w szkole i prasie. Nie możemy przecież zdawać pisowni na łaskę czy domysły uczniów lub składaczy. Winniśmy przeciwnie podawać im stałe przepisy czy prawidła, wyprowadzać uczniów z chwiejności i dowolności, uczyć ich choć na tem polu karności i posłuszeństwa.

Rozstrzyga tu szkoła, z niej wynosi młodzież nawyczki językowe, wedle niej urabia sobie język piśmienny i dlatego zwracam się ku obu Prześwietnym Radom Szkolnym, jako w tej sprawie najbardziej powołanym i za nią najwięcej odpowiedzialnym. Co one uchwalą i uświęcą, nas obowiązywać będzie; w Ich ręku leży i od Nich zawisło, aby nadać pisowni naszej, chwiejnej i wątpliwej aż nadto, pożądaną jednolitość. Uznała tę konieczność Warszawa już dawniej i powzięła uchwałę, aby zaprowadzić w szkołach własnych pisownię krakowskiej Akademii Umiejętności. Krok ten bardzo wymownie świadczy o należytem zrozumieniu ważności sprawy, lecz nie wystarcza nam dzisiaj, bo pisownia Akademii zostawia

zawsze jeszcze zbyt wiele miejsca dowolności, nie przeprowadza ściślej jednej zasady, chwieje się w tę i owę stronę. Wobec tego, że jedną z najważniejszych i najrychlejszego załatwienia ostatecznego wymagających spraw dawnej i nowej Rady szkolnej winno być właśnie ustalenie prawopisu dla celów szkolnych, umyśliłem podjąć na nowo szczegóły rozmaite tego zagadnienia, aby przygotować wszystko dla pomyślnego rozstrzygnięcia, jakie z szkoły w życie przejść winno. Pisałem nieraz o niejednym z tych szczegółów, brałem udział w rozprawach, toczonych nad tem w wydziałach akademickich, mimo to, nie obawiając się zarzutu powtarzania słów własnych, znowu sprawę wytaczam, w nadziei, iż mi się uda przekonać niejednego, że należy raz przecież te spory pisowniowe, te wahania i wątpliwości w imię stałej jakiejś zasady usunąć. Korzystam zaś ze sposobności, aby poruszyć i inne sprawy językowe, ważne dla ogółu nietylko piszących, ale i mówiących, co do których szkoła również i nauczycielstwo nasze wszelkich stopni głównie przyłożyć się mają, jeżeli chcemy pomyślne osiągnąć skutki, a przedewszystkiem pozbyć się nie jednej nawyczki, ubliżającej nieraz wcale dotkliwie powadze narodowego języka i dlatego godnej potępienia.

Wszelka myśl czy chętka jakiegośkolwiek narzucania mego sposobu widzenia jest mi przytem zupełnie obca; wychodzę bowiem z zasady, że za zgodą powszechną i zła pisownia miejsce dobrej zabierać winna; że jednolitość pisowni, acz złej, zawsze przedkładać należy rozbieżności pisowni choćby najlepszej; że bez ustępstw wzajemnych w rzeczy ściśle umównej, jaką jest każda pisownia, nigdy się nie obejdziemy. Zwracam się zaś nie do zawodowców, lecz do najszerszego ogółu; dlatego omijam wszelkie wywody umiejętne i wszelkie słownictwo nau-

kowe, starając się o najbardziej przystępny wykład tych zagadnień, drobnych samych w sobie nieraz aż do śmieszności, mimo to zlewających się ostatecznie w całość budowy językowej, i dlatego samego nie godnych lekceważenia. Dla uniknięcia nawet pozorów jakiegokolwiek sporu omijam wszelkie wymienianie osób, mając tylko rzecz samą na pieczy.

U progu niespodziewanie ziszczonej państwowości polskiej należy się nam przeprowadzenie ogólnych a jednolitych prawidł językowych, obowiązujących odtąd każdego z nas w piśmie, gdyż o nie przeważnie chodzi; mowie ustnej pęt się nie narzuca w przekonaniu, że i tak z czasem pismo na nią wpływa, jak i na odwrót do niej się stosuje. Dbałości o schludność czy wytworność i o rodzimość szaty językowej i jej kroju nie zaliczymy chyba do niepotrzebnego marnowania czasu i pracy, papieru i druku, dlatego też podjąłem się wywodów poniższych i z tegoż stanowiska proszę o ich ocenę. Chwilę, zdaje się, obrałem najbardziej stosowną: nowym zadaniom, nowemu powołaniu na szerszej widowni ma sprostać język, wolny od zaśniecenia cudzoziemszczyzną, co go nieraz szpeciła, wolny od nierównomierności w pisowni, co mu chluby nie przynosiła. Przyłożyć się do tego w jakiejkolwiek mierze było zadaniem aż nadto pożądanem.

Jeżeli w Warszawie polecono świeżo kilku zawodowcom, aby ustalili ostatecznie słowa i melodyę trzech pieśni narodowych, aby usunęli wszelką ich niejednostajność, toć zasłużyły chyba pisownia i język na podobne uwzględnienie. Ile tu braków i niedomagań; jak mało wystarczają czy to „Prawidła pisowni polskiej“ Akademii krakowskiej, czy najnowszy, bardzo staranny „Słownik ortograficzny na podstawie uchwał Akademii i t. d.“ A. Passendorfera z r. 1911., czy Gramatyka Polska Kryńskiego; ile tam

sprzeczności, to wykażą uwagi poniższe, przeznaczone dla ogółu czytającego, dla szkoły, ale i dla grona tych ludzi, jakich obiorą obie Rady Szkolne, każda dla siebie, aby wyniki ich pracy pogodzić i jako obowiązujące szkołę a z nią nas wszystkich uchwalić. Nie narzucam niczego, lecz przedkładam, jak się rzecz ma a jakby się mieć mogła czy winna, przed sądy takiego grona, aby mu ostateczne rozstrzygnięcie ułatwić i drogę do zgody wzkazać. Ktoby zaś, czytając wywody poniższe, dziwił się ich drobiazgowości — jakby chodziło tylko o to, co piszemy, nie jak piszemy — temu wykażemy przykłady narodów, co o swój język od dawna w osobnych akademiach dbały, jak francuski lub włoski, gdy Polska się oń nie troszczyła wcale, zawsze przekonana, że wszystko samo od siebie się robi. Nie dbała Polska o wojsko ani o szkoły własne, aż skutki niedbalstwa poznała; nie dbała o język, aż potworne za czasów saskich tegoż zubożenie, zaśniecenie obczyzną na każdem polu (a najbardziej właśnie w wojskowości), chwiejność pisowni najdowolniejsza, o pomstę do nieba wołały. Przechodziły i inne języki narodowe (niemiecki, czeski) podobne koleje, ale wzięły się czy znacznie rychlej, czy znacznie silniej do naprawy błędów i w pracy tej dotąd nie ustają.

Jakież panują u nas wyobrażenia o pracy podobnej? Świeżo wypisał „Kuryer Polski“, co następuje: „nawołują oto ludzie dobrej woli do zawiązania nowego zrzeszenia *zupełnie zbytecznego* Przyjaciół Języka Polskiego. Takie stowarzyszenie w jednym tylko razie miałoby sens... gdyby można było... narzucić jedną pisownię polską... jeżeli tę sprawę z programu Towarzystwa wyłączyć, to co tam zostanie? Walki z prowincyonalizmami (!), z dyalektami prowadzić u nas niema potrzeby. Polska posiada chwała

Bogu jedność językową, o jakiej Niemcy, Francuzi, Włosi, Anglicy marzyć ledwie mogą... Po za tem nasz język jest nie dość ustalony, zbyt bogaty, zanadto wolnościowy, język to w swej fazie twórczej, w okresie młodości, brakuje mu kanonów klasyczności... musi się skondensować, okrzepnąć, ale tego nie zrobi żadne towarzystwo, chyba takie, któreby zrzeszyło dziesięciu Mickiewiczów i Sienkiewiczów, do czego brakuje nam w chwili obecnej akurat dziesięciu członków".

Odpowiedź na drwinki gotowa: właśnie tych dziesięciu Mickiewiczów i Sienkiewiczów, których nam niedostaje, nie przyłożyłoby się wcale do „skondensowania i okrzepnienia" polszczyzny, bo zadanie czy powołanie Mickiewiczów i Sienkiewiczów, jak przeszłość dowiodła, było inne zupełnie. Na Mickiewicza sypały się niegdyś gromy, że tylko rozchwiał język „skondensowany i krzepki". Towarzystwo Przyjaciół Języka Polskiego oprócz sprawy pisowni (o walce z „dyalektami" i mowy niema) mogłoby zająć się inną, ważniejszą o wiele rzeczą. Czytamy bowiem w tym samym łamie, w którym owe drwinki ogłoszono, takie zdania: specjalna podkomisja opracowuje projekt kasy chorych, ustanowiła własne dyżury w tymczasowym lokalu; inicjowała nowe związki z pośród robotników instytucji miejskich... Opór magistratu nie pozwolił na zalegalizowanie tych związków... komisja centralna weszła w styczność z sekcjami... wzięła udział w pracach komisji organizującej inspektorat przemysłowy i t. d. i t. d.

Nie słychać nic o jakiemś Towarzystwie Nieprzyjaciół Języka Polskiego; mimoto działalność jego widoczna, bo wypływa ze zdań powyższych, niby polskich, które prawdziwie polskiemi zastępywać byłoby jednem z zadań Przyjaciół Języka Polskiego, coby na dniówkach (nie dy-

Z KSIĘGOZBIORU

żurach) urządzali (nie organizowali) dozór (nie inspektorat) wraz z osobnymi podwydziałami (nie z specjalnemi podkomisjami) zakładów (nie instytucji) miejskich w własnem umieszczeniu (nie lokalu) i wdrażali (nie inicjowali) uprawnienie (nie zalegalizowanie) i t. d.

Otóż do przyszłego Towarzystwa Przyjaciół Języka Polskiego — obyż jak najrychlej w życie weszło — zwracają się również wywody poniższe; zebrano w nich dane z rozmaitych dziedzin językowych, wskazano rozmaite wady czy wątpliwości i jakby im zabieżeć wypadało; o jakiemś wyrokowaniu ostatecznem, nieodwołalnem niema w nich i mowy, chociaż rzeczy po imieniu nazywano; czyniono ustępstwa wbrew rozumieniu lepszemu, aby ilością zbytnią pomysłów nowych i wymagań nie zrażać bardzo u nas trwożliwego i odpornego mniemania ogółu — z chęci służenia dobrej sprawie, ale i w zamiarze przyłożenia się do tego, aby przynajmniej wypływające coraz, jak wąż morski, zagadnienie pisowniowe z porządku dziennego raz już usunąć, zgodzić się na byle jaką, ale jednolitą pisownię przynajmniej, jeżeli na innych polach językowych o zgodę podobną trudniej.

Nie streszczamy na razie, umyślnie, wywodów poniższych w postaci wniosków jakichś stanowczych; nie dajemy nieraz wyraźnych prawideł; wykładamy raczej i przedstawiamy zasady ogólne i szczególne od nich odstępstwa — na takiej podstawie niech wyrokują inni, powagą urzędową czy obywatelską bardziej do tego powołani. Im wyrok ułatwić, oto niniejszej pracy pierwsze zadanie wdzięczne; jej drugie zaś następujące:

Aby skutecznie oprzeć się cudzoziemszczyznie, aby nie brnąć po jej manowcach, co zagraża wkońcu odrębności i pełności języka narodowego, należy poznać jej dzieje, warstwy, wpływy, od kiedy i jak daleko w różnych

sięgała czasach, jakich doznawała kolejno przejść i odmian — należyż wroga poznać, chcąc się z nim skuteczniej borykać. W tym zamiarze wznowiłem własną pracę, wydaną przed laty, dziś wyczerpaną (Cywilizacya i język, szkice z dziejów obyczajowości polskiej, Warszawa 1904), lecz nie mogłem jej powtórzyć dosłownie. Własne i obce badania usunęły moc szczegółów mylnych; okazało się z czasem, że pomawiano jak najbłędniej liczne słowa, stare i nowe, o zapożyczenie, przeważnie z języków germańskich; wróciliśmy wielu słowom, lekkomyślnie posądzanym o początek obcy, ich rodzimość; odwojowaliśmy słowiańszczyźnie jej prawowitych potomków. W innych razach okazało się, żeśmy źródło obce nietrafnie oznaczali, że n. p. niem było, nie tureckie, lecz niemieckie dla kiru i i. Przedewszystkiem usunąłem własny dawny pogląd na mniemane pożyczki i wpływy czeskie (o wiele rzadziej i ruskie) na dawną polszczyznę; dziś już nie twierdzę, jak niegdyś, żeby *hardy* i *hańba, litość, powiedać* czy *śmietana*, dla pozornej nieprawidłowości (*h* zamiast *g* w *gardzić, ganić; i* zamiast *iu,* jak w *luty; ie* zamiast *ia, io: powiadać, miotać)* były z czeska pożyczone czy tylko okraszone. Nie dziw; tylokrotnie napotykano wyraźne ślady wpływów obcych, zapożyczań i t. d., że mimowoli wpadano coraz na podobne domysły i tam, gdzie one jak najmniej uzasadnione albo wobec wyraźnych świadectw przeciwnych wręcz niemożliwe. Z takimi sądami pospiesznymi zerwałem zupełnie i na każdej niemal stronicy wypadało dawne twierdzenia czy domysły usuwać; szczerby, co przez to powstawały, zapełniałem nowymi, pewniejszymi szczegółami.

Walka z cudzoziemszczyzną.

Przywłaszczanie rzeczy obcych, narzucanie im bylejakiego znaku własności, aby ukryć przynależność pierwotną, uchodzi zazwyczaj za rzecz wcale podejrzaną i karogodną*). Nie w języku; z rzeczami obcemi i nowemi przywłaszczamy sobie bezkarnie i nazwy ich obce i niewiele temu można zarzucić — do pewnej jednak granicy. Należy baczyć, aby tego towaru przywoźnego nie było zanadto, aby nie cierpiało przytem słownictwo własne, aby go nie zagłuszały czy nie zatłumiały słowa obce. Tej granicy myśmy, niestety, nigdy nie przestrzegali, a skutek tego ten, że miewamy dla najprostszych rzeczy ze cztery wyrazy, cóż z tego, kiedy wszystkie obce. Zasłonkę n. p. nazywamy welonem, woalką, kwefem, niegdyś szlojerzem (słojerzem), a więc po francusku i niemiecku, tylko nie po polsku. Nam wystarcza, że tych obcych odmieniamy na nasz ład i że nieraz aż do niepoznaki wygląd ich ucierpiał; kwef odbiegł daleko od coiffe, a cykata n. p. przypomina raczej cykutę, niż właśnie succado, skąd wyszła — cóż dopiero rumianek, obszar, lubszczyk, co od polskości niby kapią, choć nic z nią nie mają spólnego.

*) Mylnie piszą i mówią karygodną, jak gdyby to były dwa słowa; złożeniu należy się karogodny, jak wiarogodny, wiarołomny i t. p. i nie można się przeciw temu odwoływać do mniemanych złożeń, jak Bogumił, psikus (psiego kusa), psubrat, wielkanoc i t. p.

Niewielka nam pociecha, że u naszych sąsiadów nie wiele lepiej. Zalet niemieckich nigdy nie naśladowaliśmy, zato w nałogach podajemy sobie ręce. I tak nauczyliśmy się od nich pijaństwa — przynajmniej w wieku XVI tak u nas twierdzono powszechnie, chociaż co do tego i Litwa świetnie pomogła, sądząc, co o litewskiem pijaństwie i obżarstwie, przypominającem ich żarłocznego rosomaka, Maciej Miechowczyk i spółczesny kaznodzieja bernardyński w Wilnie zapisali. Ale i inną, powszechniejszą wadę podzielamy z Niemcami. Bo oto między wszystkimi znaczniejszymi językami świata właśnie niemiecki i polski najbardziej cudzoziemszczyzną zachwaszczono i nie wiemy, któremu z obu pod tym względem przypisać pierwszeństwo. Szczególnie nasza mowa potoczna grzeszy takiem przesadzaniem aż do obrzydzenia; język piśmienny jeszcze jako tako tej pstrocizny unika, pamięta o jakiej takiej czystości, wystrzega się jawnego zaniedbania, panującego niepodzielnie w gwarze ulicznej, towarzyskiej, domowej. Ucząc się z potrzeby języków obcych, nie władamy żadnym poprawnie, zato zaśniecamy własny naleciałościami z każdego, a powoli utracamy wszelką na to odporność. Czas najwyższy, aby otrząsnąć się z nałogu, wygodnego, ale szkodliwego aż nadto, niszczącego tkankę językową, jak alkohol nerwową.

I.

Każdy naród stoi ziemią, którą włada i uprawia, i językiem, co go wyodrębnia od sąsiadów, bliższych i dalszych. Zrzeszenia, którym obojga niedostaje, tworzą wyznanie lub stan, nie naród; kto oboje utracił, skazał się na zagładę.

Cóż składa się na odrębność językową? Obok brzmień, końcówek i spójek, obok więzi słów i zdań, od-

znacza go własny zasób słów rodzimych i tymto zasobem mierzymy jego bogactwo, samoistność, wyrazistość, giętkość. Jakżeż ma się rzecz pod tym względem z naszym językiem? „Wznawiać ból niewymowny każesz mi, królowo!“ możnaby za Eneaszem zawołać, przemyślając straty i uszczerbki, na jakie narażała i naraża język nasza niezaradność, obojętność, ospałość — cnoty iście słowiańskie, co nam walkę o byt tak utrudniają: ów popęd naśladowczy do wszystkiego, co nieswojskie, na co od wieków znawcy Słowiańszczyzny sarkają — do dziś całkiem napróżno.

Po takim wstępie odgadł już czytelnik, o co chodzi, i żachnął się niechętnie, bo pomyślał, że wylewający takie skargi sięga po zwiędłe wawrzyny tych, co siłą mocą z języka obcych przychodniów, acz daremnie, wyświecali; przypomniał sobie owe *deszczochrony, cichostępy, korkociągi* i tym podobne dziwolągi, których sobie wmówić nie dał i nie da. Lecz obawy jego tym razem są płonne; wcale nie zamyślamy kusić się o jakieś nowotwory; nie zamyślamy wywlekać odwiecznych przeciw czystości językowej grzechów, owego upartego pstrzenia mowy rozmaitą cudzoziemszczyzną; nie zamyślamy prawić głuchym kazania o niepokalaności językowej, jak ją cenić, jak jej przestrzegać należy. Chcemy zwrócić uwagę na niebezpieczeństwa, grożące językowi; chcemy wzmocnić jakieś zapory przeciw dalszemu jego psuciu; chcemy przytępioną wrażliwość piszących i mówiących znowu obostrzyć, a najłatwiejsza po temu droga: pokazać, jak się ten nałóg do wszelkiej cudzoziemszczyzny objawia; jak i kiedy się począł; co go tak rozwinęło, że zdołał zubożyć język, zanimeśmy się opatrzyli; czego dziś już ocalić nie można, a co jeszcze zawsze żywotne i tylko pieczy troskliwej, starania wymaga; kto i jak winien w tem przodować tak, aby siebie i rzeczy słusznej na śmiech nie naraził.

Lecz i na to wszystko zarzuci czytelnik, niespokojny i niecierpliwy: Czyż pora rozprawiać o słowniku właśnie, gdy cały świat, wzruszony w posadach, zawaleniem grozi? gdy niepewność, bole i straty najdotkliwsze coraz nami miotają? Zamiast odpowiedzi wprost zobaczmy, co się obok nas dzieje.

Walczą Niemcy z całym przeciw nim sprzysiężonym światem na zewnątrz a na wewnątrz z głodem i brakiem wszelkich potrzeb, od skóry i kruszców począwszy; mimoto wytoczyli walkę i trzeciemu nieprzyjacielowi, językowi własnemu, o ile go obce naleciałości zeszpeciły. W okresie najstraszliwszej i najcięższej walki o prosty byt bieżą w takie zawody o czystość językową nie jacyś Skoblowie, Waliccy, Blizińscy, nie jakieś jednostki zacietrzewione, narażające się na ośmieszenie ogólne, lecz władze same, wojskowe i cywilne, do niedawna najpewniejsze ostoje wszelakiej cudzoziemszczyzny. Poczta i koleje zwalczały ją już rychlej, ale nie zbyt wytrwale ani ogólnie, wprowadziły n. p. *frei* zamiast *franko, einschreiben* zamiast *rekommandiren, Bahnsteig* zamiast *Perron, Abteil* zamiast *Coupé;* teraz jednak wzięto się do rzeczy głębiej, korzystając z podniecenia narodowego. Policya wydała w porozumieniu ze związkiem, oddającym się zawodowo „oczyszczaniu“ języka ze śmieci, spis wyrazów z życia przemysłowego i kupieckiego, wytłumaczonych na niemieckie; groziła niepoprawnym grzywnami; zastanawiała się nawet jakiś czas n. p. nad zniemczeniem „fryzjera“ i polecała przynajmniej pisownię niemiecką obcej nazwy, *frisör,* nie *friseur.* Sejm rzeski zarzucił stanowczo *budżet,* rozprawia tylko o *Haushaltung;* dzienniki nie znają *redakcyi* ani *honorarjum,* mają natomiast *Schriftleitung* i *Ehrensold* (oba słowa wcale niezręczne); w teatrze niema już Regie, jest tylko *Spielleitung;* zamiast

adresów podają *Briefaufschrift*; wojskowość usunęła wyrazy *militärisch*, pisze *Heeressache*, a w doniesieniach z pola walki używa *Reiterei* zamiast *Kavallerie*, *funken* zamiast *telegraphiren* i t. d.

Nie zawadzi wtoczyć kilku słów o powodzi cudzoziemskiej w języku niemieckim, skoroż on z polskim w równej mierze sam się jej wydał. Już w wiekach średnich (najwcześniejszych nawet) wyższość kultury romańskiej nieztarte na niemczyźnie wycisnęła piętno i setki najważniejszych wyrazów do dziś o tem świadczą; najpospolitsze, bez których języka dziś ani pomyślimy, są całkiem obce, n. p. takie *Brief, Körper, Strasse, Mauer, Pferd, Keller,* nazwy wszelkich roślin uprawnych, owoców, części ubrania i uzbrojenia, towarów wszelkich, szczególnie przywoźnych — jednem słowem wszystko, co do kultury należy. Wiek siedmnasty, z upadkiem dobrobytu i znaczenia Niemiec, szczególniej za wojny trzydziestoletniej i wnet po niej, z wysunięciem się Francyi na same czoło europejskie, podbił Niemce kulturze francuskiej, przejmujące stale wszystko co francuskie od pojęć o państwie aż do słownictwa, zagęszczanego zwrotami i wyrazami francuskimi aż do przesady nieznośnej, wręcz niemożliwej. Gdy się tego znowu powoli wyzbywano, narzucił język umiejętny, filozoficzny, szkolny — jednem słowem, moc nowej obczyzny; czytając Francuzów i Anglików, a ucząc się łaciny i greki, przyswoił sobie Niemiec wszelkie słowa „uczone“, na poły łacińskie, n. p. *Kontakt*, *Attraction, absolut, Principien, Nation* i tak w nieskończoność. W rozmowie potocznej uderza to samo, jakby użycie słowa francuskiego, czy innego obcego, świadczyło o oświacie; używa się go też umyślnie dla oddania jakiegoś niby odcienia osobliwszego; uczony Niemiec powie ci nawet: ich will mich nicht decouvriren (!) i te straszne szpeciągi

na *-iren*, zawaliły mu język, chociaż nie istnieją w żadnym innym i są całkiem zbyteczne (Anglik mówi przecież to command, Niemiec kommandiren, my telegrafować czy ślabizować, Niemiec telegraphiren czy syllabisiren i tak ciągle, bo zachował francuską końcówkę *-er*, dodając do niej własną *-en*, zamiast, żeby własną zastąpił obcą).

Mści się wygoda, nie dbająca ani sadząca się na nic swojskiego, godząca się z tem zrzekaniem się na korzyść obczyzny, chętnie wyręczająca się obcem — „obce ręce gładkie, ale nie korzystne“, twierdzi słusznie przysłowie rosyjskie; mści się i chętka popisywania się, jakby się chciało dowieść, że się czegoś uczyło; mści się prosta nawyczka, że i inni tak mówią. Ocknęło się wkońcu sumienie narodowe; poczuło się do obelgi i poniżenia samowolnego i otrząsa się powoli z nałogu wiekowego; ośmiesza teraz, czem się dawniej niemal szczyciło. Mówimy to wszystko o Niemcach, cóż dopiero o nas samych powiemy!

Przecież język nasz w jeszcze gorszych znalazł się opałach. Niemcy walczą tylko z latynizmami i romanizmami, dawnymi czy świeżymi; myśmy natomiast wrota językowe na zachód i wschód gościnnie otworzyli i przybłędów zewsząd, Niemców, Romanów, Czechów, Rusinów, Tatarów, z najdotkliwszym własnym uszczerbkiem gościnnie przyjęli; dla nich wydziedziczyliśmy i wyrzuciliśmy, co było nasze, nieraz o wiele piękniejsze i lepsze; bez żalu i wstydu o niem zapomnieliśmy doszczętnie, zastąpiwszy je bez myśli i potrzeby wlazami postronnymi, tylko dlatego, że był na nie jakby popyt jakiś.

Jak daleko i to już nieodwrotnie po tej pochyłej drodze zabrnęliśmy, pokaże byle jak sklecone, niemądre zdanie, w którem zato ani jednego polskiego słówka nie umieścimy. N. p. „rada zafrasowana poszukuje na gwałt,

nie na żart, bo z musu, malarza i budowniczego, (nie w celach dla sztuki ważnych), aby powetować szkody w rynku, ratuszu i szkole, na jakie para burmistrzująca, niedokształcony murarz i gburowaty blacharz, od dachu, cegieł, komina, rynny i strychu, aż do kuchni i bruku trybem niestosownym gminę wykierowała". Przecież w całem tem zdaniu, pominąwszy niczego nie dowodzącej spójki, Niemiec na Niemcu siedzi i Niemcem pogania, chociaż tego wcale już nie odczuwamy; trzebaż sobie uprzytomnić należycie, co to znaczy, że obszerne zdanie, o najzwyklejszej treści, składa się z samych obcych, niemieckich słów, których własnemi już nie zastąpimy nigdy. A kto sobie zada nieco trudu („fatygi" po polsku) i na „ambicyę" (jak to po polsku?) weźmie, może i z słów łacińskich, co w Europie (nieromańskiej) z obiegu już wyszły zupełnie, podobne uklecić zdanie. Prawda, pozbyliśmy się szczęśliwie niejednego wlaza; pozapominaliśmy znowu wielu Niemców *(gasa, celbrat* i t. p.), zostawiliśmy Rosyanom *turmę* (wieżę), *puszki* (działa), *spinę* (krzyże), *łunę* (księżyc) i i., ale cóż znaczy tych kilka wyrzuconych przybłędów niemieckich i łacińskich wobec tłumów nieprzejrzanych, jakimiśmy zagęścili od wieków język i znamiona jego słowiańskie szczęśliwie zatarli, nieraz aż do niepoznania, tak, że aż sąsiedzi tem się gorszą, ale „u nas — jak kto chce!" a chce najczęściej niestety źle, albo nierozumnie.

Powie kto, że nie nas tylko wstyd w oczy kole, że Niemcy w siedmnastym, a Czesi w ośmnastym wieku obcemi słowami, owi francuskiemi, a ci niemieckiemi głównie, tak własny język zarzucili i przytłoczyli, że aż śmiech pusty zbiera, gdy się owoczesne listy i t. p. czyta. Otóż w tem właśnie sęk, że się Niemcy i Czesi spostrzegli, z nałogu otrzęśli, z mętów cudzoziemskich na czystą

wypłynęli wodę, my zaś w kałuży obcej pozostali i do dziś sprośnemu nałogowi się oddajemy. Tak n. p. pojawił się ni stąd ni zowąd *masarz* czeski; czyż *mięsarz* polski brzmiałby po prostacku? I przypominają się nam ci dworzanie Zygmuntowscy, co *stawy* z czeska, zamiast *stany*, mówili, z których się Górnicki natrząsa, albo owa pani z „Powrotu Posła", co francuskie słówka w polszczyznę wtykała. Więc innym narodom język rodzimy na pieczy, tylkoż my tego nie potrzebujemy? my, co od ministrów aż do andrusów na obce słowa się sadzimy: mam *feblik* do tego i tego, powie ci jeden, a drugi *frajdę* sobie robi; i mała chyba pociecha, że jeden francuszczyzną, drugi niemczyzną narabia.

Przeważne, najwybitniejsze znamię wieku XIX. i XX., narodowość i jej służba, wszędzie i w języku się odzywa; wyświecają zeń naleciałości obce, niepotrzebne, gromią niepoprawnych, bezmyślnych, domagają się wysłowienia rodzimego.

Jeżeli więc nawet ministeryum wiedeńskie okólnikiem do szkół i władz niemieckich dbałość o czystość językową poleca, zapytajmyż, jak to u nas z tem bywa — czy nie należałoby z chwil mimowolnego skupienia i wytężenia sił moralnych, podniecenia uwagi ogólnej skorzystać, aby obliczyć się ponownie ze sprawą drażliwą, piekącą, choć zaniedbaną sromotnie, patrząc z żalem, jak zalewają wyrazy obce mowę, pytając, czy nie można jej obronić przeciw nieprzyjaciołom, co ją zewsząd obstąpili, czy nie należałoby się wyrzec raz na zawsze owego wygodnictwa, owej gnuśności myślowej, co nam język rodowity na poniewierkę u obcych wydały; czy nie należy przestrzegać, nietylko w piśmie, ale i w rozmowie i w całem życiu potocznem, jakiejkolwiek czystości językowej, aby wkońcu błąd, szerzący się w mowie, nie

ogarnął, albo choć nie dotknął i pisma samego, jak to u nas stale bywało dawniej, z największą dla języka stratą.

Kiedyż właściwie zaczęła się ta jego poniewierka? Łączą ją mimowolnie, choć mylnie, ze wszechwładzą łacińską, jakobyśmy dopiero od humanistów i ich szkoły nawykli zachwaszczać język *honorami*, *sentymentami* i *afektami* bez końca. Niestety, łacina napotkała już język nieodporny, bo złe znacznie wcześniej się zaczęło. Dziwnem, ale u nas zwyczajnem niedopatrzeniem zżymała się wprawdzie warstwa rządząca na mieszczaństwo niemieckie, panoszące się po Poznaniach i Krakowach, wydała mu jednak sama język własny na łatwe łupy. Już bowiem w czternastym i piętnastym wieku zalała niemczyzna język i niepowrotne wyrządziła w nim straty i ubytki, których dziś już nie naprawimy więcej.

Rosyaninowi język polski obczyzną, niesłowiańskimi żywiołami aż nadto trąci, owo wyżej sklecone zdanie „Rada i t. d.“ wyraziłby on całe słowami słowiańskiemi; nawet Czech, co niemczyzną aż do szpiku kości przesiąkł, dziwi się, jak wieszcz polski słowa *dach* używa, jak mu to z natchnieniem licuje? Zachodni bowiem i południowi Słowianie rozróżniają między językiem piśmiennym a językiem potocznym, więc n. p. *szynkę* czy *szunkę* z mowy wyższej wyświecają, dopuszczając ją tylko w niższej; myśmy na to wszystko mniej czuli, czem się niestety chwalić nie możemy.

Zrąb słownictwa naszego wynieśliśmy już z wieku piętnastego i do dziś go tak piastujemy: upstrzony w sposób nieludzki. Co innego byłoby, gdybyśmy tylko z nowemi, obcemi rzeczami, urządzeniami i t. d. nowe, obce ich nazwy przyjmowali. Nie dziwimy się, że n. p. nazwy kwiatów, warzywa, owoców, wszelkie nazwy ku-

chenne, od potraw aż do naczynia, zatrzymaliśmy obce, jak je Benedyktyn czy Cysters dawny, lub inny Niemiec wprowadził. Więc *róża, lilia, ruta, barwinek, mięta, rumianek* (nie rumiany przecież, lecz żółty), *sałata, piotruszka, chrzan, rzodkiew, cebula, marchew, łuk, kmin, brzoskiew* i t. d.; albo *placek, kluski, szpik, smalec, szynka* (dawniej i *szołdrą* przezywana); albo *konwie, węborki, panwie, kubki, kubły, beczki, puszki, skopce, kobiałki, skrzynie, króbki* i t. d., to wszystko przybysze, co z przedmiotami samymi u nas nastały, co często i w samem ich źródle, w języku niemieckim, również tylko przybyszami romańskimi przeważnie bywały (n. p. *radix, korzeń,* stąd niemieckie *rettich*, a stąd nasza znowu *rzodkiew* i t. p.). W tych dawnych czasach nikt o to ani pytał, brał żywcem co pod ręką było, głowy sobie nad tem nie suszył i nie mielibyśmy nikomu za złe, gdyby się na tem złe zakończyło. Ależ tak nie było; miłe złego początki — od tych usprawiedliwionych w znacznej mierze przybyszów padła istna zaraza na cały język, co teraz i bez najmniejszego usprawiedliwia cudzoziemszczyzną i tam się obtykał, gdzie przez to błędu grubego i winy niepoprawnej się dopuszczał. Bo jakież były skutki? Oto miał n. p. wóz polski (i ma poniekąd nawet na zniemczonym Śląsku po dziś dzień) *„oje“*; wyrzuciliśmy to prastare, piękne słowo i zasłąpili brzydką, ale za to niemiecką *dyszlą,* a później jeszcze piękniejszym *dyszlem.* Po co i na co? I tak ciągle. *Los, traf, obszar, plac, kawał* i t. d., *rachować, szanować, warować, cofać* i t. d., i niezliczeni inni Niemcy rozpanoszyli się na stałe w języku od wieków średnich i tak zżyliśmy się z nimi, żeśmy zupełnie o ich pochodzeniu obcem zapomnieli. *Jaka cena* lub *zacz stoi,* pytał niegdyś prawy Polak, zastąpił to przez *co kosztuje* już wcześnie; nawet *herbowa*

szlachta, to jest *Erb(ge)schlecht,* brzydząca się mieszczuchem Niemcem, najspokojniej *szyndowała* (zamiast *rozbijała)* po drogach, a *gwesiła się* (zamiast upewniała) po sądach w wieku czternastym, osadzała, jak *gburów* na swoim *gbicie,* tak niemczyznę w swoim słowniku. Jak pozapominaliśmy o właściwym wielu słów naszych rodowodzie i jakie o tem wszystkiem panują u nas wyobrażenia, pouczy zdanie, wyczytane w piśmie, językowi poświęconem wyłącznie, o tej samej rzeczy: „Niewątpliwie wyrazy takie, jak: *butersznyt, banhof, żurnal, ankieta, dżentelmen* i t. p., nie powinny się znajdować w języku, mającym: *bułkę z szynką, dworzec kolejowy, dziennik, zebranie, szlachcica* i t. p., ale trudno usunąć: *lampę, kałamarz, papier, bibułę, komodę, szafę, fotel,* a nawet *telegram* lub *kopertę,* bo to są okazy i dowody cywilizacyi tak z naszem życiem zrosłe, że ich usunięcie lub zastąpienie choćby nawet szczęśliwymi nowotworami zburzyłoby nam świat istniejący i stworzyło coś obcego i niemiłego".

Wypisaliśmy zdanie, w którem co słowo, to błąd. Przecież *bułka z szynką* tacy sami Niemcy jak i *butersznyt, szlachcic* tylko ogonek polski Niemcowi przyczepił, *ankieta* wcale nie *zebranie, dworzec kolejowy* dosłownie *Bahnhof* tłumaczy, a zamiast wprowadzać do języka *bibułę, kałamarz* i podobne pięknostki, należało w chwili, gdy się z nową rzeczą zaznajamiano, dla niej i nazwę obmyślić. Dziś, gdyśmy do *bibuły, kałamarzów, scyzoryków, pularesów* i podobnych niezliczonych potworków nawykli, trudniej z nałogiem zastarzałym walczyć, chociaż nadziei tracić i w wysiłkach ustawać nie należy.

Dlaczego nie oparł się język w wieku czternastym i piętnastym, gdy jeszcze czas był, owemu pierwszemu

zalewowi niemieckiemu? Nie było wtedy języka piśmiennego, coby stanął na straży i nie dopuścił szerzenia potwornego nałogu. Było to istne błędne koło: nikt po polsku nie pisał, nawet taki miłośnik ojczyzny gorący, co całe życie pisał, jak Długosz, bo nie było języka piśmiennego, bo łaciną załatwiano wszystko. Napróżno przestrzegał spółczesnych mądry jakiś Krakowianin w mądrem pisemku przed tą wszechwładzą łacińską, przed tem haniebnem upośledzaniem własnego języka; nikt go nie usłuchał, nawet duchowieństwo, bojąc się o zarazę innowierczą, szerzoną najłatwiej w języku ludowym, tę wszechwładzę łaciny ile sił wspierało. Dla braku pisma polskiego nietylko Niemców tysiącami do polszczyzny wpuszczano, ale i zapominano własne słowa, któreby pismo było utrwaliło, a więc podwójnie ujemnie brak pisma oddziałał.

Kto zarzuci, że Czesi mieli w XIV. i XV. wieku bogate piśmiennictwo, a mimoto niemczyzny się nie ustrzegli, zapomina, że niemczyzna już w XIII. wieku u nich się rozpostarła na dobre, więc przed wszelkiem ich piśmiennictwem własnem, a powtóre, że przez całe dwa wieki (1618—1818) niemczyzna domowy język całkiem zatłoczyła, niemal do szczętu wyniszczyła, tak, że nie dziwić się nam ich pstrociznie językowej, którą dziś z powodzeniem tłumią, używając n. p. *tajemnika* za *sekretarza* (i my *tajemnik* w XV. w. znali, ale biedakowi nie powiodło się u nas), *ustrzedni* za *centralny, sustaw* za *system, trzida* za *klasa, rzeditel* za *dyrektora* i t. d. i t. d. Ich mądrze t. j. bez przesady naśladować namby na złe nie wyszło.

Dopiero wiek szesnasty, tworząc piśmiennictwo narodowe, wybrnął z zaklętego koła, przestał milczeć po polsku a mówić po łacinie (w piśmie), lecz niestety, prawdziwie polskim sposobem wpadliśmy i wtedy z deszczu

pod rynnę. Bo ceniono wprawdzie język piśmienny, władano nim znakomicie (Skarga przepleniał go z wyrazów obcych umyślnie), ale w potocznym, w mowie jak w piśmie, zachwaszczano go najniegodziwiej łaciną, co teraz miejsce niemczyzny w zubożaniu języka rodzimego niepodzielnie zajęła; Jan Kochanowski w wierszu i prozie, a Jan Kochanowski w liście i rozmowie, kłócą się z sobą dotkliwie: ów Polak, a ten łacinnik. Nawet taki Orzechowski, co nieraz Rzymem i łaciną gardził, Rusią i greką potrząsał, nie wahał się ojczyznę *patrią* nazywać i ten błąd sprośny jeszcze i uzasadniał, zamiast rozróżniania *ojczyzny* a *ojcowizny;* jemu wtórowali inni, nie wstydząc się takiej dla języka obelgi, chociaż sami Węgrów wyśmiewali, że dla cnoty słowa własnego nie mają; prawda, że i w innych językach patryocie nie lepiej się powiodło, chociaż Niemiec zamiast patriotisch, vaterländisch powiedzieć może, a my i tego nie zdołamy wyrazić słowem własnem, bo *ojczysty* nie to znaczy, tem mniej *obywatelski.*

Więc po niemczyźnie czternastego i piętnastego wieku, łacina od szesnastego do połowy ośmnastego mowę kaziła, z tą różnicą na gorsze, że wkońcu i sam język piśmienny, oprócz w wierszu i kazaniu, łacińskiemi wstawkami się ośmieszał, upadlał, ubożył. Oprócz lenistwa umysłowego, co gotowym acz obcym zwrotem się zadowalało, działała tu i próżność, co łacińskim zwrotem nauki szkolnej dowodziła. Była to wręcz wada narodowa, to popisywanie się obczyzną, a nie zwalczało niestety piśmiennictwo tej ułomności. Zdarzają się wyjątki; natrząsał się Górnicki z polskiej czeszczyzny i t. d., posiadamy nawet pisemko ulotne, urągające zalewowi obcemu (niemieckiemu) w mowie wojskowej, ale cóż, takie dorywcze wysiłki chwastu nie wypleniły i to nieoględne, bezmyślne szafowanie

obczyną obowiązuje do dziś powszechnie. Dwaj czeladnicy we Lwowie naprawiali *(rychtowali* po polsku) łazienkę; stałymi ich *bliccangami, kugelcangami* i t. d. zdziwiony, zapytałem: „A wyż po jakiemu mówicie?“ „Tak się u nas mówi“, odpowiedzieli najspokojniej, i słusznie, bo otworzyć jaką dawną księgę cechową, równie jak hetmańską, n. p. Jana Tarnowskiego z roku 1559, to samo usłyszysz. Nasza obojętność pod tym względem przechodzi wszelkie granice; powtarzamy słowa obce, ani myśląc o tem, że wypadałoby, mówiąc po polsku, słów polskich używać, jakby to końcówki polskie już o języku rozstrzygały, jakby większego nie godzien wysiłku. Oczom i uszom nie wierzysz, patrząc w dawne księgi, słysząc mowę (raczej gwarę jakąś) dzisiejszą.

Wyśmiewano Skobla i innych, gdy na miejsce gładkiego, ale niepotrzebnego, a więc szkodliwego słowa obcego rodzime, nieraz ciężkie wprowadzali i wszelkie *deszczochrony, cichostępy* i t. p. niełaskę ogólną zaskarbiły. Nie bez słuszności, bo wyczuwano pod ich pozorną szatą polską ukrytego obcego. *Parostatek, listonosz* i t. p. są przecież znowu tylko Niemcy w polskiej szacie, nie inaczej niż wszelakie *wypośrodkowanie, światopoglądy, miarodajny* i tym podobne nadobności; w Poznaniu *podpadający* tłumaczy dosłownie niemieckie *auffallend.* Tłumaczymy zgłoski, zamiast oddawać znaczenie, nie pomnąc, że te dosłowne przelewania z mowy obcej prowadzą wkońcu do takich potworów, jak: *Koszty będą na dół trzaskane* (zamiast: *umorzy się*), wedle *die Kosten werden niedergeschlagen,* a odwrotnie i do *Himmelkrebs z nieboraka.* Te dwie ślicznostki winne odstraszać każdego, co się do tłumaczenia słów zamiast znaczeń zabiera.

Nie myślimy kreślić całego, aż nadto smutnego obrazu

włamywania się do nas słów obcych; przemilczymy, jak się po niemczyźnie i łacinie, po węgierszczyźnie i włoszczyźnie, francuszczyzna przysłużyła, od *filutów, kajetów* i *fuzyi* począwszy. Milczymy dalej o roli braci słowiańskiej, jak to niegdyś od Czechów, później od Rusi łataliśmy język najniepotrzebniej w świecie; ci przybysze zazwyczaj nie noszą piętna obczyzny na czole, jak tamci, chociaż i między nimi nie brak takich, co się z językiem kłócą, n. p. s*obory* zamiast *zborów* a *sojusze* zamiast *związów*, albo wszelkie słowa z ruskiem, niepolskiem *ere*, owe: czereśnie, czeremchy, czeredy, nadwerężenia, czerepy, zamiast: trześni, trzemchy, trzody, trzopu i t. d. Milczeniem pomijamy i słowa polskie, co pod obcym, znowu przeważnie niemieckim wpływem nowego, niepolskiego nabrały znaczenia, n. p. *zamek* albo *pokój*, co od komnaty albo izby tylko pozornie odbiegły, bo takie nowe znaczenie, zamiast jedynie uprawnionego zamknięcia albo spokoju, nadaliśmy im przykładem niemieckim; taksamo *miasto, sklep, zagajenie* (wieca) i t. p. do słowiańskiego znaczenia: miejsca, sklepienia-piwnicy, gajenia (drzewami), całkiem inne, niemieckie znaczenie wniosły. A możnaby nakoniec wspomnieć i o takiej obczyźnie, co dwukrotnie do nas wędrowała, więc pod dwoma kryje się wyrazami, n. p. *barwa* i *farba, berło* i *feruła, dzięki* i *dank, mistra* i *majster, szaragi* i *stragan*. Co się jednak od wieków w mowie utarło, nabyło przedawnieniem praw obywatelskich i nie myślimy ich tykać; zwalczajmy raczej nowe nadużycia. A każdy dzień ich sporo przynosi. Czytam n. p. o ostrzeliwaniu *werków* nieprzyjacielskich albo o *szpicy* batalionu i pytam, jak owych czeladników, po jakiemu to? Ale nie chcę mnożyć tych kwiatków; czytaliśmy całe rozmowy, *werkami* i t. p. rozepchane, a kto się n. p. we Lwowie przechodniom przy-

słuchiwał, wie, że owe żarty niestety od rzeczywistości niedaleko odbiegły; niedawno wyczytałem w poważnym, „obywatelskim“ dzienniku, że „Rusini spuścili nieco z *tupetu*“ i znowuż pytam: po jakiemuż to? Czy to się godzi?

Wmówiliśmy w siebie, że nowotwory szpecą język, więc niech go raczej słowa obce szpecą? Ależ język zawsze stał nowotworami; każdego słowa ktoś kiedyś po raz pierwszy użył. Więc wystrzegamy się chyba nowych nowotworów, zakreśliwszy językowi granice, jakby był martwy, gdy on z żywymi naprzód kroczyć winien? Dziś, gdyśmy do *parasola* i *parasolki* i do tylu innych przybłędów nawykli, ośmieszamy tych, coby nieproszonych gości wyprosić chcieli, jak gdyby nie należało się wyrzec raz na zawsze wszelkich podobnych „okazów i dowodów cywilizacyi“ (?). Kłócono się niedawno temu namiętnie o *werbunki* dla legionów; czyż te zastępy nie godne zaciągów? *Szpicę* wprowadzono nie od dziś, istniała już w wieku XV., jak i *hetman* (Hauptmann) i późniejsi *obersztery* (zawsze tak w w. XVII.) i t. d.; dziś *szpicę* odnowiono umyślnie, dlatego, że w pierwotnych legionach tak mawiano; ale czyż mamy właśnie ich grzechy językowe naśladować?

Lecz wróćmy od wojska do *cywilów* wedle polszczyzny galicyjskiej. Najgorszaż ona we Lwowie, lepsza w Krakowie i Warszawie, chociaż i tu dziwaczą. Co się n. p. we Lwowie *tutkami* nazywa, zowią *gilzami* (po niemiecku z rosyjska — nieprawdopodobne, ale prawdziwe) w Warszawie, co się jednak nieraz na dobry dowcip wysadza, n. p. gdy owe *butersznity* czy *bułki z szynką kanapkami* przezwała: wprawdzie słowo samo obce, ale, ile wiem, to zastosowanie jego w „knajpach“ czy „barach“ warszawskich się wylęgło, więc je chętnie rozgrzeszamy (jak kanapka poduszkami, tak bułeczka mięsiwem

obłożona — tak przynajmniej nazwę tłumaczono. Si non e vero i t. d.).

Każdej nowince, wynalazkowi i t. d. winna towarzyszyć nazwa polska. Gdybyśmy tej słusznej zasady przestrzegali, nie kłopotalibyśmy teraz głowy parasolami, kałamarzami, butersznytami. Druga równie słuszna: nie należy poświęcać rodaka obcemu. A trzecia: nigdy nie powinien nowotwór razić poczucia językowego. Przeciw tym zasadom, najpierwotniejszym, grzeszymy stale. Nie znosi n. p. język złożeń wygodnych, niemieckich, dwu rzeczowników, więc *parostatek* nie jest słowem polskiem, boć to dosłownie *Dampfschiff,* co lud krótko nazywa (jak n. p. na Śląsku *bana,* z Eisenbahn ogólna) *szyfą,* gdy polska dlań nazwa: *parowiec,* urobiona od przymiotnika *parowy.* Więc *deszczochron* był nie polski; należał się nam jakiś *deszczowiec* lub coś w tym rodzaju, *słonkowiec* od słońca, bo *słonecznika* używaliśmy już w innem znaczeniu, podobnieby *słomkowiec* kapelusz słomkowy wyrażał. Wedle wzorów jak *gajowy* można zamiast niepolskiego *listonosza,* co tylko *briefträgera* przekabacił, użyć wyrazu *listowy,* dziś i *listowa,* podczas gdy obok *motorowego, motorka* wystarcza. Że listonosz nie Polak, dowiedzie nam już to, że nie możemy w podobny sposób n. p. wodonosza obzywać, co może być tylko wodziarzem lub wodnikiem, a bywa i woziwodą wedle ulubionego u nas składania słów z czasownikiem, niby z rozkaźnikiem, jak: liczykrupa, wędzikaleta, rzezimieszek, gryzipiórko, waligóra i t. p. Oprócz nich górują u nas złożenia przymiotnikowe, n. p. ciemnozielony, rudobrody, dwulicowy, obojętny, widnokrąg, wielkolud i t. p., ależ wszelkie inne złożenia raczej już do wyjątków należą i nie należy ich zbyt pomnażać. Więc zamiast *mrówkojada* mrówczarz zupełnieby wystarczył. Mamy wprawdzie *listopad,* bo li-

ścień (wedle wrzesień lub kwiecień) za małoby mówił; zamiast wodospadu mieliśmy dawniej jedno słowo, zapomniane zupełnie. Złożeń podobnych język nie lubił, używał ich chyba przy oznaczaniu czynności, n. p. konojady, kozodrza (lub Odrzykoń, Odrowąż), konował i t. p.; liczba ich nigdy znaczniejsza nie była, inne języki nieskończenie nasz prześcigają. Lecz nie mamy zbytniej przyczyny im tej łatwości zazdrościć, skoroż posiadamy inny, bardzo dogodny środek. Co Niemiec bowiem złożeniem ze dwu, my urobieniem od jednego pnia wyrażamy, więc *jabłecznik* = Apfelwein, *kominiarz* = Schornsteinfeger, *sztabowiec* = Stabsoffizier, *Królewiec* = Königsberg, *wiatrak* = Windmühle, *drożnik* = Wegmeister, *pokojowa* = Zimmermädchen, *sypialnia* = Schlafzimmer, *skarbnik* = Schatzmeister i t. d., albo też złożeniem przyimkowem, n. p. *naparstek* = Fingerhut, *wykalacz* = Zahnstocher, *policzek* = Backenstreich, *podnóżek* = Fussschemel i t. d. Nie myślimy jednak zabraniać czy potępiać wszelkich złożeń w języku, co w nazwach miejscowych posiada nawet Dębogóry i Kamieniobrody, wymagamy tylko, aby ich ile możności unikano.

Można wprawdzie i inaczej na tę cudzoziemszczyznę się zapatrywać; kto wady i ułomności we cnoty przeobraża, upatrzy łatwo w przyswajaniu i przetrawianiu tylu obcych żywiołów, jakiego nasz język dokonał, oznakę jego siły i żywotności; powoła może nawet na przykład angielszczyznę, co z podkładu niemieckiego, saskiego, zalana francuszczyzną doszczętnie, omal przez nią zagłuszona, w język światowy urosła. Wobec takiej przechwałki nie wadziłoby zaznaczyć, że moc niemczyzny w języku, naruszając jego znamiona słowiańskie, bynajmniej mu znaczenia ogólno-ludzkiego nie przysporzyła; że to słabość tylko, której ulega z dziwną łatwością każde plemię słowiańskie, podatne na wszystko co obce.

Śmiało jednak możemy wykazać, z najlepszą na przyszłość otuchą, że żadne pożyczki obce czy naleciałości nie osłabiły samego poczucia językowego, nie nadwerężyły w niczem rdzenia mowy naszej. Kaszub, tonący w falach niemczyzny, co go zewsząd ogarnęła, mówi *ma przedane* zamiast *przedał* wedle *hat verkauft;* Czech, co po przegranej białogórskiej przez lat dwieście po czesku mało, chyba między chłopstwem, pisał, czytał i mówił, powoli, z różnymi niedoborami odzyskał pełnię wysłowienia rodzimego, chociaż zawsze jeszcze się zdarza, że po niemiecku pomyślane po czesku wyraża, że należy przypomnieć zwrot czy słowo niemieckie, aby czeskie zrozumieć. Proza bułgarska, nowela ukraińska trącą tak silnie rosyskim zapachem, że mimowoli je czytasz jako dosłowny przekład, że wydają się nie rzeczą samoistną, lecz raczej przelewem na gwarę. Naszego języka przeciwnie z żadnym innym nie pomieszasz; nigdy samoistności jego nic nie zagrażało i wpływy obce tylko powierzchni dotykały, w głąb nie szły; na tej to odrębności urosło piśmiennictwo dawne i nowe i nic jej nie podważyło. Tej siły pewni i świadomi możemy z większym spokojem owo wdzieranie się i ścieranie cudzoziemszczyzny przeglądać.

Nie myślimy też wcale wojny jej wypowiadać. W czasach, gdy opadają przegrody, dzielące dotąd ludy, gdy najruchliwsza wymiana myśli, towarów, ludzi cały świat ogarnęła, nie miejsce na trwożliwe zaskorupianie się w własnem narzeczu i nie boimy się nazywać obcych i nowych rzeczy obcą i nową ich nazwą, nie żachamy się przed *telegrafem* czy *telefonem,* przed *torpedą* czy *balonem,* przed *patentem* czy *ankietą,* nie myślimy ich spolszczać na gwałt; to są wyrazy ogólnie przyjęte, w każdym języku od Grenlandyi do Tasmanii. A przychodzi

to tem łatwiej, że dla oznaczania tych nowych rzeczy, nie ubliżając żadnemu językowi żywemu, używa się giętkiego, choć martwego języka Homera i Pindara. Ale i łaciny poświęcać nie myślimy, *instynktu* czy *nerwu* przed każdem spolszczeniem obronimy.

I tak było zawsze; z nową, obcą rzeczą rozpowszechniała się po całej Europie nowa obca nazwa. Więc słusznie przezywamy wszelkie nowe dla nas rośliny, owoce, wyroby, od jedwabiu i papieru do perkalu i kauczuku obcemi słowami, najczęściej po całej Europie obiegającemi. Ale najniesłuszniej w świecie przejęliśmy *atrament, kałamarz, scyzoryk, lusterko, bibułę* (czy dla dowcipu, u nas możliwego: odsuń się ode mnie, bo ja bibuła, a ty żyd?) i setki innych; jak *ołówek* Bleistift tłumaczy a *leniuszek* Faulenzer (podkładka liniowana), taksamo należało się tłumaczenie i owym łacinnikom; dlaczego koperta zamiast *obłożki* albo *fotel* ma być „dowodem cywilizacyi“ (chyba niedołęstwa), którego naruszać nie wolno, nie rozumiemy.

Jeszcze bardziej nie rozumiemy niewczesnych porywów n. p. w tłumaczeniu czy naruszaniu właściwych nazw miejscowych. Po co n. p. tykać München, Regensburg, Worms i t. p.; Mnichów jest niemądrym wymysłem czeskim (co i Kopenhagę szczęśliwie, jakiemś nieporozumieniem, na Kadań wyłożyli) a Monachium najzbędniejszą łaciną; przecież zatrzymaliśmy Bordeaux, Nimes, Soissons, nie zastąpiliśmy ich łaciną (Burdigala, Nemaurus, Suessones), a czyż dla Bawaryi odmienne obowiązują przepisy, niż dla Francyi? Nie wadzi przypomnieć, że bywa u nas wiele wahania w nazwach podobnych. Dziś spotykam coraz częściej *saksońskiego* zamiast saskiego; łacińska Saksonia wypchnęła już całkiem dawnych Sasów i dawną Saś (jak Ruś, wedle pierwowzorów słowiań-

skich utworzoną), a może nam i „Ogród Saksoński“ i „Kępę Saksońską“ z czasem narzucą. Mamy jeszcze przymiotnik duński i Dunina, ale kraj z łacińska Danią przezywamy. Jest Holandya, ale ser zowiemy z niemiecka „holenderski“, nie: holandzki. To najzbędniejsze niemieckie *er* wlazło nam i w inne słowa. Mówimy n. p. *komenderować* zamiast *komandować; maszerować* zamiast *marszować; spacerować* zamiast *spacyować* (mówimy przecież *studyować*, nie *studerować); egzycerować* zamiast *ćwiczyć* czy *musztrować* albo, jak w XVIII wieku mawiano, *exercytować; asenterować* zamiast asentować; *polerować*, ależ *politura* nam dowodzi, że dla *er* tu miejsca nie było i i. U nas jeszcze półbiedy z tym *-er*, co tylko kilka słów potwornie rozepchało, ale w rosyjskiem istna ich powódź obrzydliwa, tych wszystkich: konstatirowat', charakterizirowat', eksperimentirowat', negliżirowat', diskontirowat' i tak dalej w nieskończoność, gdyż tego — *irowat'*u strzegli się tylko w słowach, jakie od nas wprost przejęli, n. p. diktowat', nie diktirowat' z dyktować i i. Otóż te wszystkie *-erować* powinniśmy raz na zawsze z języka wyrzucić; zostanie odmienne cerować (nie cyrować) i i.

Nie zawadzi wspomnieć i o tem, jak się nieraz z „rodzajem“ słów zapożyczonych dziwnie obchodzimy, jak go wedle naszego widzimisię odmieniamy, n. p. *turmę, odwach* (z niby polskiem *od*, jak *ob* — w *obstalunku* albo w *obcęgach*), *bruk* i tyle innych; rzeczowniki na *-unek* męskie u nas, z niemieckich żeńskich i t. d.; u Rosyan jest podobnie i ratusza i szerenga z naszych męskich, ratusz i szereg; my jedni w Europie (a za nami dopiero inni) *bankę* (la banque i t. d.) w mężczyznę odmienili, podobnie *sznur* i *dyszel* z dawnej *sznury* i *dyszli* i t. d.

Rozróżniają zazwyczaj słowa obce, cudze, pstrzące język (n. p. *fatyga* zamiast trud, *honor* zamiast czci i t. p.) a pożyczone z rzeczą samą (*telefon* i t. p.); mówmy razej o pożyczkach potrzebnych, nie gorszących nikogo, i o niepotrzebnych, kalających język; niestety, z czasem wiele niepotrzebnych przedzierzgnęło się w potrzebne (n. p. *dyszla* zamiast *oje, kielnia* zamiast *korzkwi, los* zamiast *źrebia, trafić* zamiast *łuczyć* i tyle a tyle innych). Otóż zwalczajmy tylko całkiem niepotrzebne, istne przybłędy, a przodować w tej walce powinni pisarze zawołani; za ich przykładem nauczymy się przestrzegać czystości językowej w mowie, o co przy naszej niedbałości najtrudniej, i w piśmie, o co przy niejakim wysiłku woli nie tak już trudno. Z początku będzie to nużyć, ale z czasem włożymy się sami w tę czystość. Wdzięczne to pole szczególnie dla nauczyciela, co młodzież od tych naleciałości obcych stale odrażać winien; wdzięczne dla dziennikarza, co z szerokim ogółem w ciągłej styczności, o jakiej nawet znakomitemu pisarzowi nie myśleć. Co wprowadzania i ustalania nowotworów dotycze, nie należy ślepo ufać własnemu uczuciu i uchu ani postępywać zbyt samowolnie, nie licząc się z czuciem i uchem innych; rzecz wymaga dalej nietylko cierpliwości i wytrwałości, lecz i dokładnej znajomości języka; przedewszystkiem zaś wymaga miary i zgody, o co u nas najtrudniej, przy wrodzonej i wiekami wypieszczonej skłonności ku liberum veto (dla tej najbardziej polskiej nawyczki niema wcale miana polskiego).

Mimo wszelakich zastrzeżeń każdy krok na tem polu, co słusznej miary nie przekracza, powitamy radośnie, jako oznakę, że zastanawiają się ludzie nad językiem, że nie poddają się ślepo nałogowi, bardzo wygodnemu, ale i szpetnemu zarazem. Nie naruszymy przenigdy słownictwa

naukowego, zawodowego, w umiejętnościach czy w rzemiośle, ale pocóż mówić o gazetach, kiedyż mamy dzienniki, o administracyi, kiedy jest zarząd, o inseratach czy anonsach, kiedy są ogłoszenia? Wypowiadając, bynajmniej nie pierwsi ani ostatni, walkę cudzoziemszczyźnie, wiemy dobrze, że i najlepszą myśl ośmieszyć można, również jak i to, że każdy początek trudny; ależ nie należy się dawać odstraszać jednem czy drugiem; szczególniej o nic łatwiej, niż o kpiny; komu jednak cel dobry przyświeca, o nie ani pyta; obyśmy tylko chcieli chcieć.

II.

Zamiast dalszych biadań, wyrzutów czy przestróg wskażmyż raczej, czego się trzymać należy i jaką zachować miarę, bo rzecz widoczna, że się ani bez cudzoziemszczyzny, ani bez nowotworów nie obejdziemy.

Co do cudzoziemszczyzny rozróżniamy, jak właśnie wspomnieliśmy, dwie jej warstwy zupełnie odmiennej ceny. Jedna, nietylko nieszkodliwa, ale wręcz niezbędna, bez której się żaden nie obejdzie język, to są słowa, nazwy przeważnie rozmaitych obcych wyrobów, towarów, roślin, zwierząt i t. d., pożyczone, *pożyczki*, co wraz z rzeczą samą nas doszły. Druga warstwa nietylko całkiem zbędna, ale i wręcz szkodliwa, to te *obce, cudze* słowa, jakiemi najniepotrzebniej własne przetykamy. Pożyczki przeciwnie, to wymowne dawnych i nowych dziejów świadectwo i wystarczy n. p. porównać nasze z rosyjskiemi, aby natychmiast różnicę dwu światów, naszego, zachodniego, i wschodniego, rosyjskiego, uwidocznić; u nas panuje: poczta, lak, papier, libra, pończocha, strych, rycerz, warta, cegła, grosz, Chiny i t. d., a z wyrazów własnych: koń, żelazo, gospodarz, ołówek,

skarb i t. d.; u Rosyan zamiast tych słów zachodnich albo i słowiańskich znajdziesz tatarszczyznę samą: jam, surgucz, bumaga, desť, czułok, czerdak, bojarin, karauł, kirpicz, dieńga, Kitaj, łoszad', czugun, chozjain, karandasz, kazna i t. d. Z pożyczek wyczytasz więc sam przebieg dziejów narodowych, jakie to kolejno oddziaływały na naród wpływy obce i w jakiej mierze; tatarszczyzny rosyjskiej dowiodą same pożyczki językowe.

Bez pożyczek nie obejdzie się język, one mu też bynajmniej nie uwłaczają, jako nieodłączne od rzeczy. Komuż by się przyśniło wyszukiwać nazw swojskich dla obcych zwierząt, roślin, napojów, n. p. dla kawy, czekolady, „teu" (nasza *herbata* najniepotrzebniej zatrzymała łacińskie herba-thea zamiast samego thea, co u Rosyan brzmi czaj, z tej samej chińszczyzny, ale z innego narzecza); te i liczne setki podobnych nazw, to są nazwy charakterystyczne, obiegają cały świat i o żadnem ich odpolszczaniu ani mowy być nie może; tylko naiwne średniowiecze, co bez namysłu liktorów rzymskich jak siepaczy własnych przystrajało, odpolszczało i takie nazwy, tygrysa ząbrzem (żubrem), dromedara orzem (koniem), onagra (osła dzikiego) łosiem przezywając; takimto sposobem niemiecka nazwa słonia, elefant — olbente, na wielbąda — wielbłąda przeszła. Nie pójdziemy za tym przykładem; mimo to zamiast kartofli ziemniaków używać się godzi.

U nas, niestety, nie skończyło się na tem wcale nienagannem używaniu cudzoziemszczyzny; nasze pożyczki, niemieckie szczególniej ale i niejedna łacińska, zabrnęły o wiele głębiej i dalej i z języka ich już nie wyświecimy, nie chcąc go zubożyć, i nadal niemi będziemy się posługiwać. Ułacnia nam to i wygląd tych pożyczek a często i znaczenie ich, co odbiegło już daleko od pierwotnych,

szczególnie niemieckich. Taka n. p. *budowla z budowniczym,* jakżesz odstąpiły już od Baut i Baumeister; *wdzięczny* i *wdzięki* (tłumaczące nie niemczyznę, zupełnie nie znającą podobnych wdzięków, lecz włoskie grazia), jak mało przypominają Dank pierwotny; *szlachetny* a geschlechtlich nic z sobą nie mają w znaczeniu wspólnego, chociaż z jednego wyszły źródła; *miarkować* jest merken, ale nabrało rysów polskich, a te *rysy* same już się odchyliły od niemczyzny stanowczo, znaczą i *Züge*, nie tylko *Risze,* taksamo jak *wykształcony* jest *gebildet*, nie *gestaltet.* Chociaż wiemy, że *hufce* (z polskim ogonkiem), *hołdy, cele, kresy* i t. d. żywcem z niemieckiego przeszły, że *rachunki*, *stosunki*, *kierunki* (co znaczą *Richtung,* nie *Kehrung*) nietylko pierwiastek, ale i przyrostek niemiecki — *ung* zatrzymały, nie wypowiemy im służby. Cóżbyśmy poczęli, gdybyśmy się n. p. chcieli *wagi* wyrzec, dlatego że Niemka? cobyśmy wymyślali, aby zastąpić miejsce *odwagi, powagi, uwagi*, *rozwagi* — nie byłoby końca *wahaniom,* co również od niej wyszły. A *wart* (gdy *warta* zupełnie zbyteczna), *żart* (z nierozwikłanemi dziejami pożyczki, ciemnemi jak i *wdzięki* z Dank) i tyle innych, n. p. ów *obszar*, który mimowoli z obszernym spajamy, chociaż obszerny do szerokiego (niegdyś szyrokiego) należy, a obszar od Niemca „obirschar“ się wywodzi. Wszystko, co o tych Niemcach prawimy, odnosi się poniekąd i do łaciny przeróżnej. I tak zwyciężył u nas niemal honor starą cześć i z słowem honoru częściej się spotykamy, niż z słowem czci, mimoto stwierdźmy, że honorarium niepotrzebne nam zgoła, bo polskie *czesne* (opłata czesnego znana dobrze ze wszechnicy lwowskiej) o wiele lepiej je tłumaczy, niż „Ehrensold“ niemiecki; ba, i bez honoru obeszlibyśmy się szczęśliwie, boć nie dopełnia on pierwszego warunku,

jaki pożyczce stawiamy, chcąc ją uznać: nie wniósł nic nowego do języka.

Gdy pożyczki język stale zbogacają, ubożą go słowa obce, cudze, jak właśnie *honor*. Poznać je po tem, że są zbędne i późne; że nieraz znowu giną; że nie odmieniły obcego wyglądu ani znaczenia; że powołało je naśladownictwo, t. j. chętka obczyzny, odmiany czegoś niby dosadniejszego, bo nowego, niezużytego. Ma n. p. język sądowy „jednanie“ i „jednaczy“; otóż zamiast powiedzieć, że Zygmunt Stary był jednaczem królów i książąt, powiedziano ni stąd ni zowąd za jego czasów, że był ich „obermanem“. — Na szczęście o tym Niemcu zapomnieliśmy, lecz stokroć częściej zamiast niemieckich pozapominaliśmy słowa własne. Przykłady przytaczaliśmy wyżej, lecz nasuwają się coraz inne. Po cóż nam n. p. mordów, mordarzy, morderców, jakby nas na zabójców nie stało? Przecież nawet do wyzwisk pozapraszaliśmy wszelkie obce języki, aż do łaciny i węgierszczyzny! Odpowie kto, że wagabunda (albo makabunda) i baciarz wykluczeni z pisma, ale pocóż się choćby po bruku wałęsają? Łotr przecież z bruku przeszedł zupełnie do pisma. Po co nam przymiotników, jak *kompletny* (*komplet* odgrywał do niedawna w szkołach warszawskich, nierządowych, ważną rolę), *kapitalny* (mówią całkiem z rosyjska o kapitalnem dziele, książce), *skrupulatny, uniwersalny, majestatyczny* i t. d.? Taką lekkomyślnością nadęci, spustoszyliśmy niejedną dziedzinę zupełnie, n. p. w rzeczach piękna. W piętnastym wieku nazywaliśmy jeszcze poetę składaczem, potem niemiecki rymarz wszedł, a teraz walczą tu wyłącznie łacina z niemczyzną, artysta z malarstwem, kunsztem i sztuką, a polszczyzna całkiem na koszu osiadła. Pół godziny zachowaliśmy, ale dla ćwierci kwadrans i kwandrans nam potrzebny. A jak się przy-

tem z tą łaciną nieraz dziwacznie obchodzimy! To odrzucamy jej końcówki (mianowicie -us, -e, -um, por. senat, chór, Piłat, uniwersał, akt, testament, inkaust, przywilej), to znowu chowamy je starannie, n. p. animusz (raczej żartobliwie), witrykus (o tym klesze zapomnieliśmy), arkusz (zamiast ark; arch u Czechów), pulares (pugillares, zamiast pularza); kozubales (szkoła śmiechem urobiła); legumina (ależ legumy = warzywa, starczyłyby całkiem, gdyby ich potrzeba było), rudera, frazes zamiast fraza, kweres i skweres z quae res, co za rzecz, urosły.

W tem małpowaniu łaciny doszliśmy szczęśliwie do takiej niedorzeczności, że własnym słowom narzucamy „końcówkę“ łacińską, że mówimy *okręta* (słowo nasze, nie niemieckie, jak mylnie twierdzą), *urzęda, przyrząda, żywioła* i t. d. wedle łacińskiego wzoru: testamenta, instrumenta, regestra, pakta konwenta, examina, volumina, elementa, fundamenta, momenta, fakta, akta (przyczem dowcipnisie zdobyli się na wyróżnianie akt, t. j. papierów urzędowych i aktów na scenie lub w życiu; owe są akta, te akty; podobnie rozróżniamy talenty greckie, pieniądze, nasze talenta domowe i t. d.). Piękny ten wzór naśladują: numera, koszta, kursa, gusta, procesa, bileta, grunta. Wszystko to są bezeceństwa, które z języka raz na zawsze wyrzucić należy. Bronić nie można ich tem, że zachodzą przecież u wzorowych pisarzy polskich od XVI. wieku począwszy, bo taki Rej, Wujek, Bielski i i., mieli właśnie formę łacińską na myśli, mówiąc sakramenta, argumenta, recepta, dekreta i t. d.; przecież w ten sam sposób mówili: Traces, pugilares, Carthaginienses, iść spaciatum = „spacerować“, margines, cretales i t. d., t. j. gotową łaciną. Dziś te błazeńskie formy (błazeńskie szaty szachowane były, jak i te formy) widocznie już z języka ustępują, należy je tylko wypchnąć ostatecznie.

Wracamy jednak do *pularesu,* nastręczającego pole do nowych uwag. Takie jego dzieje, jak okularów, atramentu, zegaru i t. d.; byliśmy za leniwi, za wygodni, obmyśleć dla nich swego czasu nazwy własne, choćby oczki, na co się Rosyanin zdobył, nie leniąc się tak, jak my, albo oczniki czy wzroczniki; dla atramentu czarnik (krótszy, niż czernidło, por. bielidło, sinidło albo sinka, rumienidło — dziś ruż); dla zegaru nie klepsydra dawna, lecz: czasownik, bo w wieku XVI. o całkiem nowem gramatycznem znaczeniu „czasownika“ nie było mowy (lecz i dziś można zapytać, czy nie wystarczy zań „słowo“) lub godzinnik; Rosyanin sobie „czasami“ dobrze pomógł, Czech za nim „hodiny“ urobił (zegarmistrz u Rosyanina czasowszczyk, bo czasowy przeszedł do służby wojskowej, u Czecha hodinkarz) i tak dalej w nieskończoność. Zastarzałe błędy leniwstwa i niedbalstwa naszego dziś już trudno odrabiać, mimo to nigdy nie uznamy prawa jakiegoś czy nakazu, żeby dla *każdej* nowej rzeczy i nowa t. j. obca nazwa konieczna była. Możeż być i domowa, chociaż znowu nie należy się sadzić na wymysły osobliwsze. Są n. p. chemia, astronomia i t. d. powszechne na świecie, więc ani pomyślimy o jakiejś łączbie, jak Czesi się o to pokusili (ależ chemia jest i dzielbą, nietylko łączbą); zachowamy nawet wbrew językowi własnemu wymowę obcą, powiemy więc filozof, filolog i t. d., co Rosyaninowi filosofem, filologiem brzmią, jak u nas Piłat, stuła i t. d.; dawniej kołacya, nie kolacya; buła, nie bula.

Na usprawiedliwienie naszej obczyzny możemy jednak przytoczyć niekłamane trudności w tworzeniu nowych słów. Dla Niemca niemaż żadnego tu usprawiedliwienia; bajeczna łatwość składania dwu i więcej pni wyklucza wszelkie obce nazwy. U nas inaczej; zamiast

złożeń dwu- lub więcejpniowych urabiamy tylko od jednego pnia nowe słowo, co przez to traci na wyrazistości i dokładności. Niemiec n. p. powie Federmesser, Federhalter, Federkasten i t. d., rozróżnia więc w złożeniu rzeczy jak najściślej; nie tak nasz piórnik, co może być tem wszystkiem, chociaż ograniczyliśmy go do Federkasten; był jednak i osadką pióra niegdyś. Niemiec powie Messerschmidt, Messerschleifer, Messerheld i t. d., myśmy do nożownika niedawno dopiero nożowca dorobili. Nasze więc jednopniowe słowa są nadzwyczaj w urabianiu dogodne, lecz wieloznaczne, i przez to znowu mniej dogodne. Niemiec n. p. zrozumie łatwo, że Funkenspruch to telegram (właściwie chyba Funkenschrift!), ale nasz iskrowiec? Kolej konna Rosyaninowi konka a żelazna (u ludu) czugunka (niby żelaźnica u nas; zostaniemy przy kolei, choć tłumaczonej z niemieckiego). Tak urabiał Słowianin zawsze nowe słowa, n. p. piaskowiec = Sandstein, jabłoń = Apfelbaum, albo połączył rzeczownik z przymiotnikiem, Piaskowa Skała. Przenigdy nie myślimy naśladować Czechów, co niemieckie złożenia ślepo naśladując, najspokojniej: knihtiskarna, knihkupectwi i t. d. wedle: Buchdruckerei, Buchhandlung i t. d. tworzyli, grzesząc podobnymi dziwolągami przeciw duchowi języków słowiańskich, nie znoszących żadnej takiej składanki*). Da-

*) Z tymi potworami czeskimi, knihvazacz = introligator, knihprzekupectwi = antykwarnia i pod., nie należy kłaść na równi n. p. naszego zegarmistrza (już w XVI. wieku tak), bo nie myśmy utworzyli to słowo, jak Czesi swoje, lecz gotowe, całe wzięliśmy z niemieckiego, taksamo jak burmistrza, wachmistrza, rotmistrza i t. d. Raczej przypominają one nasze dziękczynny, nie dziękoczynny; albo Bogdana, ależ tego skrócono przed wiekami jeszcze. Język unikał wręcz złożeń, prawił n. p. Wielka noc, wielkiejnocy, Wiele pole, z wielego pola, swawola, z swej woli, biała głowa, białej głowy i t. d. i dopuszczał się ich do-

wniej zapełniali jeszcze w inny sposób niedostatek językowy, przywłaszczając sobie żywcem słowa rosyjskie przeważnie, wyjątkowo i polskie; my w podobny sposób nie myślimy języka zbogacać. Lecz wróćmy od brzydkiego wzoru czeskiego, dziś już, jak słusznie, nie popłacającego więcej, do naszego języka i jego zabiegów o pełność.

Najbardziej odpowiedni, to omówione właśnie jednopniowniki, z czego dotąd stanowczo za mało korzystaliśmy. Scyzoryk byłby najtrafniej piórnikiem, gdyż nim pióra zacinano; dziś musielibyśmy się chyba nożyczkiem zadowolić (nożyki mamy i do owoców), ależ i to mało odpowiada składanemu kieszonkowcu, używanemu dla przystrugiwania (po polsku „temperowania") ołówków i t. p. Kałamarz był niegdyś piórnikiem; gdybyśmy, jak się godziło, zwali atrament czarnikiem, bo czernidła do obuwia używamy, byłby czarnicą. Z bibułą trudniej się nam rozstać, bo słowo znaczniej się rozrosło; już papiery i dzienniki niem przezywamy, acz dotąd raczej żartobliwie czy pogardliwie, ależ od wsiąkania płynu należało swego czasu przezwać ją czy wsiąkaczem, czy wsiączką. Albo fotel, dlaczegoż nie było go nazwać n. p. poręcznikiem (Arm- czy Lehnstuhl), skoroż od krzesła odróżnia go oparcie dla rąk? Dziś naraża się na pusty śmiech,

---

piero w dalszym ciągu: wielkonocny, Wielopolski, swowolny, białogłowskie i t. d. Wielkopolska, Małopolska, białogłowa zastąpiły tylko dawniejszą Wielką (albo wielgą) Polskę, Małą Polskę i t. d.; Czarnolas był Czarny las, a Starogród Stary gród, zanim się wedle czarnoleskiego i starogrodzkiego poodmieniały. Potwornemi można nazwać niektóre złożenia czy skupienia, jakie Kopczyńskiemu zawdzięczamy, n. p. imiesłów, co tylko na urągowisko językowe zakrawa (należałoż participium przetłumaczyć, jak u Rosyan priczastije) i dawnym *noclegiem* usprawiedliwiać się nie da bynajmniej, i i.

kto podobne wprowadza rzeczy, jakby i Jacka Przybylskiego nie wyśmiewano z jego wszechnicą = uniwersytetem albo książnicą = biblioteką; dziś Niemcy zmądrzeli i w Lipsku *Bücherei,* nie Bibliothek sobie wystawili. Więc podobnym nowotworom wadzi tylko, że nie zawsze od razu zrozumiałe; szczególniej zaś nie udawałyby się, gdzie ich miejsce już zajęte przez inne znaczenie. N. p. parasolki tylko dlatego słonecznikiem nie nazwiemy, ponieważ to już nazwa roślinna (Niemcowi wygodniej z Sonnenschirm, Sonnenblume i t. d., nam źle), a język unika z zasady wszelkiej dwuznaczności, rozbija nawet jedno słowo na dwa, aby ją wyminąć, rozróżni n. p. działo i dzieło, chociaż to jedno (składacz polski w XV. wieku wzywał, nie Muzę, lecz Boga, by mu pomógł „to działo złożyć"), biedę i biada, na czele i na czole, rządem i rzędem, a najczęściej zapomni całkiem o drugiem znaczeniu, n. p. czyn wyrażał mu niegdyś i zbroję i narzędzia (stąd jeszcze nasze „naczynie") i wiele innych rzeczy, o czem wszystkiem doszczętnie zapomnieliśmy, ograniczając go do „uczynku". Możnaby ją ochrzcić słonecznicą, por. okiennica, ależ na malutką parasolkę nazwa to przyciężka, więc raczejby słońcówka się godziła? Dziś przywykliśmy do dentysty, okulisty; parsknęlibyśmy śmiechem na ocznika czy zębnika (albo zębiarza, boć nowe wstawia), chociaż to wcale nie śmieszne. Rosyanin, co od złożeń swoich, urobionych wedle greckiego wzoru (n. p. żywopiś = malarstwo, bogosłow = teolog i t. d.) bardziej do nich nawykł, zawahał się przed zubowraczem, chociaż posiada zuboczystkę (szczoteczkę) i zuboczysta nawet, jak i truboczysta (kominiarza), ma tylko zubnoj wracz; na zębolekarza nawet Czech się nie zdobył, zadowalając się lekarzem zębnym, jak i ocznym; zębolek zaś byłby lekiem (na zęby), nie lekarzem. Nawet kiedy złożenie cał-

kiem prawidłowe, bo przymiotnikowe, mimowoli odczuwamy jakąś jego niedogodność; nie swojsko nam jakoś z *dalowidzem* (*dalekowidz* całkiem zły, bo niepotrzebnie rozciąga słowo, przecież w złożeniu wystarczy samo *dal-*, por. dalszy) i ludowa *widza* o wiele raźniejszą się okazała.

Pomijamy z umysłu słownictwo zawodowe, n. p. chemiczne, gdzie bez sztucznych słów ani na krok nie stąpisz, gdzie z góry z nich rozgrzeszamy, owe węglanowodany (Kohlenhydrate) i t. d. znosimy; tu właśnie miejsce i dla zatrzymywania słów obcych. Prawnicy n. p. niemieccy wręcz biją na „purystów“ nieoględnych; twierdzą, że im się ani obejść bez wyrazów łacińskich z owymi odcieniami, trudnymi do ujęcia dla niewyćwiczonego mózgu, (por. uwagi lipskiego prawnika, profesora Sibera w Deutsche Juristenzeitung 1916, nr. 1 i 2, str. 110 i nn.). My tylko język potoczny wzięliśmy na pytki, ale sami przyznajemy, że granice dozwolonej cudzoziemszczyzny nieraz trudno ująć. Co n. p. począć z cygarem? Niemiec żartem wyłożył, jak n. p. smoking przez Rauchjacke, tak cygaro przez „Glimmstengel“, ale Czech doutnika (od dęcia) na dobre używa, my jednak bez dętek się obejdziemy, zważając, że „cygaro“ świat obiegło. I ten wzgląd rozstrzygnie chyba zawsze, więc dlatego i termo- i barometrom przepuścimy, choć ciepłomiar (ciepłomierz) wcale dobre słowo.

Nigdy nie należy zwracać uwagi na zarzut, że to „tłumaczone“; bez tłumaczeń nie ruszymy się przecież na krok z miejsca, rozchodzi się tylko o to, czy dobrze tłumaczono. Tak zabierali się w pocie czoła dawni, średniowieczni jeszcze pisarze do podobnych tłumaczeń, substantia wypadła im na podstatę a firmament na utwierdzenie — czyż podmiot (subiectum) a przedmiot (obiectum) lepsze? Całeż słownictwo nasze, n. p. gramatyczne

(gramatyka byłaby mównicą, gdyby to miejsce było jeszcze wolne), albo filozoficzne, tylko w ten sposób powstało i uważać je za wykończone, gdzie nic dodawać, nic odmieniać nie wypada, byłoby błędem — język, skoro tylko nie martwy, nieruchomym nie jest. Powtarzamy więc: tłumaczmy śmiało a dobrze, naśladujmy Czechów, co w ten sposób język zbogacili. Ponieważ n. p. francuskie ordre, niemieckie Orden oznacza i zakon i order, to oni własnemu rzad (rząd, porządek) oba nadali znaczenia (czyż zostaniemy w przyszłem Królewstwie przy obcych orderach?).

Należy tylko pytać, czy dobrze tłumaczono i dlatego *ziemniaki* nienaganne; taksamo *pociąg* (co Czechowi włokiem, a Rosyaninowi pojazdem), albo *dworzec kolejowy* (kolejowy zresztą stale odpada i słusznie), albo *dziennik, tygodnik, miesięcznik,* gdy *czasopismo* a nawet *rękopismo* (już „rękopis“ lepszy nieco) obcym przesiąkły duchem, niepolskim.

Obok urobień jednopniowych i tłumaczeń gładkich możnaby wyjątkowo wznowić i jakie słowo zupełnie zapomniane, przestarzałe, a więc wolne. Części ubrania męskiego obywają się niemal bez polszczyzny, owe surduty (Rosyanin w swoim siurtuku francuszczyznę dokładniej zatrzymał), tużurki, bluzy, fraki (dla nich szkoda polskiego słowa), kamizelki, rajtuzy, krawaty, mankiety, bundy (węgierskie), saki i t. d., ale n. p. w miejsce „Überziehera“ (wedle lwowskiej polszczyzny) stary *nasuwień* aż się naprasza; „Überziehera“ ani płaszczem, ani okryciem, ani zarzutką, skoroż one bez rękawów bywają, nie zbędziesz, chyba równie obcem palto zastąpisz. Oddawna znamy już tylko obce barwy (farby) i kolory, ależ jeszcze w połowie szesnastego wieku o maści, nie koni, lecz sukna mówiono; dziś ograniczyliśmy zna-

czenie wyrazu i na to już nie poradzimy. Lecz napróżno panna, w towarzystwie (łacińskiej z pochodzenia) koszuli się sromając, giezłko wskrzeszała; za to udało się wiecu odżycie, chociaż skrzywdziliśmy je; ni stąd ni zowąd rodzaj tu męski zamiast nijakiego (dawna polszczyzna ma tylko: to wiece). Termin należałoby rokiem oddawać, por. odroczyć, jak dawniej bywało zawsze, ale rokowi odmieniliśmy znaczenie, lato odnosząc wyłącznie do pory letniej i zastępując je rokiem, tylko nie w liczbie mnogiej (ale rocznik i roczniak obok dwulatka i t. p.). Właśnie język prawniczy odwojował niejedno, co utracił.

Tu wdzięczne pole popisowe dla poety i istotnie Młoda Polska niejedno nam odwojowała, żertwę t. j. ofiarę i t. p.; wymagamy tylko od niej, aby nas nie zarzucała błędnemi, niepolskiemi „archaizmami", n. p. chram, co cerkiewne, nie polskie (po polsku byłby chrom, ależ istotny polski *trzem* o wiele lepiej służy); gontyny zmyślił ktoś, co chyba o gontach myślał, ależ to były kąciny — kucze na Pomorzu słowiańskiem; witczowie, choć Skarga o nich prawi, to „junacy" serbscy, nie polscy (ci zwali się wiciędzami, por. robociądz); znicz, co po litewsku znachora oznaczał, odwróciliśmy całkiem błędnie na przenośnię dla ognia i t. d. Nakoniec można i do narzeczy sięgać i z nich słowa wydobywać raczej, niż z słownika Lindego; *jeno* n. p., którego Chmielowski stale używał, jest narzeczową, acz odwieczną formą, inne powprowadzali Żeromski i inni młodopolscy pisarze, n. p. zuchełek (mazowiecki, zamiast żuchełek) i i. Lecz to drobne wyjątki i daleko im do dostatniego zbogacenia języka, szczególniej dla oznaczania rzeczy czy pojęć nowych.

Krakowskim więc targiem, pół na pół, pogodzimy nowotwory z tłumaczeniami i słowami obcemi, wymagając tylko uwagi przy wprowadzaniu nowych wyrazów. Z naj-

Biblioteka P.A.N. w Krakowie

większem zdziwieniem usłyszeliśmy n. p. o loteryi klasycznej w Królewstwie, zamiast jedynie możliwej klasowej; klasycznemi bywają gimnazya, gdzie klasyków czytają. Lecz to drobiazgi. Nasz język nie może tak, jak romańskie lub angielski, przywłaszczać sobie wszelkich słów łacińskich; nie może tak, jak niemiecki, w sążniste bawić się złożenia. Ależ i my czujemy się spadkobiercami kultury łacińskiej, i nam więc wolno z jej zasobów językowych korzystać (jak ubogim jest język rosyjski w porównaniu z naszym w latynizmy!), a greckie całemu służą światu. Ależ i my możemy posługiwać się złożeniami i właśnieśmy umyślnie spadkobiercę nadmienili; on jak i świętokradca a nawet i dziękczynny śmiało ostać się może. Nam uprzykrzyli złożenia dawni poeci, a raczej wierszokleci, co po Kochanowskim na Parnasie polskim rej wiedli (od Klonowica począwszy, szczególniej Rybiński, Petrycy i inni; prawdziwi poeci, Morsztynowie, W. Potocki i inni od tego się uchylali, zato Jacek Przybylski znowu wszystkich prześcignął) i w niezdarnych złożeniach krasę stylu poetyckiego upatrywali. I z nadmiaru latynizmów w dawnym języku dziś się natrzą samy, mimo to udało się tej łacinie skrzywić stos pacierzowy naszego języka, narzucając mu szyk słów całkiem nienaturalny, innym językom słowiańskim zupełnie obcy (a nie tylko słowiańskim). W dawnej szkole właściwe następstwo słów przy czytaniu Owidego lub innego poety oznaczano liczbami; przy czytaniu Samuela Twardowskiego czy Wacława Potockiego mimowoli narzuca się nieraz takasama chętka. Ależ i dzisiejsza proza nasza, szczególniej w uroczystym nastroju, rzuca tok polski, słowiański, a chwyta się łacińskiego, nader wolnego, wsuwa całe części zdania między rzeczownik a przymiotnik, kładzie przymiotnik po rzeczowniku zamiast przed nim i t. d.

A ileż nam bróździ niemieckie słów następstwo, mianowicie owo odsuwanie czasowników na sam koniec zdania i t. p.; nie oskarżajmyż samej łaciny o takie niepożądane wcale wpływy.

Należałoż i to podnieść, szczególniej wobec utartego u nas mniemania, jakoby kładzienie przymiotnika po rzeczowniku było pierwotnem jego następstwem. Nic mylniej. Nie znają takiego następstwa inni Słowianie; Rosyanin lub Czech mówią o polskich dziejach, o słowiańskiej wzajemności i t. d., gdy my się sadzimy na dzieje polskie i wzajemność słowiańską. Taką rzecz pospolitą przecież żywcem z łacińskiej res publica wyłożono, pacta conventa nawet nie tłumaczono, senatus romanus senatem rzymskim zostawał i za tym przykładem wkradł się ów wcale niechwalebny zwyczaj do mowy szkolnej, a potem i ogólnej.

Następstwo słów łacińskie a złożenia niemieckie pobróżdziły w języku niemało. Gotów jednak ktoś stanąć w obronie słów złożonych, gotów wskazać, że przecież język obfituje w tyle dawnych i własnych złożeń, że wszelkie napastywania listonoszów, wodociągów (dawny język to rurmusem nazywał), korkociągów (grajcarki strzelbom zostawmy), deszczochronów, cichostępów i t. d. są raczej bezpodstawne. Mamy przecież sianokosy, sianożęci, kołodziejów (i tyle innych -dziejów), bałwochwalców, muchomorów, konowałów (a w nazwach miejscowych Konotopy, Konopady i t. d.), Igołomię (t. j. gdzie się iga, jarzma, łomią), kołowrotki, kraso- i brzuchomowców, ludojadów i t. d., i t. d., że na ich podstawie i za ich wzorem możemy śmiało coraz nowe tworzyć i nie pozbawiać się samochcąc tak wygodnego środka dla zbogacania języka.

Ależ nazwy miejscowe idą torem własnym i co

w nich uchodzi, nie uchodzi gdzieindziej; znają one n. p. Dębołękę, Dębogóry i t. p., czego poza niemi niepodobna naśladować. Powtóre, należy z słów przytoczonych powyżej znaczna liczba do późnej warstwy językowej i sama raczej usprawiedliwienia wymaga. Potrzecie, takiego „listonosza“ mylnie urobiono, powinienby raczej brzmieć listonosem; chciał widocznie twórca złożenia uniknąć wszelkiej spółki z nosem (krzywonos i t. p.) i dlatego nieusprawiedliwione niczem sz wybrał. Poczwarte, byłby listonosz albo nawet poprawniejszy listonos zupełnie zbyteczny, bo listowy (lub listowiec) wystarcza całkiem. Nie bez przyczyny więc uciekamy się do złożeń, od których Niemiec wszystko zaczyna, tylko w ostateczności. „Glashütte“ będzie hutą szklaną albo o wiele lepiej szklarnią; w innych nazwach możemy sobie radzić urobieniem od drugiego pnia, n. p. żelazko = Glätteisen; Niemiec mówi: Vaterhaus, Vaterland, Vaterерbe, Vatermörder, my: dom ojczysty, ojczyzna, ojcowizna, ojcobójca — tylko ojcodom czy ojcokraj niemożliwy u nas i dlatego potępiamy wszelkie złożenia, na coś podobnego zakrawające, więc nie pochwalimy kręgosłupa (kręgowiec poprawny); kościotrup jest nam taksamo obcy, jak i szkielet — po polsku kościec.

III.

Upaństwowienie Królewstwa Polskiego podnieciło widocznie wyobraźnię naszych „purystów“, zabiegających o czystość językową. I słusznie. Należy przecież oczyścić n. p. Warszawę z śladów jarzma rosyjskiego i chwalimy Radzie miejskiej, że wyznaczyła nagrodę za spolszczenie poprawne „gościnnego dworu“, t. j. dworca kupieckiego, jeśli rosyjskie wyrazy oddamy polskimi. Rada przychyliła się ku „kra-

mnicom", co nam od Niemców przyszły; swoją drogą, Niemcy swój „kram" Słowianom, ich chramom — choromom zawdzięczają (?); dawny język nazywał to szmatruzem całkiem po niemiecku. Niestety, nie pomoże nam wiele ów język dawny, co właśnie sam obczyznę stale przyjmował; jego ceklarz n. p. nie zastąpi nam policyanta, skoro obaj równie obcy (ceklarz niby z cyrkularza, właściwie z niemieckiego Zirkeler poszedł). Zasada więc, z jakiej urząd warszawski wyszedł, najsłuszniejsza; gościnny dwór należy do muzeum niewoli rosyjskiej, ale nie na ulicę polską, bez względu, czy właśnie „kramnice" dobre.

Podobnie wyznaczono przed laty nagrodę za najlepsze spolszczenie „korespondentki". Zły przykład galicyjski niczego bowiem nie stanowi; tu tłumaczą bez namysłu, jak najdokładniej, nazwę niemiecką — najniepotrzebniej, bo „Korespondenzkarte" niemiecka „korespondentką" (w gwarze potocznej wyłącznie używaną) po polsku brzmieć winna, nawet z narażeniem się na pewną dwuznaczność („korespondentką" może być i pani z nami „koresponduująca"); u Rosyan otkrytoje piśmo, odkrytka (i tak ją Litwini przejęli). Ponieważ słowa list—listy wyłącznie do oznaczenia wymiany pisemnej ograniczyliśmy (dawniej list był liściem), więc słusznie Włodzimierz Plater „korespondować" przez „listować" zastąpił i „listówka" byłaby najodpowiedniejszą korespondentki nazwą, lepszą niż n. p. pocztówka (t. j. Postkarte). Nie zapominajmyż tylko o tej najogólniejszej naszego słownictwa zasadzie, że co Niemiec złożeniem dwu pni, my urobieniem od jednego (zazwyczaj pierwszego) wyrażamy, więc pocztowy lub pocztowiec byłby Postmeister, leśniczy lub leśnik (z tego słowa miała wyjść nazwa Lessing, co powszechnie twierdzą, a czemu przeczę) albo gajowy = Waldheger i t. d.; taksamo więc i Korespondenzkarte niepotrzebnie dwoma

słowami wytłumaczono. Natomiast Ansichtskarte bywa widoczkiem; widokówka (skoro sama widówka niezwykła), byłaby przyciężka.

O cóż chodzi? Nowe państwo polskie, z urzędami i t. d. własnymi, prostem tłumaczeniem wyrazów obcych nie zadowoli się tak, jak to w Galicyi po r. 1867 popłacało. Nic więc dziwnego, że pojawiają się coraz nowe pomysły, dążące n. p. do wprowadzenia polskiej nazwy i do mennictwa przyszłego; przedłożono, nie na żarty, wedle francuskich Luisdorów i Napoleondorów albo niemieckich Joachimstaler (skąd dawna ruska nazwa jefimków) jakiegoś Piasta (przypominającego, jak słusznie zauważono, raczej piastry tureckie, niż rodzinę, niegdyś panującą). Trudno jednak nie zastrzec się przed podobnymi zakusami. Przecież istniało przez dziewięć wieków państwo polskie i do niego chyba wypadałoby się odwoływać w pytaniach podobnych, a wtedy nie pozostanie nam nic innego, niż pożegnać się z Piastem, bo mennica czy myńca polska prócz „złotych“ (co wcześnie już raczej „srebrnymi“ bywały) nazw rodzimych nie znała; był portugał, taler (co poźniej talarem został), grosz („gruby“ niegdyś, i dlatego z łacińskiego grossus, t. j. gruby, przezwany), były wiardunki (niby czworaki), skojce, orty, halerze i t. d., nazwy obce (pomnożyliśmy je w Galicyi o reński — ryński, grejcary, szóstaki czy szóstki, z Sechser przetłumaczone); rodzimych używano dla myńcy podrobionej, owe piorunki, klepacze a choćby boratynki i tymfy; albo dla nazw żartobliwych, n. p. dudek (zamiast orła białego; powędrowała od nas ta nazwa do Niemiec, Düttchen), babka i t. p.; niezrozumiały jest częty dla dukata. Otóż zostanie chyba nowa stopa pieniężna polska przy „złotym“, chociaż srebrnym będzie, odpowiadającym „marce“ niemieckiej

lub „koronie“ austryackiej i podzielonym (nie na trzydzieści, lecz) na dziesięć groszy = dziesiątaki i półgrosze = piątaki, po dziesięć czy halerzy czy szelągów czy groszyków, czy jak tam pieniądz najniższy nazwą: zaś piątki, dziesiątki i t. d. będą liczyły złotych pięć, dziesięć i t. d. obok czerwieńców i półczerwieńców dla monety złotej. Jedyna przecież nazwa słowiańska monety, to grzywna (naszyjnik niegdyś, później dopiero waga kruszcowa), ale u nas dla kary pieniężnej już wyłącznie używana, przeto nie myślimy jej w odmiennem zupełnie znaczeniu wznawiać. Należy więc dzieje dawne, państwowe czy językowe, badać, zanim się przystąpi do nowotworów i do rozstania z niejedną nawyczką. Byłoż nam tak wygodnie, nie siląc się ani kusząc o nic własnego, obcemi słowami zatykać i łatać mowę własną. Umyślnie wymieniliśmy wyżej n. p. antykwarnię, introligatora i nie pytaliśmy, czyżby nie można tych przybyszów zastąpić rodakami? Jeszczeż antykwarnia po całym obiega świecie, czego przy równie naszym „bukiniście“ już nie powtórzymy; ależ introligatora nieznanego na całym świecie, istniejącego tylko u nas, nie sposób zatrzymać, skoroż zawsze o oprawianiu czy oprawie książek, nigdy o ich „introligowaniu“ nie mówimy, więc i oprawiacz (skoro oprawca nabrał innego znaczenia) i jego oprawnia nam się należą. Zamiast antykwarza i antykwarni prawić o starzyźniaku i starzyźnie wyda się dziś każdemu dziwactwem, chociaż i antykwarz nic innego niż starożytnika nie oznacza; ależ nie ruszamy obcych z ich miejsca zasiedzianego i nie odbieramy praw obywatelskich włóczęgom łacińskim, arkuszom (zamiast listom), atramentom (czarnikom; czerwony i t. d. czarnik nie gorszy niż czerwony atrament, bo u obu kłóci się przymiotnik z rzeczownikiem), sulejatom (bo tak dawni buty przezywali), okularom, marginesom

i wszelkim innym ruderom. Wolnoż mimochodem zagadnąć, czyż nie nadto tej uprzykrzonej cudoziemszczyzny? czyż nie wymieść trochę tej stajni Augiaszowej? Bo czyż nie grzeszył jawnie przeciw tej zasadzie, „że Polacy nie gęsi, że język *swój* mają“ (jak ją Rej wygłosił), kto bezmyślnie do języka okulary (zamiast oczników, skoro okuliści — oczniacy o wiele później nastali, lub wzroczników) i t. d. wstawiał. Obowiązkiem było, nie wstawiać ślepo obczyzny, lecz ją bacznie tłumaczyć.

Żachają się najniesłuszniej przeciw tłumaczeniom, od których tylko wymagamy, żeby były dobre, t. j. zrozumiałe i nie kłóciły się z duchem językowym. Więc nie pochwalimy dawnego tłumaczenia morgi czy morgu przez jutrzynę, bo nam jutro, nie ranek przypominała, ale zamkom (grodom), pokojom (komnatom), sklepom (kramom) i t. p. nic nie zarzucimy. Wojują u nas nieraz zarzutem: to niepolskie, to tłumaczone; podobnie zarzucają niejednemu prapolskiemu słowu, że obce, niemieckie (n. p. okrętowi zmyślono jakiś niemożliwy początek niemiecki, albo gapie t. j. wronie albo tłumaczowi albo gmyraniu albo chążbie i wielu, wielu innym). Ależ jeżeli i Polak i Niemiec używają tego samego zwrotu, to stąd nie wynika jeszcze wcale, że go Polak od Niemca dostał, boć mogli doń obaj dojść samoistnie, niezawiśle od siebie, n. p. „to stoi w biblii“ nie jest niemieckim „das steht in der Bibel“, lecz odwiecznie polskim zwrotem. Podobnie: zejść na psy, śmiać się w kułak, wisieć na włosku, być na nogach, spuścić nos, jak pięść do nosa, obiecywać złote góry i t. d.

Gdybyż to nawet były tłumaczenia, toć nas o to głowa nie zaboli, bo każdy z nas to zrozumie. Co innego, gdyby kto przetłumaczył dosłownie francuskie „il n'est pas dans son assiette“ = „on nie w swoim talerzu“ u Rosyan!

(istotnie: on nie w swajej tarielkie); Polakby tego nie zrozumiał, mówimy chyba: on nie w swoim sosie. Albo jeżeli w Prusiech modrzew słowikiem nazywają, niemieckie Lärche (modrzew) z Lerche (słowik) mieszając— takie i podobne tłumaczenia usuwamy z góry jako niemożliwe. Natomiast nie wahamy się: śledzić za kim, nie tylko: kogo, bo i tropić i szukać możemy tak łączyć, i niemczyzny („nach jemandem forschen") w tem nie uznamy.

Nowo powstałemu państwu polskiemu życzymy, aby tej nadmiernej pstrocizny językowej nie cierpiało, nie hodowało dalej, aby dbało i w życiu codziennem, nietylko w piśmie (którego wysłowienie o wiele schludniejsze bywa), o jaką taką czystość i poprawność, aby szkole własnej tę pieczę gorliwie zlecało, co z szkoły i w życie wejdzie, czy prędzej czy później. Na tem bowiem polu zgrzeszyliśmy już tyle, że więcej grzeszyć nie sposób. A kiedyż naprawdę czas ku poprawie lepszy, niż przy rzucaniu podwalin pod nowy ustrój?

Wady naszej pisowni.

Jak nie zdajemy sobie wcale sprawy z zanieczyszczania mowy różnymi przybłędami i wlazami niepotrzebnymi, taksamo obojętniśmy na zanieczyszczanie pisowniowe. Na słowa cenimy język, nie możemy się go do syta nachwalić, walczymy o jego prawa, biadamy nad wszelkiem ich krzywdzeniem — w istocie krzywdzimy go sami na każdym kroku, bo czyż stałe nasze niechlujstwo pisowniowe nie jest krzywdą językową?

Biorę pierwszą lepszą w r. 1916. wydaną książkę, nie wymieniając umyślnie bliższych o niej szczegółów. Na kilku jej stronicach znachodzę: stróże (t. j. struga), oddecham, wdechać i t. d. (t. j. oddychać, wdychać), w podatnych dla się medyach, w bok się (t. j. siebie), w dal okołosiebu (t. j. otoczenia); opozycya z jednem *p*, ale suggestya, terror z podwójną spółgłoską; dzielenie zgłosek niestałe, raz takie, drugi raz owakie i t. d. I mimowoli pytam, czy Francuz lub Anglik, Niemiec lub Rosyanin mogliby się podobnej samowoli czy niedbałości pisowniowej dopuścić, a gdyby tak, jakby tam o to skarcono i pisarza i drukarza. U nas o to nikogo i głowa nie zaboli.

Pisownią nazywamy, rozszerzając umyślnie znaczenie bieżące, wszelki sposób oddawania brzmień i słów, począwszy od znaków abecadłowych i dzielenia wyrazów a skończywszy na przeróżnych postaciach mowy i słowach; wadami jej nazywamy wszelką nieodpowiedniość jej znaków, chwiejność w używaniu znaków i słów i niejednostajność w urabianiu postaci — jednem słowem, wszelką dowolność, nielicującą z wymaganiami, jakie stawiać winniśmy wobec języka wielkiego, bo z górą dwudziestomilionowego narodu, o bogatem a dawnem piśmiennictwie.

Wymagania odnoszą się przedewszystkiem do pisma, co winno przestrzegać stałych prawideł czy przepisów, którego nie należy zdawać na dowolny wybór czy domysł czyjkolwiek; natomiast mowie żywej większą swobodę przyznajemy i tu jej na myśli wcale nie mamy. Wymagamy więc jednolitości i zgody powszechnej tylko w pisowni; czy to za sobą z czasem pociągnie większą jednolitość i zgodę u mówiących samych, czyli nie, na tem nam nic nie zależy, gdyż dbamy tylko o ustalenie pisowni, jako rzeczy dla szkoły i prasy wagi pierwszorzędnej, nie zaś o wyplenienie rozmaitych dowolności mowy ustnej. Zasada nasza brzmi: piszcie wszyscy na jeden i ten sam ład, nie znoście żadnych odmian wedle ziemic (n. p. inaczej w Królewstwie, a inaczej w Galicyi), albo wedle widzimisię jakiegoś, pokrywającego nieraz pod pozorami naukowymi i pod najnowszem słownictwem umiejętnem tylko nieznajomość tego, co w języku istniało, zastępującego tę wiedzę próżnymi domysłami. Mowie ustnej ujdzie natomiast zupełnie niejedna, nawet znaczna odmiana; Litwina n. p. poznajemy po wymowie tylko, nie dopuszczając w piśmie różnicy najmniejszej — wymawiaż jeden Niemiec *stand*, inny *schtand*, ale obaj piszą taksamo.

Usuwamy więc z pisma wszelkie właściwości narzeczowe, nie dopuszczamy n. p. żadnego w niem mazurzenia*); nie napiszemy nigdy *jezdem*, chociaż większość Polaków od XVI. wieku tak to wymawia (a dawniej i pisała je nawet w drukach dawnych); mówimy: imie, ciele, książe, bydle, pietnaście, dziewietnaście i t. d., tylkoż pisać tak nie wolno przenigdy.

Do tego wstydu bowiem, że nasz język niby owa wrona z cudzem, lecz wcale nie cudnem upierzeniem, po cóż dodawać dalszy: że pisownia nasza taka niestała i chwiejna (zawyrokowałby złośliwy dowcipniś), jak my sami. Wstyd bierze przecież, jeżeli porównamy naszą pisownię n. p. z czeską albo choćby z rosyjską, mającą o wiele znaczniejsze trudności do zwalczania. Co za jednolitość pisowni czeskiej wobec naszej! Ależ tam przeprowadzono jedną zasadę, do niej się wszystko nagina i żaden Czech nie wyłamie się z pod jej prawideł, wcale uciążliwych, ale przynajmniej stałych, gdy nasze prawidła przypominają nieraz koła, jakie pijany zatacza, n. p. każą nam pisać przyimki razem: *popod most* czy *ponad brzegiem*, ale rozrywają je: *z pod mostu, z nad brzegu!* Niżej przyto-

*) Wobec tego, że przeważna część Polaków od dawien dawna mazurzy, zastanawia niemal stała odporność pisowni przeciw wszelkiemu mazurzeniu. Ledwie, że w kilkunastu odosobnionych nazwach i słowach „mazurzymy“ i w pisowni, jakoto: cacko zamiast czaczko (od czadzu lub czaczu, nagrody wyścigowej), cwał (zamiast czwał), cyranka, cebr, dzban (właściwie czber, czban), zarzewie (z żarem przecież pokrewne, a dziwnie w dawnym już języku poplątane słowo, pierwotne żerawie, jest nawet „w rzeżarku“ u Clementinusa r. 1630); racuszki i recuszki z mąki hreczanej; kucnąć obok w kuczki i kuczeć; cupnąć obok czupnąć; roślinę domową cząbr pomieszano w wymowie z cąbrem pieczeni (z niemieckiego Ziemer) i z babami czombrowemi krakowskiemi (z niemieckiego Schamper); może i cuchnąć obok dawnego czuchu, od czucia, „mazurskie“, nie „polskie“ (t. j. wielkopolskie).

czymy więcej podobnych „urozmaiceń“, szpecących naszą pisownię; wszelkie nasze wywody godzą w pierwszym rzędzie w to widzimisię, panujące w niej wszechwładnie, w tę pstrociznę, w której może kto inny właśnie jakiś przymiot osobliwszy, jakąś szczególną malowniczość odkryje; dopiero w dalszym stopniu myślimy o odwojowaniu niejednego, co utracono, boć jeżeli wolno jednym psuć pisownię, toć sprawiedliwość wymaga, żeby innym wolno było ją naprawiać.

I.

Zaczynamy od czcionek, nie z myślą o jakiejkolwiek odmianie, lecz aby u samego wstępu pisowni jej niejednolitość jako rzecz najbardziej dla niej znamienną wykazać. Zdawałoby się bowiem, że nic łatwiej, niż wymagać, aby brzmienia tego samego rodzaju tym samym wyrażać sposobem, lecz o tem pisowni naszej ani się nie śniło. Jedno i to samo brzmienie *ń* piszemy tak i inaczej, *koń* i *konia,* nie *końa*; brzmienia *cz sz rz* wyrażamy całkiem umownym sposobem przez złożenie z *z* (ależ n. p. Niemcowi albo Węgrowi *sz* całkiem inne wyraża brzmienie; Niemiec dla naszego *sz* równie umownego znaku *sch* używa, acz ten ma dawne dzieje za sobą), więc i takie same brzmienie *ż* należałoby dla jednolitości złożeniem, tu więc zdwojeniem przez *zz* wyrazić; albo odwrotnie: jeżeli *ż* kreskujemy, toć należałoby koniecznie równem kreskowaniem i *ć ż ś* wyrażać, ależ my takie same brzmienia raz kreskowaniem, raz złożeniem z *z* oznaczamy. Nie dziw więc, że sąsiedzi nasi, Litwini, a raczej Litwomani, dawną pisownię polską dziś zarzucili, że piszą jednolicie *ć ż* i t. d., a nawet i białoruski Homan (wydawany w Wilnie, Swar czy Gwar po naszemu?) kusi

się, acz nieśmiało, o wprowadzenie przynajmniej dla *sz* znaku czeskiego, jednolitego *š*, bo Biała Ruś od swych modlitewników do polskich czcionek przywykła. Podobnie ma się rzecz i z *ś* w *zaś*, a z *sianem*, zamiast *śanem*, *ćałem*, *dźałem;* dalej piszemy brzmienie *c* t. j. *t* + *s*, jednym znakiem, *ręce*, ale spółrzędne mu *d* + *z* dwoma oddajemy, *nodze* — więc nierównomierność zupełna. Jakżeż powstała i co ją wytłumaczy?

Gdy zaczęto pisać po polsku, nie troszczono się bynajmniej o to, jakie język polski „posiada głoski (dźwięki)“ (to czytaliśmy w niedawnej rozprawie uczonej); troszczono się tylko o to, jak kilkunastu znakami łacińskimi oddawać kilkadziesiąt brzmień polskich. Z trudności wybrnięto najłatwiej: jeden znak łaciński, n. p. *d*, służył trzem (lub więcej) polskim brzmieniom, *d, dź* i *dz*, n. p. *idziesz* pisano przez *ides*. Cierpiała na tem nadzwyczaj zrozumiałość pisma, lecz czytelników było nieskończenie mało i tyleż wymagali, tylko zrozumiałości, bo sama czynność czytania zaprzątała ich zupełnie, czego dowodem najlepszym straszna rękopisów niepoprawność. Gdy się wzmogła liczba piszących i czytających, rosły ich wymagania co do jasności pisma i radzono sobie tak, że składano kilka łacińskich znaków dla jednego brzmienia polskiego; *s*, *c* i t. d. pisano i *sz, cz,* albo zdwajano je, *ss*, pisano je i *ssz* albo *sch, zz* i t. d., dodawano *i* lub *y*; teraz pisano *idziesz* przez *idzyesch* lub podobnie. Najdawniejsze rękopisy czeskie udoskonaliły te złożenia nadzwyczaj; nasze, jak zawsze i wszędzie, mniej o jakąś prawidłowość dbały. Zamiast tych złożeń wprowadził w Czechach Hus, wielki języka narodowego miłośnik, dbały o jego czystość i szatę, ponownie znaki pojedyńcze, ale je punktami rozróżniał, *ń* było *ń*, *ć* było *cz*, *ż* było *ż* i t. d. Gdy nasi pierwsi drukarze wyprowadzali z zamieszania

rękopiśmiennego prawopis, nie przejęli całej zasady Husowej, lecz pomagali sobie i sposobem tamtym, do którego przez półtora wieku nawykano, i tym nowym; tak powstała dwoistość naszej pisowni, posługującej się i znakami złożonymi (*cz sz rz dz ni dzi* i t. d.) i kropkowanymi *(żak, łan* przez odmianę kropki lub kreskowanymi *(dziś, dzień*). Tak ustalili drukarze krakowscy pisownię i mieli słuszność, że nie trzymali się jednej zasady tylko, bo wyłączne użycie kresek i kropek nadzwyczaj pstrzyło druk, czyniło go wręcz nieprzyjemnym dla oka (razi nas to już w czeskim, choć on mniej spółgłosek kreskuje, niż nasz język); wyłączne zaś używanie znaków złożonych (n. p. *ll* dla *ł* i t. p.) zbyt rozwlekało pismo; niepotrzebnie tylko podwójne *w* (co właściwie *vu* znaczyło, *wj = wuj)* dla brzmienia pojedyńczego zatrzymali (Litwini dzisiejsi je też odrzucili), ponieważ i *i* przez znak podwójny *(y* t. j. ij właściwie) oddawali; joty nie mieli, pisali ją przez *i* na początku zgłoski, *ia,* przez *y* na końcu, *moy,* Zamoyski; później rozróżniali i nasze brzmienia *i, y* w sposób dzisiejszy. Oni też wprowadzili nasze zamieszanie w oznaczaniu nosówek; dawniej obie nosówki jednym znakiem, *ą,* wyrażano, pisano *ręka* i *rąka = rąk;* oni zatrzymali dawny znak *ą* dla brzmienia, które przez *o* właściwie pisać by należało (francuskie *on),* a dodali nowy znak *ę, ręka — rąk.* Byli więc bardzo ostrożni, usuwali tylko rażące braki, nie zrywali, ile mogli, z ustalonym paru wiekami zwyczajem. I tę to pisownię piastujemy do dziś, niemal niezmienioną. W siedmnastym wieku odrzucono kilka jej szczegółów, n. p. zaprzestano pisowni *śi ći,* w *śiano, ciało,* jako niepotrzebnej i słusznie: natomiast zamiast dawnego *scz ści* i t. p. *(sczyt, ściek,* gdzie brzmienie następne określa przyrodę poprzedzającego *s*) wprowadzono *szcz* i *ści.* I jedno i drugie nie bardzo szczę-

śliwe, szczególniej zaś pierwsze; ta zbitka czteru spółgłosek pismo raczej szpeci, a obejść się bez niej można było znakomicie. Pomijam, że i wymowa bez niej się czasami obchodzi (słyszymy i wymawiamy: cudzoziemsczyzna, polsczyzna, Sczakowa, płasczyzna), ależ zasada każdego prawopisu brzmi: nie łożyć więcej znaków na to, co i mniej znakami wyrazić zdołamy; Rosyanin ma na to jeden znak, więc jemu dobrze; nam źle, ale już przy tem pozostać wypadnie.

Na przełomie dziewiętnastego wieku zapełniono nakoniec dotkliwą naszego abecadła szczerbę. Dla brzmienia, najczęściej w języku zachodzącego, dla joty, nie posiadano wcale osobnego znaku. Teraz *j* pomnożyło zasób naszych czcionek — nie bez walki. Nowinka ta wywołała w dalszym ciągu gorące spory (czem rzecz błahsza, tem spór gorętszy), bo nie wszędzie jotę stawiano, mianowicie nie w słowa obce, gdzie pisownię obcą przez *ia* (teologia i t. p.) albo polską przez *ya* (gdyż niektóre brzmienia polskie, n. p. *r, t, d, c, z i* się nie zgadzają), zatrzymano. I wybuchł spór, czy pisać Marja czy Marya? Spór ten nie ma najmniejszej podstawy ani znaczenia ani jakiegoś z umiejętnością związku; pisownia Marja odbiega od pierwowzoru, mniej potrzebnie, skoroż to słowo (i wszelkie inne podobne), nie polskie; pisownia Marya i z pierwowzorem i z znaczeniem polskiego *y* kłóci się zawzięcie; najlepiej byłoby zachować pisownię pierwowzorową, Maria, Szwecia, Asia i t. d., przecież to słowa obce i nikt ich *Szweća*, *Aśa* i t. d. czytać nie będzie, taksamo jak *Dania* lub *linia* nie czytamy *Dańa*, *lińa*, lecz *Danja, linja*. Ponieważ jednak pisowni najodpowiedniejszej i zarazem najdawniejszej: Asia, patriota, Triest i t. d. chyba nie osiągniemy, więc dla miłej zgody trzymajmy się już pisowni równie dawnej, przez *ia* i *ya*, Dania i Marya,

pomni, że na zgodzie, nie na pisowni zależy. Piszmy więc raz na zawsze Marya, Asya, ale akademia, Dania, linia — chyba wedle ogólnopolskiej zasady: wolnoć Tomku w swoim domku, boć wszelkie zakusy, inaczej, niby w jakiś umiejętny sposób, pisownię Marya i t. d. uzasadniać, są tylko zawracaniem głowy.

Na oburzenie jotowców, t. j. broniących uparcie pisowni: Marja, Asja i t. d., odpowiemy snadnie, żeć sami już krzywdzą jotę, pisząc *nadziei, moi* i t. d., choć wymawiamy wyraźnie *nadzieji, moji,* więc joty nigdy przed *i* nie piszą, choć ją wymawiają. Dalej, że sami z sobą się kłócą. Austrya, tryumf, patryota brzmią jednako, ale jotowcy piszą je trojako: Austrja, tryumf, patryjota; piszą dalej najniepotrzebniej hijenę, klijenta, fijołek, Syjon (por. pisownię moi) i muszą najrozmaitsze smażyć przepisy, aby wybrnąć z zamieszania, wpadając w coraz gorsze; każą przecież pisać: Austrja, ale: austryjacki!! Niechżeż się nie dziwią, że na takie zamieszanie my znowu nie myślimy się pisać. Piszemy więc Austrya, tryumf, patryota, Tryest, klient, hiena, fiołek, fiolety, biografia, dyeta, Syon, gimnasyum, Mesyasz, Dyana, dyabeł (chociaż to słowo zupełnie zpolszczało, mówią nawet dziabeł; możnaby je niemal i diabeł, diasek już pisać), dyalog i t. d., więc i historya, poezya, komedya i t. d. Ponieważ zaś piszę klient, hiena, fiołek, nie myślę równie obcego chrześcianina odmiennie pisać (pisownia chrześcijanin zbyteczna), natomiast rodowitego pijanego (wedle pijaka) przez *ij* pisać należy, chociaż go często dwugłoskowo wymawiamy — ależ, jak wiadomo, pierwsza naszego prawopisu zasada: nie pisz tak, jak wymawiasz.

Zwykle twierdzą przeciwnie: pisz, jak wymawiasz, ale to do bajek należy. Wymawiamy w Krakowie i Lwowie *jezdem,* tylko pisać tak się nie godzi; wymawiamy:

bliski, niski, wąski, Francuska, lucki, tylko pisać tak nie wolno; wymawiamy; leść, gryść, wieść (wiozę) i t. d., ateż tak nie piszemy. Więc nie wolno też przeciw jedynie poprawnej pisowni: Maria, Austria, triumf (bo i całe wieki nasze tak pisały, zawsze konstytucia i t. p.; i pochodzenie obcego słowa tej pisowni wymaga) podnosić zarzutu, że tak nie wymawiamy, jakbyto nasza pisownia kiedykolwiek o wymowę dbała! Jedyny zarzut, jaki przeciw pisowni Maria i t. d. wystawić można, to ten, żeśmy od pisowni poprawnej i dawnej odwykli a do mylnej przywykli, a nawyczka góruje w prawopisie (łacinnicy mówią: usus tyrannus). Zarzut inny, że wiersze wymagają nieraz tej pisowni (Marya), równie błędny, bo dla nich należałoby Maryja i t. d. pisać, chcąc niejeden rym naocznie uwydatnić, a my im przecież i innych wolności rymowych dozwalamy, n. p. rymować *ę z e, ą z o* i t. d. Więc radzilibyśmy pisać Maria, Austria, triumf, bez najmniejszego na to względu, jak to kto wymawiać myśli, czy Austryja czy Austrja i t. d., boć wymawiajcie, jak się wam żywnie podoba (granic pewnych i tak nie przekroczycie), lecz piszcie jednym ładem. Ponieważ się jednak nie łudzimy, żeby najstosowniejszą pisownię z *ia* przyjęto (nie powoływamy też przykładu czeskiego, boć tam stosunki głosowe odmienne), więc ze dwu tych pisowni, przez *ja* czy przez *ia — ya,* wybieramy mniej złą dlatego, że po *n, m, k, g, f, p, b, w, l, ch,* z ową najstosowniejszą się zgadza. Uwaga, że pisownia: Marya, łatwiej tłumaczy urobienia dalsze, jak Maryjny, niezrozumiałe przy pisowni Maria czy Marja, zaważyłaby tylko przy pisowni Maryja. Wracamy do przerwanego wyżej toku, do wykazania, w czem dziś odstąpiliśmy od dawnego druku, dodając, że po rękopisach pismo przedstawiało się jak najdłuższy czas inaczej, o wiele gorzej, niż

w druku; dopiero nauka szkolna języka polskiego ten rozdźwięk między drukiem a pismem usunęła.

Jeszcze bowiem jedna odmiana zaszła w ciągu wieków; z końcem ośmnastego zaczęliśmy kreskować ó (i *é*, ale tego nieproszonego gościa szczęśliwieśmy się po r. 1890. znowu pozbyli). Kreskowane *ó* jest równie zbyteczne, jak kreskowane *é*, skoro nasz prawopis nie samego brzmienia, lecz jego właściwego pochodzenia się dzierży, więc nie znosi pisowni *bur*, boć *boru* i t. d. dowodzi, że *bor* pisać należy. Wszystkie też dawne wieki obchodziły się najspokojniej bez kreskowanego *ó* i nikomu to nigdy nie wadziło; wie przecież Polak i bez tego, gdzie *o* jak *u* wymawia, a obcych prawopis własny nigdy nie uwzględnia (i Rosyanin pisze dawne *ie*, gdzie *io* wymawia, pisze idesz, wymawia idiosz). Drobiazgowość uczonego, przewodzącego nad językiem, obdarzyła nas tem kreskowaniem (dalszych jego zakusów w tym samym kierunku ogół nie przyjął, i słusznie — dał mu się jednak w tym jednym zbałamucić) i dziś nie dadzą już sobie ludzie wmówić, że mogliby się w wieku XIX. i XX. bez tego obejść, bez czego się od XIII. do XVIII. obchodzili szczęśliwie. Więc kreskujmy i nadal *ó;* wymagajmyż tylko jednego: rozróżniajmy *ó* i *u* jak się należy, nie wedle pierwszego lepszego widzimisię, a przedewszystkiem nie ustalajmy przepisów mylnych.

Wątpliwości być nie może; nasz prawopis uwzględnia pochodzenie brzmienia, więc nie uchodzi pisać z warszawska protokuł ani też doktór, bo cóż z tego, że tak wymawiają? Pisz więc: protokoł, doktor, boć to ani nasz kół ani wór, lecz przybysz łaciński, więc tylko *o* w nim uprawnione. Piszą nawet odór i fetór, ale z kreskowanem *o* czy bez kreskowania należy obu wyświecić, jako niepotrzebne wlazy łacińskie. Przejdźmyż do słów własnych. Jasz-

czur i jaszczurka mają i w innych językach słowiańskich — *ur*, więc i my je tak piszmy; to samo dotyczy dłóta, które przez dłuto (niby dłubać?) pisać jest grzechem przeciw słowiaństwu (ruskie dołoto; to *oło, oro,* odpowiada naszemu *ło, le, ro,* nigdy naszemu *łu ru*); takim samym grzechem z tej samej przyczyny jest pisać *płukać* zamiast poprawnego *płókać* (ruskie połoskat') albo *kłuć, pruć* (ruskie kołoť, poroť); przecież *o* posiadamy sami w *kolę* (kół, kołek) i *porzę* (rozpór, rozporek), a że dziś *kłóję, próję* odmieniamy, zamiast właściwego *kolę* (wykalam), *porzę* (rozparam), rzeczy nic a nic nie zmienia. *Tulić,* pisano dawniej i *tolić,* ale wedle innych Słowian *u* mu przyznamy, zato przy *zasuwce* rzecz wątpliwa, boć i od zasowy pochodzić może, ale dla miłej zgody piszmy ją przez *u* wedle zasuwać.

Nie należy pisać: tłómaczyć (albo tłomaczyć, boć i to znajdziesz), ani tłómok, ani ogórek, ani półk, półkownik, ani obówie, ani stróna, bo z tem samem prawem (wilczem) moglibyśmy i *dłógi* i *tłósty* i *tłóm* pisywać (to samo brzmienie), ogurek zaś, to obce słowo z pierwotnem *u* (por. Gurke niemieckie); ani *dwóch,* boć wyszło od *dwu,* którego przecież przez *dwó* nie piszemy nawet w złożeniach, dwudniowy i tylu innych. Błąd jest dawny, ale pomimo to pozostaje błędem. Odmieniało się niegdyś dwa, dwie, dwu, dwiema — później dwiema ograniczono do rodzaju żeńskiego, a do męskiego wprowadzono dwoma; unikając liczby podwójnej, wychodzącej z używania, przystawiono do dwu dla celownika i t. d. wedle końcówek liczby mnogiej *moich,* dwum, dwuch; ani dla *o,* ani dla *ó* nie byłoż tu miejsca; „wymowa pochylona" — wobec stałej otwartej w tej końcówce (panom i t. d.), dowodzi, że tu było *u,* nie *o.* Gorzej obeszli się z *pułkiem,* który już Kopczyński kazał pisać przez *ó,* niby od pół koła (pi-

sownia taksamo trafna, jak wywód pochodzenia) i autor Dziejów Wojen zeszpecił jeszcze 1912. r. piękne dzieło pisaniną półkownik i t. d. Żadne tu nie pomogą wymysły, żadne odwoływanie się do dawności podobnej pisowni, ogurek już w 16. wieku pisano ogólnie przez *o* (t. j. *ó*), a obuw, dzisiejszę obuwie, już od czternastego wieku tak piszą, niby wedle czasownika obuć, obuwać, i nicbyśmy takiemu wywodowi zarzucić nie mogli (t. j. nic, coby niezawodowiec zrozumiał, bo zawodowiec wie, co o tem sądzić), gdyby nie wszyştkie inne języki słowiańskie, których zgodą polską pisownię jako mylną usuwa. Natomiast bardzo późnym błędem jest pisownia *ogół,* gdyż jeszcze za czasów sejmu wielkiego poprawna *oguł* popłacała. Odwrotnie nie należy pisać: pruchno (od prochu przecież nazwane), bruzdzić (od brózdy — ruskiej borozdy) i t. d. W dawnych zapiskach podobnych błędów więcej, piszą Gury (i imię stąd Gurski) i t. p.

Osobno jednak stawa cały szereg słów obcych, pisanych przez *u* mniej lub więcej stale w rdzennej zgłosce (nie jak doktór i t. d. w końcowej), chociaż im się ze względu na ich pochodzenie *ó* należy, więc: buty (botta łacińskie), jakbyśmy o obutym myśleli, kluski (Klosz niemieckie), ślusarz (Schlosser), marmur, nuta nucić (nota), ludwisarz (Rotgiesser), rura (Röhre), łut (Loth), luźny (loos), stuła (stola); Jakubowi przywróciliśmy na piśmie *ó,* ale imię własne do dziś Jakubowskim piszemy i taksamo Kubę; furta (Pforte), złożenia z -ulec (niemieckie Holz, jak budulec, strychulec i t. p.) i i.; przy niektórych zatrzymaliśmy kreskowane *ó,* róża, śrót, Józef (ale Juza), próba; przy innych, pisownia waha się, jest i nóta, i ślósarz, bywa i śrót; jeszcze inne napoły pozapominaliśmy, kót (u nogi końskiej), kluba; przy innych dawny język dziwnie postępywał, pisał n. p. stale poł (t. j. pół), ale

puł w złożeniach, n. p. w pułmilu, w pułbeczce i t. p. — przyczyny podać nie umiem. O innych kreskowaniach, niedawnego *é* i dawniejszego o wiele *á*, dziś na szczęście słów tracić nie trzeba.

Takich to zmian, w istocie drobnych, dopuściła się pisownia nowsza w porównaniu z dawną krakowską (na inne nie zważano, n. p. na Seklucyanową w Królewcu, choć nie źle radziła), w wieku XVI. ustaloną, a następnie aż do gramatyki Kopczyńskiego (z jej kreskowaniem) i do Felińskiego (z jotą) powtarzaną. Przechodzimy od znaków pisarskich do zagadnień dalszych pisowni, chociaż już sama różnica między *ó* a *u* właściwie do tych dalszych zagadnień należy.

II.

Jakaż główna naszego prawopisu zasada? Oto: pisać nie wedle „ucha“, lecz wedle „oka“, patrząc na inne tego samego słowa postaci, na pochodzenie jego właściwe, tak jak się to dzieje we wszystkich językach świata, boć słowo czy zgłoska, zmieniając najbliższe otoczenie, odmienia i brzmienie. Wymawiamy więc: kłatka, kłótka, wóska, gryść, leść, wieść i t. d., ale bacząc na: kładę, kłodę, wózek, gryzę, lezę, wiozę i t. d., piszemy: kładka, wózka, gryźć, leźć, wieźć; wymawiamy: proźba, koźba, ale piszemy: prośba wedle prosić a kośba wedle kosić; piszemy: Francuzkę wedle Francuza; wązki, nizki, blizki, rzeźki, wedle zwęzić, z nizu, blizu, rzeźwy; ścieżka, nie ścieszka, łezka, nie łeska, kózka, nie kóska; róg, wedle rogu, nie rók; dług, wedle długu, nie dłuk i t. d. Tylko wyjątkowo poddajemy pisownię uchu; piszemy dziarski zamiast dziarzki, por. rosyjskie derskij; dech, ale tchu; dychać, ale tchnąć, tchórz; deszcz (i dorabiamy doń de-

szczu), zamiast deżdż, dżdżu, dżdżysty. Albo ułacniamy wymowę i do tak ułacnionej stosujemy pisownię, n. p. pierwotne *Królewstwo* skróciliśmy najpierw w wymowie, a od 16. wieku i w pisowni na wygodniejsze Królestwo, również lenistwo od leniwy piszemy bez *w*.

W tej naszej pisowni dla „oka“, wzrokowej, pozwodziły nas różne mylne „widoki“. Piszemy n. p. wedle ucha: boski, bóstwo, męski, męstwo, nie oglądając się na: boży, mąż, coby (całkiem pozornie) raczej: bozki, mężki, wymagały; natomiast piszemy: ludzki, zamiast lucki, oglądając się (mylnie) na lud, chcąc jego *d* ocalić czy wyrazić w urobieniu z przyrostkiem *-ski,* że w: świecki, to *t* i *-ski* (świet-ski) dla oka równie giną, nic nam nie wadzi. Otóż: ludzki, jest niemożliwe; chcąc uwydatnić pochodzenie słowa na piśmie, należałoby pisać, jak Czesi piszą, ludski, podobnie bożski, mężstwo; jeżeli zaś przy pisowni: boski, męski, zacieramy powinowactwo z bóg, boży i mąż, toć i lucki taksamo pisać wypada, nie ludzki, co ani wymowie, ani pochodzeniu (gdzież *s* od *-ski?*) nie odpowiada. Piszemy dalej męski wedle ucha, ależ od tego samego męski urabiamy przyrostkiem *-izna,* zamiast męszczyzny albo mężczyzny, *mężczyznę;* i tu nagle pojawia się ni ztąd ni zowąd owo ż, któregośmy się w *męski* właśnie pozbyli — bardziej wszystkiego poplątać chyba już nie można. Piszemy napoły wedle ucha, zwycięzca (zamiast *s* wstawiamy jednak *z* ze względu na zwyciężyć), ale polecają pisać łupieżca, drapieżca, poco? Czyż nie lepiej pisać wedle: zwycięzca, i: łupiezca? poco tworzyć coraz nowe wyjątki? — Przypominają się przy tych na *-sca* mimowoli owe na *-rca* od *-erz,* n. p. szyderca od szyderza (nie szyderzca), morderca od morderza, bluźnierca i t. d.; swoją drogą należałoby koniecznie wedle zwycięski zwycięstwo pisać i zwycięsca, po-

dobnie krzywoprzysięsca, ciemięsca i t. d., ależ to u nas zawsze jeden sasa, drugi do lasa. Od radzić urabiamy dziś: radca (niegdyś radźca, a z tego rajca, raić, rajfur), ależ od takiego samego: wychodzić, nie: wychodca, lecz ni stąd, ni zowąd: wychodźca; od dowodzić: dowódzca, ale od jeździć, jeźdźca.

Zobaczmyż na innym przykładzie, co znaczy niejednostajność pisowni, jej sprzeczność i bezład i jak temu zapobiegać można — przynajmniej na piśmie, nie znoszącem bezrządu. Rzeczowniki na *-stwo* i przymiotniki na *-ski* urabiamy w ten sam sposób, piszemy zaś w przeciwny, bo piszemy *królestwo, synostwo, ojcostwo,* ale *królewski, synowski, ojcowski!* Wymowa, i słusznie, różnicy nie zna, wymawiamy króleski jak królestwo, żydoski jak żydostwo, ojcoski jak ojcostwo, i to od dawna. Malczewski podpisywał się Malczeski, „Kochanowski" rymował już w XVI. wieku z „boski"; odwrotnie wstawiano na piśmie *w* nawet tam, gdzie go nigdy nie było, n. p. zaporowski (od Zaporoża, zamiast zaporoski), ostrowski zamiast ostroski (od Ostroga). Zmyślono nawet jakiś przepis, żeby zakryć listkiem figowym tę widoczną sprzeczność, i orzeczono: spółgłoskę *w* pni dzierżawczych (ojców-, królew-) opuszcza się przed przyrostkiem *-stwo,* królestwo, żydostwo i t. d., lecz zachowuje się spółgłoskę *w* w osnowach nie dzierżawczych, n. p. plugawstwo, rybołówstwo, marnotrawstwo i t. d. Ten przepis między bajki należy, bo oto w leniwy, myśliwy *w* nie jest dzierżawcze, mimoto urabiamy od nich lenistwo, myślistwo (świeżo wydała Akademia Krakowska książkę obszerną o „Myślistwie", r. 1914., nie o „Myśliwstwie"), i plugastwo wyraźnie słyszeć i tylko u takich jak: szewski (szewska pasya), szewstwo, rybołówstwo, marnotrawstwo, prawodawstwo, warszawski (ale lwoski, krakoski)

można na pewne *ws* liczyć. Wymowie nie zakreślamy żadnych granic: *wstw,* cztery spółgłoski, dopraszają się ułacnienia bardziej, niż *wsk,* trzy spółgłoski. Więc wymawiajcie: królestwo, króleski; żydostwo, żydoski, ależ piszcie: leniwstwo, myśliwstwo, królewstwo, żydowstwo, prawodawstwo i t. d., taksamo jak królewski, żydowski. Pisać królewski, ale królestwo, jest bezrządem w pisowni, co się szczyci zasadą pisania wedle pochodzenia słowa. Powie kto, że gwałcimy język, że narzucamy mu jednostajność koszarową, że tłumimy malowniczy w nim nieporządek, wprzęgając go w jakieś karby i przepisy. Otóż wymowy ani tykamy, wymagamy tylko od pisma zachowania jednomierności w pewnych granicach przynajmniej. A ponieważ nie wypada po prostu pisać lwoski, krakoski, więc rozszerzamy poprawną pisownię *-wski* na wszystkie podobne utwory, królewski, wujowski i t. d., a ponieważ od tego nie można oddzielić królewstwa, wujowstwa, sobkowstwa i t. d., więc i te wszystkie przez *wstw* wypisujemy, prawodawstwo, myśliwstwo i t. d.

Dziwnie więc kręte bywają ścieżki naszego prawo- albo raczej krzywopisu. Gdy prawopis słuchowy zawsze istotę oddaje, wzrokowy t. j. zerkający w stronę pochodzenia czy pokrewieństwa słowa, stale na manowce zbacza. Potwornego wręcz figla spłatał nam przy pisowni: módz, biedz, strzydz, strzedz, poledz, zaprządz, dosiądz, a jeszcze na początku XIX. wieku było tych figlów więcej: bydź, iźdź, kłaźdź. Możliwa jest tylko pisownia: być, iść, ale zerknąwszy w stronę: będę, idę, domniemano się, że nie należy tego *d* lekceważyć i wstawiono je tam, gdzie go nigdy a nigdy nie było, w bydź, iźdź, podczas gdy to takie formy tylko, jak szyć (porównaj bywać — wyszywać) lub bić. Ten figiel rychło wyświecono, ale ów pierwszy, strzedz i t. d., sięgał już XIV. wieku i uparcie

się trzymał, aż zupełnie zwyciężył. Zerknąwszy bowiem w stronę: strzegę, mogę, domniemano się mylnie, że to *g* należy przy poprawnej pisowni uwzględnić i wedle wzoru noga — nodze „poprawiono“ jedynie możliwą pisownię: mogę — móc na: mogę — módz, jakby tu *g* cokolwiek miało do czynienia, chociaż już rzeczowniki, jak *moc, pomoc*, urobione taksamo, jak owe bezokoliczniki *móc, pomóc* (toć to odmienne postaci tego samego słowa), przestrzegały przed podobnymi zakusami; wkradł się zaś ów figiel najpierw przy czasowniku *strzedz,* który pisownią przez *dz* chciano odróżnić od czasownika *(rozpo)strzeć* w tych jeszcze czasach, kiedy *ć* i *c* nie rozróżniano wcale na piśmie, a *strzecz* było jednem i drugiem.

Jakież z tych uwag wywody dla pisowni samej, czegoż się trzymać? Pisownię: módz, biedz, strzedz i t. d. jako całkiem dowolną i najmylniejszą należy raz na zawsze wyrzucić. Podobnie należy odrzucić mężczyznę czy Chorążczyznę, bo do: męski (choręskiego niemamy), męstwo, należy jedynie jak do: polski — polszczyzna, tak męszczyzna, chorąszczyzna (z *szcz* lub *scz*). Tak i z mylną pisownią *ludzki;* wzrokowa winna być: lud-ski, słuchowa: lucki (jak świecki, co wedle wzrokowej świetskimby wypadł); ludzki nie jest żadną, lecz prostą dowolnością, którą potępiają męski (męż-ski), boski (boż-ski wedle „wzrokowej“) i t. p. Powtarzamy: jedynie rozumną pisownią jest lucki, ale ponieważ w pisowni nie rozum, lecz nawyczka, choć zła, góruje, więc, kiedyśmy raz ludzkiego pościelili, toć się tak i wyspać wypadnie. Natomiast ujednostajniamy pisownię: zwycięsca (wedle zwycięski, zwycięstwo), łupiesca, krzywoprzysięsca (krzywoprzysięstwo przecież!); dalej radca, wychodca, najezdca, bez względu na pisownię dalszych przypadków jak bodźca od

bodziec, jeźdźca od jeździec. Natomiast nazwiemy poprawną pisownię schadzka, zasadzka i t. p. od schadzać, zasadzać, której nie wolno kłaść na równi z ludzka i t. p., boć mylne ludzka jest lud+ska, poprawne schadzka zaś schadz+ka.

Inne wątpliwości prawopisowe nie mają znaczenia zasadniczego, odnoszą się do szczegółów wątpliwych. Jak *ó* i *u* ucho nie odróżniało już wcześnie, podobnie *rz* i *ż* spadły się w jednem brzmieniu od dawna. Więc piszemy *upiększyć,* gdy jeszcze wiek siedmnasty o *upiękrzyć* pamiętał; piszemy *mrzonka* odwrotnie, gdzie tylko *mżonka* (od mżyć) poprawna; przywykamy do gorżkiego, zamiast poprawnego gorzkiego, a odwykamy od skarżyć (błędne oskarzony nieraz już napotykamy); pasorzyt walczy z mylnym pasożytem. To znowu mylimy *ż* z *sz,* piszemy: niemasz (go w domu), jakby tu druga osoba miała co do mówienia, zamiast niemaż (przecież tu tylko skrócone, jak zawsze, że) — błąd ten należy usunąć. Nawykliśmy do próżnego i różnego, ale nie zawadzi zaznaczyć, że próżny (por. praźnik ruski, nie prażnik, jakby od prażenia!) w wymowie słusznie się ostał jak i różni, co zresztą zupełnie przed różnicą i t. d. ustąpili. Przeciwnie ustąpiła dziś pisownia jedynie poprawna i trafna *źródło* całkiem dowolnej (wobec wszelkich naszej pisowni zasad!): *źródło;* piszą powszechnie i *żrebię* zamiast *źrebię* — jak te słowa pisać należy, można się choćby z ruskiego žereło i t. d. przekonać. Nigdy i nigdzie nie było tu innej spółgłoski, prócz *ź,* nie znają też żadnej innej dawne nasze druki, a z tego, że dziś wyraźnie *źródło, źrebię* wymawiamy, nic a nic wobec najgłówniejszej zasady pisowni nie wynika dla pisma, które źródło, źrebię, źreć i t. d. wymaga koniecznie. Przecież wymawiamy najwyraźniej *ziobra,* a każą je nam pisać *żebra,* chociaż i ta pisownia już pomylona, boć pierwot-

na była *rzebra* (por. ruskie rebro, niemieckie Rippe)! Więc stokroć rychlej źródło, nie źródło pisaćby należało, gdyby nie pobróżdziła ulubiona nasze zasada, t. j. brak wszelkiej zasady. Natomiast przy drążnić i drażnić wahają się wszystkie języki słowiańskie oddawna i obie pisowni są słuszne; zostańmy przy „łatwiejszej“ draźnić. Że źmija od ziemi nazwana, zatarliśmy mylną jej pisownią przez żmiję; wymyśliliśmy jakiegoś niesłychanego żmudnego, gdy istniał zawsze tylko z-mudny z-mudzić, (mudzić t. j. zwlekać, czasownik z mądrym i z myślą pokrewny). Domyśliliśmy się i jakiegoś żubra, nigdy niewidzianego, boć istniał zawsze tylko zubr albo ząbr; stąd nazwy miejscowości Zubrza albo Ząbrów.

Pisownia nosówek (ę, ą) nie nastręcza trudności czy wątpliwości. Należy jednak pamiętać, że słowa obce jej nie podlegają (oprócz prastarych pożyczek, jak kolęda, Jędrzej — Andrzej, wędrować, dzięki, ląd i t. p.); więc maść będzie zawsze ponsową, przenigdy pąsową, bronz nie będzie nigdy brązem a klomb kląbem; więc i trenzle i frenzle tak napiszemy (pisownia z *dz*, trędzla, frędzla, ulubionem zamiast *z* — por. nowsze: dzwon, dźwięk, śledziona i t. d. zamiast dawnego: zwon, źwięk, śleziona i t. d., jest całkiem mylna), chociaż fręzle już w XVI. w. napotykamy; a więc i penzel, nie pęzel ani pędzel. Pozbyliśmy się szczęśliwie całego szeregu błędnych *ę*, nie piszemy już więcej: mięszać, mięszkać i i., ale zatrzymaliśmy błędne *ę* w: szczęka, pielęgnować, stębnować (częściej i stebnować), Trębowla albo Trembowla (ależ ona od trzebienia nazwana!), nadwerężyć i i.; o częstowaniu i uczestniku rozprawiamy niżej. W: śmię, umię, rozumię, wkradło się *ę* całkiem niepoprawnie, za przykładem wszelkich innych postaci na *ę*, zamiast poprawnych: śmiem, umiem, rozumiem, które swoją drogą, wedle: wiem, wiesz, wie

(umiem, umiesz, umie) inne dawniejsze zastąpily (umieją, rozumieją, śmieją zachowały dawne prawidło, ale dziś można już śmią a nawet umią i rozumią słyszeć; postaci tych do pisma nie dopuszczamy).

III.

W dziedzinie zgłosek panuje u nas najdziwniejsza pstrocizna, dowolność i sprzeczność, z którą raz jużby pokończyć wypadało. Dzielono niegdyś jak bądź, n. p. *świat* dzielono na *ś* i *wiat,* jeźli wiersz tego wymagał; mędrkując, najniepotrzebniej zabrnęliśmy tak dalece, że nawet całymi przyimkami, *w* lub *z,* nie wolno nam kończyć wiersza i przenosimy je do następnego, na co jedyna odpowiedź: masz w wierszu jeszcze miejsce na *z* i *w,* pisz je i na samym końcu wiersza tak, jak każdy inny przyimek piszesz. Ponieważ nie lubiliśmy nigdy zgłosek zamkniętych, t. j. kończących się spółgłoską, i dobijaliśmy się nawet różnymi manowcami, wyrzutnią, przestawką i t. d. zgłosek, zakończonych samogłoską czyli otwartych, kończymy i przy dzieleniu wyrazów wiersz zawsze zgłoską otwartą, dzielimy więc: brzy-twa, po-spólstwo, przykry, pa-trzyć, wą-tpić, prze-szłość, je-dna, księ-stwo, bóstwo, da-wszy (w XVIII. wieku zaprzeczano wyraźnie takiemu dzieleniu jako nieprzyzwoitemu; również nie przyzwalano wstydliwie na dzielenie: de-szczy i t. p.), czy-sty, su-knia, piso-wnia, wyobra-źnia, pra-lnia, popę-dliwy, możliwy, da-wny, gło-wny, ja-sny, ró-wny, pro-śba, gro-źba, gro-źny, zgry-źliwy, bra-ctwo, dziedzi-ctwo i t. d. Tak osiągamy zupełną jednolitość i unikamy nieskończonych sprzeczności, w jakich się wszyscy gubią, co dotąd o tem pisali i stanowili. Twierdzili n. p., że należy przy dzieleniu uwzględniać „budowę“ wyrazu, dzielić więc pień

od przyrostka, n. p. Francuz-ka; pytam, po co? Skoro w Francu-zek lub Francu-zica z pniowe od pnia odrywamy i do przyrostka łączymy, więc to samo możemy i dla Francu-zki uczynić.

Wyjątek od tego prawidła, wymagającego bezwzględnie dzielenia na samogłoski, stanowią wyrazy ze spółgłoską podwójną, n. p.: senny, wyssać, wyższy, niższy, i t. p.; dzielimy je: sen-ny, wys-sać i t. d. Wymagamy bowiem mimowoli, żeby zgłoska, co przez dzielenie powstała, nie raziła zbyt oka i tylko dlatego nie podzielimy se-nny, de-nko, spo-jrzeć, przy-jmę, wo-jna, pó-jdę i t. d., boć nie zna język zgłosek podobnych nigdy i nigdzie w żywej mowie, więc i na piśmie ich nie zniesie; dla tej przyczyny dzielimy: cór-ka, wiel-ki (ale wielgi, wilga możemy dzielić wie-lgi, wi-lga, por. lgota, u-lga), tyl-ko, mar-twy, dzierz-gać (ale dzie-rżawa, dzie-rżyć, bo rżeć), koń-ski, cier-pliwy, cheł-pliwy.

Zaznaczamy jednak wyraźnie, że dzielenie zgłosek w piśmie, jako rzecz zewnętrzna i przypadkowa, nic z językiem, t. j. z postaciami i znaczeniem słów, niema spólnego, że byłoby więc zupełnie obojętnem, czy dzielimy: mat-ka, pew-ny, pral-nia, czy: ma-tka, pe-wny, pra-lnia, i-zba, czy iz-ba, ale strzel-ba, hań-ba, mar-ny i t. p. oku lepiej dogadzają. Dzielimy więc wedle ogólnej zasady: o-bumarły taksamo jak o-buwie, o-bejść, o-dejść, na-dejść, chociaż -bumarły jak -bejść czy -dejść dziwacznie wyglądają; kto je chce ominąć, niech o- przeniesie i zgłosek nie dzieli. Jeżeliśmy więc podali prawidło dla dzielenia zgłosek, uczyniliśmy to tylko dlatego, aby, jak wszędzie, tak i tu niepewności i dowolności kres założyć; druk unika i tak dzielenia zgłosek, i słusznie; nie unika go osobnik piszący, którego podane powyżej prawidło (kończ zgłoskę samogłoską, bez względu na budowę

słowa, uwzględniając tylko możliwość wymowy rozdzielonych zgłosek) z każdej wywiedzie wątpliwości.

Nam idzie wyłącznie o ustalenie pisowni dla szkoły i druku. Ponieważ przy dzieleniu zgłoski otwarte znacznie przeważają (rzut oka na byle stronicę przekona o tem) — słowa jednozgłoskowe nie wchodzą wcale w liczbę — więc mniejszość winna większości ustąpić. Dlatego podaliśmy takie prawidło z owem jedynem ustępstwem dla oka (pan-na, nie pa-nna i t. d.), ale możnaby jeszcze jeden wyjątek dopuścić, mianowicie: nie rozrywać przyimków — przedrostków, dzielić więc bez-ład, nie be-zład, mimo zły i t. p. Wyjątek ten można usprawiedliwić; *odrazu* składaż się z dwu słów, więc wypada je wedle nich i dzielić: od-razu, nie: o-drazu. Potrzebnem to nie jest jednak bynajmniej; widzimy to najlepiej przy złożeniach z *roz-:* rozum, rosół (t. j. rozsolony) dzielimy ro-zum, ro-sół; rostrzygać, rostajne drogi, dzielimy w mowie: ro-strzygać, ro-stajne i tylko dlatego, że w piśmie zachowaliśmy przedrostek *roz-*, dzielimy je: roz-strzygnąć, roz-stajne.

Prawidło jakieś należało zaś ustanowić, aby pokończyć z samowolą osobniczą, o której rzut oka na byle druk przekonać może; w jednym łamie kłócą się coraz te dzielenia, i wyławiać można najosobliwsze kwiatki, n. p. dzielenie: posz-czególny i t. p. Jeżeli dzielimy stanowi-sko, toć słuszna dzielić tak i zgło-ski, bo z tego, że to *sk* w obu razach odmiennego początku, nic a nic dla dzielenia nie wypływa. Więc i dziećmi wypada dzielić dzie-ćmi (por. ćmi), nie dzieć-mi, ko-śćmi, nie kość-mi ani koś-ćmi, ale cer-kwi, boć samoistnego brzmienia *rkw-* niema; wedle koń-ski pań-ski, i t. p. dzielimy i rzym-ski, pol-ski i t. d.

O wiele ważniejsze i ciekawsze zagadnienie, niż to całkiem mechaniczne dzielenie zgłosek, stanowi dzie-

lenie całych wyrazów; czy pisać je razem czy nie? Właściwością mowy polskiej jest łączenie przeczenia z czasownikiem, z orzeczeniem, przyimka z rzeczownikiem lub przymiotnikiem i t. d. U nas zrastają się słowa łatwo, mówimy dobránoc; jedenaście (już nie jedennaście), z jeden na dziesięcie, byłem z był jeśm, dawno już podobnem urosły łączeniem pod jednym głównym przyciskiem. Więc nic dziwnego, że piszą razem: naprożno, naprzeciw, naczczo, naraz, nakoniec, nazbyt, nazawsze, nawspak, nawznak, nanowo, napotem, napewno, nanic, naprędce, narazie i t. d., skoroż niema wątpliwości, że wymawiamy te złożenia pod jednym przyciskiem, jednym tchem. Co bardziej dziwne, że prawidła, jakie o podobnej pisowni obiegają, między sobą się coraz kłócą: pozwalają pisać: codzień, zabraniają: conoc lub corok; albo pozwalają pisać: tyżeśto, ale zabraniają: jestto (skoroż w obu razach to samo *to* do takich samych postaci czasownikowych dodano!). Dawna pisownia nie krępowała się przenigdy uwagą na samoistność słowną; ulegając słuchowi, pisała zawsze przyimek z rzeczownikiem i t. d. razem, przeczenie z czasownikiem i jeszcze druki XVI. wieku nieraz to zachowywały; wszyscy nasi wydawcy dawnych rękopisów i druków mylili poprostu czytelnika, rozrywając (bez ostrzeżenia zazwyczaj) ich razem, i słusznie, pisane słowa; zachowując rzeczy bez znaczenia, pomijali tę o wiele ważniejszą. Dawniej więc zawsze pisano: zemną, welwowie, niebył, pocichu, cotchu, coprędzej; dziś tylko ślady pozostały tej dawnej pisowni, wzorującej się na wymawianiu, n. p. pomału, pociemku, wkrótce, nienawidzić (od dawna uświęcony błąd zamiast: nienawidzieć, nienawidział, dziś nienawidził), niedomagać i t. d. Jedni piszą: zblizka i zdaleka, zdawna i zrana, naczczo i nazawsze, odrazu i oddawna; inni dzielą nawet

te wyrazy, pomimo, że wymawiamy je pod jednym przyciskiem, razem. Jeżeliż piszemy: poza dom, toć i zpoza domu koniecznie należałoby pisać, zzewnątrz, zpośród tłumu i t. p.

Chodzi więc o to, czy pisać oddzielnie czy łącznie: z rana czy zrana, z blizka, z daleka, czy zblizka, zdaleka? zgóry, czy: z góry (zgóry ci powiem, idę z góry), zawiele, czy: za wiele? Przeczenie dzielą dziś stale: nie byłem w domu, jedyne *niemaż* (najmylniej *niemasz* pisane, ale cóż tu porabia druga osoba? niemaż go w domu, toć takie same, jak: byłoż tu to i to) z dawnego sposobu pisania ocalało. Jeżeli jednak *że, ż* piszemy razem z słowem, do którego je doczepiamy, n. p. ponieważ, pocóżże, zróbże, dajże, tamże, tenże i t. d., toć taksamo należy i *to* i *by* łączyć z poprzedniem słowem, więc pisać: byłoto dawno, jestto prawda, ileżto minęło, jakto? pocóżto? ktoby widział, nacoby patrzał i t. d. O pisowni nademną czy nade mną, patrz niżej.

Skoroż nasza pisownia nie słuchowa, lecz wzrokowa, więc należy poza owymi nielicznymi wyjątkami, pisać wszelkie słowa, nie razem wedle ucha, lecz oddzielnie, wedle ich właściwego znaczenia; a więc i: on nie ma grosza (lecz niema go w domu); że lub by jako spójki odrębne i t. d.

IV.

W pisowni słów obcego pochodzenia zabrnęliśmy dla naszego niedbalstwa i leniwstwa na manowce i bezdroża, z których niema wyjścia. Przedewszystkiem obaliliśmy ni stąd, ni zowąd najgłówniejszą zasadę naszej pisowni. Piszemy przecież słowa nasze wedle ich pochodzenia, więc to samo należałoby się i obcym; na całym

Biblioteka P.W.S.P.
w Krakowie

świecie piszą też tak słowa obce. Niemiec n. p. pisze: Chaussee, Toilette, Bourgeoisie, Chevauxlegers. Nam sprzykrzyła się widocznie ich pisownią właściwa, etymologiczna, i zabawiliśmy się w fonetyczną, bo piszemy je, jak je wymawiamy, nie tak, jak je wedle ich pierwowzorów pisać należy, więc piszemy n. p. szwoleżer. Że to pisownia barbarzyńska, nic nam nie wadzi; nie pomoże nam odwoływanie się n. p. do przykładu rosyjskiego. Kto nie chce pisać chevauxlegerów z francuska, niech ich lekkokonnymi napisze, ale francuskiej nazwie należy się i francuska pisownia. Czyż my chłopi nieokrzesani, którym wsuwają na kartce wymowę polską, boćby się w chevauxlegerach nie połapali nigdy? Czyż to nie barbarzyństwo, co wręcz na obrazę zakrawa? Więc nie pisz szwoleżerów, lecz albo chevauxlegerów, albo lekkokonnych, bo to jest słowo obce, którego żadną pisownią na Polaka nie przekabacisz.

Co innego *szosa,* choć i to nie mądre, ależ to raczej pożyczka, niż słowo obce, a w pożyczkach, odmieniając im i wygląd nieraz i znaczenie, rozrządzamy się jak w własnym majątku. Więc może nam ujść, że w pożyczkach, n. p. łacińskich, zastępujemy ich *i* naszem *y;* mówimy i piszemy krytyka — dawniej, gdyśmy miękkości nie poświęcali, odmieniliśmy na pacierz łacińskie pater, na Dziwisza Dionis, na Marzę Maria, na kościół castellum i t. d., ależ to było tak jeszcze w XI—XIII. wieku. Jak z krytyką, postępujemy z rytmem, Sylwestrem, Sylwanem i z niezliczonemi innemi słowami i nazwami; wedle języka własnego, nie znoszącego żadnych *ti, di, ri, si* i t. p. poprawiamy łacinę. Ale na tem nie koniec. Bo oto pisze łacinnik (a za nim Niemiec i t. d.) *s,* ale wymawia je między samogłoskami przez *z,* otóż my go „poprawiamy“ i wstawiamy z wymowy do pisowni. Więc

piszemy muzyka, nie musika, z poprawką podwójną; decyzya i wszystkie inne na -yzya, -ozya (animozya, wirtuoz), niezliczone czasowniki, jak organizować, ekonomizować (i z *e* początkowem miasto *oe*) i t. d.; niezliczone *-izmy* i *-azmy* od „rumatyzmów“ (z prawdziwie polskim *u*, nie z pogańskiem *eu*) i spazmów i Erazmów począwszy aż do humanizmu i marazmu, i nic nam nie wadzi, że to samo *s* piszemy raz *s* w humaniście, ale *z* w humanizmie („rdzenni Polacy“ piszą jeszcze: w humaniźmie, jakby w takiej maskaradzie humanism istotnie polszczał!); i stąd powstały te wszystkie nasze pisownie, kłócące się z europejskiemi, jak Azya (prawdziwie azyatycka, zamiast jedynie europejskiej Asia), Izrael, Izabela, Izak, Euzebiusz, Dyonizy, dywizya, improwizacya, mobilizacya (zamiast uruchomienia!) i t. d. Dla zaokrąglenia tych „poprawek“ pisowni europejskiej wymyśliliśmy i pisanie wszelkich podwójnych spółgłosek jedną, więc: masa, kasa, klasa, klasyk, arasy, sufit (z włoskiego sofitto), Madona, fontana, akwarela, hala, rekolekcye, kolega, bula, Helada, iluminacya, ilustracya, balada, nowela, apelacya, opozycya, Apeniny, Filip, korekta, komisya z komisarzem, gramatyka, afekt i efekt, idyla, Achil, pesymista i t. d. Nie śniło się dawnym o takich wybrykach przeciw dobremu smakowi, pisali stale konstitucye, grammatika i t. d., jeszcze w XVII, wieku. Że się przy tem ciągłe błędy popełnia, nic dziwnego, więc: los, losu, zamiast lozu z niemieckiego Loos (por. lozunek, zluzować, z błędnem *u)* i t. d., a nawet wygluzować z łacińskiego glossare (z takimż *u)* i t. d. Nawet w rozprawach filozoficznych piszą łacińską suasorię przez swazorję, co już na niedorzeczność jawną zakrawa.

I wprawiwszy się w takie pisownie, zadziwiamy potem świat „naszymi“ wynalazkami w rodzaju: portfelów,

kwefów (coiffe), toalet (a może tualet; jednoż takie ładne, jak drugie), biur (a piszą je i ze rdzennem polskiem *ó*, bióro! niby pióro?), burżoazyi (ale nasz burżuj z burżuazyi urósł), kinkietów, woksalów, nyż (niche, nisza), kurtuazyi, jakby dworność albo wydworność dosłownie jej nie tłumaczyły i t. d.

Oceniwszy taką pisownię wedle jej zasług istotnych, nie myślimy nawracać czy nawoływać do poprawy, do przeistoczenia jej wedle ogólnej zasady — niech tak już zostanie na pamiątkę naszego zbytniego i zbędnego poufalenia się z obczyzną. Ale czego możemy i dziś jeszcze zawsze wymagać, to jednostajności pewnej i stałości; a powtóre, nie przyzwalajmy na coraz większe szerzenie się błędu, na coraz nowe jego zwycięstwa. Bo oto n. p. spierają się, czy nie pisać przez polskie *gie, kie* obcego pierwotnego *ge-, ke-?* Ani na chwilę nie możnaż wątpić, co obrać: geniusz czy gieniusz, geografię czy gieografię, legendę (legiendy nikt nie pisze), Genewę, Genuę, Ganges, Gertrudę czy Giertrudę (ale spolszczoną Gierkę nieraz natrafić można i tosamo dotyczy innych słów zupełnie spolszczonych: magiel, giełda i t. d.); więc pisz tylko: kelner, dżokej, kefir (ale w zupełnie spolszczonych znowu *kie,* kiel, kielnia, kielich — liker do nich nie należy); o imionach obcych, Keppler, Keller, Gellert i t. d. niemasz co i mówić. Możnaż jak najdokładniej Franciszek czy geńjusz wymawiać, tylko pisać tak nie wolno; wymawiają przecież nieraz gięba, gięś, gięsty (wcale często), ależ w piśmie precz z niemi! Więc i gesty i ewangelia, geneza i wegetacya i t. d. zostaną przy pierwotnem *ge,* mimo polskiej pisowni *ge* przez *gie,* n. p. Bogiem, ubogie. Obok niemożliwej na piśmie jeografii, jeometryi, jeodezyi i t. d., coby chyba dla Eskimosów czy Botokudów się godziły, nie dla narodu oświeconego, mamy w piśmie oddawna

rejestr (a nawet jednozgłoskowe rejstr już w wieku piętnastym) obok regestru, jenerał (sejmik jenerał) obok generała, rejenta (adwokata) obok regenta, regencyi, ajenta obok agenta. Wyświecamy je z pisma, nie z wymowy, taksamo jak do pisma niedopuszczamy harmaty, harbaty, hanyżu, Jawama, Jawy (Ewy), jaratyka (heretyka), jancykrysta (antychrysta) i tyle innych postaci, istniejących w języku od wieków, spolszczonych zupełnie, bo wzgląd na pierwowzór usuwa wszelkie podobne „poufałości“ z pisma, chyba, że ich umyślnie dla określenia środowiska użyć zechcemy, n. p. kozaka „łejstrowym“ nazwiemy (bo tak się sami zwali).

Najniepotrzebniej narzucamy pisownię z *gie-, kie-,* nazwom Litewskim; Gedymin, Olgerd, Keistut, Jageło, Swidrygeło, Skirgeło, Gedrojć, Geraniony i t. d. są jedynie poprawne, ale niestety, u nas właśnie nazwy litewskie najpotworniejszym uległy skazom, zatłoczyliśmy ich dwugłoski (Żmojć, dziś Żmudź zamiast Żmódź; Jagaił, Skirgaił, Switrygaił), pozmienialiśmy ich *ou, au* w jakieś niemożliwe *ol*, zrobiliśmy Witolda jakiegoś z Witowta (chociaż w Towciwile tosamo towt-, co lud po litewsku znaczy, zachowaliśmy, taksamo w Gintowcie i i.); rosyjscy dziejopisarze piszą te nazwy o wiele poprawniej; przynajmniej *ge* ich właściwe zachować winniśmy.

Wkradł się u nas nawet haniebny wręcz zwyczaj, nietylko słowa, lecz niektóre **imiona** obce pisać wedle „słuchu“, nie wedle „oka“, chociaż pisownia nasza temu stanowczo się sprzeciwia; piszą n. p. Wolter, Szekspir i i., dlaczego nie Jum (Hume) i i.? Że Rosyanin tak postępuje, toć wina w tem jego abecadła, nie mającego wielu znaków n. p. dla *h, ü, ö* i t. d.; on też w nawiasach dodaje pisownię pierwotną, bo z jego własnej nieraz nie dowiesz się, o kim mowa. Czytałem n. p. w dziennikach

rosyjskich „Juz“, ale dopiero ze związku, po wymienieniu Wilsona, dowiedziałem się, że dziennik Hughes miał na myśli. Ten straszny „Juz“ usuwa wszelkie przekręcania nazw obcych na ład polski i na żadnego Gete, Szekspira i t. d. zgody niema. W tym związku powstaje inne pytanie, a cóż ze czcionką *x*? czy zatrzymać ją czy odrzucić jako całkiem zbędną i zastąpić ją przez *ks*? Piszą dziś powszechnie imiona i słowa greckie i i. przez *ks*, Ksenofon, Kserkses, Aleksander, Bruksela, Ksawery, egzamin, egzemplarz, heksametr, tekst i t. d., coż o tem sądzić? Otóż niewątpliwie jest *x* dla *ks* znakiem zupełnie zbędnym, skoroż nie uznajemy żadnych innych węzłów podobnych (n. p. dla *ps*); ależ obce języki, którym on również zbędny, mimoto zatrzymały go ze względów na dziedziczność pisowniową, nie zrywającą z pierwowzorem grecko-łacińskim. Nic łatwiej, niż pisać Aleksander i t. p. ale zakrawa bardzo na jakąś zaściankowość (na parafiańszczyznę czy partykularyzm, mówiąc po polsku), takie wyłamywanie się z pod prawidła europejskiego. Znaku *x* nie wyrzucimy i tak, bo jakżeż napiszemy n. p. Auxerres? (Okser?), więc i przy Oxfordzie możnaby wytrwać jako przy ogólnoświatowej pisowni, z którą zrywać w imię zasady, najzupełniej sprzecznej z zasadą naszej pisowni, nieco na widzimisię zakrawa. Bo jakżeż można podwójną miarą mierzyć? Nasze piszemy wedle pochodzenia, obce natomiast wedle wymowy! Nad takiem przeczeniem samemu sobie nie możnaż przechodzić do porządku dziennego. Natomiast wykluczamy z tej pisowni każde własne słowo, a więc nigdy nam x ani księdza ani książęcia oznaczać nie będzie. Zatrzymując w nazwach i słowach obcych ich obce *x*, usuwamy i inną sprzeczność; dlaczegoż rozróżniamy egzamin albo egzemplarz od heksametru, dlaczego piszemy to samo obce *x* raz *gz*, drugi raz

ks (kto się tej sprzeczności sroma, pisze też hegzametr, ale naśladowców nie znachodzi); egzystencya, egzekucya, egzaltacya, egzekwie (ale są i eksekwie), egzorta (eksorta) pokazywałyby, że słowa bardziej utarte (heksametr niem nie jest) *gz* wybrały, czemu się jednak znowu aksamit (imię własne Axamitowski), Aleksander, Aleksy i t. d. jawnie sprzeciwiają. Używanie pierwotnego znaku *x* usunęłoby te sprzeczności zupełnie, a przytem niejednegoby od używania tych słów (exystencya, exaltacya — dawniej tylko tak pisano) wstrzymało, coby tylko pochwalić można, bo szczególnie bez exystencyi wcale dobrze egzystować możemy. Zarzuci kto, że egzystować już dlatego z polska pisać się godzi, ponieważ z polska *y* zamiast pierwotnego *i* wymawiamy i piszemy, ależ to *y* wymawiamy istotnie, papieża Sixtusa Syxtusem wyraźnie wymawiamy, podobnie jak Chrystus, Benedykt i t. d., natomiast pisownia *x* z wymową się nie kłóci i tylko dziejowej świadczy łączności z dalszą Europą; że i Rosyanie *x* wyrzucili, chociaż znak ten posiadają w abecadle, toć nam nie przepis.

Wracamy na chwilkę do Shakespeara i Byrona. Bo, oto wymyślili nasi krzywopisarze następną pułapkę. Piszą Shakespeare wprawdzie i Byron, ale „wyrazy, od nich utworzone, piszemy z polska: bajronizm, szyllerowski, szekspirowski i i.“. Jak zawsze u nas: pierwsza zasada naszej pisowni: brak wszelkiej zasady. Piszę albo: Szekspir, Bajrn, Szyler — szekspirowski, bajrnowski, szylerowski, albo piszę: Shakespeare, Byron, Schiller — Shakespearowski, Byronizm, Byronista (Kaczkowski „Bajronistę“ wypisywał), byronowski, schillerowski i nie zgadzam się ani pojmuję takiej dowolności, pisać inaczej rzeczownik a inaczej urobiony od niego przymiotnik! Tym wynalazkiem, jedynym chyba w Europie, szczycić się nie-

mamy przyczyny. Precz z tym wymysłem! I taksamo przymiotnik od Rousseau czy Hume będzie rousseauwy czy rousseauwski; humowy, nie jumowy; od W. Hugo, hugowy, nie hugonowy, boć Hugon po francusku Hue, Huon, Hugues, nie Hugo.

Z powodu słów obcych dodajemy rozmaite uzupełnienia. Najpierw co do pisowni *z, s;* kłóci się u nas wymowa-pisownia z pochodzeniem, t. j. z pierwowzorem. Wymawiają senzacya, piszą wedle łaciny sensacya (dawna pisownia znała tylko sensata i sęsata) piszą uniwersytet i uniwersalny poprawnie, również jak balsam, konsolacya, konsola, konsul, konsylium, Persowie, insurekcya (insurgent), intensywny i t. d., ależ ni stąd ni zowąd piszą nie: censor, censura, recensent, recensya, chociaż tu takie same *ns* jak w: konsul, lecz: cenzor, cenzura, recenzent i t. d. Jeżeliż piszemy subsystencya, subsydia i t. d., dlaczegoż taksamo nie pisać egsystencyi? ale raz *gz,* to znowu *bs,* to nie pisownia, lecz rozgardyasz. Więc czyż nie lepiej byłoby, wedle ogólnej naszej pisowni zasady, zostawić łacińskie *s,* nawet w asylu, nie azylu, a przedewszystkiem w imionach osobowych, jak Aspasia, Jason, Kresus, Desydery, Cesar i t. d.?

Podwójne spółgłoski (obce naszemu językowi, prócz kilku okazów, jak ssać, mełł, pełł; są częstsze przy *nn:* inny zamiast dawnego iny, panna i t. d. i przy złożeniach jak oddać i t. p.) zachowaliśmy w wyrazach umiejętnych, n. p. annały, annaty, w imionach, jak Anna (ale Anusia, Hanusia); Otto, dawna polszczyzna znała tylko Otę (Ota); Mekka, ale Bruksela, Asyrya, Ilirya, Hunowie (Hunnowie częściej), Szkot (ale Scott). Jak u nas zawsze i wszędzie, tak i tu niema śladu zasady, jednolitości; piszą apelacya, opozycya, atak, masaż i t. d., ale suggestya, terroryzm, terrakota, terrytorium i t. d., Tesalia

ale Hellespont i t. d. Kładziemy nacisk na tę właściwość pisowni naszej, aby tem bardziej przestrzegać przed nieuzasadnionem niczem *wstawianiem* podwójnych głosek w słowach naszych i obcych. Wymawiają przecież *szklanny* i inne na *-anny;* piszą stale *męczenników* i *uczennice,* chociaż tamci od męczonych, nie od męczonnych jakichś pochodzą, a uczennice tylko rodzaj uczenika (od uczony) odmieniły (przyrostek brzmi przecież *-ik,* jak w grzesznik od grzeszny, nie *-nik*); oczekiwania nasze są *płonne,* choć winne być *płone* (*płonnego* zmyśliliśmy chyba wedle *plennego,* ależ ten od *plonu* pochodzi, a z płonym porównaj połoniny!). W imionach własnych piszemy nawet Kossów, Ossolineum i i., co jest jawna niedorzecznośc. Gorzej obeszliśmi się z imionami litewskiemi, narzucając im niemożliwe *łł:* Radziwiłł, Jundziłł, Skirgiełło i t. d., a już najbardziej skrzywdziliśmy ród, któremu Polska właśnie czasy największej świetności zawdzięcza, Jagiełłów, bo nietylko narzuciliśmy mu ułudne *gie* i *łł,* ale co nierównie gorsza, tym prawym Litwino-Polakom sprawiliśmy szaty łacińskie, jakby polskich dla nich nie było; mówimy o przenigdy niesłychanych jakichś Jagiellonach (nie Jagiełłonach!), Jagielonkach albo Jagiellonkach, czasach jagielońskich! Należy mówić dobrze po polsku, nie kiepsko z polska po łacinie (przecież nie przybyli Litwini z Latium, choć sami stale to twierdzili!), jak: Piastowie, piastowski, Piastówny, Piastowicy (nie Piastowicze, co jest po rusku, nie po polsku), taksamo: Jagiełowie, Jagiełówny, jagiełowskie czasy, Jagiełowicy, ależ głównie odrzućmy niemożliwe w Polsce *-on* — nie każmy szlachetnego rodu szatą błazeńską, bo szachowaną.

Tak wstawiamy podwójne *nn* do włoskiej sutanny i do swojskiej dziewanny (zamiast dziwany pierwotnej), a zachowanie tego *nn* w wannie (niby jak w pannie) wy-

wołało odmianę: tych wanien, wanienka, o czem się jej w jej ojczyźnie ani śniło; mów raczej: wana, wan, wanka.

Ale *konsul* a *cenzor* przypominają jeszcze inne znakomite dziwactwo. Czytamy w prawidłach akademickich, że imiona własne słowiańskie „piszemy według prawideł (!) pisowni polskiej: Sołowiew, Milutynowicz, Jelaczyc, Brankowicz". Ależ Jelaczyc i tamci obaj, toć synowie jednego szczepu, chorwatoserbskiego, więc jakim cudem można jedną i tęsamą chorwatoserbską postać *-ić* pisać raz *-yc,* drugi raz *-icz* i dlaczegoż akademia członka swego tej samej narodowości Jagića nie pisze według swego prawidła (jak: Jagicz? czy Jagic?), lecz jak słusznie Jagić; taksamo pisz, nie zważając na to prawidło: Brankowić, Milutinowić, Jelaczić (jeśli niema czcionki dla Jelačić albo nie chcesz nią druku polskiego pstrzyć). Przecież *Miklosicha* piszemy jak się pisał, nie jak się wymawiał! Taksamo pisz: Murawiew, Potemkin, Sołowiew i t. d., chociaż wymawiasz ich: Murawiow, Patiomkin, Sołowiow i t. d.

I jeszcze uwaga. Jeżeli już nie możemy się obchodzić bez słów obcych, toć piszmy je przynajmniej po ludzku, t. j. tak jak się należy, a nie wedle naszego widzimisię. A więc *reparować,* bo tak na całym świecie, nie: reperować, reperacya (czy może wedle: temperować zmyślone?); *intendant* i intendantura, nie: intendent (tak w Warszawie piszą, chyba wedle włoskiego intendente); *weranda,* nie: werenda (tak znowu Warszawa pisze); natomiast ogólnie włożono się w fałszywą komendę zamiast komanda, komandować, komandant (jakby: dowódcy, dowództwa, dowodzić nie istniały), przecież komenda, komendatariusz, rekomendacya całkiem co innego znaczą; więc pisz: komando, nie komenda; *kompliment,* nie: komplement (skąd to środkowe *e*? czy wedle: suplement, ele-

ment i t. d.? albo może to nasza domowa francuszczyzna w rodzaju: kury palić i t. d.?); czokolada, nie czekolada; korytarz, nie kurytarz (starofrancuszczyzna nie wchodzi tu w grę, na całym świecie jest corridor i t. p.); marmelada, nie marmolada (czy nie wedle czokolady pomylona?); kurtyna, nie kortyna; jest tylko *kwarc* z niemieckiego (a to miało z twardcu urość, jak powiadają), niema: kwarzec. Te i podobne wątpliwości pisowniowe usuwamy łatwo, uwzględniając pierwowzory. Porównywanie więc obczyzny bywa dla poprawienia naszej pisowni czasami niezbędne; lecz warto o tem i obszerniej nieco pomówić.

V.

Nawet jawny wróg panslawizmu politycznego, nie stroni od panslawizmu językowego, t. j. od uwzględniania czy porównywania języków słowiańskich z polskim dla usuwania wszelakich wątpliwości pisowniowych. Powoływaliśmy wyżej nieraz te języki; że n. p. okonia mylnie piszemy zamiast dawnego okunia, i one nas o tem pouczą; taksamo co do pisowni: obuw (nie obówie), ogół (nie ogół). Albo słomka, co mimowoli do słomy (niby wydłużony dziób słomkę przypomina!) odnosimy, chociaż i z dawnej pisowni i z ogólnej zgody słowiańskiej wiemy, że to słąka. Albo czytam ze zdziwieniem w słowniku prawopisowym: „miżdżyć się — pisownia prawidłowa, ale nie używana, (zamiast niej:) mizdrzyć się“ — słownikarz porównał widocznie miażdżyć od miazgi i połączył „miżdżenie“ z umizgami; gdyby się rozejrzał w językach słowiańskich, nigdyby tego błędu nie popełnił; obok umizgu była mizdra, mizdrzyć, jak obok miazgi, miazdra. Piszemy dziś *kapłon,* ale jeszcze u Krasi-

ckiego *kapłuna* znajdziesz, bo kapuna z Kapaun, wszystkie języki słowiańskie poświadczają (nawet Ruś od nas tylko kapłuna wzięła"; my to od wieków wstawili *ł* pod wpływem kapłana), a włoski cappone tu w grę nie wchodzi. Taksamo uczą nas języki słowiańskie, że pisownia: gomułka (n. p. u Krasickiego) mylna, że tylko gomółka słuszna.

Właśnie odwoływanie się do języków słowiańskich i obcych usuwa wątpliwości co do pisowni *ó* i *u*. Zwiedzionym przez niemieckie równobrzmiące Saite (struna) i Seite (strona), zdaje się, że i naszą strunę poprawnie stróną pisaćby należało; otóż struna innych języków słowiańskich dowodzi, że między struną a stroną (storona ruska) żadnego niemaż związku. I z biórkiem można się nieraz spotkać (tylko w biurokracyi *ó* dotąd nie widydano), ależ Francuz, bureau, *ó* usuwa.

Od innych Słowian, od Rusi najczęściej, przejęliśmy *h* i nie umiemy z nim nic począć dla braku wzorów; jedyny polski błahy (w stopniu wyższym błaższy, błahszy), w liczbie mnogiej nie zmieniany (błahy ludzie), ich nie nastręczał. Więc ruskiego Sapiehy nie umiemy odmieniać; każą pisać Sapieże, w Sapieże, i przy tych błędach, wywołanych przez sapieżyński, już zostaniemy, chociaż po polsku brzmiałoby poprawnie: Sapiedze, po rusku Sapizie (i tak się dawniej pisało istotnie). Co do *h* zachodzi inna, znaczniejsza trudność.

Liczni bardzo Polacy nie rozróżniają wcale nie albo słabo *h* i *ch* i prawopis o ich używaniu rozstrzyga. Wobec tego wyłonił się nawet raz pomysł, abyśmy rozróżnianie to porzucili i wszystkie te słowa przez samo *h* pisali, a więc i: harakter, hór, mnih i t. d., pomysł (wobec zasady naszego prawopisu, rozróżniającego ściśle między *ó* i *u, rz* i *ż* i t. d.) tak dziki, że nań więcej słów nie tracimy.

Nie przeczymy, że już dawniej pisownia niepoprawna (bo nie oparta o jakikolwiek przymus szkolny) nieraz się chwiała, że pisali n. p.: chardy, ale Herubim, ależ z tego nie wynika nic innego, niż żądanie należytego przestrzegania granic jednej i drugiej pisowni. Nie pozwolimy więc na pisownię hory zamiast chory (na niej to polegał ów dla Lwowianina mniej zrozumiały dowcip warszawski, z Momusa Żółtowskiego, o Kuriaciuszach, pobijających dziś, inaczej niż w Rzymie, Horaciuszów), ale zostaniemy już przy harmiderze (zamiast dawnego charmideru, bo tak się zwał dół zbójecki przy drodze posłów polskich do Stambułu). Otóż właśnie i z języków słowiańskich dochodzimy (gdyby nam świadectwo własnego podejrzane było), że należy pisać ohyda, ohydny; hoży, ale chyży; hodowla, nie chodowla; błahy; bohater; czyhać; hasło; hołota; huczeć; wahadło; hołd; hojny; Podhale; hańba; hardy; harować (od haru! haru!) i t. d. Są od tego spisy wyrazów po naszych słownikach prawopisowych i gramatykach, ale zawieruszyło się tam niejedno całkiem mylne. Więc piszemy mylnie haracz zamiast characzu (tureckie słowo, wszędzie tylko z *ch*, nie z *h*); Hazarowie(!!) zamiast Chozarów; druh zamiast druch, por. druchna — przecież to słowo polskie i nie śniło się Polakowi zapożyczać go od Rusi; hałastra zamiast dawnej chałastry (a jest i halastra), czeska chatra to samo; puhar zamiast puchar (z niemieckiego Becher); puhacz zamiast puchacz; hurgot zamiast churkot. W dawnej polszczyźnie było tych wahań więcej, pisywano chaja i haja (zawierucha); chabina i habina (pręt); krew lali chustem (zamiast hustem — gęstem); my mówidy hujdać, huśtać, zamiast chujdać, chuśtać. Najzabawniejsza pomyłka, której już nie poprawimy, zaszła z huzarem, bo tak go wszędzie piszą. Należy mu się jednak raz *s*, jak

dawni polscy husarze dowodnie świadczą; dalej *ch*, gdyż chusar = zbój od chusy = rozboju t. j. naszej chąśby (= rozboju) urobiono; to słowo słowiańskie, nie madiarskie (niby od *huz* dwadzieścia, jakoby do huzarów dwudziestego chłopa ze wsi wybierano, ależ to bajka wierutna), dziś w obcej postaci po świecie się tuła.

Językom słowiańskim brzmienie *h* było niegdyś obce, wymieniały też w pożyczkach najdawniejszych niemieckie *h* na *ch*, z czasem jednak do *h* nawykły; my je często w nagłosie przysuwamy: herb, harmata, hałun, Hanusia, Halszka (Elżusia), jak w innych jotę, n. p. Jędrzej, Jewka i t. d. Wedle głosowni słowiańskiej ani *ch* ani *h* z następnem *i* nie mogłyby się przenigdy zgodzić; wynika więc z tego, że po *ch*, *h* należy pisać *y*, nie *i*: chyba, chybić, chytry, chyłkiem, pochyły i t. d.; głuchy, muchy, zuchy i t. d. Ależ taksamo *k, g,* nigdy się z następnem *i* zgodzić nie mogą, nasz *kij* powstał przecież z pierwotnego *kyj, wielki* z *wielky* i Czesi stosujący o wiele dokładniej i poprawniej niż my zasady prawopisu historycznego, nigdy inaczej nie piszą, chociaż wymawiają taksamo jak my, niż: kyj, velky (stąd nazwy nasze na *-ski, -cki* u nich zawsze, a za nimi i u Niemców, przez *-sky*, *-cky* się piszą). Przeciw tej zasadzie ogólnej dla *k* i *g*, nieznoszącej po nich żadnego *y,* nawet w słowach obcych, por. gimnazium, ginekologia, po obu drugich gardłowych, po *ch* i *h*, nie znosimy *i*, zostajemy przy dawnem *y*, jak to właśnie wskazaliśmy, tak, że nasza pisownia pierwotnego brzmienia *y* po gardłowych zupełnie się rozszczepiła; *ki, gi,* ale *chy, hy,* wielki, nagi, ale cichy, błahy. Gdy jednak przy *ki, gi* żadnych nie znamy wyjątków, są takie przy *chy, hy:* piszemy ogólnie chichotać zamiast chychotać wedle chi! chi! (nie mówiąc o nazwach obcych, Chiny, chimera i t. p.); dalej

czasowniki częstotliwe, wymachiwać, wydmuchiwać i i., tak, jak wykrzykiwać, wyskakiwać i i., przeciw innym na *-ywać,* pokazywać, odpisywać; tu więc pisownia ustąpiła wymowie, podobnie i *hi* — zamiast *hy* — w słowach obcych piszemy, stosując się do obcej tego *y* wymowy; więc wszelkie złożenia z hidro- i higro- (bidropatia i t. d.), hipnoza, histeria, hiena, złożenia z hipo- (hipoteka, hipoteza, hipochondria, hiperbola), nie mówiąc o tych, gdzie *hi-* już w pierwowzorze istnieje, hipodrom, historya, hierarchia, hieroglif i t. d.

Takito w naszej pisowni rozgardyasz, boć przecież hymnu nie dozwalają pisać przez *i,* chociaż jego *y* takie same jak *i* w hipoteka: jeden sasa, drugi do lasa; Rosyanin wyświecił znak *y* z własnej pisowni i pisze wszelkie te słowa przez *gi-*; Czech stosuje pisownię etymologiczną (hymn i t. d., gymnasium i t. d.), tylko u nas rozgardyasz całkowity.

I tego rozgardyaszu u nas pełno i należy się odwoływać do języków obcych, aby nasz poprawiać. Więc ubrdał sobie niejeden pisownię: drzymać, drzymka; z języków słowiańskich wiemy, że tylko nam: drzemać wolno. Inny zdobył się na: kaszleć, ależ one dowodzą, że tylko kaszlać się godzi. Mówimy o chuciach nieokiełzanych, ale chuci (nie chucie!) bywają kiełzkie, t. j. śliskie (nie ślizgie, por. odwieczne wielgi, obok jedynie poprawnego wielki), bo kiełzać = śliz(g)ać się, i dlatego należy je chełzać albo chełztać. Mamy: knować, knuję (jak psować, psuję, od psa) — otóż nie, zachciało nam się knucia (ależ knucie było niegdyś liczbą mnogą od knuta!) zamiast knowania. Piszemy: chrzest, chrztu, chrzcić (wymawiamy: krzest i t. d.) poprawnie, boć to od greckiego chrio, namaszczenia, (Chrystus, u ludu Kryst, por. Krystyna), ależ takie same *chrzyżmo* piszemy nagle: krzyż-

mo! Gdybyśmy mieli Towarzystwa Przyjaciół Języka Polskiego, jak je mieli Francuzi i Włosi u siebie, nie szpecilibyśmy tak języka, nie mówilibyśmy *rżeć* zamiast *rżać;* nie pisalibyśmy *kawioru* zamiast *kawiaru; kalafonii* zamiast kolofonii; *karafiołów* zamiast kalafiorów; *tretuaru* zamiast trotuaru; *tytoniu* zamiast tytuniu, a raczej tiutiunu i t. d.

VI.

Czem starszy język piśmienny, tem bardziej odbiega od wymowy dzisiejszej, skoro wszczął się o liczne wieki wcześniej; odpowiada więc dawniejszemu stanowi rzeczy, który przez pismo utwierdził i jego się dzierży niezmiennie, gdy przeciwnie wymowa posunęła i rozwinęła się dalej. Stąd ten rozdźwięk między pisownią a wymową francuską albo angielską. U nas, wobec nadzwyczajnej zachowawczości językowej, znamiennej dla wszystkich Słowian, nietylko dla nas, niema większego rozdźwięku między pismem a mową, mimoto odzwierciedla i nasza pisownia dawniejszy stan językowy, a co za tem idzie, i „poprawniejszy", t. j. pierwotniejszy.

Mowa dzisiejsza pozbywa nosówki, szczególniej w wygłosie słowa, ich dźwięku nosowego, podstawia im czyste, wymawiamy wszyscy *książe, pietnaście, dziewietnaście, bydle, imie, ciele* i t. d., piszemy zawsze poprawne ę. I nasuwa się mimowoli pytanie, czy nie należy pisowni dzisiejszej błędnej poprawiać wedle dawniejszej prawidłowej, najniesłuszniej zapomnianej? czy nie należy odśmiecać języka piśmiennego od naleciałości dowolnych a niemądrych? Inne narody poprawiają pisownię odwieczną, n. p. Niemiec potop pisze dziś nie Sündflut, lecz Sintflut (do słowa tego wkradł się *grzech* = Sünde

taksamo niesłusznie, jak do naszego *rozgrzeszyć,* co z grzechem nic a nic niema do czynienia, boć to jest: rozrzeszyć = rozwiązać i rozdrzeszyć; w języku sądowym dawnym było i wrzeszyć = wwiązać i i.); -selig w trübselig i pod. pisze trübsälig. Piszemy n. p. *uczestnik, uczestniczyć,* popełniając najspokojniej grzech przeciw językowi, wymagającemu koniecznie *uczęstnika* i *uczęstniczenia,* jak dawniej dobrze pisano; dlaczegoż więc nie wrócić do pisowni jedynie słusznej i nie wyświecić dziwoląga z pisma? od części przecież uczęstnik nazwany, nie od cześci. Naodwrót prawimy o częstowaniu i (z przyrostkiem niemieckim, u nas już zadomowiałym) o sutym poczęstunku, ależ uczta nas uczy, że tylko o czestowaniu mowa być może — może nawet Częstochowa wilczem prawem ę zdobyła (nazwana pierwotnie od Czestocha, nie od Częstocha). Jej nosówki nie myślimy naruszać, skoro od XV. wieku istnieje, ale wymagamy koniecznie, aby uczęstniczyć wróciło do dawnego stanu posiadania, zaś częstowanie czestowaniu znowu ustąpiło.

Inny dziwoląg naszej pisowni: tętent (albo i tentent), co końcówką atrament i testament chyba przypomina, chociaż to prawy Słowianin, wedle wzoru: bęben (por. bębnić od bęben, taksamo tętnić od tęten; por. tętno, tętnica), i od tego narostu — wilka *-t* koniecznie go okrzesać wypada; dawny język innej prócz tęten pisowni wcale nie znał.

Powyrzucaliśmy, przynajmniej w piśmie, liczne nosówki — przybłędy w: mieszkać, mieszać i t. d., ależ moglibyśmy powyrzucać przybłędę z wstrzemięźliwego, którego sromieźliwy, bojaźliwy i i. o nieprawość oskarżają, wstrzemieźliwy jest poprawny jeszcze u Krasickiego tak; dalej z pielęgnować, co z pielegnować (a to z pflegen,

por. szaragi z Schragen) urosło. Nie tykamy natomiast innych przybłędów, n. p. ę w pieczęć (Niemiec Petschaft od naszej pieczaci, ruskiej peczat', przejął) dla dawności i ogólności; albo ę w nadwyrężyć (mylnie zamiast nadwereżyć; wstawiliśmy tu z prostego niedorozumienia przyimek *wy*, jak i w zwyciężyć, zamiast zwiciężyć; wiciądz był bohaterem przecież) dlatego tylko, że niema słowa o co oprzeć w rodzimym języku (przybłęda to z Rusi, poweredyty i t. p.); albo w między (obok miedzy poprawnej), co się już od XVI. wieku wkradło; albo w warząchwi zamiast warzechy lub warzochy i t. d., ponieważ poprawiamy z zasady tylko to, co poprawić można i należy; nie narzucamy natomiast pismu dzisiejszemu form i słów przestarzałych.

Nie zamierzamy przenigdy sztucznie „archaizować“ języka, więc zostawiamy mu, co przywrzało; nie myślimy więc poprawiać krewkiego na krechkiego, skoro odmieniwszy spółgłoskę i znaczenie zupełnię odmienił, od krechkiego t. j. kruchego przeszedł na — krwistego. Ależ wolno zapytać, czy nie należałoby wznowić łączności między wiotchym (pisanym dziś stale a mylnie wiotkim) a wiotszeniem, wietszeniem, zwietszałym, pisanym przez *rz*, jakby od wiatru pochodziły, chociaż od wiatru mamy tylko wietrzyć: pies zwietrzył zwierzynę; suknia zwiotszała od starości czy wilgoci. Zostaniemy natomiast przy jeńcu albo przy przekleństwie, nie odnowimy jęćca ani przeklęctwa; zostaniemy przy natręctwie, co w XVII. wieku przez natrństwo zastąpić chciano; zostaniemy przy źrenicy od źrzenia niby nazwanej, chociaż to tylko zienica; nawet przy: wyżej, i równie mylnem: wyższy, podwyższyć, chociaż wysoki, Wyszogród bardzo się z taką mylną pisownią kłócą. Nie wyrzucimy już niezbędnego, chociaż go tylko myłka drukarska do życia powołała i zamiast

niezbytego czy niezbytniego nam narzuciła (dawny niezbedny oznaczał zupełnie coś innego, brzydkiego i t. p.). Zostaniemy przy poczcie (a są i śliczne forpoczty!!), chociaż jeszcze w XVIII. wieku prawidłowsza poszta z europejską tegoż słowa postacią lepiej się zgadzała (od nas Rosyanie to *cz* zamiast *sz* przejęli); poczta przecież to tylko dar poczesny, por. uczta i t. p., ale przenigdy posta. Ani myślimy wielbłąda poprawić, chociaż jego *ł* to tylko wielki błąd mówiących; on się przecież wielbądem (z „elefantu") nazywał. Nie odmienimy już sędziwego, co nam sędzię najniesłuszniej, bo całkiem przypadkowo tylko, przypomina, w pierwotnego szedziwego, t. j. szadego, siwego i t. d.

Wyrzekając się więc z zasady wszelkiego sztucznego i gwałtownego „odświeżania" języka, nie myślimy mimoto przypatrywać się z założonemi rękami jego psowaniu; wystąpimy więc przeciw pisowni *jeźli* jako błędnej (przecież z jest-li powstało słowo, więc *jeśli* pisać należy); przeciw *poszlę* (pisz poślę, skoro piszesz myślę, nie myszlę); *przyśli* (!). Moglibyśmy śmiało obrać Czechów za wzór, co jednolitą pisownię narzucili ogółowi z wcale uciążliwemi prawidłami, n. p. z rozróżnianiem: *y* i *i* (chociaż wymowa żadnej różnicy między niemi nie uznaje), przyimka *s* i *z* (co również w jednem brzmieniu spływają) i i.; ich metodyczność i systematyczność (cnót tych Słowianin własnemi słowami nigdy nie wyrazi), przez które cały naród od jawnej zagłady ocalał, i językowo t. j. w pisowni jawnie się okazały.

Występujemy więc dla zasady przeciw wszelkim zakusom wprowadzania na miejsce pisowni „etymologicznej", niby wzrokowej, owej drugiej pisowni „fonetycznej", słuchowej; uważamy ją za zbyteczną nawet tam, gdzie nauka ją najwyżej ceni, w zapiskach gwarowych. Wy-

dają dziś całe tomy bajek i t. d. fonetycznie zapisywanych, marnując znaczne na to nakłady; parę próbek zupełnieby zamiast tego starczyło. Mniejszym znacznie wydatkiem możnaby wiele więcej osiągnąć: na płytach fonograficznych wymowę wszelkich okolic, od Podhala aż do wymierających Pomorzan-Kaszubów (Słowieńców) utrwalić i w muzeum fonograficznem, choćby tylko w zbiorach Akademii Krakowskiej, te płyty umieścić. Nieskończenie to od druku ważniejsze i cenniejsze, pomimo, że ograniczenie do jednego miejsca zbiornego korzystanie dla badaczy bardzo utrudnia (druk nie liczy się z takim warunkiem); dziś powstają jednak podobne muzea fonograficzne (n. p. w rozmiarach wręcz olbrzymich przy akademii berlińskiej, niemal dla wszystkich języków świata, na podstawie dostarczanej przez jeńców wojennych) i namby czas był najwyższy o czemś podobnem pomyśleć. Przecież coraz bardziej ginie wymowa odrębna; wymiana ciągła ludzi, a jeszcze więcej wpływ szkoły, niweczącej, jak słusznie, wszelkie oznaki gwarowe; wpływ pisma docierającego do ludu usuwają stanowczo byłą pstrociznę gwarową; pokolenie młodsze mówi coraz bardziej „z szlachecka“ czy „z waszecia“ i samo się z mowy ojców natrząsa. Rozwój to całkiem prawidłowy i nic go nie wstrzyma; życzymy przyspieszenia jego wszelkimi środkami — mimo ceny przesadnej, jaką nauka osobliwościom gwarowym przypisała. Tylkoż z pisowni starannie wszelką „fonetykę“ usuwajmy; najmniejszej niema w tem szkody, jeśli się „wymowa“ a „pismo“ różnią, choćby znaczniej niż u nas bywa; od tego jest szkoła, aby pisownię poprawną wpajała. Do większej karności w sprawach pisowni pora nam nawykać, tem bardziej, że nadto wielkiej trudności nie nastręczają, że ta nawet u Słowian (nie mówiąc o innych narodach) bywa znaczniejsza.

Dla przeprowadzenia tej większej jednolitości w pisowni stoją, niby wiechy wytyczne, zasady, z których jako pierwszą i najgłówniejszą wysunęliśmy: wzgląd na pochodzenie słowa. Ten też najpierw rozstrzyga wszelkie wątpliwości; a więc pisz: pergamin, nie pargamin, boć od Pergamu nazwany; pisz: paznogieć, paznogcia (a dawniej był i sam nogieć, t. j. urwisz, bo tak to słowo pisać należy, nie urwis, jak mili Mazurowie mówią i piszą, boć mamy słowa podobne na *-sz* lub na *-ś*, przybysz, strojniś, nie mamy na *-s*), nie pisz natomiast wedle słuchu: paznokcia, a wedle tego potem i: paznokieć (przecież on od nogi nazwany); pisz łebski, od łba (ale żartobliwie mówią łepeta, łepak — podobnie waha się łapa i łaba). Pisz swora, przenigdy sfora, niesforny, skoroż *f* przeważnie w obcych słowach się zjawia (czasem obok *chw* istnieje, krotofila i krotochwila, zaufały i zuchwały, skąd potem nowy zuch urósł, nieznany zupełnie dawnemu językowi) i z małymi wyjątkami niepolskie jest brzmienie, co lud prosty nieraz w *p* odmienia, mówiąc n. p. lucyper zamiast lucyfer; Litwini zawsze tak robią.

Do pisowni poprawnej nawykaj w szkole, nawykaj z szkoły i w dalszem życiu; nie wymawiaj się, że trudna. Obok tej pierwszej zasady uwzględniaj inną. Nie pisz więcej znakami, co mniejszą ich liczbą odbędziesz. Wspomnieliśmy wyżej, że dawna pisownia, co nie odróżniała samogłosek pochylonych od otwartych, *ó, é* od *o, e,* co pisała *scz* nie *szcz, sci* nie *ści,* była dogodniejszą. Nie byłoby dziś żadnego wahania, jak pisać n. p. szkolny czy szkólny; stos czy stós; kościółek czy kościołek; mówca czy mowca, mównica czy mownica; sójka czy sojka; mórg czy morg; przednówek czy przednowek; kólczyk czy kolczyk; ból, bolu czy bólu; mól, móla czy mola; swór czy swor; wskróś czy wskroś i t. d.; pisalibyśmy

je wszyscy przez *o*, a wymawiałby je każdy, jak mu się podoba. Nie dochodzilibyśmy też do takich sprzeczności, że n. p. każą pisać: pójść, pójdę i t. d., ale zabraniają pisania: dójść, dójdę i t. d., chociaż jedno takie samo jak drugie. Że krótsza pisownia: polsczyzna, zaleca się sama wobec dłuższej polszczyzna, angielszczyzna wobec angielszczyzny i t. d., o tem wątpić nie można. W imię tej samej zasady unikaj zbytecznego pisania znaków miękczenia: śpiew i t. d., śpisz i t. d., ze wszelkiemi podobnymi, więc pisz: spichlerz (niemądra to postać zamiast dawnego spichrza = Speicher), przenigdy śpichlerz (cóż z tego, że tak wymawiamy? przecież taki dowód dla naszej pisowni najmniejszej niema wagi); spiża albo dziś spiż, nie śpiż, nie śpiżowy; pospiech, nie pośpiech i taksamo spieszyć się i t. d., nie śpieszyć — co innego pisownia: świat, śmiały, ślepy, śledź i t. d., gdzie „miękkie“ *w, m, l* i t. d. poprzedzającą syczącą zawsze i stale „miękczy“. Tu można zaznaczyć, że wymowa nasza *ś* nieraz przez *sz* zastąpiła, mówią nawet wyraźnie szlub, szlaz, ale piszą poprawnie ślub, ślaz; mówią szron i piszą tak nawet, chociaż wedle środy, śron pisać należy; bywa więcej wahań przy pożyczkach niemieckich, śluz albo szluza, śruba albo szruba, śrót (śrut) albo szrut, ślochać, albo szlochać, śmigus albo szmigus (z Schmeckostern przekręcony na nasz ład), śpic albo szpic (wilczem prawem spiczastego zamiast poprawnego spicastego urobiliśmy, przecież to *c* niemieckie, nie polskie *c* niby jak w końcu i t. d.) W innych pożyczkach *sz* zupełnie się zamiast *ś* ustaliło, n. p. szpieg, szpik, szpetny, szpilka (wyjątkowo raczej śpilka, przyśpilić); Śląsk, Ślązak dziś odwojowaliśmy przeciw Szlązakowi; najniepotrzebniej zaś piszą Sztokholm zamiast Stokholm, Sztutgart zamiast Stuttgart, sztempel, (sztemplować) zamiast stempel, sztrajk,

szport, szprycha (sprycha z bałamutnem *r*, niemieckie Speiche); w innych pożyczkach, szczególnie przy *st*, zachowaliśmy *s*, stos, ster i t. d., ależ nieraz i w własnem słowie zastąpiliśmy *sp-* przez *szp-*, szpona albo szpon, to tylko dawniejsze spona, por. i błędną szpinkę (i szpona i szpinka od spinania przezwane).

Nie przeczymy bynajmniej, że tu pełno tej sprzeczności, tak znamiennej dla naszej wymowy i pisowni; nawet do łaciny i romańszczyzny z nią dotarliśmy, mówiąc: szkopuł, zamiast: skopułu (a słychać nawet i szkrupuł!), szkaplerz zamiast skaplerza, muszkuł (!) zamiast muskuł, szkrofuły, szkielet, paszkwil, fraszka, maszkara, biszkot (biszkopt z biskoktu) i t. d. W słowach niemieckich zamieszanie najpełniejsze: smary, smarować, z schmieren; smak, smakować; smaragd, nie szmaragd, ale szmelc i szmelcowany (piszą jednak i smalc, smalec), szmuklerz; snycerz, ale sznur; stal, stos, struś, stelmach, ale sztuka, warsztat, sztaba, sztych, sztywny i t. d. W całym tym rozgardyaszu (przecież nikt u nas nad językiem nie czuwał, w szkole uczono tylko łaciny, przenigdy — aż do czasów Konarskiego — polszczyzny) trudno się i połapać, więc mówią jedni szkarpetki, sztaluga i t. d., drudzy skarpetki, staluga i t. d. Ani mowy niema o tem, aby te sprzeczności pousuwać, zostaniemy przy tem, co usus-tirannus, jedyny w sprawach językowych bez odwołania stanowiący sędzia, uchwalił.

Lecz wracamy od tych wahań między *st* a *szt* i t. d. do żądania, abyśmy skąpili ile możności znaków pisarskich miękczenia i t. p., więc w imię tej zasady piszemy bez względu na stan dawniejszy zawsze tylko: bolesny, radosny, miłosny, wczesny, sprosny, krasny, mięsny, cielesny, zazdrosny, żałosny i t. d.; *ś* piszemy dopiero w licz-

bie mnogiej i przed urobieniami z *-ik*, a więc: miłośnik, miłośni, żałośni, cieleśni i t. d.; taksamo przyjazny, życzny i i., ale życźni, przyjaźni; piszemy: ojczyźnie, ale przenigdy: w romantyźmie (chociaż niejeden tak to wymawia), reumatyźmie i t. d.

Jak znakami pisarskimi, taksamo nie szafujmy i przyrostkami bez potrzeby, więc piszmy króciej i lepiej: prowincyalny, prowincyalizm, nie: prowincyonalny, prowincyonalizm (przecież to nie żaden racyonalizm od ratio-, lecz od prowincya); podobnie gimnazista, nie gimnazyasta, a tem mniej gimnazyalista (niby jakiś gracyalista!). Dalej, jak germanizm, anglizm, italianizm, podobnie wystarcza najzupełniej: rusyzm (nie rusycyzm!) i galizm (galicyzm będzie nawyczką galicyjską, nie galską, t. j. francuską!); bohemizm w tym związku nie jest wcale poprawniejszy niż czechizm, bo wolno słowa własne urabiać obcymi przyrostkami (por. opatrunek, poczestunek i t. p.). Krótkości uczy nas własny wzór, n. p. mówimy: bałwochwalca, nie bałwanochwalca i i.

W imię pożądanej krótkości odrzucamy ulubiony dla słów obcych przyrostek -iczny. Uprawniony on u słów jak muzyka, krytyka, logika, krynica i t. d. — muzyczny, krytyczny, logiczny, kryniczny i t. d., ale od nich nawykliśmy do *-icznego* i wstawiamy go, gdzie go nie posiano. Więc telegraficzny, czyż nie lepiej telegrafowy? skąd wziął się do skandalu („szkandał" postać chyba chłopska; ale i paszkwil i pod. nie wiele lepsze, pisz paskwil), skandaliczny? są balneologowie i jest balneologia, ale pocóż balneologiczny? zamiast: satanicznego, diabolicznego, faunicznego i t. d. wystarczy: satański, diabolski, faunowy. Skąd: satyryczny, reumatyczny, mikroskopiczny i t. d.? czy nie lepiej mikroskopowy, satyrowy (jak od róża — różowy), reumatowy?

Rosyanie używają w takich razach równie pięknej postaci: -iczeskij, ale nasz „metalowy“ znacznie lepszy niż ich „metaliczeskij“ — czy metaliczny byłby piękniejszy? Kruszcowy chyba ocalił metalowego, ależ jasny to dowód, że się bez -icznego obejść można znakomicie, czyż koniecznie każde niemieckie -isch á francuskie -ique -icznym parodyować? Więc: liturgijny, nie liturgiczny; histeryjny, nie histeryczny, jak koteryjny, nie koteryczny, loteryjny, poezyjny i t. d.

Wymagamy więc, aby wrócić do pisowni, od niej: poprawności, t. j. uwzględniania pochodzenia słowa; dalej możliwej krótkości; nakoniec stałości, jednostajności; pisać, co równo brzmi, równymi znakami.

Miłośnicy n. p. pierogów piszą je nieraz pirogami, ależ pirog, to czółno indyańskie (pozostajemy przy rozróżnianiu indyańskiego, t. j. amerykańskiego — krótsze amerycki wyszło z użycia, w przeciwieństwie do indyjskiego); natomiast tylko pieróg może być wyrobem naszej kuchni, boć z najrzadszymi wyjątkami (n. p. *wir; mir* zdaje się świeżo z Rusi wrócił, inaczej byłby mierem, por. Mierosławskiego albo Kazimierza i t. p.), dawne *ir* u nas zawsze w *ier* przechodzi, ale żeby i piróg był Rusinem, na to niema dowodu. Więc wedle sierota i t. p. piszemy pieróg. Taksamo piszemy: gderać, gmerać, nie gmyrać, bo *y* ustąpiło naszemu *e* (niegdyś *ė*) przed *r* wszędzie, więc: pasterz, terać się, zterany, cztery i t. d., nawet w słowach obcych: ster, sterować, bohater i t. d., gdzie wszędzie pisownia z *-y-* starsza, ale od XV. a najdalej od XVI. wieku nowszej z *é (e)* ustąpiła; dlatego piszę i: czerak, nie: czyrak (jak wymawiam).

Oto główne zasady pisowniowe i prawopisowe; ich się dzierżąc rozstrzygniemy łatwo wszelakie wątpliwości. Drobne szczególiki (n. p. o pisowni wielkich znaków —

tych jak najmniej; o znakach pisarskich, przecinkach i t. d. — tych jak najwięcej) pomijamy.

VII.

Przechodzimy od pisowni rozmaitych brzmień i zgłosek, do samych postaci językowych; o niejednej już wyżej wspominaliśmy; zaczynamy odmianą słów rzeczowych.

Język posiada dwojaką odmianę, inną u przymiotników (biały, białego i t. d., biała, białej i t. d.), inną u rzeczowników (stół, stołu; ryba, ryby). Odmiana rzeczownikowa nie różni się w liczbie mnogiej, *stoły* odmieniamy tak, jak *ryby* (oprócz przypadku drugiego, *stołów, ryb;* dawniej i tę różnicę wyrównywano, *trosków* czytamy jeszcze w „Maryi“ Malczewskiego, *wsiów* i t. p. były niegdyś ogólne); różni się natomiast w liczbie pojedyńczej *stół, stołu,* a *ryba, ryby,* i rozróżniamy odmianę męską (wraz z nijaką) a żeńską. Niegdyś było tych odmian o wiele więcej i mimo ich spłynięcia pozostały ślady dawnej jej wielorakości w tem, że nieraz dla jednego przypadka mamy kilka postaci, n. p. *wołu* i *woła, pisarzów* i *pisarzy,* nieraz nawet z pewnym odcieniem znaczenia, *chłopi* i *chłopy,* najczęściej bez niego, *Bogu* i *królowi;* o tej różnolitości pomówimy nieco niżej.

Rozróżnia więc język stale obie liczby, a w liczbie pojedynczej przynajmniej oba rodzaje, lecz zdarzają się wyjątki. Oto n. p. przyjęły zdrobniałe imiona żeńskie postać męskiego wołacza na *-u*: babuniu, ciotuniu, jak wuju i t. d. i zachodzi pytanie, czy nie można, jeżeli się społem znajdą Józio i Józia, Stasio i Stasia, odróżniać ich wołaczy; Józiu, Stasiu należy do Józi, Stasi, ale Józio, Stasio zostaje (słyszeć to nieraz) niezmieniony w wo-

łaczu, podobnie jak Jerzy, Wincenty i i. Lecz to drobnostka; ciekawsze są inne odstępstwa od rodzaju gramatycznego; mylną jest postać, dziś tylko w uroczystej prozie czy poezyi używana: w mem, twem ręku — zamiast jedynie poprawnej: w mych, twych ręku, skoro ręku, jak i ręce, to nie liczba pojedyńcza (w mym domu), lecz podwójna. Pytają nieraz, skąd się *tą razą* wzięło, skoro *raz* tylko istnieje, nie *raza? Raz* jako nic nie znaczący, niesamoistny dodatek doczepiano do innych wyrazistszych, bez względu na rodzaj; mówiono stale (w wieku XVI) drugieraz (niby raz nijakie), ale taksamo i do jedną, wtórą, trzecią (bo tak bez *razu* brzmiały) doczepiano tożsamo raz: jedną raz, drugą raz, a w końcu to *-ą* doczepiano i do raz: jedną razą; *teraz* jednak nie powstało z *tęraz,* jak sądzono, lecz *tenraz* skrócono w wymowie potocznej na teraz i to do pisma weszło, podobnie jak *pono* skrócono z *ponno, podno, podobno,* albo *snadź* (tak je pisać należy, nie snać ani znać, skoroż od snadny poszło) na *sna* skracano (dziś tego nie używamy więcej).

O wiele dalej, niż w nierozróżnianiu rodzajów, zabrnął język w nierozróżnianiu liczb. Nie razi nas dziś bynajmniej, że nie rozróżniamy tej mszy, wsi i tych mszy, wsi (dawniej mszów, wsiów powszechnie pisano); podobnie studni (prawidłowe studzien rzadziej zachodzi), rękojmi, warowni, komisyi; rozróżnianie *komisyi* w liczbie pojedyńczej a *komisyj* w liczbie mnogiej słusznie zarzucono, bo nikt tak nie mówi. Również nie wadzi nikomu, że *świeży, duży* i t. d., lub *gorący, świecący, obcy* lub *roboczy, ochoczy* i t. d., nie wyróżniają liczb, godzą się w równej mierze dla obu; *boży człowiek* i *boży ludzie,* chociaż pojawiały się zakusy (już w XVII. wieku), *-i* liczby mnogiej ze stratą dla spółgłoski przenieść i *duzi, świezi, obci* wprowadzić. Co się dla *ż, c, cz* nie powiodło,

powiodło się jednak dla *sz* i zamiast jedynie poprawnych i jedynie możliwych *starszy panowie, naszy ojcowie, gorętszy ludzie* (jak *gorący ludzie*), *bliższy krewni* i t. d., skoczył język do nieprawdopodobnych i niesłychanych *starsi panowie, nasi ojcowie, gorętsi* (*!!*) *ludzie, bliżsi* czy *insi krewni* i t. d. Im należy się jedno — wyrzucenie. Ta chętka przeprowadzenia owego, nieco arystokratycznego *-i* liczby mnogiej, wywołała postaci jak *mnisi, Włosi, cisi, głusi, susi* (*!!*) zamiast dawniejszych *mniszy, Włoszy, ciszy, głuszy, suszy* (porównaj *musze, pysze**) i t. d., co się taksamo nie zgadzają z *ręce, nodze,* jak się nie zgadzały *mniszy* z *Polacy, wrodzy*), chociaż nikomu się nie śni przeprowadzać owo miękkie *i* w jakiemś *Polaci, wrodzi,* i tu to *-y* prawidłowe nikomu nie wadzi. Sadzenie się na to *-i* wywołało i poza odmianą równe dziwolągi, bo gdy *Boży, wilczy* nikomu nie wadzi, zachciało się nam wedle *kozi, sarni,* i t. d., *ptasi* (ptasiego mleka) zamiast jedynie poprawnego *ptaszy* (od ptach, por. ptaszek, ptastwo, obok ptak, ptaczek) i *mysi* (mysi królik) zamiast poprawnego *myszy* (por. mysza wieża) i tak pieszcząc się najniepotrzebniej utworzyliśmy nawet *kapelusik* zamiast kapeluszyka wedle kozik, guzik i t. p., chociaż nożyk, scyzoryk, kolczyk, koszyk bez *i* się obchodzą bardzo dobrze**).

*) Również *potrosze* od *trocha,* trochę, ale obok żeńskiego rzeczownika był niegdyś i męski, troch, a od niego to pochodzą owe formy *potrochu, trochu* i *trocha,* których zawsze jeszcze używamy. Od *Polska* (a niegdyś i od *wojska,* obok *wojsko,* co żeńską postać wyparło z używania) brzmiały te przypadki: Polszcze, w Polszcze (tak jeszcze w XVIII. wieku), i nie sromają się dziś tej rdzennie polskiej postaci przypisywać jakieś niesłychane pochodzenie ruskie, niesłychane, skoro w ruskiem takiej postaci wcale niema. Postać dziś używaną *w Polsce* późno urobiono wedle *w ręce* i t. p.

**) Coś podobnego zachodzi w urabianiu wyższych stopni od przysłówków; mówimy n. p. króciej, goręciej, chcąc niby to *-ie-* od: le-

Zaniechaliśmy miękczenia spółgłosek wargowych (*p, b, w, m,*) w wygłosie, wymawiamy: karp, krew, gołąb, łam, bez niego, lecz z niem wewnątrz słowa: karpia, gołębia, krwią, łamie; tak w nazwach miejscowych: Radom, ale Radomia i t. d.; otóż taksamo należy pisać Oświęcimia, Zakroczymia, Okocimia, Chocimia (nie Chocima!!) i t. d.; pisownia bez *i* jest błędna, należy jej zaniechać. Natomiast odmieniamy imię Gołąb w dalszych przypadkach Gołąba i t. d., przeciw prawidłu warując nietykalność „osobistości".

Inne odstępstwo od odmiany prawidłowej nijakiej zaszło w odmianie Tarło — Tarły (w XVI. wieku „u Tarła", wedle znanego dowcipu Rejowego i tak jeszcze w XVIII.) i taksamo u wszystkich innych na *-o,* szczególnie w ruskich nazwach na *-ko* (Kościuszko, Hurko, Sanguszko, Szewczenko — nie Szewczeńko i t. d.) i w litewskich na *-ło:* te przejęliśmy w postaci ruskiej, Jagajło i wszelkie podobne inne, jak Michajło, bo Litwinowi rodowitemu nie znającemu wcale rodzaju nijakiego, podobny pomysł był obcy. Odmieniano (Jagajło, Jagejło, a w końcu bez joty) Jageło — Jageła, Jagełu i t. d.; potem i tu wszędzie wprowadzono odmianę żeńską. Odmianę żeńską wywołała liczba mnoga, co była stale: Tarłowie, Sanguszkowie i t. d. (dowód najlepszy, że imiona nie stosują się do zwykłych

---

piej, mniej, barziej (dziś bardziej) i t. d. uwidoczniać. Istotne postaci język i pozapominał nieraz, i tak do: miękko (wymawianego miętko, jak letko zamiast lekko; tak nam z podwójnemi spółgłoskami niesporo) urabiają „mięcej, miękciej, miękcej, wszystkie formy w użyciu" (czytamy w Słowniku); wszystkie trzy postaci są błędne, miękczej należy mówić i pisać, por. miękczyć; natomiast do lekko mówimy lżej, bez -ko, jak głębiej do głęboko, dalej, szerzej, wyszej (dziś wyżej), niżej i t. d.; lekce w lekceważyć piszemy jako jedno słowo, chociaż to dwa (lekce tak jak wielce). Krócej, goręcej, jak więcej, prędzej.

prawideł, por. cośmy wyżej o Gołąb — Gołąba i t. d. wspomnieli), ale obok nich byli Kmitowie, starostowie, wojewodowie i t. d., i jak tym się w liczbie pojedynczej odmiana żeńska należy, podobnie postąpiono i z Tarłem, Sanguszkiem. Jak my, odmieniają te imiona Rosyanie i Biała Ruś (nie Białoruś, dopiero w dalszem urobieniu: białoruski, jak carogrodzki, białogłowski lub małopolski, o czem wyżej mówiliśmy), gdy Mała Ruś przy odmianie nijakiej pozostała.

W odmianie liczby mnogiej *e* ruchome wywołało różnice; jedni piszą *bitw,* drudzy *bitew.* Postać z *e* błędna; językowi przysłuża tylko bitw, modlitw (cóż z tego, że już Skarga pisał modlitew?); on nie znosi pisowni n. p.: prawideł zamiast jedynie poprawnej: prawidł (i tak u wszystkich na *-twa, -stwo, -dło*) i nie cofa się nawet przed silnemi zbitkami, n. p. przeciwieństw, zwycięstw, sióstr, królewstw, prawodawstw i t. d.; usuwa nawet ruchome *e,* gdzie uprawnione, n. p. piszemy *walk* zamiast *walek* (por. lalek i t. d., jak i ławek, matek i t. d.). Nie piszemy: bitew, prawideł, brzytew (brzytewka zob. niż.), prześcieradeł, radeł, wiater, teater, ponieważ między *t* a *w*, *d* a *ł, t* a *r* przenigdy ani najlżejszego brzmienia nie było, coby ruchomem *e* odbić się mogło natomiast: wicher, matek, ławek, córek i t. d. piszemy (i wymawiamy) z *e,* ponieważ niegdyś między *ch* a *r, t* a *k* i t. d. było brzmienie samogłoskowe, zastąpione dziś (i od wieków tak) przez *e* ruchome, t. j. pojawiające się lub znikające wedle potrzeby wymowy (łeb łba, deszcz dżdżu dżdżysty — zamiast czego dziś deszczu popłaca, len lnu i t. d.). Niema jednak czego taić, że w licznych słowach obcych język, zwiedziony wzorem powyższym słów własnych, takie zbędne *e* ruchome powstawiał. Więc wszelkie nasze słowa na *-unek, -ulec,* niegdyś samem *-unk, -ulc*

kończono, ratunek — Rettung, rachunek — Rechnung i t. d.; jeszcze Rej dzieło swoje przezwał: Wizerunk, z czego dopiero od wieku XVII. wizerunek udziałano; podobnie *-ulec* z niemieckiego *-holz* poszedł, a ganek, trunek z Gang, Trunk, taniec z Tanz, stąd tańcować (które dziś zastępujemy jakiemś: tańczyć, gdy dawny język tylko tańcować znał, por. jeszcze piosenkę: tańcowała ryba z rakiem i t. d.) i tanieczniça, którą w tanecznicę nie wiedzieć poco i dlaczego odmieniliśmy. Dzisiaj całkiem nieprawidłowem *e* ruchomem nadto szafują; ponieważ kresek od kreska z naszem *sk*, gdzie niegdyś między *s* a *k* było brzmienie samogłoskowe, jest słuszne, ubrdali sobie postępować tak i z obcem *sk*, gdzie o takiem brzmieniu i mowy niema i urabiają dziś humoresek, arabesek, co jest nieznośne; prawda, mogą się przytem na dawny błąd powołać, bo do *fraszka* z włoskiem *sk* fraszek wcześnie urabiano, mimo to należy się do maska (niegdyś maszka, por. maszkarę) tylko mask, nie masek. Natomiast maseczkę, jak brzytewkę, całkiem na ład polski urobiono i słusznie, taksamo modlitewkę i modlitewnik i t. d. Poprawnie winniśmy mówić: modlitwnik, jak świecidlnik i t. p., modlitwka, brzytwka i t. d., jak sióstrka, bez wiatrku i t. d., ale poszliśmy za innymi wzorami; jak od łza urabiamy łezka, do konwi konewka, do pwy pewny, do krwi krewny i t. d., od siodło siodełko, od miotła miotełka i t. d., taksamo urabiamy pieścidełko, bawidełko, modlitewnik, brzytewka i t. d., zacierając zupełnie pierwotną różnicę. W siodło = Sattel (niemieckie słowo wywodzą niektórzy jako pożyczkę z słowiańskiego) było, jak Sattel dowodzi (a są i inne bardziej przekonujące dowody), brzmienie niegdyś samogłoskowe między *d* a *l*, pojawiające się też w siodełku (ruskie siedło), natomiast w siodło (dziś przez ruskie sioło zastąpionem, ale Długosiodło

na Mazowszu, Siedlce i t. d. dawnego polskiego *dł* dowodzą) nie było żadnego brzmienia między *d* a *ł*, dlatego: przysiodłki nasze a stąd przysiółki z ułatwieniem wymowy, do czego przysiołek nowo dorobiono; a na Rusi tylko: seło. Więc prawidło brzmi: od rzeczowników na *-twa, -stwo, -dło* (z wyjątkiem *siodła*), od obcych na *-ska,* pisz drugie przypadki: gardł, źródł, bitw, bóstw, arabesk, humoresk i t. d., nie gardeł, źródeł, bitew i t. d., a wymawiaj jak chcesz; taksamo pisz tylko: pasm, pism, powrósł, rózg, drzazg, mózg (we Lwowie mózeg nieraz słyszałem), wymawiaj jak chcesz; od odaliska odalisk, ale huryska hurysek, boć to polska końcówka, taka sama, jak n. p. w Francuzka (tych Francuzek). Umyślnie przytaczamy jeszcze więcej przykładów: grzanka grzanek; wiarka, miarka, wiarek, miarek, ale obce marka, dwadzieścia mark (nie marek, *rk* pierwotne!); czółno — czółn, nie czółen, widła widł, nie wideł, taksamo sidł; *widelec* nie dowodzi przeciw temu niczego, bo sam późno powstał z wyrównania odmiany pierwotnej, co brzmiała: widlec (widlca) widelca, jak *piesek* z pierwotnej odmiany psek pieska wyrównano, albo *bochenek* z odmiany bochnek — bochenka i t. p.; wiosło, wiosł, nie wioseł (wiosełko, jak masełko i t. p. późne, zamiast wiosłko, masłko); mydło, mydł, nie mydeł; szydło, szydł; hasło, hasł, nie haseł; od godła natomiast będzie godeł, od wydmy powinno być wydem, ale za przykładem owych pasm, pism (nawet piżm) mówią wydm; podobnie i od (może ruskiej) wiedźmy, wiedźm zamiast wiedziem; pochwa — pochew, nie pochw.

To zastępcze brzmienie sprowadza mówiących nieraz na przykre manowce, n. p. miasteczko w Prusiech Wschodnich zwało się Łek (por. Łekno), Łka, w przypadku siódmym: we Łku; do tego „wełku“ tak przywy-

knięto, że je w końcu mylnie podzielono: „w Ełku“ i zmyślono pierwszy przypadek: Ełk i tak to dziś odmieniamy, ależ niemieckie Lyck (wymawiaj z niemiecka Lyk, nie Lyc-k), zachowało lepiej pierwotne brzmienie.

Lecz wracamy od Łku do brzmienia zastępczego w drugim przypadku liczby mnogiej. Konieczne jest *e*, gdzie *-ka* n. p. jest przyczepką, a więc córka, matka, ławka — córek, matek, ławek; łupka, łupek, ale łuska, łusk, trzaska, trzask, rózga, rózg (*sk, zg* pierwotne!); denko, okienko, sukienka i t. d. dają dziś denek, okienek, sukienek zamiast dawnych: dnek, oknek, suknek i t. d. Cyfra, cyfr, mimo niemieckiego Ziffer; cytra, cytr. Przyczepka *-wa* (co innego *-twa* lub *-two*) waha się: łyżw i łyżew, żuchw, tratw (z pierwotnego traft, bo to niemieckie trift przestawione, więc tu właściwie wcale nie należy), dratw, ależ obie ostatnie, to słowa obce; co do rodzimych por. kuropatw, rybitw, makolągw, pardw i t. p.

Zastępcze czy ruchome *ie* nie podlega nigdy przegłosowi w *io*, więc nie mówimy *lon* (jak plon, kamionka), lecz len (Rosyanin ma: lon), pies (u niego: pios) i t. d., z tego wynika, że tylko pisownia ruchomego *ie* w takich, jak: osieł, kozieł, kocieł, wedle osła i t. d. jest poprawna, przenigdy: osioł, kozioł, kocioł, por. n. p. orzeł, nie orzoł (choć to jest w narzeczach); a więc należy pisać i: osiełek, kociełek, koziełek, chociaż postaci na *-iołek* już przeważają; wioska od wsi i dzionek od dnia nie przeczą owej zasadzie, jako w istocie „błędne“ nowotwory.

Prawidło ogólne co do drugich przypadków liczby mnogiej brzmi więc: niemaż miejsca dla wsuwnego czy ruchomego *e (ie)*, gdzie zbitka spółgłoskowa pierwotna, więc do perła (niegdyś pierła) piszemy: perł, nie pereł (zbitka -rl- pierwotna, por. Perle i t. d.), więc: litr, libr (już w Biblii Zofii r. 1456. obok tej poprawnej pisowni

zachodzi równie często i mylna: liber), kwart, modł, biodr, usterk (nie usterek, przecież sterk-, dawniej styrk-, jest „pierwiastkiem“) i t. d. Dano się jednak rychło uwieść temu przykładowi i zaczęto mówić: służb, wróżb, prośb, groźb, chociaż między *b* a *ż, ś, ź* było niegdyś brzmienie samogłoskowe, por. służebny; poprawnie mówimy: wróżek, służek, klatek, pałek, kłódek i t. d., ale nawykliśmy już do: klęsk, walk i t. d., chociaż w obu razach takie same brzmienia i istotnie rozstrzyga tu wygoda wymawiania, tak zwana „eufonia“, na której karby tak wygodnie nam odliczać wszelakie usterki językowe. Więc taksamo krzywd, prawd, klechd, wróżd i t. d. i o prawiednym (istniejącym na Rusi) już u nas i śladu niema, oprócz jednego: sprawiedliwego; izba: izb zamiast izdeb (por. izdebka); wysp zamiast wysep, (od sypania) i t. d.

Jak od: dno, den, tak podają gramatycy i dla: tło teł (por. miotła, mioteł), słusznie, wedle zasady ogólnej. Ależ nie każde *e(ie)* takie słuszne, bo wstawia się je nieraz dla owej „eufonii“, dla unikania twardej jednozgłoskowości wedle podobieństwa pozornego innych wyrazów; więc jak: dzień, dnia, mówimy: ogień, ognia, zamiast jednozgłoskowego ogń; wedle: dno, den, mówimy: okno, okien zamiast jednozgłoskowego okn. Zachowaliśmy odmianę dawną u jednych: łza — łez, gra — gier, pchła — pcheł, ale u innych jednozgłoskowych pozapominaliśmy postaci pierwotnych, więc msza, nie: mesz (por. meszny), lecz: mszy, dawniej i mszów; ćma, nie ciem, raczej ćmów (w Galicyi można się i pchłów i t. p. nasłuchać dowoli). Podobnie wedle: godzien, winien, mówimy: pełen zamiast pełn, dostojen zamiast dostoin, wojen zamiast woin, wojn, por. wojsk. Ale najniesłuszniej w świecie wstawiamy na piśmie (co innego w wymowie) jakieś ruchome *e* w siedem i osiem; tych nie należy inaczej pisać, niż: siedm, siedmnaście,

siedmdziesiąt, siedmset; ośm, ośmnaście, ośmset, ośmdziesiąt, bo tu między *d-m*, *s-m* nigdy żadnego brzmienia nie było; wymawiajcie wyraźnie osiem i t. d., piszcie ośm, taksamo jak wymawiacie: piędziesiąt i sześdziesiąt, a piszecie: pięćdziesiąt, sześćdziesiąt. Również należy pisać piosnka, chociaż wymawiać można piosenka (*sn* pierwotne), piosnek.

Mniejszej wagi jest, że wciągnęliśmy wilczem prawem do odmiany nazw geograficzno-ludowych (n. p. Słowiąnie, Słowian w liczbie mnogiej, ale w pojedynczej Słowianin, Polanie, Polan — Polanin; tak się Polacy jeszcze w XV. wieku nazywali i stąd pochodzą nazwy ich obce Polan, Pologne, Polen), nazwy ani z geografią, ani z ludami w żadnym nie pozostające związku, n. p. zamiast pogani, poganów — ten pogan, chrześciani, chrześcianów — ten chrześcian, odmieniamy dziś: poganie, pogan — ten poganin; chrześcianie, chrześcian — ten chrześcianin; dziś już i nazwy zakonne i i. tak najmylniej odmieniamy; zamiast jedynie poprawnych: Dominikani, Franciszkani, kapelani — Dominikanów, Franciszkanów, kapelanów (ta tylko forma stale popłaca), Dominikan, Franciszkan (porównaj n. p. Bernardyni — Bernardynów — Bernardyn), wymyśliliśmy, zwiedzieni owem *-an-*, Franciszkanina i w liczbie mnogiej Franciszkanie. Pisownia poprawna takich postaci nie znosi w żaden sposób; precz z niemi; są mylne: Hiszpanie, zamiast Hiszpani lub -owie.

Trudniejsza sprawa z innemi, bardzo niepoprawnemi. Rzeczowniki żeńskie spółgłoską zakończone: kość, postać, wieś, rozkosz i t. d., przybierają w liczbie mnogiej zawsze *-i*, kości, postaci, wsi, rozkoszy i t. d.; nigdy nie było to inaczej; nigdy nie istniały: wsie, rozkosze, postacie, a jeżeli wymieniają przeciwnie jakieś łodzie

n. p., to zapominają, że łodzie prawidłowo od dawnej łodzia poszły (Łódź jest bowiem świeżym wynalazkiem, jak i pieczeń, kieszeń, woń, pościel, toń, kolej i t. d., zamiast dawnych wyłącznych: pieczenia, kieszenia, wonia, pościela, tonia, koleja i t. d.). Otóż, gdy powszechnie (oprócz na Litwie) mówimy: powieści, wiadomości (i tak wszystkie na -ść), myszy, kości, wszy, rzeczy i t. d., wahamy się co do: wsi i wsie, a nie wahamy się wcale przy: rozkosze, postacie i t. d., wedle wzoru: dusze od dusza. Prawidłowości niema tu najmniejszej, sama dowolność panuje wszechwładnie i wobec tej dowolności wolno pokusić się o powrót do ładu w piśmie. Pisownia prawidłowa wymaga bez wyjątku jakiegokolwiek *-i*, wyklucza *-ie, -e;* rzeczowniki na -ś -sz i t. d. tworzą bowiem dział odrębny, nie mieszają się w liczbie pojedynczej z owymi na *-a*, rozkosz a dusza najzupełniej się różnią w liczbie pojedynczej, więc i w mnogiej we dwu przypadkach (por. tych rozkoszy — dusz) zupełnie się rozdzieliły i niema najmniejszej przyczyny pismo poddawać dowolności mówiących, jednolitość końcówki *-i* rozbijać dla ich widzimisię.

Ci, co błędów prawopisowych nie karcą, im raczej pobłażają, wyliczają rzeczowniki z końcówką *ie, e* zamiast *i* (*y*): noce, moce, słodycze, twarze, gałęzie i t. d., o pisowni zupełnie mylnej (wobec prawidłowej: rzeczy, brwi, nici, ości, sieni, sieci, chęci, części, pieśni, myśli, piersi, złości, słabości, zapowiedzi i t. d.), ale jak najmylniej wliczają w zastęp tych myłek prawidłową pisownię, jak klacze (od klacza, język nie znał przecież innego rzeczownika!), skronie, kieszenie, łodzie, koleje i t. d. i powoływają przykłady wieku XVIII., z pism Krasickiego i spółczesnych; przytaczają, że i w dopełniaczu stosowała się pisownia wsi, brwi, myszy, pieśni, rozkoszy i t. d.

do pisowni dusz i t. p., że znachodzimy więc pisownię mysz, rozpacz, rozkosz i t. d. obok myszów, pieśniów, wsiów i t. d., co wszystko ma służyć jako dowód, że pisownię: noce, twarze i t. d. należy przypisać prawidłowemu rozwojowi językowemu, dążącemu do uchylenia osobnej odmiany tych rzeczowników w liczbie mnogiej przynajmniej. Zapominają, że wszelkie te formy Krasickiego i spółczesnych pisarzy, w rodzaju: mysze, mysz lub myszów, pieśniów, rozkosz i t. d.. są tylko błędami, których unikać należy.

Zapominają bowiem, że nierząd saski rozchwiał zupełnie poprawną niegdyś pisownię, że jałowości i gnuśności myśli odpowiadała niepoprawność, błędność pisowni i najgorsze zaniedbanie druków i że z tych grzechów przeciw poprawnej pisowni nie mogli się otrząść nawet pisarze tej miary, co Krasicki n. p.; jego pisownia jest wzorem, jak pisać *nie* należy. Oto kilka przykładów choćby z Satyr: „więc podściwych (tak zawsze pisywał poczciwych ks. biskup) aż nadto; Paweł trzech mszów słuchał"; zrucił; w koncie (t. j. kącie), skączył (t. j. skończył); zaczeło (zaczęło), aręda (t. j. arenda), ścieszki, drżwi, nicht, oczewisty i t. d. — a nie są to przypadkowe myłki pióra, lecz tak wyglądała stała pisownia w Heilsbergu; poprawiał ją Dmochowski (co nawet trafne poczestował, czestował zamiast częstował Krasickiego wstawiał), więc poznikały: Frańciszek, wińszować, podchlebiać, przysiąki (t. j. przysionki), najprzód, letki, ochyda, maszki (maski) i t. d.; on też usunął pisownię, co dla uwydatnienia rymu dla oka psuła poprawność, n. p. mieści: płci niewieści (zamiast niewieściej), kichnie: uśmichnie, chodzi: złodzi (zamiast: złodziej) i t. d., nawyczka, której dawne wiersze stale służyły (więc pisano: gury — chmury, figory: ktory i t. d. już od czasów Kochanowskiego).

Prawidło brzmi więc: pisz zawsze: wsi, twarzy, rozkoszy, mocy, nocy, myszy, powieści (na Litwie powieście!) i t. d., nigdy: noce, wsie i t. d.

Gorsze nieporozumienia czy dowolności wynikły w odmianie nazw obcych, prześcigając takie dowolności w samej ich pisowni; lecz i tu należy zamiast widzimisię zachowywać prawidła ogólne, aby się nie mylić. Zacznijmy od osobowych ruskich, takich jak Gorkij, Trubeckoj, Tołstoj i t. p., gdzie polityka pokłóciła się haniebnie z gramatyką. Wiemyż, że Gorkij gorzki a Tołstoj tłusty i niesposób ich inaczej odmieniać, niż Gorkiego i Tołstego, Gorkiemu, Tołstemu i t. d.; Trubeckoj odpowiada naszym imionom na -cki i tak go odmieniamy, Trubeckiego i t. d., również wszelkie na *-skij,* czy wróg Polaków Dostojewskij, czy ich przyjaciel książę Wiazemskij: nie można nigdy o nich inaczej mówić niż o Dostojewskim, Wiazemskim, Gorkim i Tołstym; poczucie językowe wzdryga się poprostu przed: o Dostojewskiju, Wiazemskiju, Trubeckiju, Gorkiju i Tołstoju; Dołgorukiego nigdyśmy inaczej nie odmieniali, o: Dolgorukija nigdy nie słychiwali. W gramatykę wdała się jednak polityka i orzekła, że należy się nam odcinać od wszystkiego co ruskie, i dlatego nakazano nam nawet nazwy ruskie od naszych wyodrębniać osobliwszą, niemożliwą odmianą. Dziś, kiedyśmy politycznie nakoniec od miłych sąsiadów odcięci, moglibyśmy powrócić do jedynie możliwej odmiany: Dostojewskiego, Dołgorukiego, Trubeckiego, Wiazemskiego, Gorkiego i Tołstego i zaprzestać mieszaniny niesmacznej, gramatyki z polityką. Trudniejsza sprawa z imionami zachodniemi. Roztrząsaliśmy już powyżej pierwsze pytanie, jak je pisać, wedle wymowy czy wedle pisowni pierwowzorowej: Bordeaux czy Bordo, Goethe czy Gete (Giete?), Schiller czy Szyler (boć jeżeli z polska

pisać, toć chyba nie przez *l* podwójne). Poleciliśmy zachowanie pisowni pierwowzorowej, skoroż nie zamierzamy iść w ślady rosyjskie i obok spolszczonej w pisowni nazwie, kłaść w nawiasie pierwowzorową, aby się wiedziało, o kim to właściwie mowa; piszemy więc Bordeaux, Schiller, Goethe, Shakespeare i t. d. Tu o zgodę łatwiej; trudniej o nią w odmianie tych imion. Bordeaux nie odmieniamy na szczęście, mówimy wino z Bordeaux i t. d., ale cóż zawinił Rousseau lub Wiktor Hugo, żeby nie można taksamo powiedzieć: myśl wzięta z Rousseau? albo wiersz Hugo (Russa, Huga brzmi dziko, a Rousseau'a wygląda jeszcze dziczej, więc zostawmyż „Rousseau" i „Hugo", nie odmieniajmy wedle naszego widzimisię, piszmy podobnie „u Percy" a nawet „u Goethe"; kogo sumienie gramatyczne nadto trapi, niech dodaje *-go, -mu* i t. d. bez apostrofa, Goethego, Percygo i t. d., przyczem nieme *e* na ołtarzu polskim poświęcić wypadnie, Voltaira, Shakespeara a Zola wedle żeńskich na *-a,* nie wedle sędzia, odmieniać wolno. Ależ Rosyanin w każdy sposób mądrzej, bo Goethe wcale nie odmienia, Czech znowu odmienia to inaczej, niż my, Geta, Getowi, Heina, Heinowi, Börna i t. d. Nie należy naruszać imienia obcego, jeżeli polskiego nawet nie naruszamy i odmieniamy: Gołąb, Gołąba, Kocieł, Kocieła, i t. d., nie Gołębia ani Kotła, taksamo więc Schiller, Maier i t. d. nie odmieniamy Schillra, Maira i t. d., podobnież nie odmieniajmy Hegel, Hegla, ani Luter, Lutra, lecz zatrzymajmy Hegela, Lutera, boć to *-e-* nienasze ruchome! Co obce jest, niech obcem zostaje; zbytnie polszczenie, niby poufałe po ramieniu klepanie, nie zawszeż na miejscu. Co innego, jeżeli całkiem na polskie przełożę imię, n. p. Michał Anioł, ale wiek XVII. mówił: u Dante! Sporą wiązankę nazw obcych i tak wcale nie odmieniamy, nietylko Bordeaux

czy Monako, ale nazwy wschodnie, jak Naum, Kapernaum, Jeruzalem (co innego z Jerozolimą); dalej kakadu, kakao (mówią jednak: porcya kakau) i i.; wszelkie łacińskie na *-um*, tylko że, jak to już u nas bywa, sprawę pokpiliśmy. Bo skoroż stale, jak słusznie, odrzucamy końcówki łacińskie -us, -um, (wyjątek: Chrystus obok Chryst, Jezuchryście; nimbus zamiast nimb, tyfus, zamiast tyf — łożnica po polsku); skoro znamy tylko: testament, instrument i t. d., toć nie było najmniejszej przyczyny właśnie w gimnazyum, gremium, museum, seminaryum, akwaryum, album, liceum, sanatoryum, archiwum i t. d. to *-um* pozostawiać, w dalszych przypadkach liczby pojedyńczej jego nie tykać (do gimnazyum i t. d., natomiast z prawdziwie polską konsekwencyą: do albumu zamiast: do album; albo wedle testamentu i t. d., do alba od alb, jak mawiano), i dopiero w liczbie mnogiej sobie przypomnieć, że mamy jakąś własną odmianę, do gimnazyów (do albumów, zamiast: do albów). Nie śniło się Francuzom zachowywać *-um*, i Rosyanie trafniej postąpili (mają gimnazija, seminarija, musej; Czesi to po części naśladują), tylko myśmy utknęli najszpetniej, bo zamiast radzić się własnego języka, poszliśmy ślepo za Niemcami (naśladujemy ich zawsze niemądrze), bo ci Gymnasium, Museum i t. d. nie odmieniają w liczbie pojedynczej wcale, dopiero w mnogiej (Gymnasien, Museen i t. d.), ale skądżeż nam Niemcy przepisywać mają, jak mamy łacińskie słowa odmieniać?

Jakżeż powinna brzmieć polska, nie niemiecka odmiana owych łacinników na *-ium* lub *-um*? Odrzucamy je stale, więc: cmyntarz*) z coemiterium; konsystorz z con-

*) Z cmyntarza zrobiliśmy cmentarz, bo nieraz obce *i* (*y*) w *e* odmieniamy, n. p. subtylny w subtelny, cybuła w cebula; ale cmentarza dalej tykać nie wolno, więc ani cmętarz ani smętarz (niby od smę-

sistorium; lektwarz z electuarium; seminarz z seminarium (w uniwersytecie inaczej nie mówią); w nowszych słowach nie zdobyliśmy się na tę odwagę (por. audytorium, kolokwium, akwarium, sanatorium, ambulatorium, i t. d.); nie mogliśmy zaś odrzucać *-ium* w takich, jak kolegium, gymnasium, liceum, museum, bo cóżby zostało? Mielibyśmy do wyboru dwie drogi: albo zmienić *-um* na *-a* (jak kontubernia z contubernium, ordynarya z ordinarium, kapituła z capitulum) już w pierwszym przypadku, gimnasia, kolegia raczej niż męskie, gimnasyj, kolegij, musej, licej; w liczbie mnogiej gimnasye, musee, licee, gimnasyów, liceów, museów i t. d., lub wedle odmiany żeńskiej: gimnazyi, licei, musei, jak idei, statui. Druga, prostsza droga była robić jak Czesi, t. j. zostawić *-um* w pierwszym przypadku, gremium, museum, gimnasium, kolegium, ale w dalszych zaraz je odmieniać jak męskie (lub nijakie), musea, gremia, gimnasya; gimnasju, gremiu (albo gremiowi); liczba mnoga bądź męska: gimnasye gimnasyów, gremie gremiów, musee museów (por. musealny, gremialny), kolegie kolegiów (kolegialny), licee liceów (licealny albo liceowy); bądź nijaka: gimnasya gimnasyi, musea musei, licea licei, kolegia kolegii i t. d. Swoją drogą należy niejednego z tych przybyszów wygładzić ze szczętem; czesne lepsze niż honorarium, a pracownia niż laboratorium; o kapitole czy kapitule w piśmie już zapomnieliśmy dla rozdziału (dawnego „położenia“ nie znamy dziś wcale; starzy Prusowie je od nas wzięli, palazinsna). Wcale nie należy odmieniać skróconych auto (zamiast samochodu), zoo, foto i t. p., albo bordo, palto, panama, korso, chociaż cy-

tności!!). Zupełnie zaś niezrozumiałe, dlaczego nie odmieniamy, jak Czesi albo Niemcy czy Francuzi: archiw, archiwu, liczba mnoga archiwy, archiwów i t. d.

garo odmieniamy jak wszelkie nijakie. Żeńskie: idea (myśl) i statua (posąg) ich miłośnikom bywają niedogodne; ujdzie im przymiotnik ideowy i statuowy, ale odmiana? w liczbie pojedynczej, a taksamo i w mnogiej, tej lub tych idei, statui, ideę, statuę i t. d., w liczbie mnogiej idee, statue i t. d.

Jeszcze słówko o odmianie imion obcych. Odmieniajmy je, gdzie żadnych niema trudności, a więc Schillera, Voltaira, Addisona (wymawiamy *z*, nie *s*, ale piszemy poprawnie) i t. d., natomiast u zakończonych na samogłoski i niektórych innych unikajmy ile możności odmiany, a więc Wiktora Hugo, Augusta Comte, w Auguście Comte (męczą u nas pozytywistę w niesłychany sposób; przecież zdobywano się na pisownię: w Auguście Comte'cie, niby jak w siedmnastym wieku pisali niektórzy: w punkt'cie!); u Goethe lub w Goethe i t. d.; przyimek uchyla wszelką potrzebę odmiany, u Percy i t. d. Monitor Bohomolców nie odmieniał nazw własnych nawet tam, gdzie to najzupełniej uchodzi. Również nie sadźmy się na odmianę nazw miejscowych, więc do München, do Reims, w Marseille, w Lyon i t. p.; tylko zupełnie spolszczonym należy się odmiana (Wiedeń, Paryż, Londyn i t. d.), jak i wszelkim słowiańskim, więc nie: w Valevo, lecz: w Valewie, w Białogrodzie (nie Belgradzie!!), jak i w Nowogrodzie i Carogrodzie, ale bez Piotrogradu najzupełniej się obejdziemy, zostaniemy przy dziejowym Petersburgu, co nam się dał dosyć we znaki.

O odmianie łacińskiej, nie polskiej, koszta, expensa i t. d. mówiliśmy wyżej; o biały, biali zob. niżej.

VIII.

Na granicy odmiany rzeczownikowej i przymiotnikowej stoją rozmaite nazwy, n. p. miejscowe i osobowe

na *-in (yn)* lub *-ów*. Co do męskich niemaż żadnej wątpliwości, odmieniają się rzeczownikowo, Modlin, Brzozów i t. d., z Modlina, Brzozowa i t. d.; są natomiast u żeńskich. Częstochowę, Dąbrowę i pod. odmieniamy jak matka, z Częstochowy, w Dąbrowie i t. d., ale inne, acz takie same z istoty, odmieniamy przymiotnikowo, Bobowa, z Bobowej (dawniej tylko z Bobowy) i t. d. Weźmyż rzeczowniki jak królewna, królowa (zamiast królewa, porównaj królewic), hrabina, szewcowa; dawniej odmieniały się wszystkie rzeczownikowo: królewny, hrabiny; królewnę, hrabinę, królowę, synowę, bratowę, szewcowę; w wołaczu: królewno, hrabino, królowo, bratowo. Ale dziś coraz rzadziej usłyszysz bratowy, a już nigdy więcej bratowie (jak hrabinie, królewnie, pannie, sędziance i t. d.); mówią i piszą wyłącznie bratowej, a stąd dochodzą w mowie, nie na piśmie jeszcze, i do hrabinej, tak, że dziś, jako prawidłowa, uchodzić winna tylko u hrabiny i panny i t. p. odmiana rzeczownikowa, gdy u szewcowej i pod. już tylko wołacz szewcowo i biernik szewcowę z tej odmiany pozostały, inne przypadki (i cała liczba mnoga) do przymiotnikowej przeszły: bratowej, bratowe, bratowych, jak dobrej, dobre, dobrych.

Przymiotnikami były najliczniejsze dostojeństw czy urzędów nazwy, woźny, chorąży, podczaszy, podstoli, leśniczy, podkomorzy i t. d. i odmieniały się jak przymiotniki, woźnego i t. d., a pociągnęły za sobą i sędziego i hrabiego i nazwy obce, jak Goethe albo Linde, co jednak *e* zachowały z Lindem i w Lindem, Goethem (przenigdy Lindym, Goethym). W liczbie mnogiej pozostają również przy odmianie przymotnikowej: woźni, woźnych; podstoli (bez różnicy od liczby pojedyńczej), podstolich; łowczy, łowczych; budowniczy, budowniczych i t. d., lecz do innych wkradła się postać imion męskich na *-owie,* pod-

skarbiowie, podkomorzowie i t. p., a sędziowie i hrabiowie całkiem do rzeczowników przeszli, sędziów, hrabiów, margrabiom (obok dawnego grof, grofowie i t. d.). Tylko nazwy „martwe“, n. p. złoty, luty, pozostały przy odmianie przymiotnikowej zupełnie: złote, złotych, lute, lutych i t. d.

Odmiany zaimkowej nie odróżniamy od przymiotnikowej, oprócz biernika żeńskiego liczby pojedynczej, tę, onę, owę, tamtę, innę, naszę, waszę, swoję, moję, twoję (ale ściągnięte swą, twą, mą; dobrą i t. d. jest również ściągnięte), wszystkę, jednę; mowa potoczna tylko tę jako tako zachowała, ale u wszelkich innych postać przymiotnikową przewiodła, nawet moją, tamtą, oną, jedną i t. d. dziś już ogólnie, acz całkiem mylnie piszą. Skoro *tę* nie poświęciliśmy, więc i tamtych (moję i t. d.) bronić wypada w piśmie, chyba, że miłej zgodzie poświęcimy znowu prawidłowość.

Tej miłej zgodzie poświęcamy nietylko prawidłowość, ale wszelką logikę językową i wygodę piszących — boć wielką sprawia trudność piszącym rozróżnianie rodzajowe we dwu przypadkach liczby pojedynczej, a w jednym mnogiej. Przepisała nam bowiem mylna drobiazgowość gramatykarzy, abyśmy rozróżniali ściśle między: dobrym mężem a dobrem dzieckiem (taksamo: w dobrym mężu, ale w dobrem dziecku), a w liczbie mnogiej: dobrymi mężami, ale dobremi żonami, dobremi dziećmi. Że to przepis całkiem dowolny i mylny, dowodzą tego dalsze przypadki, nie znające wcale takiej różnicy, więc dobrych, dobrym w liczbie mnogiej dla wszystkich, a dobrego, dobremu w pojedyńczej dla męskich i nijakich. Wymyślili ten arcy niemądry przepis Szylarski i Kopczyński, a szkoła go nam narzuciła i dzięki jej możemy się poszczycić, że wyróżnia się tym wymysłem nasza pisownia od każdej innej. Od szkoły nawykliśmy do niej

tak, że i w wymowie jej przestrzegamy, że n. p. potem, wtem, natem, przedewszystkiem, czem i t. d. wydają się nam jedynie poprawne i możliwe. Że to bajka wierutna; że się jeszcze w ośmnastym wieku nikomu o niej ani śniło (w pismach Krasickiego dopiero Dmochowski tę pisownię przewiódł), nie mówiąc o czasach dawniejszych; że samo *im, nim* (im rychlej, nim albo zanim przyjdziesz) dowodzi, że i *tym* pisać należy (tym lepiej), przenigdy *tem* (por. nimi — tymi), a więc i czym i potym i t. d. — na te i inne dowody głuchy ten, co włożywszy się raz w pisownię mylną, od niej ustąpić nie chce, a ponieważ na upór, jak na błoto i t. d. wedle przypowieści staroszlacheckiej niemaż rady, więc i my przeciw lepszemu rozumieniu, nałogowi ulegamy i piszemy, jak każą, przeświadczeni, że mylnie każą, dla miłej zgody jedynie. Powtarzamy to z takim naciskiem, ponieważ znaleźli się jeszcze świeżo językoznawcy, co podają to w wątpliwość. Czytamy n. p. w „Szkole polskiej“ 1916, nr. 5 („O ogólnopolską pisownię“) str. 24.: „Dowolność zaś z jego strony (ks. Kopczyńskiego) wydaje się tem bardziej nieprawdopodobna, że nawet i dziś dadzą się wskazać pewne momenty w języku literackim polskim, które dowodzą, że mogło zajść rozszczepienie jednolitej dawnej końcówki VI. przypadku na dwie, różniące się właśnie rodzajem, t. j. na ym, ymi przy męskim, zaś em, emi przy nijakim i żeńskim“. Jest to tylko bałamucenie ludzi; nigdy podobnego rozszczepienia przed Kopczyńskim nie było i niema go też nigdzie między ludem, co używa obie postaci, lecz nigdy ich wedle rodzajów nie wyróżnia.

Miano niegdyś dwie odmienne postaci dla dwu przypadków: dobrym mężem, dzieckiem i w dobrem mężu, dziecku; od XV. wieku zaczęto obie postaci przymiotnikowe mieszać i przeniesiono w końcu to zamieszanie i na

liczbę mnogą do przypadków zaczynających się od *m*, a więc mówiono: dobrym i dobrem mężom, dzieciom; dobrymi i dobremi mężami, dziećmi. Na te dwie postaci natknęli się gramatykarze i zamiast wyboru między niemi, rozdzielili je całkiem dowolnie między dwa rodzaje. Oto i całe ich dzieje, a dowolność tłumaczy się zapatrywa niami ówczesnych gramatykarzy na język, narzucających mu rozmaite zamiary i cele, o których się językowi ani śniło. W podobny sposób rozwikłał spółcześnie rosyjski gramatykarz (Łomonosow) podwójną postać przymiotnikową, dzieląc ją również, wbrew językowi samemu, między rodzaje.

Cóż pozostaje wobec tej jawnej dowolności i trudności, jaką za sobą powlekło prawidło gramatykarzy? Powinniśmy oczywiście to zrobić, co oni zaniedbali, t. j. ujednostajnić pisownię, wybrać dla niej jedną postać, przykazać pisać albo: dobrym mężem, dzieckiem i w dobrym mężu, dziecku; dobrymi mężami, dziećmi, żonami; albo też: dobrem mężem, dzieckiem i w dobrem mężu, dziecku, dobremi mężami, dziećmi, żonami. To znaczy: wybrać w każdy sposób jedną postać dla obu rodzai, taką czy owakę. Ktoby chciał obie pisownie jakoś pogodzić, mógłby na liczbę mnogą wedle: dobrych, dobrym, i: dobrymi wstawiać, a na pojedynczą wedle: dobrego, i: dobrem, albo i odwrotnie. Wszystko ujdzie, oprócz rozróżniania rodzai, co się nigdy i nigdzie w takich przypadkach nie dzieje; na całym świecie aryjskich języków polski jedyny takie susy wyprawia! Ale ponieważ w prawopisie ani rozsądek, ani dzieje nie rozstrzygają, tylko przyzwyczajenie; ponieważ dalej wolimy niedorzeczną zgodę, niż mądrą niezgodę, dlatego tylko, wbrew wszelkiej słuszności, uznalibyśmy ukaz Kopczyńskiego, uświęcony wiekowem podaniem — jedyną jego podstawą prawną, z żalem największym.

IX.

I w odmianie czasownikowej nie obeszło się bez sporów i wątpliwości. Wyżej już wyświeciliśmy pisownię: biedz, módz, strzedz, jako niczem nieusprawiedliwiony zamach na dzieje i wymowę zarazem, tem niemożliwszy, skoro pozbyliśmy się dawno równie pięknej i równie uzasadnionej pisowni: bydź, kłaźdź, iźdź. Zapisaliśmy dalej odstępstwo od prawideł ogólnych w pisowni: wysłuchiwać, wymachiwać i pod., zamiast: wysłuchywać i t. d. Pozostaje niewiele. Odmieniamy mylnie, z ruska, nie po polsku: depczę, depczesz; kłopoczę, druzgoczę i t. d. zamiast jedynie poprawnych: depcę, depcesz i t. d.; innych postaci dawny język nigdy nie znał i mylnie przytaczają mniemane dawne przykłady, gdzie *cz* poprostu zamiast *c* myłka pisowni, czy druku, co *cz* i *c* nie rozróżniały; i dziś jeszcze szczebioce mówią, nie szczebiocze, trzepoce, klekoce, nie klekocze. Jeżeli w słowniku prawopisowym o postaciach depczę i t. d. napisano: „są to formy poprawne!“, a gramatyk na ich usprawiedliwienie całkiem im obce przytacza: chłoszczę, skaczę, pieczesz, tłoczę, co z niemi nic a nic nie mają wspólnego, zamiast jak najsilniej się im sprzeciwiać, to uznajemy w tem tylko słabość, pobłażanie narowowi czy nałogowi, zamiast jego zwalczania. Pisownia (o wymowę ani dbamy, ani pytamy): depczę, depczesz, bełkocze, szamocze, kłopocze, klekocze, szczebiocze i t. d., jest zupełnie mylna i należy się jej tylko wyświecenie; toć dobre dla Rusi, nie dla nas, bo Rusin *t* w *cz* odmienia, my w *c*, on: kołoczu, my: kłócę, on: topczu, my: depcę. A kiedyśmy raz już przy *cz* — *c*, to nadmieńmyż, że i ruszczenie nazwisk polskich, n. p. robienie z wielkopolanina Klonowica jakiegoś niesłychanego przenigdy Rusina Klonowicza, jest tylko psowaniem pisowni jedynie poprawnej. Jeżeli Staszyca, księ-

życa, nie przerabiamy na Staszycza, ani księżycza, ani starościca, dziedzica, sędzica i t. d. na starościcza, dziedzicza, sędziczą i t. d., toć i Klonowica, Szymonowica, Zimorowica winniśmy przy ich polskiej zostawiać pisowni, a nie narzucać im ruskiej; dość złego, żeśmy sobie ruskich królewiczów i cesarzewiczów narzucić pozwolili, ale i im należy się tylko: fora z dwora. Całkiem co innego nazwy rodzin niegdyś istotnie ruskich, Woroniczów, Chodkiewiczów, Zyblikiewiczów, Tyszkiewiczów, Mamoniczów (wileńskich), Kuncewiczów, Mickiewiczów i t. d., te winny pozostać przy ruskiem *-icz,* ale pisownię Klonowicz, Szymonowicz i Zimorowicz jako ruską, nie polską, z podręczników szkolnych raz na zawsze wyrzucić należy. Również błędny zjednoczony zamiast zjednoconego od jednocić, a to od jednoty; żadnego jednoka przenigdyż nie było.

Wracamy do czasownika. Postaci, jak cierpiemy, widziemy, siedziemy i t. p., są wcale częste w wymowie, niemożliwe za to w piśmie. Bezładowi umysłowemu, zaniedbaniu strasznemu wszelkiej nauki i myśli za czasów saskich zawdzięczamy i te ślicznostki; jeszcze Krasicki, tych czasów wychowanek, pisał stale: widziemy, cierpiemy i t. d., co mu Dmochowski poprawiał. Pisownia nasza, taksamo jak rosyjska, ma pewny sposób na usuwanie wszelkich wątpliwości, każe radzić się postaci innych, jeżeliś co do jakiej nie pewien; wedle: cierpi, siedzi, widzi, spi, leży, dzierży, grozi, straszy i t. d., pisz: cierpimy, siedzimy, widzimy, spimy, leżymy (ale: polężemy wedle polęże), łazimy (ale: leziemy, wedle łazi i lezie) i t. d. Taksamo w odmianie rzeczownikowej radzimy się dalszych przypadków, jeżeliśmy co do pierwszego albo innego jakiego niepewni, róg wedle rogu, trwog, warg (składacz XV. wieku *wark* napisał i taka

słuchowa pisownia w całym XV. wieku była wcale częsta, dopiero drukarze ją usunęli); więc nie wolno pisać: kłótka (Krasicki stale tak pisywał), bo kłoda kłódki dowodzi; różdżka z powodu rózgi, nie rószczka. Takieto uwzględnianie innych postaci rozstrzyga ostatecznie, i Słownik prawopisowy byłby się ustrzegł błędów, gdyby wedle tej zasady postępował. Czytamy tam n. p. pod śmiać się „śmiali się, będziemy się śmiali“ (mniej powszechne: śmieliśmy się, śmieliście się, śmieli się i t. d.), podobnie pod siać, „sieli obok siali“; pod rozlać „rozlał, rozlali (rzadko: rozleli)“. Toć to sprosne błędy; nie wolnoż pisać: śmieli się, bo śmieli jest liczba mnoga od śmiały i taksamo nie wolno pisać czy mówić: rozleli, sieli. Dlaczego? przyczynę wykażą inne postaci: śmieli, śmiele, śmielszy, wymagają koniecznie i: oni nie śmieli; natomiast śmiać się, lać, siać, wiać, chwiać, dowodzą swojem *ia* przed *ć*, że ono i przed *l* ostać się musi, więc: śmiali się, chwiali, lali, siali, wiali; że w rozkaźniku mamy *ie*, lej, chwiej, siej, śmiej się, wiej, toć należy do: leję, chwieję, śmieję się, wieję, sieję, t. j. do czasu teraźniejszego; z nim zaś imiesłów na *ł* (lał, lali) nic nie ma spólnego, natomiast łączy się z bezokolicznikiem (lać). Nie można przeciw tej zasadzie wystawić czasownika: podziać się, podział się, gdzieście się podzieli, bo obok dziać się (w dawnej polszczyźnie dziejać się) jest i dzieć się, a do tego słusznie podzieli się należy.

Błędnie piszą w bezokoliczniku: dzierżyć, i dzierżył nawet, zamiast jedynie poprawnego: dzierżeć, odzierżał; dziś ustępuje prastare słowo, por. dzierżawa, nowszemu: trzymać; nienawidzić (i nienawidził) zamiast jedynie poprawnego nienawidzieć, nienawidział; odwrotnie zmyślono od nie tak dawna jakieś: musieć, myśleć, lubieć; musiał, myślał, lubiał zamiast jedynie poprawnych: musić (od

musu), myślić (od myśli, jak kupić od kupia i t. d.), lubić (od luby, więc lubił, lubiony, nie lubieliśmy, nielubiani); to poprawne *i* zachowały złożenia: zmyślić, przymusić, polubić. I z tej chropowatości możnaby język ogładzić a nic prócz błędnej nawyczki nie stoi temu na przeszkodzie.

Spierają się dalej, jak pisać: upadłszy, czy upadszy? Spór to właściwie bezcelowy, chociaż obu postaci używano dowolnie; postać: upadłszy obok upadszy jest wymysłem pisowni, co istniał w języku, chociaż zawsze piśmie, nie w mowie żywej już od początku XVI. wieku przez cały czas aż do XIX., póki gramatyka nie odrzuciła dobrej postaci: upadszy, a przepisała mylną: upadłszy. Jak dziś pisać należy, o tem nie można wątpić wedle zasady ogólnej, że nie należy nigdy więcej znaków kłaść, gdzie mniejsza ich ilość starczy, a więc upadszy bierze górę, nie dlatego, że prawidłowe i starsze, lecz dlatego, że krótsze. W dzieje tych postaci, jakiem się nieporozumieniem *upadłszy* zamiast *upadszy,* do pisma wkradło, nie wchodzimy; wystarczy napomknąć, że jak wymawiano: ukrad, a pisano wedle ukradła i t. d. zawsze: ukradł, taksamo mniemano, należy mówić i pisać: ukradłszy, chociaż słyszano tylko ukradszy; wniosek był mylny, ponieważ ukradł a ukradszy nic nie mają z sobą do czynienia. Należy więc pisać: upadszy.

Natomiast istotny błąd zaszedł w naszej pisowni, jak zgnieceni, zwiedzeni i t. p., gdzie liczba mnoga od pojedyńczej odbiegła; mówimy przecież: zgnieciony, zwiedziony, niesiony, wieziony i t. d., więc niesieni (zniesieni), wiezieni, zwiedzieni, zgniecieni — tu jednak zaniedbywamy „miękczenia“ i wedle całkiem odmiennych wzorów (zwodzony, zwodzeni i t. d.) mówimy i co gorsza piszemy zgniecenie, zwiedzenie i t. d. Przecież to nie dla nadmiaru miękczeń, mówimyż zniesienie, zwiezienie, więzienie i t. d.,

więc dlaczegoż nie pisać zwiedzienie i zgniecienie? Noszeni nie oddziałało na niesieni, bo *sz* i *ś* różnią się znaczniej, niż *dz* i *dź* w zwodzeni i zwiedzieni. Błąd szerzy się, dziś można już usłyszeć zgniecony zamiast zgnieciony; o wiele dawniej powstał zjedzony zamiast zjedziony, albo posiedzenie zamiast posiedzienia.

Zaprowadzono odróżnianie przymiotnika i czasownika, chociaż to jedna postać, n. p. osierociali synowie, ale synowie osierocieli, ci zniewieściali mężowie, ale żołnierze zniewieścieli w tym kraju, oni osiwieli, ale osiwiali starcy i t. d. Cóż o tem sądzić? Przymiotnikom osiwiali i t. p. przyświeca widocznie wzór biali, jak dziś zamiast bieli mawiamy. Kilka słów najpierw o tem zjawisku, co dziś jeszcze liczne ślady w języku pozostawiło, chociaż warunki jego zjawienia oddawna wszelkie znaczenie utraciły; wywód bowiem logiczny, jakoby po ustawaniu przyczyny ustawał i skutek (cessante causa cessat effectus) nie ma zastosowania w „gramatyce", t. j. w języku, gdzie przeciwnie po ustawaniu przyczyny pozostaje skutek, skoroż rozstrzyga dziedziczność postaci. Otóż język odmieniał wedle „twardych" czy „miękkich" brzmień otaczających *ia, io* i *ie* (przyczem z dawnej „miękkości" już i śladu nieraz niemaż), biały, bielić, bielszy, na bielenie; wiatr, na wietrze, wietrzny; ściana, ścienie, ścienny; siostra, siestrze, siestrzeniec; miotła, mietle; biorę, bierzesz; lazę, leziesz; gwiazda, gwiezdzie, gwiezdzisty; miara, mierze, mierny; wiara, wiarka, wierze, wierny i t. d. Od dawnej prawidłowości uchyliliśmy się znaczniej; mówimy już na ścianie (zawsze tak), gwiazdzie (gwiazdzisty), w miotle, siostrze, siostrzeniec (zawsze tak), lezę (zawsze tak) i t. d. To znowu wedle biorę, bierzesz, mawiają nawet najmylniej w świecie: wlokę, wleczesz, zamiast jedynie poprawnego: wlekę, wleczesz,

gdyż przed *k, g, ch*, odmiana ta niema miejsca, *ie* pozostaje stale, piekę: strzegę, nie piokę, więc i ćwiek, nie ćwiok!! Zresztą przestrzega czasownik dosyć stale zasady pierwotnej; wyjątkowo: czesać, wedle: czeszę, mawiamy, zamiast: czosać (por. niewyczosany; czosnek) ale u przymiotników i rzeczowników stan ten już się bardzo zachwiał. Więc mówimy biali, w nabiale i t. d.; śmiali ludzie; dział, w dziale, w udziale i rozdziale (chociaż poprawne: w rozdziele, zawsze jeszcze piszą), a działo i dzieło rozdzieliliśmy, całkiem dowolnie, jedno słowo na dwa znaczenia; podobnie: na czole (guz), i: na czele wojsk; miara, wiara prawidło zachowały, ale ściana, zamiana i t. p. je zarzuciły, jak i siostra, ciota i t. d.

Na tem więc polega owo dzielenie jednego i tego samego wyrazu na dwie postaci: zgrzybiali starcy, ci ludzie wcześnie zgrzybieli, t. z. wyraz użyty czasownikowo zachował postać prawidłową; gdy jest przymiotnikiem, utracił ją wedle wzoru przymiotnikowego: biali. Jest to dziwactwo językowe, ale skoroż istnieje, możemy się wedle niego stosować, chociaż miejsce mu na śmietniku.

O pisowni innych postaci czasownikowych nie myślimy rozprawiać; bezokolicznika: wziąść (i w złożeniach, przedsięwziąść i i.) nie znosimy w piśmie, zawsze tylko: wziąć (dosyć mamy na błędnem *iść* zamiast *ić*); jak należy poprawiać błędne: cierpiemy i t. p., o tem mówiliśmy wyżej.

X.

Ruchome czyli wsuwne *e* nasuwało piszącym w odmianie rzeczownikowej wątpliwości (bitw czy bitew i t. p., patrz wyżej); jeszcze liczniejsze napotykamy u przyimków, mianowicie *z* i *w*, rzadziej (albo raczej wcale już

nie) u innych, kończących się spółgłoskowo, jak *bez, nad, przed, przez* i t. d. Kiedy mamy pisać *ze, we,* i t. d., a kiedy *z, w*? Że zbieg spółgłosek tu nie rozstrzyga, jest widoczne; przecież piszemy: zdrzemię się, ale przenigdy: zdrzeć, chociaż spółgłoski te same, lecz zawsze tylko: zedrzeć; w dzwonie, w strumieniu, ale: wezwać, we zdrowiu. Przyczyna tego pojawiania się lub znikania ruchomego *e* zupełnie inna; ono zawisło od tego tylko, czy w następnej zgłosce było podobne ruchome *e,* n. p. mówimy: we Lwowie, ponieważ między *L* a *w* (por. lew) było niegdyś ruchome *e,* a ze dwu po sobie następujących ruchomych *e* zawsze pierwsze pozostawało, drugie zanikało. Piszącym dziś nie sposób już narzucać pierwotnej prawidłowości; bo któryż z nich wie cośkolwiek o przyczynach zanikania czy zjawiania się takiego *e;* mimo to można dać im nieomylną niemal wskazówkę. W razach wątpliwych przy jednym przyimku wystarcza bowiem uwzględnić drugi; jeden należy drugim „poprawiać". N. p. nie napiszemy nigdy: we wodzie, we Warszawie, boć tylko z wody, z Warszawy się pisze i mówi; nie piszmy: we Włoszech, boć mówimy i piszemy: z Włoch; nie: wewlekać, bo jest: zwlekać; zebrać, ale z bratem (w bracie); we sto ludzi, ze stem; we wtorek, ze wtorku; w środę, z środy; w sobotę, z soboty; we dnie, ze dna; w stolicy, z stolicy; we dwu, ze dwu; w trzech, z trzech; w który, z którego (powinno brzmieć we który, ze którego, ale nawykliśmy od dawna do mylnej postaci); we młynie, ze młyna; we zbiorach, ze zbiorów; zespolić, wespół; w znaku, z znaku. Że wymawiamy dla wygody: zeszywać, ze znakiem, zeszedł; zesunął się, wewlec, we dworze, we wodzie i t. d., zamiast prawidłowych: zszywać, z znakiem, zszedł, zsunął, wwlec, w dworze (z dworu, nie ze dworu), nie dowodzi

niczego dla pisma. Na tem to zjawisku polega owa stała wymiana, n. p. bezecny, ale bezcześcić kogo; wpychać, ale wepchnąć; wezbrać, ale wzbierze, westchnął (zamiast wezdchnął), ale wzdychać i t. d.

Dziś ulega prawidło licznym wyjątkom, wspomnieliśmy właśnie o takich, jak: z którym, w którym, zamiast *ze-*, *we-* (boć między *k* a *t* było niegdyś brzmienie samozgłoskowe, a na takież kończyły się i *w*, *z* samo, ze dwu zaś po sobie następujących brzmień głuchych: zě kěrego, pierwsze tężeje ku pełności: ze którego, drugie całkiem niknie); z dnia (zamiast ze dnia, por. dzień); dziś mówią już z Lwowa, w Lwowie. Po naszych gramatykach i prawopisach łączą to zjawianie się *e* z „utrudnieniem wymowy, ze zbiegiem kilku spółgłosek“, co jest wierutną bajką; niemiłe zbiegi ułatwia się w wymowie wyrzutnią: nie mówimy przecież: rozestąp się, lecz: rostąp się, piszemy tak nawet: rosół (z roz-sół, rozsolony); przyczyna istotna, zupełnie inna, jak właśnie widzieliśmy. U innych przyimków, z taką samą końcową głuchą, przewiódł język jednolitą ich postać, więc nad lub pod lwem; bez skazy, przez wtorek lub czwartek; obok: we drzwiach, lub: ze drzwi, mówimy już: przed drzwiami, nad drzwiami; zpode Lwowa lub nade Lwowem, należą już raczej do wyjątków.

Tu nasuwa się ciekawa uwaga prawidłowa. Owo natężenie pierwszej głuchej (ze mną) następuje tylko w obrębie jednego słowa, nie we dwu oddzielnych; więc stanowią oba słowa całość i należy je pisać razem. Piszemy też: przedewszystkiem, nadewszystko, ale ode mnie, nade mną, pode mną, chociaż to *e* wisi zupełnie w powietrzu, przecież ono takie samo, jak w: odebrać, nadebrać, podebrać; kłóci się wręcz pisownia rozdzielna z nierozdzielnością zwrotu. Poza *z* i *w* już nieznaczne dawnego stanu ślady;

bezemnie, przezemnie zachowaliśmy jeszcze, ale mówimy już tylko: bez wszystkiego, przez wszystko i t. d.

Aby z chwiejnością w używaniu *z, ze* i *w, we* pokończyć, wystarczy prawidło, że uwzględnia się oba przyimki czy przedrostki, zanim się włoży do pisowni poprawnej. Ponieważ mówimy wszywać, winno się pisać zszywać, przenigdy zeszywać, a więc i zeszyt zamiast zszytu winienby paść ofiarą w pisowni (co innego w wymowie). Uzupełnić je można drugiem, że używamy *ze, we,* gdziekolwiek czujemy złożenie, a więc we zbiorach, nie w zbiorach, bo z-biór złożone (niegdyś zĕ-biór); w znawstwie, w znamieniu, w znaki, bo zn- pierwotne, złożenia niema, ale we zniszczeniu, we znęcaniu i t. d.; we zrazie, we zrębie, por. wezwać (zowę) i t. p.; zwlec (nie zewlec), z włosienia, z włości; z Włoch; ale ze włożenia, ze wnętrza, ze wpajania, ze wręczenia i t. d. Lecz rozśmiałem się, nie roześmiałem, pisać należy, por. rozśmieszyć kogo; rozezbroić, rozezbrojenie (nie rozbroić, rozbrojenie, gdzie całe *ze* połknięto, przecież od zbrojenia, nie od brojenia poszło), rozebrzmieć, nie rozbrzmieć; wedle: rozetrę, rozeprę, mówimy i rozetrzeć i rozeprzeć, co jest mylne, zamiast: roztrzeć, rozprzeć (por.: roztarł, rozparł, i: rozpiąć, rozciąć, ale rozepnę, rozetnę).

Pisownia samego przedrostka i przyimka *z* nasuwa jeszcze jedną uwagę. Dziś służy on nam przy ruchu trojakim: przy połączeniu (iść z kim), przy zchodzeniu (zszedł, nie zeszedł, z góry), przy wychodzeniu (idąc z lasu, z pola); spadły się w nim dwa niegdyś zupełnie odrębne przyimki, *s* i (iz) *z*, które Czech wierny swojej pisowni „historycznej“, „etymologicznej“, t. j. uwzględniającej stan pierwotny, pochodzenie, nie wymowę, stale rozróżnia; pisząc: s nami, s weczera, se mnou, ale: z lesa, z rana, z pamieti i t. d. U nas bez najmniejszej różnicy:

z nami, z wieczora, ze mną, z lasu, z rana, z pamięci. Oddzielnego tego *z* nigdy też inaczej nie piszemy: z tobą, z siostrą i t. d., bez względu na wymowę. Przeciwnie, skoroż to *z* jest przedrostkiem, najniepotrzebniej w świecie rozróżniamy dwie jego postaci; piszemy jedną przez *s* przed pewnemi spółgłoskami; drugą przez *z* przed ninemi; więc: skraść, spaść, stopić, schodzić (ale zejść!), ściągnąć, sczesać, ściąć, scedzić i t. d.; natomiast: zbić, zwalić, zdać, zgnieść, zlać, zmiąć, zniszczyć, zhańbić, zżółknąć, zziębnąć. Dotąd możnaby różnicę pisowni od biedy uzasadnić (przeciw najogólniejszej naszej pisowni zasadzie) wymową, ależ: zszyć, wymawiamy jak: zczesać; zsadzić jak scedzić; zsiąść jak ściąć, mimo to piszemy je również przez *z*. Jedyne z tej niejednostajności wyjście polega na tem, aby stosując się do ogólnej zasady pisać każde *z*, przedrostkowe jak przyimkowe, przez *z*, a więc: z tobą, zkąd, ztamtąd, zpaść, zkraść, zpiąć, ztarty (wedle zetrzeć, my dziś jedno starty, drugie zetrzeć, piszemy!), zejść i zchodzić (a więc i zchody, nie schody) i t. d. To samo dotyczy przedrostka *wez* lub *wz*, który również wszędzie przez *z* pisać należy, wzruszyć, wezbrać, wzrost, wzdąć, wzkrzesić, wzchodzić (wzejść), wzkazać, wzkazówka; co innego wskoczyć, gdzie *zs* w *s* przeszło (por. męski i t. p.), wzpomnieć, wzpomóc, wztręt, wztrząsnąć (ale wstać z *z* + *s*; stać się pisano jeszcze w XVI. wieku zstać się, ruskie sostojat', myśmy złączyli zupełnie złożone zstać, sstać, z niezłożonem stać). We wszcząć zamiast wzcząć, wściec się zamiast wzciec się, posunęliśmy pisownię jeszcze dalej. Rozróżnianie pisowni *z-* i *s-*, *wz-* i *ws-* niema najmniejszej zasady, skoro n. p. bez, roz, zakończone na to samo *z*, zawsze przez *z* piszemy: bezpieczny (a więc i zpaść), a już przed *roz* uginamy chyba kolana, tak starannie je

zachowywamy: rozstrzygać, rozstrój, rozkaz (a więc i zkazać, wzkazać, przecież jedno tak dobre jak drugie). I u innych przedrostków ani nam się śni o jakiemś różniczkowaniu; piszemy: odtrącić, odpaść, odpisać (jedyna otchłań i otwór ocalały pierwotną tego przedrostka postać, dawniej było i otemnie i t. d.); taksamo: przedpiekle, przedślubny, przedtem, chociaż *-t* wymawiamy: nadtłuc, nadstawić i t. d. Więc dlaczegóż dla jedynego *z* z ogólnej zasady robić wyjątek?

XI.

Jeżeli się znalazł czytelnik, co aż dotąd cierpliwie wywody moje śledził, toć teraz przynajmniej — jeśli nie o wiele wcześniej — zawoła: cóż to za sposób obchodzenia się z językiem? jakżeż można narzucać ogółowi, t. j. temu, kto język wytwarza i przechowywa, wbrew jego poczuciu językowemu, czy nawyczce jego (a ta w języku o wszystkiem stanowi) jakieś prawidła czy pęta? Jeżeli wszyscy mówimy wyraźnie: częstować, szczęka; noce, wsie, twarze, rozkosze, straże; jedną czy inną czy tamtą osobę; gimnazyum — gimnazyów i t. d.; jeżeli wszyscy piszemy i to nieraz od wieków: ogórek, ogół; upadłszy; módz, biedz i t. d., toć nie przyznamy nikomu prawa narzucać nam pisownię odmienną od tej, do którejśmy nawykli i przyniewalać nas do jakiegoś obcego nam czestowania i szczeki, do: nocy, wsi, twarzy, rozkoszy, straży i t. d. Język przecież, to nie organizm, którego żadnej cząstki naruszać nie wolno; to nie budowla, jaką filolog wystawił i w niej się dowolnie rozrządza; to wytwór stopniowy różnych miejsc, czasów i wpływów, którego nie obowiązują zasady czy prawidła — te przecież z języka naszego wywodzimy, nie na odwrót; wystarcza też zgoda ogólna;

prawidłem jest, co ogół uświęcił i dla liberum veto filologicznego niemaż tu miejsca.

Wszystko szczera prawda i chętnie uznajemy prawomocność tego, do czego się ogół mówiących przyznaje; mimo to twierdzimy, że wolno język odmieniać czy „naprawiać“, t. j. zniewalać go do porzucania wadliwych postaci czy pisowni, nawet wbrew ogólowi mówiących, choćby ich cały lud nawet popierał. Oto n. p. postać *se*, zupełnie prawidłowo z *sobie* powstała, jak n. p. człek z człowiek; „niech se pójdzie“ słyszał i mówił już każdy z nas; za czasów saskich używano tego *se* ogólnie, i w wierszu i w prozie; jest to postać ludowa i mimo to miejsca dla niej w piśmie nie ma, nie zniesiemy jej, obstając przy prawidłowem: sobie. Czyż to nie poprawianie języka? A te tak wygodne postaci: wsiów, mszów, oknów, myszów, komisyów i t. d. (powszechne u ludu i w całym XVIII. wieku), czy nie wyświeciliśmy ich tak z języka, że tylko: Jegomościów ocalało (i to dzięki znaczeniu swemu). A od czegoż uczymy się prawopisu? czyż i on nie gwałci naszego poczucia (czytaj: widzimisię) językowego? Znałem filologa-modernistę, co wszelki prawopis znosił; wymagał, aby każdemu pozostawiono do woli jak pisać chce (nie pytałem, czy to się tylko do listów osobistych, czy też i do druku odnosi?).

Jeżeli wolno każdemu pisać, jak mu się zamarzy, nie wiem, dlaczegoby i mówić tak nie mógł? Litwin mówi: ja przyjechawszy, on odszedł; może się nawet na króla Leszczyńskiego powołać, co taksamo zdania łączył — czyż i to płazem puścimy? i każde inne psowanie polszczyzny? (nie psucie, zepsucie, boć od psa, por. psotę, nazwane i tylko psowaniem, zepsowaniem być może; patrz, cośmy wyżej o knuć zamiast knować powiedzieli). Błędom należało się opierać przy pierwszem

ich zjawianiu, gdyż zakorzenionym trudniej, albo wcale nie podołamy, ależ u nas przez cały wiek XVIII. nikt się nie sprzeciwiał najazdom gwałtowników, ruskim i pruskim, cóż dopiero najazdom słownikowym i gramatycznym! Byliż ludzie dobrej woli, co począwszy od XV. wieku bronili języka, sarkali na jego zaśmiecanie cudzoziemszczyzną, na jego poniżanie wobec niej, na dziwactwa wkradające się do niego — taki n. p. Górnicki, co braki większego uzdolnienia troskliwością o język zastępował, ale ich usiłowania dorywcze (Ostroroga, Fredry i i. w XVII. wieku) nie zastąpiły celowej pracy; na brak jej i dziś jeszcze utyskiwać musimy. Może Niemcy czasami śmieszni z zabiegami o tworzenie wszelkich możliwych związków i towarzystw, ale i tu nie zawadziłoby nam wcale pójść za ich przykładem, otrząść się z niedowierzania pracom zbiorowym i założeniem Towarzystwa Przyjaciół Języka Polskiego, iść w zawody z ich „Sprachverein“ i jego pożyteczną zabiegliwością.

Język jest z przyrody swej zachowawczy (bo inaczej nie spełniałby zadania swego, służyć narzędziem porozumiewania się); mimo to mówiący lubią odmianę, chwytają się różnych dróg, sami porzucają jedne, obierają inne. Mieliśmy n. p.: szczekę, zachowaliśmy ją w: paszczece, ale z szczeki zrobiliśmy w wieku XVII. szczokę (mieniając przeciw zasadzie ogólnej *e* w *o*, jak w wlokę, macocha, pożoga, ożóg i t. d., zamiast jedynie prawidłowych: wlekę, macecha, pożega, ożeg), lecz inni obrali: szczękę i tą drogą, a raczej manowcem, poszliśmy wszyscy. Bywa tak wszędzie, u nas jednak więcej, niż gdziekolwiek indziej. Jak o młodszości naszej cywilizacyi, co słuszna, tak prawią i o młodszości naszego języka („język to w swej fazie twórczej, w okresie młodości, zanadto wolnościowy, zbyt bogaty“), co całkiem niesłuszne —

język n. p. rosyjski, nie starszy od naszego, mimo to w znacznej mierze (n. p. w odmianie słów rzeczowych) nie podziela wcale naszej „wolnościowości“, jest bardziej skrępowany w postaciach. Więc jeżeli mówiący sami kroczą różnymi torami, miałożby być zabronione ich wytykanie, przestrzeganie przed mylnymi, polecanie tych, co do celu prowadzą?

Czytamy n. p. „w podatnych dla się medyach“, albo „nie bierzemy na się i t. d.“; kto tak pisze, mógłby się nawet powołać na: przedsiębiorca, przedsiębiorstwo (por. odbiorca, ale spadkobierca uczy, jak słowa te właściwie brzmieć winny, przedsiębierca, odbierca!), na przedsięwzięcie, na dawne przysłówki zaś (z zasię) i przecie (z przed się) — mimoto przywykliśmy dziś do tego, aby: mię, cię, się, nie kłaść po przyimkach, aby mówić: na ciebie, nie na cię i t. d., więc skarcimy owo wznawianie dawnego zapomnianego sposobu mówienia. Z *się* grzeszymy i w innych razach, szafując niem aż nazbyt przy czasownikach zwrotnych i rzeczownikach od nich urobionych, n. p.: przy rozporządzaniu się, zamiast samego: przy rozporządzaniu.

Te i podobne, to błędy osobnicze i te karamy. Co innego wolności językowe, n. p. wybór albo raczej wolność wyboru między rozmaitemi „końcówkami“, t. j. postaciami słownemi, znamienna dla języka polskiego bardziej, niż dla jakiegokolwiek innego. Pytamy n. p. jak pisać: pisarzów czy pisarzy? uczniów czy uczni? wymędrkowano nawet jakąś między niemi różnicę znaczenia; pisarzów polskich, ale pisarzy gminnych, uczniów w szkole i uczni rzemieślniczych, co wierutna bajka. W innych razach zachodzi istotnie różnica znaczenia, zbiega-jeńca rozróżniamy od zbiegu-przypadku, druta (pończochy) od drutu (telegrafowego — czy to nie krócej

i lepiej, niż: telegraficznego?). Jakież damy piszącemu wskazówki co do wyboru różnych postaci?

Obfituje w nie język polski nierównie więcej, niż n. p. rosyjski; najbardziej w liczbie pojedynczej rodzaju męskiego; u żeńskich i nijakich tego niema wcale, bo u nich nie było więcej odmian rozmaitych, stapianych w jedną. Więc drugiego przypadku postać jest z *-a* lub *-u,* druta i drutu, bez początku i końca i t. d.; prawidło znane: nazwy martwe obierają *-u,* żywe (zwierzęce, osobowe) *-a,* zbiegu i zbiega; syna, woła, ale: domu, miodu; lecz prawidłu najogólniejszemu bróżdżą rozmaite „wyjątki"; nazwy rzeczowe na *-k* lub *-c* przybierają *-a,* wedle większości rzeczowników na *-k* lub *-c,* jako nazw żywych, więc piórnik piórnika wedle grzesznika, stolca wedle szewca, odwrotnie: naród, narodu, wedle: ród, rodu; sejmu wedle: rozejmu, najmu i t. d.; ponieważ zakończenie *-a* czasowo starsze, więc zatrzymały je nazwy miesięcy, miar, gier i monet. Zresztą nawet w nazwach geograficznych wahamy się między liczniejszemi, dawniejszemi na *-a,* a rzadszemi i nowszemi na *-u,* Rzym wedle wszystkich innych na *-m* (dom, tram, kram, Krym, prom, srom, rym, rum, dym) *-u* otrzymał; Dunaj zaś od wszelkich innych na *-aj* (kraj, rodzaj, zwyczaj, liszaj i i.) *-u* przejął; nie należy jednak zapominać, że Śląsk, Gdańsk, Lipsk, Płock i inne na *-sk, -ck* bywały niegdyś nijakiemi, Śląsko, Płocko, Gdańsko i t. d., i jako nijakie *-a* obierały (Rypino, nie Rypin, niegdyś i tak bardzo liczne).

I postać trzeciego przypadka dwojaka, na *-u* i na *-owi. Owi* należało wszystkim nazwom-imionom (Rosyanie *-owi* dziś wcale nie znają, ale po ich kronikach nazwy osobowe zawsze *-owi* przybierały); za osobowemi poszły i urzędowe: królowi, hetmanowi i t. d., chociaż niejedna

z nich nazwa ocaliła dawniejsze *-u:* panu Bogu, księdzu, bratu, mężu (obok mężowi, co pospolitsze), chłopu i chłopcu', ojcu i t. d.; *-u* widocznie ustępuje przed dłuższą, więc wyrazistszą postacią; jeżeli natomiast do: Lwów, Kraków i t. p. zawsze urabiamy: Lwowu, Krakowu i t. d., to przyczyna widoczna: unikamy przykrego *(-owowi)* następstwa; co dziwniejsze, język nie korzysta z *-owi* dla odróżniania 3. od 2. przypadka: snu, stołu, brogu i t. d. są oboma.

Czwarty przypadek u wszystkich Słowian bądź pierwszemu bądź drugiemu równy, pierwszemu u rzeczowych, drugiemu u żywych (jedyne u nas wyjątki zastarzałe: iść za mąż, na koń siadać, na św. Jan) i to samo przeniesiono do liczby mnogiej (tu Rosyanin nas prześcignął wyjątkowo, my kupujemy ryby, on ryb i t. p.).

I wołacz podwójny; wołacze na *-u* od „miękkich" (kraju, rodzaju, królu, gościu, mężu, wężu, nauczycielu i t. d.) są odwieczne; używamy ich również przy gardłowych, aby unikać miękczenia: duchu, grzechu, Wojciechu, ziomku, wrogu i t. d. (tylko Boże, człowiecze, księże i „żywe" na *-e,* chłopcze, ojcze i t. p. ocalały); zresztą *-ie,* przed którym wymiana dawna *io-ie* już ustała, Piotrze (Pietrze u ludu i w żartobliwem: nie pieprz Pietrze i t. d.), miodzie i t. d. Siódmy przypadek podobne przybiera postaci, utracił już jednak dawne: w Bodze (por. w nodze), człowiece (por. w ręce), dusze (por. w musze), co jednak u przymiotników, używanych przysłówkowo ocalało: wielce, na prędce (por. źle, wcale, omale, nie male, co w omal, niemal skróciliśmy), wysoce, wkrótce. Dziś używamy *-u* wyłącznie po gardłowych i po miękkich, jedynie niemal: w panu (Bogu) przypomina, że niegdyś i po innych spółgłoskach to *-u* się zjawiało.

Pierwszy przypadek liczby mnogiej męskiej dosiągł

szczytu, gdyż nie mniej, niż sześć postaci przybierać może: osobowe -i: Polacy (chłopi, żydzi, Litwini, Rusini, Niemcy, Włosi, hetmani, cygani — nie cyganie, przecież drugi przypadek cyganów, nie cygan, Hiszpani — taksamo, młodziani — taksamo); osobowe -owie: panowie (królowie, wszelkie nazwy urzędowe i osobowe nawet od żeńskich i nijakich: sędziowie, Kmitowie, Tarłowie i t. d.); osobowe -ie z -ije: ludzie, goście, kmiecie, a wedle nich: męże, oracze, pisarze, lekarze, stróże, króle, przyjaciele i t. d.; osobowe *-ie* z pierwotnego *-e,* Polanie, Rzymianie; tu należy i dnie, z pierwotnego dne albo dnije, tygodnie (zamiast tegodnie, a raczej tydnie, co u ludu istnieje), postać: *dni,* jest błędna, należała do 2. i 4. przypadku, nie do pierwszego. Rzeczowe *-y* albo po miękkich *-ie:* stoły, psy, wilki, początki, środki, dachy, stogi, brzegi, i t. d.; konie, niedźwiedzie, ołtarze, pieniądze, miesiące, końce, strumienie, cienie (ta cień, w liczbie mnogiej cieni, dziś już tylko narzeczowe); nakoniec rzeczowe twarde *-e* w romanse i t. d., sekwense już w r. 1658. — przyczyna tego -e niejasna. Postaci rzeczowej używa się i dla osób, czy to z odcieniem lekceważenia co bardzo znamienne dla nas samych: żydy, chłopy, Polaki, Rusy, katy, wrogi, Mochy; czy od imion ludowych dla oznaczenia ziemic: Węgry obok Węgrzy, Włochy obok Włosi, Czechy — Czesi, Prusy (obok dawnych: Prusowie, dziś Prusacy), Niemce — Niemcy; dziś jak najmylniej „Niemcy“ i dla ziemicy występuje zamiast jedynie poprawnego: Niemce.

Postać drugiego przypadka trojaka: bez wszelkiej końcówki, do tych czas (pisane od dawien dawna razem), do Węgier, do Czech, do Włoch, do Niemiec, niegdyś i do Turek; przyjaciół, Polan, mieszczan (ale poganów, Chrześcianów, cyganów, młodzianów, Hiszpanów, boć to nie nasze *-ianin, -ianie,* lecz *an* łacińskie). Postać ta dla braku

wyrazistości (zachowana w odmianie żeńskiej i nijakiej: tych ryb, pól) dawno ustąpiła miejsca dwom innym, na -ów lub -i, pisarzów i pisarzy, ci uczniów i uczni, słuchaczów i słuchaczy, wielbicielów i wielbicieli i t. d. Istotnej między niemi różnicy niema; jest ta, że *-ów* pospolitsza, znacznie góruje, nieraz wręcz prostacka wobec „delikatniejszej“ na *-y,* o czem łatwo się przekonasz, porównywając stróżów i stróży, strusiów i strusi, śledziów i śledzi, talerzów, nożów, widelców i talerzy, noży, widelcy, sążniów i sążni, groszów i groszy, uszów i uszy (oczów rzadsze znaczniej), strumieniów i strumieni (kamieniów rzadsze znaczniej); pieniędzy, tysięcy, miesięcy, zajęcy (ale i zajęców), liści, paznokci (ale i paznokciów), dni (tygodni, ale suchedniów) i t. d. Postać *-ów* za czasów saskich groziła zalaniem powszechnem, bo docierała i do mszów, wszów, wsiów, oknów, ognisków; przysłowiów — dziś równie mylnie, ale w przeciwną stronę, przysłów — poprawne byłoby przysłowi, czego wcale nie używamy, ponieważ wiele nijakich na *-ie* z *-ije* spadło się z dawnemi na *-je;* znaczenie, powtarzanie, ściągnięcie i t. d., odmieniamy jak: morze, pole; więc: znaczeń, powtarzań i t. d., jak pól, mórz i t. d. — tak u wszystkich na *-nie* i *-cie,* podczas gdy u innych *i* jeszcze ocalało: narzędzi, narzeczy, przymierzy, podziemi, bezprawi, przedmieści (ale często i do przedmieść, do podziem, tych bezpraw).

Tu wyjątkowo i w odmianie żeńskiej, odznaczającej się zresztą znaczną stałością (oprócz wahania owego co do: twarze czy twarzy, wsie czy wsi i t. d., zob. wyż.), pole dla dowolności, wolnoż mówić: piekarń (i tak u wszystkich podobnych) i piekarni, wieczerz i wieczerzy, sukien i sukni, studzien i studni, kropel i kapel (właściwie kropl i kapl) i kropli, kapli, czapel i czapli,

grobel i grobli, szabel i szabli, wiszeń i wiszni, trzeszni i trzeszeń (zamiast poprawnych postaci z *sz* wkradły się do pisma i mowy mniej poprawne z *ś*, trześnie, wiśnie), luteń i lutni, ale tylko: łaźni, kłótni, zbrodni, pochodni, wyroczni, rękojmi i t. d. Przeróżne to postaci i nie myślimy ich wedle właściwego pochodzenia rozdzielać, dawne i prawidłowe od późnych i mylnych (n. p. wieczerzy, mszy i i.), skoro już język XV. i XVI. wieku wahał się w obieraniu jednych i drugich. Nie rozstrzyga bynajmniej, jak i w innych razach nie, wzgląd na odróżnianie od tegoż przypadku liczby pojedynczej; spalni, kopalni, spiżarni, stajni (obok stajen), jest jedno i drugie; baczyć należy na znane i z innych języków słowiańskich, n. p. z rosyjskiego, stwardnienie końcowego *ń*, studzien, nie studzień, sukien, nie sukień i t. d.

Szczytu dowolności dosięgł język w odmianie rzeczowników sędzia i hrabia (margrabia, burgrabia). Skuszony odmianą nazw urzędowych przymiotnikową (woźny, chorąży i t. d.) porzucił w liczbie pojedynczej dawną żeńską dla: sędziego, sędziemu, zatrzymał ją w wołaczu i w przypadku szóstym (sędzio, z sędzią), a w liczbie mnogiej przeszedł zupełnie do rzeczowników męskich, sędziowie, sędziów i t. d. Jakżeż siódmy przypadek liczby pojedynczej? Gramatyki uczą: w sędzim, hrabim (tak było w XVI. i XVII. wieku), albo: w sędzi, hrabi (tak było jeszcze dawniej) — ale my tak nie mówimy, mówimy z męska: w sędziu, hrabiu i to już od XVII. wieku napotykamy. Gramatykom naszym nie zawsze dowierzać można — jedna z tego nauczka, a druga: dowolności językowej granic nie zakreślisz.

Inny przykład. U czasowników wzoru: schnąć, bladnąć (na jego miejsce wkrada się blednąć do blednieć; a odwrotnie zamiast: bledziutki, bledszy, bledzi,

wkrada się: bladziutki, bladszy, bladzi, szczególniej ten dziś przeważa; jednak mówimy dotąd bez wyjątku poprawnie: zbladł, zbledli) i t. d., ich *-nął-* pozostaje albo odpada przed *ł* i *szy* (mniej często odpada przed *-szy*). Wedle dawnego prawidła utrzymywało się zawsze to *-nął-* po samogłosce pierwiastkowej, więc tylko: stanął, stanąwszy, usunął, zwinął, utonął, minął, lunął (zamiast linął), płynął, słynął i t. d.; natomiast odpadało po spółgłoskach: ogłuchł, oślepł, uschło, zwiędło, zziąbł, zmarzło, ukląkł, zabłysło, zakwitło, umilkł, ochłódł, ochrypł, zmókł, znikł, zasłabł, wystygło, schudł, zgasł i t. d. (mylnie wstawiają tu gramatycy urobienia na *-ł*, co wcale nie od *nąć* poszły, n. p. zakwitł od zakwiść, ukradł od ukraść, pobiegł od pobiec; przysiągł od przysiąc, poległ od polec, ugrzązł od ugrzązć i i.); w języku pospolitym można więcej tego znaleźć: kopła, dmuchła, udźwigła, szarpła, prysła, stukła — mniej w rodzaju męskim. Tu waha się pismo nieraz między jedną a drugą postacią: zniknąwszy i znikszy, uklęknął i ukląkł i t. d. Dalsze wahanie widzimy u tych samych słów w trybie biernym między postacią *-iony* a *-ięty:* natchniony i natchnięty, ciągnienie i ciągnięcie, ciśnienie i ciśnięcie, doścignięty i doścignięty, ogarnienie i ogarnięcie, zamknienie i zamknięcie (zamknięto posiedzenie, nie: zamkniono; pociągnięto do odpowiedzialności, nie: pociągniono; wyrznięto, nie: wyrzniono i t. d.); pozostaje to w związku z ogólnie polską dążnością do rozszerzania postaci *-ty* w miejsce *-ny*.

Szczycimy się językiem, coś jak państwowością naszą, t. j. ofiar nie chcemy dla nich ponosić, jakby bez ofiar i trudów czegośkolwiek wielkiego i trwałego dosiąc można. Na szczęście nie wymaga od nas poprawność językowa ofiar czy trudów zbytnich; nieco uwagi i pilności wystarczy, aby odwiać plewy od ziarna i z naleciałości,

jakiemi przeważnie nieuwaga, niedbałość, leniwstwo, mędrkowanie niepotrzebne pisownię i język upstrzyły, oboje odczyścić. Niejednemu czytelnikowi wyda się może mowa moja zbyt twardą, wymagania zbyt wygórowanemi, naprawa zbyt uciążliwą, ale jak przyzwyczailiśmy się do pisowni mylnej, tak się też od niej odzwyczaić możemy Język niewzruszonym nie jest; właśnie w ustępie ostatnim zebraliśmy przykłady znacznej dowolności, umyślnie, aby wykazać, jak swobodnie język sobie poczyna; jak wybiera to i owo; jak nas niby upoważnia, abyśmy za jego wzorem rozpatrywali się w skarbie odziedziczonym i ze wszelką dla niego czcią należytą pytali i badali, czy nie na czasie rozstrzygnąć ostatecznie rozmaite wątpliwości, usunąć rozmaite niedokładności, uruchomić rozmaite zasoby, odnowić i oczyścić niejedno, u kolebki nowego państwa, w przededniu zmian stanowczych, stawić się choćby z drobną poprawą językową, z ustaloną bardziej pisownią. Czy innym sposobem ściślej dowiedziemy, jak wysoko cenimy nasz język?

Wyrazy obce i ich znaczenie.

I.

Pomniki dziejowe ludzkości spoczywają w archiwach naziemnych i podziemnych. Pierwsze — to budowle i ich zwaliny, drogi i mosty, mury i okopy; dalej zabytki piśmienne po skałach i kamieniach, na skórze i papierze, a w nich podania i dzieje, przepisy wiary i prawa, inwentarze i rachunki; wszelkie zabytki sztuki wielkiej i małej; wreszcie, najprostsze i najtrwalsze, nazwy gór i rzek, ludów i miejscowości, a choćby i słowa pospolite. Z takich to archiwów korzystało wyłącznie dawniejsze dziejopisarstwo, od Herodota do Rankego.

W archiwach podziemnych, w jaskiniach i kryjówkach, mogiłach i kopcach, kości ludzkie i zwierzęce, broń i narzędzia, ozdoby i monety, resztki koczowiska, mieszkania, miejsca obronnego czy ofiarnego, zamulone, porosłe, zapadłe, czekają wydobycia przypadkowego, przy orce, karczowaniu, trasowaniu dróg i nasypów; albo umyślnego, gdy starożytnik bada ich zawartość, albo gdy, nieraz tysiąc lat przed nim, złodzieje skarbów zakrytych szukali!

Tajniki i tych archiwów były również od dawna wszystkim dostępne, lecz czytać w nich nie umiano. I tak

n. p. wykopywano kości zwierząt „przedpotopowych“, lecz uważano je przez najdłuższe wieki za ludzkie kości naszych praojców, jakichś bohaterów, wielkoludów:

Podobnie pleban mirski zawiesił w kościele
Wykopane olbrzymów żebra i piszczele.

Takie same zawieszano na wrotach u św. Szczepana w Wiedniu i po innych świątyniach lub domach, n. p. w Berlinie przy uliczce Piotra. Również od najdawniejszych czasów znachodzono krzemienne siekiery, młoty i groty, lecz uważano je (aż do XVIII. wieku) za piorunowe i chowano starannie w celach nie archeologicznych, lecz leczniczych i zabobonnych. Wydobywano i gliniane naczynia z ziemi, ale zamiast ludzi pomawiano przyrodę, że to ona jakimś dziwnym popędem, jakąś osobliwą siłą plastyczną, sama je wytworzyła. Zapisujący podobną bajkę Długosz tylko ogólny przesąd powtórzył, co jeszcze w XVII. wieku panował.

Rozczytał się w tem archiwum dopiero wiek dziewiętnasty; odróżnił za Cuvierem resztki zwierzęce (od ludzkich) i odtworzył z nich zaginione typy, a pozbywszy się nakoniec przesądu o późnem zjawieniu się człowieka na ziemi, ułożył i uporządkował warstwy, świadczące o powolnym postępie człowieka przez okresy bezkruszcowe (z narzędziami z drzewa, kamieni, rogów i kości), do kruszcowych (miedzi, bronzu i żelaza); lecz poza tę całkiem zewnętrzną, a do tego wedle miejsc i czasów bardzo niepewną i chwiejną klasyfikacyę, dotąd nie postąpił. Innemi słowy: archiwa podziemne tajemnicy swej nie wydały zupełnie ; mowa ich, tak wyraźna, pozostała dla nas dotąd „niemą“.

Przedewszystkiem nie udzielają odpowiedzi na najpierwsze, najciekawsze zagadnienia: do kogóż należą właściwie wszystkie te zabytki, do jakich ludów, żyjących

Biblioteka P.A.N. w Krakowie

czy wymarłych? Dalej, skąd ta wielorakość typów ludzkich, nie po całej ziemi i przez wszystkie wieki, lecz w byle jakiej dzielnicy i w tym samym okresie czasu? I tak n. p. dzisiejszą wielorakość fizycznych typów francuskich stwierdziła antropologia już we Francyi epoki kamiennej; nie rozwiązawszy więc zagadki, cofnęła ją wstecz o lat trzy lub cztery tysiące. Archeologowie znowu nadużyli naszej łatwowierności, łącząc zmiany samych epok, samej kultury, bezpośrednio ze zmianami ludności, z jakiemiś fantastycznemi wędrówkami, najazdami i podbojami; nawet na tak odrębnej, odosobnionej ziemicy, jaką jest Skandynawia, archeologowie, n. p. Hans Hildebrand, z czterech jej epok (kamienia, bronzu, żelaza — starszej i nowszej), czterokrotną zupełną zmianę ludności wywodzili, lapońskiej, celtyckiej, południowo-germańskiej i wschodnio-germańskiej, czyli szwedzkiej, jakoby z Rosyi w szóstym stuleciu po Chrystusie przybyłej, podczas gdy z innych źródeł wiemy, że Szwedzi już od wieków w Szwecyi siedzieli!

Zawodzą i wszelkie inne zasady archeologiczne, n. p. przywiązują wielką wagę do rozmaitych sposobów chowania zwłok, przypisując je rozmaitym ludom i wiekom, lecz wiemy przecież, że nieraz u jednego ludu równocześnie używano wszelkich możliwych sposobów, n. p. palenia całkowitego lub częściowego, grzebania samych szkieletów lub całych trupów w ziemi lub w trumnie z drzewa albo kamieni i t. d., wedle rozmaitych odłamów czy warstw ludowych. Dość wskazać Słowian, Litwinów i Rzymian.

O odtworzenie dziejów i wędrówek przedhistorycznych na podstawie zwyczajów grzebalnych pokusił się generał Pothier w dziele p. t. „Les populations primitives“, Paryż 1898 r.

Rozważając typy grzebalne i rozmieszczenie ich na karcie, rozróżnił trzy grupy etniczne w dobie przeddziejowej starego kontynentu: ludy megalityczne, chowające w tak zwanych dolmenach kościotrupy, obnażone z mięsa i muskułów; są to ludy koczujące, pasterze i rybacy, odważni żeglarze, z religią nader pierwotną; zjawiają się najpierw w Azyi, Europie i Afryce, szczególniej na wybrzeżach. Za nimi idzie grupa ludów, palących zwłoki, wcześnie osiedli uprawiacze roli, oddani rzemiosłom, produkujący w sposób fabryczny; pojęcia ich religijne są już uduchowione, gdyż w dymie zgliszcza unosi się dusza w niebiosa. Najpóźniejsza grupa ludów, grzebiących trupów w ziemi, to najezdnicy i handlarze, ujarzmiający lub rozpływający się w grupach poprzednich. Jest to cały romans archeologiczny, w szczegółach bardzo ciekawy. O ścieraniu się rozmaitych typów grzebalnych w obrębie jednego plemienia pouczają nas mity litewskie o Sowim i jego synu najmłodszym (grzebanie w ziemi, w trumnie i palenie), mity tybeckie o pierwszym człowieku i jego synach (grzebanie, palenie i wystawianie na żerdziach dla ptactwa drapieżnego). I Ruś normańska, paląc zwłoki umarłych, wyśmiewała obrządek mahometański grzebania.

Archeologia poucza nas, jak w czasach przedhistorycznych ludzie żyli, czem się żywili, bronili, zdobili, ubierali; jak mieszkali, jak chowali zmarłych; jak leczyli żywych (trepanacyą, dziurawieniem czaszek, przeciw epilepsyi); jak łowili zwierzęta w owych słynnych łapkach na bobry, wydry, czy ptactwo wodne, o które dotąd uczeni spór toczą, o czas ich i przeznaczenie; jak psa najpierw, potem inne zwierzęta oswoili; jakie zbierali zboża; w co wierzyli (w życie zagrobowe z powodu czci zmarłych; w siłę amuletów i fetyszów); jakie uprawiali sztuki, rysując n. p. na kościach zwierzęta i ludzi lub sceny ło-

wieckie, ozdabiając symetrycznemi liniami narzędzia, garnki, urny — chociaż w owe rysunki zamieszał się nieraz spryt handlarzy, fałszujących nie tylko tiary scytyjskich królów i wszystkie inne starożytności, lecz i skrobaniny „przedpotopowe". Wiemy nawet, jak rozczesywano włosy na głowie. Domyślamy się dalej, jakiemi drogami kroczył ówczesny handel wymienny, pierwotnie niemy, odbywający się na migi, używający później tłumaczy, sprowadzający kruszce, muszle, bursztyny do krajów, które ich nie miały. Do najważniejszych zagadnień archeologii należy wyszukać ów wschodni zakątek ziemi, gdzie wynaleziono technikę błyskotliwego bronzu, co w pochodzie zwycięskim krzemień i róg w narzędziach, broniach i ozdobach zastąpił; dalej owe kraje, gdzie najpierw sine żelazo kuto, aby niem później najechać, podbić i wytępić szczepy bogatsze, starsze lecz słabsze. Ale o wszystkich tych rzeczach, stosunkach i zmianach, opowiada archeologia zawsze bezimiennie, jak jaka stara baśń: był sobie król i królowa, albo dziad i baba — kto, kiedy, gdzie? nie pytaj.

Archeologia kreśli więc wedle wykopalisk stan ówczesnej kultury, lecz czyją była ta kultura, o tem rozstrzyga język. Nazwisko lub słowo, trafnie wytłumaczone, rozświeca nagle mgły i ciemności; groby scytyjskie n. p. może archeolog rozkopywać, całą ich zawartość porządkować, lecz że należały one do szczepów — nie jakichś fińskich, tursko-tatarskich, ale do aryjskich, a więc nam pokrewnych, tego jedynie na podstawie języka dowiedziono z całą ścisłością.

Przy badaniu dziejów pierwotnych język nadzwyczajną odgrywa rolę; pierwotne rozsiedlenie n. p. Litwinów, Niemców i Celtów, tylko lingwista — a nie antropolog ani archeolog — oznaczyć zdoła. Antropolog n. p. opisze

najdokładniej znaleziony szkielet; powie jakiej płci, wieku, wzrostu, był niegdyś ów osobnik; wymierzy indeks czaszki, wykazujący długo-, średnio- lub krótko-głowość; rozezna, czy pochowano wszystkie kości, lub tylko niektóre (czaszkę i piszczele), czy ich nie obnażono wprzód z mięsnych części i t. d.; ale czy to czaszka Słowianina czy Niemca, Aryjczyka czy Fina, tego już nie rozstrzygnie wiedza jego. Taksamo archeolog; z inwentarza kopalnego oznaczy czas jego wcale nawet dokładnie, chociaż, gdy monet niema, już z wnioskami bywa krucho, bo nawet warstwa, z której zabytki wydobyto, nieraz niczego nie dowodzi: w torfowiskach n. p. zapadają przedmioty, leżące pierwotnie wyżej, po wiekach na samo dno, zmieniają więc położenie. I archeolog nie rozstrzygnie, do jakiego narodu owe zabytki należą; stwierdzi naprzykład, że Słowianie urny lub garnki nie ręcznie, lecz na kole lepili i pierścieniami skroń ozdabiali; ależ nie przyszli na świat już z kołem garncarskim i pierścieniem skroniowym — przecież istnieli przedtem?

Za to lingwista odgraniczy najściślej wedle nazw miejscowych, dajmy na to, pierwotne siedziby litewskie albo wywnioskuje: w kraju nadłabskim są wyraźne ślady prastarych nazwisk niemieckich (n. p. nazwy rzek: Łaba, Hawola, lub szczepów: Sillingów — Ślęgów, od nich Śląsk nazwany), nad Wisłą takich śladów niema; więc siedzieli niegdyś nad Łabą Germanie, nie nad Wisłą. Albo wyginęli Słowianie nadłabscy i nadodrzańscy, lecz zostały po nich do dziś tysiące nazw pól, lasów, bagien i t. d.; wynika więc z tego, że nikt tych Słowian odrazu do szczętu nie tępił, ani tępić nie myślał, że mijały całe wieki, wśród których przybysze-koloniści od tubylców nazwy te przejmywali i ustalali. Wobec takich i podobnych za-

gadnień wiedza antropologa, archeologa i etnografa żadnych wskazówek pewnych nie dostarcza.

Na podstawie języka, wedle imion własnych, miejscowych i osobowych, nie tylko o przynależności etnicznej ludu jakiegoś wnioskujemy, lecz z zasobu słów jego i stan jego kultury odtwarzamy, chociaż tu nigdy dość ostrożnym być nie można. Jeżeli n. p. jakieś ludy mają osobne nazwisko dla konia, to z tego jeszcze bynajmniej nie wynika z pewnością, że go już oswoiły i hodowały: mogły konia znać i w stanie dzikim, tylko dla mięsa na niego polować — wiemy przecież, jak koninę niegdyś ceniono, jako największy przysmak dla bogów i ludzi, jak dopiero chrześcijaństwo wytępiło ten zwyczaj, jak koniojadów karało. Dawniejsze badania bywały pod tym względem nie dosyć ścisłe, wnioskowały zbyt pospiesznie, kreśliły istne sielanki przedhistoryczne, schlebiały nadto czasom i ludziom; spostrzeżenia archeologiczne i paralele etnograficzne wykazywały nieraz niedokładność, niezupełność wniosków lingwistycznych.

W badaniach dziejowych, obok imion miejscowych, ludowych, osobowych, obok zasobu własnych słów pospolitych, dowodzących pewnego stopnia rodzimej kultury, należy nieraz główną uwagę zwracać na *słowa obce,* zapożyczone powierzchownie, lub zeswojszczone zupełnie, przetrawione i przetopione tak, że je od własnych i odróżnić trudno. Im starszy i znaczniejszy naród, im różnorodniejszym wpływom ulegał w następstwie wieków i we zmianach siedzib, tem więcej w jego słownictwie będzie obcych domieszek, jedynych śladów nieraz owych zamierzchłych czasów i zanikłych związków. Weźmy n. p. Niemców. I oni niegdyś sąsiadowali z Grekami i przyjmowali od nich aryaństwo; — od 1300 lat i śladu po tem

nie pozostało — lecz w języku żyją po dziś słowa greckie i aryańskie, jak: *Kirche, Taufe, Samstag* i inne.

Ubiegło dwa tysiące lat, odkąd po raz pierwszy Niemcy z Rzymianami się zetknęli; o wiele dokładniej, niż dzieje zapisał sam język na niestartych żadnymi wiekami tablicach, co Niemcy Rzymianom zawdzięczają. Żywioły romańskie w języku niemieckim nie istnieją bowiem dopiero od przewagi francuszczyzny w jedenastym lub dwunastym i znowu siedmnastym i ośmnastym wieku; wszczęły się o tysiąc lat wcześniej. Najzwyklejsze wyrazy, bez których żadnego języka dziś wyobrazić sobie nie możemy, poszły z rzymskich, n. p. w rzeczach połączonych z czynnością myślową — takie, jak *Brief, Schreiben, Dichten;* w zakresie budownictwa od budowy dróg *(Strasse)* do *cegieł* i *murów;* w uprawie i przemyśle winnym, od *wina* do *octu* i *lury,* od *prasy* do piwnicy *(Keller),* od *kufy* do *kielicha;* wszystko, co do *kuchni* i *kucharstwa* należy; rośliny ogrodowe wszystkie, warzywne *(Kohl, Rettig),* lecznicze, drzewa owocowe (n. p. *Pflaume, Kirsche, Birne*); nazwy miar, wag i monet (n. p. *Meile, Scheffel, Seidel*); nazwy produktów gospodarczych (*Käse, Butter* i t. d.) — nawet dla konia, ciała i głowy przestali Niemcy używać własnych słów, *Ross, Leichnam, Haupt,* a zastąpili je łacińskiemi: *Pferd, Körper, Kopf.* Cóż mówić o terminach chrześcijańskich, kościelnych, przejętych żywcem z łaciny (od krzyża i papieża począwszy, a skończywszy na mszy, bierzmowaniu, kaplicy i trumnie, *Sarg*), lub tłumaczonych (jak *Gevatter* i t. d.); o nazwach miesięcy, o nazwach dni tygodniowych naśladowanych z łacińskich, n. p. *Donnerstag, Sonntag* z *dies Jovis, Solis* i in.; o nazwach zwierząt i roślin obcych *Esel, Maultier, Löwe, Strauss, Maulbeere, Pfeffer* i t. d.; o nazwach ludów *Grieche, Mohr* i t. d.

W pobieżnej tej wzmiance nie wyczerpaliśmy nawet odnośnych kategoryi, cóż dopiero poszczególnych pozycyi; dodajmy choć słowa takiej doniosłości, jak *Kauf, Karren;* wszystkie niemal słowa na *pf: Pfund, Pfosten, Pfahl, Pfalz, Pfanne* i t. d.

Znaczącą i bogatą warstwę rzymską w słownictwie niemieckiem poprzedziła jednak inna, o wiele dawniejsza, a niemniej znacząca i ciekawa. Za Cezara potęga *celtycka,* niegdyś groźna dla całej środkowej i południowej Europy, zupełnie osłabła, ustępowała już wszędzie rzymskiej i germańskiej, lecz podania narodowe głosiły o czasach, kiedy wojowniczy Celt napadał i zwyciężał tak sąsiada Germana, jak i dalekie narody.

Wspomniał Cezar o tych podaniach, o tem rozmiękczeniu siły Gallów, którzy sami nie ważyli się równać z przodkami; lecz moglibyśmy podanie odrzucić, przypisać chełpliwości narodowej, porównać je n. p. z wymysłami kronikarzy, rozciągających panowanie polskie na Danię, Lubekę i Bremę — gdyby nie język niemiecki, dowodzący tego, o czem w dziejach głuche panuje milczenie, że panował niegdyś Celt nad Germanem. I znowu szereg najważniejszych wyrazów, nierozłącznych z językiem niemieckim, a mimo to zapożyczonych od Celtów, dowodzi dawnej przewagi wojskowej, państwowej, społecznej, jaką jeszcze w jakiemś szóstem stuleciu przed Chrystusem Celtowie piastowali.

Reich (państwo) i *reiks* (pan); *Burg, Dorf, Town* (miasto, po angielsku; *Zaun,* po niemiecku, z celtyckiego *dunum,* jak *Lugdunum* i t. p.). Dalej słowo takiej wagi, jak *Amt* (z ambactos — sługa, poseł): stąd później ambasciata — zlecenie, a to dzisiejsze ambasada i ambasador; *Eid* i *Geisel; Eisen* i *Lot* (ołów, Blei und Loth) — wreszcie inne nazwy urządzeń, stanów, broni, wzięli

Niemcy od Celtów; arystokracyi celtyckiej zawdzięczamy wynalazek mydła, nieznanego zupełnie starożytności; wypychanie pierzyn i duchen puchem gęsim; polowanie z sokołem. Nawet nazwa *Germanów* jest celtycka, bynajmniej nie niemiecka; nawet nazwa bogini Swewów, *Nerthus,* o której tajemniczym kulcie Tacyt takie dziwy opowiada, z której fałszywie Herthę zrobiono i Herthasee na Rugii zmyślono, jest pospolitem słowem celtyckiem. Z języka niemieckiego możemy nawet wywnioskować, który z licznych szczepów celtyckich niegdyś tak nad Germanami zaciężył.

Byli to dzielni Wolkowie. Próżno siliłby się archeolog jakieś pomniki epoki halstadzkiej, czy la-Tène, do tych Wolków odnosić, których niegdyś tak groźne imię („dziarscy") po dziś dzień jeszcze o uszy nam się odbija, gdyż i nasze *Włochy* i *Wołochy* właśnie od owych Wolków poszły. Niemcy bowiem przezwali wedle nich *Walhami* wszystkich innych Celtów, a później i wszystkich Rzymian (Welhe, Welschland), a od nich Słowianie tę nazwę dla szczepów romańskich przyjęli.

Oto przykład, jak daleko wstecz świadectwa językowe dzieje wyświecają. Lecz może zarzuci kto, że nie należy badać tak dokładnie słów obcych, nie należy wykazywać ich zapożyczenia, gdyż ucierpi na tym duma czy godność narodowa; ależ dążenie do wyświecenia prawdy podobnych granic i obaw nigdy nie uznaje. Zdejmując zasłonę ze słów obcych, wykazując ich pochodzenie, służymy nauce dziejowej i językowej zarazem. Nawet w czasach rozświeconych kronikami, aktami, pamiętnikami, wykaz słów takich uwydatnia miarę wpływu, rodzaj związku czy wymiany, zachodzących między narodami, objaśnia je dokładnie, a bezstronnie; z ilości i jakości tych słów możemy oznaczyć dziedziny, war-

stwy, koła, jakich te wpływy sięgały, a czego my nie zrobimy, zrobią za nas inni, może nieproszeni, nieżyczliwi.

Pod względem językowym słowa te również ciekawe.

Języki słowiańskie są wcale zachowawcze, o wiele więcej, niż n. p. germańskie lub romańskie; zwierzchnia ich szata zmienia się nieznaczniej, wolniej, łagodniej: mamy liczne słowa, które brzmią jeszcze dziś tak samo, jak przed tysiąc pięciuset laty (chyba, że ich akcent się odmienił) — słów takich ani Anglik, ani Francuz, ani Niemiec nie wykaże ani jednego. Tempo zmian przyspiesza się nieraz przy imionach, szczególniej miejscowych: one to znaczeniem występują poza obręb zwykłych słów a tem samem jakby i poza obręb zwykłych „praw“ głosowych; w nazwach miejscowych znajdziemy też nieraz zmiany, którychbyśmy próżno u słów pospolitych szukali. W słowach obcych potęgują się te zmiany; obcy przybysze nie stawiają oporu miejscowym, że tak rzekniem, nadużyciom, które narzucają im domową szatę; na łożu Prokrusta wyciągamy je lub kurczymy do tej naszej miary, obcinamy i łatamy, jak nam się podoba. A szczególniej znaczenie tych słów rozwija się nieraz w szalonych skokach: nie trzymane na wodzy przez żadne czucie językowe, zbaczają na rozmaite dziwaczne manowce.

Język polski obfituje w wyrazy obce, dawne i nowe, przydatne i niepotrzebne, miejscowe, przywiązane n. p. do pewnych rzemiosł, i ogólne, zbogacające język rzeczywiście, lub tylko wypływające z lenistwa umysłowego, z mody; z owej ksenomanii, z „cudzobiesia“ słowiańskiego. Lecz gdy inne języki, lub narzecza słowiańskie, n. p. łużyckie i kaszubskie, słowieński a choćby czeski, obce wyrazy z jednego źródła (niemieckiego lub

włoskiego) czerpią, przyjmował język polski wpływy zewsząd, z zachodu, południa i wschodu. Gdy tamte języki samymi obcymi wyrazami jednostronności, a więc i ograniczoności życia umysłowego, dowodzą, niby z okruchów i odpadków jednego stołu się żywiąc, dopuszcza język polski, jako świadek i wyraz bogatej i dawnej oświaty, przeróżne wpływy, przerabia i przetapia je do niepoznania, obiera między przybyszami, wciela sobie jednych na zawsze, drugich pozbywa się rychło; jednych nie tyka, drugim narzuca znamiona własne, polską szatę zewnętrzną, wewnętrzną odmianę znaczenia.

Otóż warto się przypatrzyć, jakiemi to warstwami słowa obce w ciągu wieków w języku polskim osiadały; bogactwa słownictwa całego wyczerpywać nie myślimy, wskażemy raczej główne wytyczne, pobieżniej dla czasów przedhistorycznych, przedpolskich, dokładniej dla późniejszych. Zamiast przytaczania wielu przykładów bez braku, wybierzemy co ciekawsze, rzadsze, trudniejsze. Chodzi głównie o ustalenie czasowe; o kształcie bowiem, jaki obce słowo w polszczyźnie przybierze, rozstrzyga czas przyjęcia, n. p. niemieckie *hełm* pojawia się w polskim i jako *szłom* i jako *helm,* wschodnie *kalpak* i jako *kłobuk* i jako *kołpak*, łacińskie *ferula* i jako *berło* i jako *feruła* i t. d.; różnica zawisła od tego, że n. p. helm — szłom datuje z trzeciego wieku po Chrystusie, hełm — hełm zaś z piętnastego. Ustalenie pojedynczych warstw, wedle czasu ich następstwa, usuwa z góry wiele mylnych przypuszczeń; n. p. twierdzono nieraz, że polskie *bez* (przyimek), dla twardości swego *e* z małoruskiego się wzięło; twierdzenie upada natychmiast, skoro pokażemy, że *bez* istniało u nas już w XII i XIII w., t. j. w czasach, kiedy ruskich pożyczek jeszcze nie było. Albo przypuszczano, że polskie *czacz* (caco, cacko) wzięte z tureckiego;

lecz słowo to zachodzi u Czechów już w XIV w., kiedy o pożyczkach z tureckiego i mowy być nie mogło. O niejednem polskiem słowie twierdzono, że przeszło do nas z litewskiego lub z „ukraińskiego“, lecz nigdy nie zapożycza się słów od szczepu, stojącego niżej co do kultury i siły, chyba że w pogranicznym pasie znajdziemy jakąś miejscową wymianę pewnych słów; wiek i rozszerzenie wrzekomych pożyczek litewskich wykluczają z góry ich możność, a pożyczki z „ukraińskiego“ są po największej części późne i miejscowe, nie stare, ani ogólne.

Do wyrazów obcych można zaliczać i rodzime, jeśli używanie ich w pewnem znaczeniu odpowiedni obcy wyraz spowodował, jeśli go jakby przetłumaczono. N. p. słowo *gaj* jest rodzime, słowiańskie; lecz *gaić sąd,* albo jak dziś mówimy, *zagaić posiedzenie,* przetłumaczono żywcem z niemieckiego *hegen* od *Hagen* (gaj); niegdyś tworzono na miejscu ofiarnem i sądowniczem sztuczny gaj, zasadzano drzewem i wiązano sznurem, a biada temu, ktoby niepowołany w taki gaj się wdzierał, czekało go wywołanie (banicya). Są mieszańce, n. p. *bawełna;* jej *wełna* rodzima, lecz *ba* dowodzi, że w niemieckim *Baumwolle* drugą część złożenia przetłumaczono dobrze, co do pierwszej już się nie trudzono, przejęto ją żywcem; podobnie zrobili Czesi z *Weihnachten* swoje *vanoce* i i.

Po czemżeż poznajemy słowa, choć obcego pochodzenia, lecz przyswojone zupełnie językowi? Rozmaite względy rozstrzygają. Najpierw rzeczowe: z obcym towarem, urządzeniem, warstwą ludności, wchodzą równocześnie i ich nazwy i słowa — owoce czy materye wschodnie, urządzenia kościelne; niemieccy mieszczanie i rzemieślnicy zatrzymują w Polsce i w Rumunii, w Czechach i na Węgrzech, własne utarte nazwy i słowa. Powtóre głosowe: wygląd słowa ujawnia obce żywioły, jego brzmie-

nia nie polskie, n. p. *h* lub *f*, następstwo ich nie polskie, artykulacya nie polska, inne nieprawidłowe zjawiska, n. p. Władysław, zamiast polskiego Włodzisława, Włocława i t. p. Po trzecie, rozszerzenie wyrazu: słowo znane tylko na zachodzie słowiańskim, u Czechów i u nas, obce zupełnie Rusi i Bałkanowi, z góry wznieca podejrzenie co do swej rodzimości; wątpliwość zmienia się w pewność, skoro słowo to da się wytłumaczyć n. p. z niemieckiego, lecz nie z polskiego. Nakoniec zupełne odosobnienie słowa, niewiązanie się z czemkolwiek innem, rodzimem — a wobec tego bogate rozgałęzienie na obczyźnie, każe się również w takiem słowie przybysza domyślać.

Mimo tych zasad, nie zawsze łatwo wyśledzić zbiega, dać jego rodowód, wskazać jego kolebkę. Któżby n. p. zwietrzył w poczciwym „obszarze“ Niemca: Überschar? I brzmi tak pięknie po polsku i wiąże się pozornie z „obszernym“ i da się niby z polskiego wytłumaczyć — a mimo to, przybłęda, co rozpanoszył się u nas dopiero w XV wieku, gdy go jeszcze „zbytkiem“ tłumaczono (co po wymiarze powierzchownym roli na oko, później przy mierzeniu dokładnem zbywa).

Inny znowu, widoczny przybłęda, wkradł się do nas z łaciny, czy z niemczyzny — lecz jaką drogą? czy wprost, czy na Czechy? Jeśli na to zważać nie chcemy, jeśli wszystkich podobnych przybyszów wprost do Niemiec czy Rzymu przypiszemy, ubliżymy bardzo Czechom i ich niegdyś wcale znacznemu wpływowi na nas. Cóż mówić o takich przybłędach, po których w ojczyźnie własnej ani śladu nie pozostało, których i tam nie znają, skąd prawdopodobnie wyszły. Bywają więc różne trudności i zawikłania i nie zawsze z nich wybrnąć można; szczególniej u nas podobne badania mało dotąd postąpiły, chociaż są ciekawe i ważne.

Uwagi te i spostrzeżenia tłumaczą stanowisko, z jakiego wychodzimy; chcemy ze słów obcych wyczytać to, co się do dziejów kultury polskiej odnosi.

II.

Już kiedy Daryusz perski pochód bajeczny przeciw Scytom podejmował, w szóstym wieku przed Chrystusem, siedzieli Polanie nad Wisłą i Polanie nad Dnieprem, jak i dzisiaj siedzą; był to w kilku odłamach szczep jeden, jednego języka, jednej kultury; sąsiadowali z nim od południa Dakowie-Trakowie (za Karpatami) i Scytowie (na stepach), od wschodu Finowie, od północy Litwa i morze, od zachodu Niemcy; wspólnota z Litwą szczepowa i językowa nie od tak dawna była zerwana. Stosunków i wpływów, jakieby od Daków, Scytów i Finów wychodziły, nie myślimy badać; są ciekawe słowa je wskazujące, n. p. *konopie, chmiel* i inne, pomijając nazwy rzek wielkich, Dniepru, Dniestru, Donu. Lecz gubią się te poszlaki w pomroce dziejowej, gdyż zbyt mało ocalało z języka Scytów i Daków; fińskie nazwy miejscowe, liczne na Rusi wschodniej i północnej, siedzib polskich wcale nie dotykają, mimo wszelkich modnych mrzonek, co polskie nazwy i słowa (n. p. kobieta), a nawet mazurzenie naszych Maćków i Kubów z fińszczyzny wywodzą!

Jaśniej i silniej występują wpływy od zachodu; chociaż „niemym“ dla Słowianina był zarówno Dak czy Scyta, Fin czy Litwin, przecież „Niemcem“ on tylko zachodniego sąsiada nazywał; widoczna, jak często i długo się z nim zetykał. Najbliższym „niemcem“ dla niego był Got nadodrzański; lecz przyszedł czas, gdy Got ten, party poczuciem siły, żądzą zdobyczy i przestworu, opuściwszy własne siedziby, rzucił się na wschód (jak przed

nim przed wiekami Celtowie) i ujarzmiając ludy nadwiślańskie i naddnieprzańskie, okrążając Karpaty, na Wołyń i Podole ku południowi, nad Dunaj i Czarne morze, podążył. Jak niegdyś przewaga Wolków nad Germanami, tak teraz przewaga Gotów nad Słowianami uwydatniła się w szeregu nazw, urządzeń, zbroi, narzędzi, jakie Słowianin od Gota przejął i tak przetrawił i przetopił, że tylko rozbiór lingwistyczny te obce żywioły wydzielić zdoła. Że gocki Hermanrich (w czwartym wieku po Chrystusie) od Słowian daniny wybierał z ludzi i bydła, z kun i miodów, to nie tylko przechwałka gockiej tradycyi; dzieje językowe to samo stwierdzają.

Przedewszystkiem przejął Słowianin od Gota uzbrojenie: zamiast pierwotnego noża i maczugi, procy z kamieniem, krótkiego oszczepu i strzały zatrutej *ciemierem* (nasza ciemierzyca), używał teraz *miecza* (meki), a głowę *szłomem* (hilms) zakrywał. Nad słowiańskich starostów, gospodnów i wojewodów wzbili się rychło *Konungi-księgi* (kniazie, księdzy, t. j. König, king, od „kuni“, rodu, nazwani, *Kunigasy* na Litwie) i tamtych o *dumę* (radę) pytali; Goci i oni wybierali od Słowian, od smardów i czerni, daniny. Monet pierwotnych nie znali: płacili, gdy prosta zamiana nie szła, płatami cienkiego sukna*) i grzywnami, naszyjnikami i obrączkami z żelaza lub miedzi, ze złota lub srebra, które w razie potrzeby i łamano, zresztą ważono; obrączki te przezywano i *bugami* (z gockiego). Teraz zaś nastały rzymskie *pieniądze* (nordyjskie *penningr*, Pfenning), *cęty*, jakie i zawieszano lub naszywano

*) Płaty owe cienkiego sukna służyły ogólnie za monetę, tak, że od nich poszedł czasownik słowiański *płacić;* gockie *plats* płat, również z słowiańskiego wzięte; na Rugii jeszcze w XII. wieku „cokolwiek na targu kupić zechcesz, płatkiem lnianym zapłacisz“; toż wiemy o Czechach w X wieku.

(cętki, gockie *kintus,* drobna moneta), *usieręgi* (kolczyki, *ausahriggs, Ohrring,* czyli siergi później na Rusi, znane i w Polsce, n. p. *serga* nausznica w dziełku Tucholczyka z r. 1607); całe mienie ruchome zwano *skotem* (gockie skatts, Schatz).

Mylnie przypuszczają, że skot pierwotnie wołu oznaczał; *skot* mienie, dostatek, przeniesiono później na to, co najcenniejszego posiadano, na stada i trzody; podobnie przesunęło się i znaczenie naszych wyrazów *dobytek* lub *bydło* od być, byt, albo *wardęga* (oznaczające w starych psałterzach i bibliach bydło, chociaż pierwotnie oszacowanie tak nazywano); albo *zboże,* które wszelkie bogactwo oznaczało, zanim je do plonów rolnych ograniczono.

Niebawem nie starczyły dawne domy i dwory z płotami; od Gotów uczono się stawiać *chyz* (hus), później *chyżą* zwany, grodzić *tyny* (niemieckie tun, stąd Tyniec; tynina = parkan). W *istbach* (*Stube,* później izdbach i izdebkach, jeszcze później izbach, por. przyzba) nowych chyzów, znalazły się niebawem drogie *śćkła* (szkła, gockie stikls, od stechen) najpierw do napojów, zastępujące dawne rogi i czasze (z czaszek ubitych wrogów albo własnych ojców, oprawnych nieraz w złoto, pito najchętniej miody i piwa); dalej inne przybory i narzędzia, jak *bludo* (misa, gockie biuts — stół), *kotły* (katils z łaciny), *piły* (Fila, Feile).

Od Gotów uczono się i nowych *leków* (leczenia, lekarzy), zastępujących dawne zamawiania ran i uroków nowemi. Zjawiali się coraz częściej *kupcy* z wieloraką *kupią;* nabywano od nich *wina* i *octu* (akeits, z łaciny), korzeni i soli, *mieczów* i *szłomów, szołków* (jedwabiów) i pstrocin, w zamian za niewolniki (towar, którego Słowianie niebawem w takiej ilości dostarczali, że na targach zachodnich i wschodnich Słowianin a niewolnik, *sclavus,*

jedno znaczyli), koże i łupieże i za inny *skot*. Kupcy ci okupywali *mytem* mir, a wszelkie ubytki ich wynagradzała *lichwa;* przywozili może i tkaniny, lecz uprawę lnu, dla tłuszczu (oleju), jak i dla przędzy, znał Słowianin oddawna; sama nazwa rośliny jest zdaje się rodzimą, jeśli nie przyszła od południa, od Tracyi i Grecyi, gdzie ją najpierw wspominają.

Nawet w przyrodzie nie obeszło się bez pożyczek, n. p. *buk*, a od niego *bukwy,* litery później; dalej *osieł* (asilus, z łacińskiego asinus) i z ulbandus (a to z elephantus) *wielbąd,* z którego w większy błąd wpadając, dawno już *wielbłąda* i *wielbrąda* (po narzeczach) zrobiono; do leśnych jagód, korzonków i grzybów przybyły teraz obce *owoce* (obaz); co do *chleba,* (gockie hlaifs, *Laib*), można przypuszczać, że osobliwsze, nieznane dotąd, pieczywo tak przezwano, co obok dawnych krowajów (korowajów), kołaczów i pokręt obrzędowych, bogom obiatowanych i spożywanych na ucztach spólnych, najpospolitszem zostało pieczywem.

Nie wymieniamy innych słów, szczególniej takich, których w polszczyźnie już nie używamy; cośmy przytoczyli, wykazało dostatecznie, ile pojęć i rzeczy a z niemi i słów Słowianie wtedy od Gotów przyjęli. Odwzajemniali się i oni: od nich to może i niejeden termin bartniczy przyjęli Goci — bartnictwo było odwiecznym i nadzwyczaj cenionym przemysłem słowiańskim, a „robotę pszczelą“ zwał jeszcze wiek XVI „świętem brzemieniem i rosą niebieską“ (Klonowic). I pląsy Słowian uwagę zwróciły — Germanin znał chyba igrzyska mieczowe; pląsy obu płci, lub „koło“ samych dziewcząt, dopiero u Słowian zoczył i ich nazwą własny język zbogacił; nawet i nazwę srebra od Słowian przejął, podczas gdy nazwy złota i tysiąca obu szczepom są wspólne, nie zapożyczone.

Lecz, co najważniejsze, od Słowianina wziął Niemiec nazwę pługu i grządzieli: Pflug i Grindel niemieckie pochodzą od Słowian*). Wojowniczy Niemiec niechętnie oddawał się uprawie roli, kopali ją dla niego niewolnicy; robił na niego i Słowianin z pługiem, miasto dawnej uprawy ręcznej. O gockim plats ze słowiańskiego płatu już wspominaliśmy; może i średniołacińskie platena z płótna wyszło, w daninach od Słowian ciągle o niej mowa; również i humulus z chmielu poszedł.

Taki to plon**) wydało pierwsze zetknięcie się Słowian z Niemcami; słowa tej warstwy należą wszystkie do najstarszych, są prasłowiańskie; widnieje w nich kultura jeszcze całkowicie barbarzyńska.

---

*) Zwykle twierdzą przeciwnie, że Słowianie od Niemców nazwę pługu otrzymali; słowiańskiego pochodzenia *pługu* dowiódł J. Peisker w „Zeitschrift für Social- und Wirtschaftsgeschichte", Weimar 1896, str. 1—92, który i inne nazwy pługu niemieckie słusznie od Słowian wywodzi (Arl z oralo i t. d.). Nazwa pługu urobiona od plu — (płynąć, pług płynie po polu, mówi Rosyanin), jak n. p. sługa od słu- (słuchać), struga lub strug od stru- (płynąć, strumień i t. p.). Baśń, jakoby Słowianie nazwę pługu od Niemców przejęli, tak zdawała się ustaloną i pewną, że najznakomitszy badacz dawnych dziejów agrarnych europejskich, Aug. Meitzen („Siedelung und Agrarwesen der Westgermanen" i t. d.)) uważałby raczej Finów i Lapończyków (!!) za wynalazców pługa gdyby nazwa ta niemiecką się nie okazała.

**) Słowom tym poświęcono całą literaturę; mamy o nich znakomitą pracę Miklosicha i inne. Zapyta kto, gdzież oznaka, rozstrzygająca o pożyczce słowiańskiej lub na odwrót? Rozstrzygają tu prawidła głosowe; najwidoczniejsze z nich owo, wedle którego każde słowiańskie *ch* (lub *sz* z niego), odpowiadające niemieckiemu *h*, przez to samo zapożyczenia z niemieckiego dowodzi, n. p. *szłom — helm, chyz — hus, chleb — hlaifs* i t. d.; w słowach bowiem, które Słowianom i Niemcom spólne, jako aryjskiego pochodzenia, nigdy sobie słowiańskie *ch* i niemieckie *h* nie odpowiadają, lecz inne brzmienia, porów. n. p. *słoma — halm* (łac. culmus), *sto — hundert* (łac. centum) i t. d.; słowiańskie *ch* wynika z pierwotnego *s* (najczęściej), niemieckie *h* zaś z *k*, por. n. p.

III.

W napływie ludów od wschodu runęła przewaga Niemców (Gotów, Herulów, Gepidów i t. d.) na zawsze; plemiona ich opuściły wschód, kierując się na szlaki, wydeptane oddawna ku obu imperyom, głównie zaś ku zachodniemu; opanowały Italię, Galię, Hiszpanię i Afrykę; a gdy burze, wichrzące po całej Europie, nakoniec ucichły, wyłoniła się w szóstym wieku nowa postać wschodniej Europy. Po Celtach i Germanach przyszła kolej na Słowian. Jak tamci, z pierwotnych, stosunkowo szczupłych siedzib, niepowstrzymanym pędem szerzyli się na wschód i południe, później na zachód, wypierali lub podbijali ludy i zagarniali ziemice, tak zerwali teraz i Słowianie dotychczasową spólność szczepową, językową, społeczną; wypadali z pól i lasów nadwiślańskich na zachód, okalając Karpaty, wdzierając się do pustej ziemi niegdyś (celtyckich) Bojów i (niemieckich) Markomanów, t. j. do Czech, szerząc się za Odrę po Łabę i Salę, zajmując wybrzeża bałtyckie, od Gdańska do Szleswiku, sięgając wgłąb do ziemi Turyngów i Franków; z nad Dniepru znowu ciągną na południe, stają nad Dunajem, którego nazwę od Niemców przejęli, i na własne rzeki (Dunajec albo Dunawiec) i wody i ludzi (stąd Dunajów nazwany) przenosili; idą w górę rzeki, przeprawiają się

---

mech — Moos. Twierdzono, jakoby słowiańskie *gaj* z niem. *hag, hac*, „zagroda“, przejęto; lecz gdyby słowo *gaj* z *hag* pochodziło, musiałoby brzmieć *chaj* a nie *gaj* — dla tego *g* wykluczamy gaj więc z pożyczek, uważamy za rodzime. I samogłoski odgrywają tu znamienną rolę, szczególniej *u* wyrazów *buk, duma* i in. Dawniej poczet tych pożyczek pierwotnych był o wiele większy; wykazałem sam i wykażę niebawem, że cały szereg słów odwiecznie słowiańskich (mleko, chełm t. j. wzgórze, por. Chełmno i i.) najmylniej za pożyczki germańskie wydawano; pominąłem je tu wszystkie.

przez nią, napadają ludzi i ludy półwyspu, aż zupełnie się przesiedlili i prowincye ilirskie i trackie na zawsze posiedli.

Wobec tego gwałtownego wylewu na zachód i południe, nie zmieniały się znaczniej dawne granice na wschodzie i północy; puszcze, trzęsawiska, jeziora dzieliły ich zawsze jeszcze od fińskich i litewskich rybaków i strzelców, pasterzy i rolników; i na stepie, nad Dunajem i Czarnem morzem, gościli Słowianie tylko w przelocie, ustępując coraz nowym koczownikom ze wschodu. Wspólna, prasłowiańska doba, przetwarza się w pierwszą dobę historyczną poszczególnych szczepów, a treść jej wypełniają pierwsze zawiązki państwowe, przyjęcie chrześcijaństwa, walka o niepodległość z cesarstwem rzymskiem i bizantyjskiem. Jakim wpływom ulegała wtedy, a głównie w trzech wiekach, od 910 — 1250, kultura polska?

Ponad wszystkiem góruje wpływ chrześcijaństwa, chociaż całe stulecia mijały, nim „niemiecki“ Bóg polskim został, nim wpływ ten wszystkie warstwy narodowe ogarnął i przeniknął. W języku odbił się wcześniej i pełniej i zawarł w nim wskazówki, nie godzące się z tem, co dzieje przekazały. Z kronik i dokumentów wiemy niemal wyłącznie o germańskich i romańskich początkach polskiej hierarchii, duchowieństwa świeckiego i zakonnego — język zaś wskazuje bezpośrednio Czechy, jako rozsadnik chrześcijaństwa, te same Czechy, zbyt ubogie w ludzi i zasoby, aby własnym potrzebom starczyły. Jak pogodzić obie sprzeczności?

Średnie wieki odznacza ciągłość pracy umysłowej, stałe posługiwanie się jednych dorobkiem cywilizacyjnym drugich, zadziwiające wobec braku komunikacyi, szkół, wymiany piśmiennej; migocą jakieś światełka, a ręce

tajemnicze, niewidzialne, podają je sobie nawzajem; przerw nie ma. Najlepszym dowodem posłużą dzieje chrześcijaństwa u Słowian. Jako apostołowie zjawiają się dwaj Grecy soluńscy, ze swą własną południowo-słowiańską gwarą i pismem, u Słowian zachodnich, u Morawian, aby ich, a za nimi i wszelkich innych Słowian, zdobyć dla Wschodu, dla Carogrodu. I cóż się okazało? Zamiast burzyć i budować na nowo, nawiązali dwaj bracia do tego, co już wyrosło z posiewów, rzucanych od kilkudziesięciu lat przez duchowieństwo niemieckie Regensburga i Salzburga; język Cyryla i Metodego obfituje w wyrazy, wyrobione i ustalone przez owych nielicznych misyonarzy zachodnich. Toż samo powtarza się przy nawracaniu Polan; nie stać wprawdzie samych Czechów na wywóz sił duchownych do Polski — mimo to, nikt nie zaczyna tutaj jakiejś osobnej nowej językowej pracy; jakby za umową, przenosi się cały na Morawach i Czechach w ciągu półtora wieku powstały dorobek językowy nad Wisłę i praca misyonarzy salzburskich i regensburskich ósmego i dziewiątego wieku przenika na Ruś i do Polski, chociaż oni sami o ziemiach tych ani kiedykolwiek słyszeli. Tak samo dostał się w r. 988 na Ruś język bułgarski.

Z tego pierwotnego słownictwa chrześcijańskiego — czeskiego i cerkiewnego, jeśli najbliższe, niemieckiego, łacińskiego i greckiego, jeśli dalsze źródła wymieniamy — nie jedno już utraciliśmy. Wyrazy *cerkiew* (Kirche) i *pop* (Pfaffe), u nas niegdyś wyłącznie używane, a jeszcze w XV wieku dobrze znane, zastąpiliśmy, jak Czesi, wyrazami *kościół* (castellum, obwarowane, omurowane miejsce w grodzie, kastelu książęcym) i *ksiądz* (t. j. pan, tytuł nadawany pierwotnie dostojnikom, n. p. dominus archiepiscopus — ksiądz arcybiskup; uogólniony na wszystkie duchowne osoby, zanika u świeckich zupełnie, chociaż

jeszcze w XVI wieku stale mawiano: wielki ksiądz litewski; już Bolesław Chrobry zwał duchownych „księdzami“, jak kronikarz opowiada). Na to słownictwo chrześcijańskie składają się nazwy osób duchownych, od papieża (Pabes), biskupa, ardziakona (tak jeszcze w XVI wieku n. p. Rotundus w r. 1564, zwali archidyakona), dziekana, proboszcza, kapłana, opata i przeora, a skończywszy na mnichu, żaku (dyaku, dyakonie), kleryku (klechą też zwanym) i kmotrze (z *compater*). Dalej nazwy cerekwie, kapły i kaplicy, klasztoru i ich części, ołtarza, chóru, kruchty, cmyntarza (cmentarza, smentarza, *coemeterium*); nazwy świętości (sakramentów): chrztu, bierzmowania (firmen, firmare), mszy i opłatka; chrzcić, *kristenen,* jest to czynić „Chrztem“, Christem (porównaj chrześcijanin); narzędzie męki Pańskiej krzyżem (od chruzi, *Kreuz,* a to od *cruci, crux*) zowiemy*). Dalej nazwy modlitw: pacierza, żołtarza i żałmu (*saltari, psalterium; salm, psalmus*); jałmużny (*Almusan,* z greckiego); żegnania (*segnen, signare,* tłumaczyło dawniej i błogosławienie, n. p., pożegnał temu stworzeniu w biblii z r. 1455); żegnanie niebawem i czarom służyć miało. Wyrazy dogmatyczne, jak angieł, angieli (z tego angioł, angieli, anjoł, anioł); djaboł (djabeł, djacheł, djas, djasek); nazwy świąt: kolęda czyli Nowy Rok, wilia; nieszpory albo, jakby od mszy, mieszpory; post (*Fasten*). Wiele innych wyrazów przetłumaczono mniej lub więcej gładko, n. p. popielec, czyściec i t. d.; inne wyrazy przybrały nowe

*) Działały tu jednak i jakieś wpływy romańskie, nietylko germańskie, czego romańskie ż dowodzi, por. nazwy, jak: żak, żyd, kależ (kielich), papież i i., wszystko romańskie (włoskie? weneckie?). Na całym wschodzie i południu przenieśli Słowianie imię Pana pierwotne (Chrystus powtarza ponownie grecko-łacińską postać) na narzędzie męki, chrest jest u nich krzyżem tylko, nie Chrystem więcej.

znaczenie, n. p. grzech (od grzania, t. j. pieczenia, palenia w sumieniu), albo pkieł, piekła, pkielny (postaci jeszcze XV wieku, później zastąpione przez piekło, piekielny), oznacza pierwotnie tylko smołę, co później na smolne miejsca potępienia wiecznego odmieniono.

Wyrazy te wzkazują po największej części język Cyryla i Metodego, a więc pierwotny obrządek słowiański, i w Polsce niegdyś, przynajmniej w Małopolsce, nieco żywotny, chociaż nasze źródła dziejowe tylko niewyraźnie o nim wspominają*). Ten obrządek słowiański był jednak więcej rzymskim, niż greckim: najdawniejszy pomnik tego języka słowiańskiego, przechowany do dni naszych, tak zwane ułomki kijowskie, zawiera przecież tłumaczenie łacińskiego „officium“. I oto znowu przechował język świadectwo nadzwyczajnej wagi, gdzie historya milczy zupełnie lub tylko słabo napomyka.

Pod wpływem nowej wiary zmienił się niebawem

---

*) Z tych to wyrazów „cerkiewnych“ przytaczamy jeszcze dwa dla odrębności ich znaczenia i kształtu; oba złożone, *mięsopust* i *błogosławić*. Pierwszy przesunął się już oddawna z oznaczania postu (mięsopust odpuszcza przecież, pozbywa się mięsa; rzeczywiście też w najdawniejszych pomnikach mięsopust post oznacza, jak n. p. *dielopust* niedzielę), na oznaczenie zapustu („mięsopusty, zapusty“ zaczyna się stara piosenka; podobnie carnevale zapusty znaczy). Lecz języki słowiańskie nie całkiem tu stałe, gdyż syropust oznacza tydzień, w który ser jeść wolno. Co się błogosławienia tyczy, to już ciągłe wahanie się źródeł dawnych między niem a bogosławieniem, wzkazuje wędrówkę wyrazu; jeszcze wyraźniej odbija się to w drugiej części tego złożenia. Winna przecież brzmieć *błogosłowić* „benedicere“ i w cerkiewnej formie brzmi tak rzeczywiście; „benedicere“ próbowano tłumaczyć i przez „*dobrorzeczyć*“ (por. *złorzeczyć* „maledicere“, do dziś używane), lecz dobrorzeczenie nie wyparło bardziej utartego, starszego błogosłowienia, które już w ustach czeskich, mylnie na błogosławienie (od sławy!!) przerobiono. „Bogiem sławiena“ Marya Bogurodzicy (zwrotki pierwszej, najstarszej) zastąpiła tylko „błogosłowioną“ Maryę.

i wygląd kraju i sposób życia. W niesłychanej dotąd mierze zaciężył kościół nad jednostką, swobodną w pogaństwie; wymagał zmiany pożywienia w pewne dni i pory, a niektórych mięs zabraniał na zawsze; odrywał w pewne dnie od naglącej pracy, niedzielą i świętami. Najsilniej krępował wolę: mógł przedtem ojciec swe nowonarodzone i do wody wrzucać, lub w lesie zwierzom zostawiać, dzieci sprzedawać, brać żon, ile środki pozwalały, mogła żona męża opuszczać — wszystko to nagle ustało, we wszystko wmieszał się nadzór kościelny; on zabraniał porzucania niemowląt, przedaży dzieci, nawet swadzieb i godów w pewne pory roku, lub w pewnych stopniach pokrewieństwa; wymagał „oddawania“ w kościele i ślubów dozgonnych; żony przetwarzał na *małżony* (*Mahal,* umowa ślubna?).

A co najboleśniej było, nawet zmarłym nie przepuszczał: zamiast prastarych żalów i zgliszcz nad rzeką, w dąbrowie, na polu, około których wieszały się cienie dziadów i pradziadów, błagane obiatami na wiosnę i jesień, szczodre i łaskawe, zmuszał do grzebania zwłok w drzewie około cerkwie lub kapły, gdzie zmarłym i obiat należycie znosić nie było można na miejsca, od których nienawistne ramiona krzyżowe duchów miłych przodków odstraszały. I mieszał się kościół do wszystkiego, do obrzędów, pieśni i pląsów nawet, a nadto wymagał dla siebie samego ciągłych i znacznych ofiar, opłat i danin. Nie dziw, że praca misyjna utykała bardzo, że źle uprawiana gleba owocowała mało. Tymczasem, z ramienia i pod opieką władców, nie znoszących oporu, obok drewnianych, zrzadka podmurowanych izb, trzemów, chyzów, wież (namiotów), wznosiły się po kasztelach cerkwie i kapły, zrazu również drewniane, później, im hojniejszych i bogatszych przybywało dobrodziei, z ka-

mienia ciosowego i z cegły; krzyże zatykano po wzgórzach i przy drogach, po uroczyskach i gajach, skąd *pogaństwo* wydalano i *pogan* (paganus); *pielgrzymi* w *kukłach* i *kapeluszach,* przetykanych muszlami, o długim kiju, przewijali się coraz częściej po pąciech (drogach), dążąc do Rzymu i innych świętych miejsc; klasztory z mnichami czarnymi, szarymi, białymi, z mniszkami, na Tyńcu, na Łyścu, w Trzemesznie i t. d., po i przy grodach, nadawane coraz obszerniejszemi włościami i wolnościami, przeobrażały powoli całe okolice, przez karczunek, troskliwsze gospodarstwo, rozmaite ulepszenia, wprowadzanie nowych drzew, warzyw, ziół i kwiatów. Przy cerkwiach i klasztorach pojawiły się, najpierw w Krakowie i Gnieźnie, potem i dalej, rozsadniki dla duchowieństwa, w pierwszych szkołach, wywołanych potrzebami kościoła, wystawnością nabożeństwa, wymaganiem świeckich, gdy coraz więcej spraw, niegdyś ustnie załatwianych, piśmiennemi świadectwami stwierdzać należało.

Ze *szkołą* przyszli *mistrzowie* i ich *lokaci,* później *bakałarze* z przyborami: ferułą, inkaustem i t. d., z szkolnemi opłatami, z obiecadłem (abecadłem) i z pierwszemi książczynami, z Katonem, Donatem i Aleksandrem, utrapieniem żaków polskich. Chwilowa reakcya pogańska (od Mazowsza do Pomorza), splądrowanie zachodniej Polski przez czeskiego Brzecława, znacznie późniejsze wschodniej przez Tatarów, zjawienie się moru, stawiały przeszkody szerzeniu się życia chrześcijańskiego i duchowego, lecz fali nie zatrzymały; religijne uczucia wybuchały w obchodach biczowników, z pierwszą pieśnią nabożną polską na ustach — gdyż dotąd lud i woje tylko *kierlesz* (kirie eleison) powtarzali.

Powoli zaczynał się naród pozbywać, jak innej spuścizny po przodkach, tak i bogatego imiennictwa słowiań-

skiego. Bolesławy i Kazimierze w panującym rodzie, Stanisławy, Sędziwoje, Dobrogości i Przemyśli w rodach chorągiewnych i włodyczych, Mileje, Czarnoty, Radomy, Cierpisze między starostami, smardami, łazękami, nie zachowywały równej miary: u książąt i panów zwyczaj powtarzania imion ojcowskich u synów, zapewnił im istnienie jakieśkolwiek; u niższych przeważyły w końcu starania duchowieństwa, obojętnego niegdyś dla imion, lecz później nalegającego na wybór imion, zapisanych w „księdze żywota", a więc świętych, starozakonnych i t. p.; z obcym Piotrem (patronem rybaków słowiańskich), Pawłem i Janem, z Jakóbem i Michałem, z Pilgrzymem, postąpił język całkiem jak z własnym Stanisławem w nawoływaniu rodzinnem, czułem i szorstkiem, powstały owe Piechniki, Pasie i Jaśki, Jaksy, Kuby i Mikory, Grzymki, całkiem jak Stachniki, Staśki i Sławki. Inne tłumaczono żywcem,, jak Ignacego na Żegotę a Sylwestra na Lasotę; znowu inne przekształcano, z Egidyusza Idziego, Dziwisza z Dyonizego, Jarosza z Hieronima (Jeronima), Nawojkę z Natalii, Tworzyjana z Floryana (dzisiejsza Floryańska brama w Krakowie zwała się jeszcze w XVII wieku Tworzyjańską).

Wybierano imiona najdziwaczniejsze, najrzadsze; stąd owe Parysy, Jaktory (Hektor), Jaracze (Horacy), Białdamy, Fenenny i t. p. Niewyczerpane niegdyś zasoby imiennictwa słowiańskiego zeszczuplały dziś do kilku okazów — a i między niemi są fałszywe, n. p. Wanda, która to nazwa ani w tej ani w żadnej innej formie nigdy w Polsce przeddziejowej nie istniała.

Lecz obok głównej, chrześcijańskiej treści, nabiera kultura tej epoki i innych rysów, czerpiąc i te prawie wyłącznie z zachodu, od Czechów, Niemców i Romanów. Zapowiadają się znaczne zmiany polityczne i społeczne;

obszernym włościom Bolesławów nie starczy już „ksiądz“, choćby go i „wielkim“ dozywano — miano *króla,* od Karola Wielkiego urosłe, jak niegdyś cesarza od Cezara, władcy Polan się należało.

Dziwnym trafem od tego samego Karla (Kerl) urosła nazwa i dla karłów. Króla z *berłem* (ferula) w ręku, z *koroną* na głowie, na *tronie* w *pałacu,* otaczali *kmieciowie* (comites), dostojnicy *pałacowi* i inni, który tytuł każdej starszyźnie, w końcu i wiejskiej przydawano; rody, *szlachta* (slahta *Geschlecht*) z dziedzicznym (*erb*) znakiem, *herbem,* garnący się około króli i książąt, w różnych stopniach, wedle zamożności i znaczenia, przejmują wyłącznie trudy służby wojennej; *rycerze* zyskują nagrody i przywileje, zapewniające im z czasem wyłączny wpływ na państwo i wyłączne używanie wolności.

Broń była cudzoziemska; jak dziś Anglicy, tak w XI wieku uzbrajali frankońscy handlarze barbarzyńców *brnią* (Brünne z celtyckiego) frankońską*) przeciw własnym ziomkom — mimo surowych zakazów Karola. Lecz handlarze ci, a między nimi coraz liczniejsi żydzi, sprowadzali wszystko możliwe: korzenie, *pieprz* (i *pierzem* zwany, stąd *pierno, pierzno, piernik), szafran, imbier, cukier.* Ważniejszymi artykułami po targach bywały: *olej* (niemieckie olei), *piżmo, pierły* (dziś perły), *jedwab,* (nie „wabiący jad“, lecz czeskie hedvab, z Gotawebbi, t. j. przędzy boskiej), *bursztyn* (t. j. palący się kamień); z ryb przedewszystkiem *śledzie* (północno-niemieckie sild), niegdyś obficie w Bałtyku łowione; z broni między innemi i miecze z *jelcami* (u rękojeści, zwanemi później

*) Język polski nie zna już słowa odpowiadającego czeskiemu *brnye* (n. p. w Aleksandreidzie wiersz 1395: a sen tepruw usypa *brnye* — a ten dopiero wdziewa kolczugę), z gockiego *brunjo;* nasze *broń, bronić* i t. d. zupełnie odmienne, rodzime słowo.

i *jedlcami,* czeskie jilce, niemieckie helza); od handlarzy nauczono się rozróżniać *barwy* (Farbe) u jedwabiu i tkanin, *bławą* (blau, porównaj bławat), *bruną* (brunatny), *błękitną* (z łacińskiego blanketus, z niem. blank). Towary *ważono* na *wagach;* od handlarzy dowiedziano się i o *lwach* (Löwe), *strusiach* i o innem ptactwie, o papugach, pawiach (Pfauo) i *bażantach.*

Szczególnie znacznym był przypływ nowych rzeczy a więc i nazw z niemi, do kuchni i piwnicy. W *kuchni,* gdzie później *kucharze* i *kuchty* gospodarowali (czeskie kuchynie, z niemieckiego chuchinna, a to z łacińskiego *coquina*), dodawali *szafarze* wszystkiego; z naczyń drewnianych i innych stały tu *konwie* (Kanne), *węboг* (Eimbar, Eimer), wiadro o jednem ujęciu), *spądy, panwie* (Pfanne), *kubki* (Kopchin), *gbeł* (też nazwa miejscowa) i *kubeł* (Kübel), *stągwie* (ze *stądwie,* Standa), *łagwie* (Lage), *bednie* (bednarze je wyrabiali, butin, z łacińskiego butina), *stępy* (Stampfe), *puszki* (czeskie, niemieckie buhsa z greckiego), *skopy* i *skopce* (Scaf, Schaff, a z tego później znowu szafy i szafliki do nas się dostały), nawet plecionki, jak *kobiel, kobiałka* (Kobel); *skrzynia* (scrini, Schrein) i *pudło.* Obok tych nazw niemieckich, z których niejedna z łaciny wyszła, n. p. Kübel z *cupa,* Eimer z *amfory,* Schrein z *scrinium,* rozpowszechnił się szereg grecko-łacińskich, nieraz nawet starszych, niż wymienione niemieckie; przedewszystkiem *misa* (*półmisek,* z *mensa, mesa* — nazwy stołu i misy stale się spadają, mieliśmy wyżej toż samo u *bluda* misy, z gockiego biuts = stół), dalej *deska,* albo jak dawniej odmieniano, *cka,* t. j. *dska,* w liczbie mnogiej *desk* (z discus, niemieckie *tisc,* Tisch); *kadź* (łacińskie *cadus*); *krobia, króbka* (łacińskie corbis, Korb); *beczka* (nie z Bottich, lecz z łacińskiego i greckiego buttis, jeśli to

nie myłka). Do nazw naczyń i t. p. należy przyłączyć nazwy budowli rozmaitych, począwszy od *budy* (u nas nadzwyczaj rozrosłej, *budować*, *budynek* i t. d., z niem. bude), *kotu* i *kocca* (niemieckie Kathe, u nas później kojec, kojca), a skończywszy na *murze* i *murowaniu, kominie, komnacie* lub *kownacie, komorze;* tu należy i *stodoła,* niemieckie Stadal.

Ogniskiem, skąd te rzeczy i nazwy szerzyły się po ziemiach polskich, były głównie gospodarstwa klasztorne benedyktyńskie i cysterskie: Tyniec, Łysiec, Ląd, Mogiła i inne. Z ich sadów i ogrodów warzywnych rozeszły się również *brzoskwinie* (dosłownie: perskie jabłka, Pfersih); *czrześnie,* albo jak je dziś piszemy *trześnie* (*Chirsa,* z *cerasus*, z czego może już prasłowiańskie *czercha,* urobione potem przyrostkiem -nia) i *wisznie* (nazwa po całej Europie znana, lecz zkąd wyszła?); *pigwy* (z niemieckiego Figa, podczas gdy *ficus* fikiem, fikowem drzewem przezywano) i *gdule* (czeskie gdunie, niemieckie chutina z łaciny; gdule i grdule, lub grule, służyły później i innym owocom); *agrest* (agresta). Z kwiatów i ziół wprowadzili mnisi, wyłącznie w celach leczniczych, nie dla barw ani woni, *róże* i *lilie, rutę, lubszczyk* (jakby od lubego nazwany, lecz to niemieckie lubestecco, z łacińskiego *levisticum*), *miętę, rumianek,* który przecież nic rumianego nie ma ani z „romanus“ poszedł, lecz jest rmankiem i rmenem, ostatecznie z kamomili powstałym. Z warzyw i t. p. uprawiali pierwsi *łodzygę,* lub *łocykę* (z łacińskiego *lactuca*); *łuk* (Lauch), *kmin* (Chumin, później Chumil, Kümmel, z greckiego), *piotruszkę* (Pedersilli), *trzebułę* (Kerbel), *chrzan* (Kren), *rzodkiew* lub *rzotchwę* (Rettig z *radix syria*), *cybulę* (Zibolle, łacińskie *caepula*), *marchew* (Morha, Möhre), *broskiew* i *wrzoskiew* (brassica), *kapustę* (kampustę, *composita*); od po-

łudnia i wschodu przyszły *ogórki* i *ćwikła* (obie z greckiego); *bukszpanem* i *barwinkiem* (pervinca) wysadzali grządki, a z lauru, choć go nie szczepiono, zrobili (w Czechach) *wawry, wawrzyny* (porównaj Wawrzyniec=Laurentius). Czy już im przypisywać uprawę włoskiego grochu, *cieciorki* (łacińskie cicer, niemieckie Kichererbse)?

Dziwne, że dla niektórych swojskich drzew zjawiają się obce, łacińskie nazwy, n. p. dla topoli z populus; coś podobnego widzieliśmy w dawniejszej warstwie dla buka. Również pomijamy same uszlachetnienie domowych grusz (krusz), jabłoni i śliw, jak i wprowadzenie uprawy (niezbędnego dla ofiary mszy św.) wina, czego choćby różne Winiary dowodzą, ponieważ język dokładniejszych śladów nie zachował. Lecz nie tylko kwiaty i zioła, warzywa i owoce rozchodziły się z gospodarstw klasztornych po kraju; z nich poszły może i *koty* (cattus, a od pazurów kocich i *kotwice* przezwano; ale ta pożyczka kota bardzo stara); z drobiu znane (i hodowane?) od najdawniejszych czasów gęsi, kury i ąty czyli *kaczki* (*kachny,* czeskie, t. j. Katarzyna; miano osobowe nadawano często zwierzętom, tak Filipem zająca, Marciszkiem koczkodana, a księdzem Wojciechem bociana nazywano, szczególniej u Niemców; z ich Reinharta n. p. poszedł renard i t. p.); wreszcie gołębie,; czy i *króliki,* których niezręcznie z niemieckiego Kunigel (jakby od niemieckiego Kunig — król) przetłumaczono, choć niemiecka nazwa od łacińskiego *cuniculus* (Kaninchen) pochodzi? Ryby nabierały dla postów szczególnego znaczenia; nie dziw, że łacińsko-niemieckiemi nazwami odróżniano coraz liczniejsze gatunki, n. p. *wyzy* (huso, Hausen), *karasie, karpie* i inne.

Z ubiorem duchowieństwa szerzyły się i obce jego nazwy; wspominaliśmy o *kukłach* na głowie (Kugel, *cu-*

cullus); należy dodać *kapy* (*kapice, kaptury*), *koszule* (habity z *casula*), *żupy* (*żupice, żupany,* z Joppe, łacińskie jupa, *ż* powstało na ziemi romańskiej, jak w słowie żyd z *judeus*), *gunie* (łacińskie *gunna* — kożuch, angielskie gown) i t. d. Inne nazwy materyi i części ubioru pomijamy, nie mogąc ich ze wszelką pewnością do tych wieków odnosić. Niektóre słowa, dziś w polskim nieznane, pomijamy.

Ważny postęp zaznacza wprowadzenie młynów (wodnych), gdy dotąd na żarnach ręczną robotą zboże kruszono i mielono; *młyn* (niemieckie mulin, z włoskiego mulino) kobietom i niewolnikom sporo pracy ulżył; czy wraz z młynem i nazwa *krup* (Graupe), dalej, czy już wtedy rozmaite pieczywa, jak *żemła* (Semmel, z *simila*), *całta* (Zelten, Lebzelten), *buła* (i *bułka,* później *bularnia* piekarnia, od kształtu pieczywa, niemieckie bulla), do Polski się przedostały, nie rozstrzygamy.

Wpływy te nie ograniczają się wyłącznie do podobnych nabytków; i moralne pojęcia i stosunki niejednokrotnie w nich się odbiły. Więc zapoznał się „niemądry" Polak — nie z rzeczą, lecz z jej nazwą, ze *szkodą* (słowo to u nas nadzwyczaj się rozrosło: szkodliwy, szkodnik, szkodować, przeszkoda i t. d., oznaczało pierwotnie nie tylko stratę, lecz i niebezpieczeństwo i zgorszenie).

Gdy nie wypełniał należycie zleconego *orędzia,* gdy źle *orędował* (*arunti* — zlecenie), gdy nie słuchał mądrej *rady,* chociaż sam innym chętnie *radził* (rad, Rath; stąd wyszły i rajca i *raić* z *rajfurem* i zdrada i t. d. wedle Verrat), nie potrzebował czekać długiej *chwile* (lecz słowo to mogłoby i do pierwszej warstwy należeć, gockie hweila, niemieckie wile z hwila; później krotochwila = Kurzweil), aby szkody dopytał. Kto mu z niej wybrnąć pomagał, temu oddawał gorące *dzięki* (Dank od denken;

znowu bardzo rozrosłe w późniejszym języku; czyniono komu w dzięk — stąd wdzięczny — i przez lub bez dzięki, wbrew jego woli; dziękczynienie; później wzięto powtórnie z niemieckiego dank*), w nazwie herbu Abdank, w czasowniku abdankować żołnierzy).

Jak gdyby rodzime czary i czarownice nie wystarczały, słuchał Polanin chciwie przywoźnych opowiadań o *strzygach* (łacińskie *striga),* że nabiał odbierają i słabości nasyłają; ze strzyg urosły mu później i *strzygonie.* Wspominamy jeszcze, że do domowych narzędzi muzycznych, do rogów, do gęśli, które palcami przebierano i do skrzypek (smyczkowych), przybyły najpierw u wojska *trąby* (trumba); *lutnia* (lute, Laute) zdaje się być późniejszą. Rolę wymierzano *łanami* (laneus); chleb krajano *skibami* (sciba, Scheibe, z czego później *szyba* poszła); zbierano coraz częściej i gorliwiej *skarby* (scerf drobna moneta, Scherflein); zapożyczono też nazwę *lądu.* Z chrześcijaństwem przyszły wreszcie i nazwy dni i miesięcy. Polanin rozróżniał pierwotnie tylko pory roku i liczył

---

*) *Dank* dostało się do Polski nie wprost od Niemców (brzmiałoby bowiem w takim razie *dęk*), jak mylnie twierdzono, lecz na Czechy, staroczeskie *diek i dieka*, dzięka, *diekczinienie*, *bezdieky* niechętnie, *wdieczny* wdzięczny, *wdiek* i *wdieka* wdzięk i t. d.; ostatnie naśladuje włoskie *grazia*, francuskie grace, z gratus — wdzięczny. Górnicki jeszcze grazia przez „przystałość“ tłumaczył. Rozrósł się więc niesłychanie obcy ów temat. Po stuleciach przedostał się jeszcze raz do języka, ale wyglądu obcego już nie zmienił więcej; *dank* różni się od *dzięki*, jak *szłom* od *hełmu* lub *berło* od *feruły;* używało się go w zwrotach: dank odnieść lub mieć nad kim, przyznawać dank komu, w czem i t. p., t. j. nagrodę odnieść, pierwszeństwo; w tem odcieniu znaczenia poszedł język znowu własnym torem. Staroczeskie *diek* mogło na gruncie polskim przybrać brzmienie nosowe, zjawiające się nieraz w pożyczkach, n. p. w pielęgnować, kręgle, trębulka, krępować i innych wyrazach.

dnie miesiącami; obok tego oznaczał, od zajęć gospodarskich, od zjawisk przyrody, w świecie roślinnym i zwierzęcym, krótsze przeciągi czasu. Chrześcijaństwo dopiero przyniosło podział dwunastu miesięcy i dni tygodniowych; nazwy miesięcy przyjmowali Słowianie bez zmian łacińskie, a nazwy dni tłumaczyli z łaciny i niemczyzny (środa — Mittwoch), zachowując naturalnie sobotę niezmienioną, urabiając do niej, n. p. w Polsce i *sobótki*, t. j. wilie świąt, obchodzone uroczyściej; przykład czeski (częściowo cerkiewny) obowiązywał niedzielą, tygodniem i t. d. i Polan. Wcześnie jednak zaczęto łacińskie nazwy miesięczne zastępować domowymi terminami, odpowiadającymi mniej więcej czasom, na jakie łacińska nazwa przypadała; stałego, określonego nie było w tem nic, słownictwo chwiało się całkowicie nawet w obrębie jednego plemienia.

Niemcy (jak i Rosyanie) pozbyli się później ponownie terminów ludowych, uznając tylko łacińskie; Czesi, wystrzegający się bojaźliwie każdej obcej etykiety, odrzucili wszystkie łacińskie; w naszej stałej niestałości choć dwa łacińskie zatrzymaliśmy. Lecz dopiero w XVI wieku ustaliły się te nazwy i następstwo ich, dowolne w czasach dawniejszych. Zaczynano bowiem rok *lutym;* drugi miesiąc zwano *strąpaczem* (strzępiącym, ścinającym mroźnie pola i łęgi); kwiecień nazywano słusznie *łżykwiatem* (u Czecha kwiecień trafniej na maj przypada); zamiast czerwca i lipca, istniały nazwy *czerwień* i *lipień* — urobione na modłę dalszych miesięcy; *sierpień* bywał i *stojaczką*, niby zastanowieniem przyrody; wrzesień i *pajęcznikiem* nazywano; październik i listopad mieniali następstwo; krakowscy Niemcy wprowadzali niejakiś czas i siennik (Heumonat) i winnik (Weinmonat) z niemieckiego, lecz daremnie; pierwszy miesiąc nazwano

w końcu styczniem, nie dlatego, że się ze starym, nowy rok ztyka (boć i w grudniu toż samo się dzieje); zwał on się dawniej tyczniem od tyk (które wtedy rąbano?). Nazywano też miesiące całkiem z chrześcijańska, od głównych świąt, n. p. luty gromnicznikiem i t. d.

Wobec tego nadmiaru pojęć, rzeczy i nazw, płynących od zachodu — umyślnie, aby uwagi zbyt nie rozrywać, nie rozbieraliśmy pytania, które z nich czeskie, niemieckie, łacińskie; wspomnijmyż mimochodem, że n. p. wszystkie wyżej przytoczone nazwy botaniczne, niby niemieckie, poszły z łaciny. Od wschodu nieliczne przybywały słowa, kilka greckich wymieniliśmy wyżej, do nich i *korab* (okręt) dodać należy. Żywej i stałej wymiany z Rusią, oddzieloną wyznaniem, nie było, tem mniej wprost z dalszym wschodem i południem. Na Rusi rozpływał się tymczasem strumień normański w słowiańskiem morzu; niejedno, co po nim w ruskim pozostało, przeszło, lecz znacznie później, i do Polski (jaszczyk, knut, ciwun i t. p.). Na stepie, od Azowskiego morza do Węgier, zmieniały się po kolei szczepy Obrów (Awarów, srogich ciemiężycieli Słowian, stąd czeskie obr, nasze obrzym, później olbrzym, dla wielkoluda), Węgrów, Pieczeniegów, Kumanów czyli Połowców, Mongołów — Tatarów; nie rozróżniał ich naród polski, tak jak ruski, lecz nazywał ich wszystkich Kunami, t. j. terminem węgierskim, oznaczającym Kumanów; stąd nazwy miejscowe: Kunowo i inne.

W ciągu wieków przeniknęło jedno i drugie słowo wschodnie, perskie i t. d., za pośrednictwem tych koczowników, do ust najdalszych Słowian, przedewszystkiem *topór, kłobuk* na głowie, *kord* u boku i kilka innych, między niemi najważniejsze: żupan, wysoki urzędnik, u Czechów i u nas skrócone w żpan (stąd madyarski

ispan i niemiecki Gespan), a dalej pan = kasztelan, co później gospodzina zastąpił.

Tak zwierciedlą się w języku nabytki kultury tej epoki; wyrazy jej są jeszcze po wielkiej części wspólne dla Słowian, chociaż z czasem tylko wędrówką od szczepu do szczepu się dostawały; niektóre sięgają ósmego wieku— inne, późniejsze, już tylko do Czechów i Polan należą. Względnej ich starożytności dowodzą silne zmiany, jakim, zeswojszczone zupełnie, ulegały; wygląd ich obcego pochodzenia prawie jeszcze nie wykazuje. Stopień osiągniętej teraz kultury państwowej, społecznej, religijnej, o wiele wyższy od poprzedniego; wprowadzenie rzymskiego chrześcijaństwa i wzorowanie się wedle starszej w kulturze braci rozstrzygnęło; odtąd wpleciona Polska w grono społeczeństw zachodnich i kierunek dalszego jej rozwoju tem samem jest już ustanowiony na zawsze.

IV.

Tymczasem, w ciągu dwunastego wieku, dokonała się nowa, walna zmiana, która, począwszy od następnego stulecia, na dziejach Polski i jej cywilizacyi silnie zaważyć miała. W poprzednich wiekach Polanie i Niemcy nigdzie bezpośrednio ze sobą nie graniczyli; jednych dzielił od drugich prastary, szeroki, potężny wał słowiański; on to właśnie wytrzymywał napór rzeszy od czasów Karola Wielkiego do Fryderyka Rudobrodego; za tem przedmurzem nagabywana tylko przelotnie, mogła Polska siły swe skupiać i rozwijać. Lecz wał ten, podkopany zewnątrz i wewnątrz, runął na zawsze w dwunastym wieku, i ziemice, osłaniające dotąd Polskę, nad Łabą i Odrą, przeszły w ręce niemieckich panów, a jeśli się nawet na Pomorzu, Rugii i w części Meklenburga, „księdzowie“

słowiańscy utrzymali, to już tylko same nazwy owych Bogusławów, Kazimierzów, Wyszesławów, przypominały i późnym pokoleniom ród ich pierwotny.

Lecz za niemieckim i za zniemczonym panem zalewały fale niemieckiej ludności, Fryzów, Sasów, Holandów, Flamandów, Franków, nawet Szwabów, opustoszałe doszczętnie, lub zaludnione licho, ziemice słowiańskie; już z końcem dwunastego wieku docierały fale do granic polskich, a w następnym cała niemal zachodnia Polska, prócz wązkiego pasu czeskiego, okolona jest nowym żywiołem. Do trzynastego wieku nie było więc bezpośredniego wpływu niemieckiego, szedł on niemal wyłącznie na Czechy, faktycznie albo idealnie; od trzynastego wieku natomiast działał wprost.

Nie zatrzymały się bowiem fale niemieckie u granic polskich; książęta, duchowieństwo, panowie wzywali sami i popierali nowe osadnictwo, skierowane więcej ku grodom, niż na pola i puszcze. Jak w poprzedniej epoce główną treścią kultury było prędkie zewnętrzne przyjęcie chrześcijaństwa i powolna asymilacya jego z życiem i duszą narodu, tak samo góruje w teraźniejszej epoce, od 1250 do 1550, wytwarzanie się życia miejskiego. Bo polskie grody i podgrodzia dopiero od napływu niemieckich osadników przekształciły się w miasta, w znaczeniu zachodniem; dopiero odtąd liczymy się z nowym, osobnym stanem miejskim, bogatym materyalnie, zabiegliwym i pilnym, garnącym się ku oświacie, posiadającym samorząd, wyodrębniającym się językiem, obyczajem, skłonnościami, od innej ludności, co się staje powodem nieporozumień, waśni i walki, w której stan ten w końcu, chociaż z narodowością zlał się już zupełnie, pokonany, osłabiony, ustąpił, z największą szkodą dla całego kraju. To jedna główna strona rozwoju.

Obok mieszczan-Niemców, nabierają jednak i Czesi nowego znaczenia dla Polski. Wcześniej i stalej w zachodni ruch dziejowy i obyczajowy wciągnięci, dobijają się już w trzynastym wieku wysokiego stopnia oświaty, a w czternastym, za Karola, stają na czele Europy.

Wprawdzie wysiłek ten kosztuje ich wiele; sama ich narodowość wydaje się zagrożoną; niemczyzną przesiąka szlachta, duchowieństwo i miasta; słychać głosy niemieckie już za Przemysłów, że przyjdzie czas, gdy na praskim moście Czecha widać nie będzie. W grożącem niebezpieczeństwie uświadamia się jednak i ukrzepia narodowość; literatura w ojczystej mowie, choć na obcych wzorach powstała, wspiera ją silnie; niebawem ogarnia obie silny ruch religijny i w imię jego odsłowiańszczyły się po raz pierwszy zniemczałe już Czechy.

W walce o wolność sumienia wyrobiły ich wojska nową broń i taktykę, i ci sami, którzy w czternastym wieku służyli w Polsce za wzór urządzeń państwowych, na których literaturze i szkole polskie się kształciły, udzielali teraz nauk nowej wojskowości. Jak Kazimierz Wielki na Karola, tak zapatrywał się Kraków na Pragę, a Polska na Czechy; stąd brano wszystko, od monety aż do pisowni.

Przewaga ta starszej oświaty czeskiej przetrwała późno, aż do szesnastego wieku, przynajmniej w dziedzinie językowej, gdzie „gładkie czeskie słowo“ stare polskie wyrazy rugowało, gdzie niby za dowód ogłady uchodziło w mowie mieszać — jak dziś francuzczyznę — czeskie okruchy, gdzie literatura, szczególniej teologiczna, górująca produkcyą nad wszystkiemi innemi gałęziami, nie wahała się terminów czeskich używać i wprost się do tego przyznawać.

Ogółem uważać należy, że poczucie językowe

XIV—XVI wieku od naszego zupełnie było odmienne. Ówczesnym ludziom pstrocizna językowa nigdy nie wadziła; bezmyślnie niemal przetykali wyrazy rodzime obcemi, czeskiemi, łacińskiemi (całymi frazesami), niemieckimi, za leniwi, żeby własne obmyślać lub tylko zastosować; mowa potoczna ówczesna roi się od tancmantlików, szturmhaubów, kryksmanów, szancknechtów i t. d.; piszą n. p. „ani na *fancz* (Feindschaft), ani na przyjaźń nic się nie oglądając“ i t. p. (list Wojny do Sapiehy z r. 1604). Z dziedziny umiejętności język narodowy był ogółem wykluczony; językiem szkolnym i teraz pozostała wyłącznie łacina: gdy chciwy wiedzy Dymitr (Samozwaniec) na ojców Jezuitów (Czyżowskiego i Ławickiego) nalegał, by go czegokolwiek uczyli, choć po łacinie nie umiał — wystawiali mu obaj usilnie, jak nadzwyczajnego truduby wymagało, gdyby kto reguły jakiejkolwiek nauki po polsku wykładać zamierzał (w Putywlu 9. maja 1605 r.).

Wobec takiego zapatrywania na język, cóż za dziw, że zalewały go obce fale, domieszki łacińskie, czeskie, niemieckie, wprowadzane oddawna, i włoskie, węgierskie, ruskie, tureckie, wprowadzane świeżo; w falach tych zaginęło wiele staropolskich, słowiańskich wyrazów. Lecz z tą samą łatwością, z jaką wchodzili, ginęli ci przybysze; widoczne to szczególniej na licznych wyrazach niemieckich, podtrzymywanych przez mieszczaństwo jeszcze w XVI wieku i już w tym samym wieku na zawsze wychodzących z użycia.

O tym nadmiarze obcych żywiołów w mowie XIV do XVI wieku spisy ich, istniejące dotąd w naszej literaturze, nie dają pojęcia, gdyż opierają się na słowniku Lindego, uwzględniającym język dopiero od r. 1550, t. j. gdy główna fala obcych słów już stanowczo ustępowała.

Lecz i my nie możemy myśleć o wyczerpaniu ich — nie dajemy przecież słownika obcych słów — musimy nawet zmienić wykład: jeśli dotąd staraliśmy się dokładniej obliczyć, co z obczyzny weszło, zadowalamy się teraz kreśleniem głównych kierunków rozwoju.

Rozwój ten szerzył się od niemieckiego mieszczaństwa, czeskiego państwa i szkoły łacińskiej.

Grody i przygrodzia słowiańskie, obronne przekopą i zabrodłem, gdzie chyba „kasztel“ i „cerkiew“ z kamienia się wznosiły, gdzie życie wrzało tylko podczas targów, sądów i wieców, gdzie z otaczającego pola ludzie kolejno na „stróżę“ wychodzili, a okoliczne zduny, piekary, koniary i t. p. potrzeby załogi grodowej i książęce opatrywały, przemieniły się dopiero za przybyciem osadników w „miasta“ (i w czeskim, wedle niemieckiego Ort; miasto znaczyło przedtem tylko miejsce, jak to jeszcze w zamiast lub natychmiast widzimy), a ich mieszkańce w „mieściców, miejskich synków“ lub „mieszczan“. *Gminą* rządzili *rajcy,* a sądzili w niej *ławnicy* (przysiężnicy) pod *burgmistrzami* obieralnymi i stałym *wójtem (rychtarzem),* po wsiach pod *sołtysami,* wydając *wilkierze* (uchwały), uchwalając *szosy* (Schosz, pobory, *szosować),* znachodząc *ortyle* w sprawach spornych i przestępstwach, wedle prawa miejskiego, majdburskiego; nad porządkiem w mieście czuwali *ceklarze* (Zirkler), *firtelsleute,* po domach *usnachci* (Hausknecht). Ulice nie moszczone już drzewem, jak dawniej, lecz *brukowane* (*bruk,* Brucke, mówiono i burk, jak *durk* obok *druk, druszlak* i *durszlak*), z *rynsztokami,* prowadziły na *place* i *rynek;* obok *ratusza* (ktorej nazwy polska wietnica nie wyparła) i sukiennic, „wznosiły się *smatruzy**), *kramy* i *budy* na

*) Miejsca, gdzie przekupki, iglarki, kaletniczki, paśniczki i t. d. siadywały, nie darmo od „paplania“ (schmettern, garrulatorium po ła-

tretach; na *mikształcie* (Miethstatt) czekali *mikształtnicy, tragarze, szrotarze* (Bierschröter, co *szrotowali, ładowali* beczki i t. d.), aby ich najęto — *lonarzy* (lunary, Lohnherren) dozorowali; o zamożności i pobożności mieszczan świadczyły ich *fary* i *tumy,* w których Polak nieraz trafiał na „niemieckie kazanie"; wieże zastępowały turmy.

I zmienił się zupełnie wygląd grodu — miasta. Po bokach ulic wznosiły się wysokie, murowane, wązkie domy, pod *strychem* i *dachem* z *łat* i *szkudeł,* z *rurami* (albo *rynnami, dachówkami* i *szachtami),* z *gankami* albo *banerami,* z *gmachami* i *gmaszkami, alkierzami* (Erker) i *indermachem,* z *szybami* u okien, z *furtkami* u wychodu; *mury* były *tynkowane, filary* i *gzymse* nadawały im piękniejsze pozory; domy i mury miejskie (z *wykuszami* wystającymi i z *blankowaniem)* budowano z cegieł, które wyrabiali *strycharze* i *żumpiarze* u *żumpiów* (żąpiów, rząpiów, z Sumpf) za miastem.

W tyle i po bokach domów, szczególniej na *forwarku* (folwarku) budowano *szopy, lamusy, spiżarnie* dla rozmaitej *spiży* (Speise), *śpichrze* (Speicher z łaciny), *gruby.* W izbach nazbierało się dowoli nowych *gratów,* jako *almaryi* i *almaryjek* (szaf) lub *spidwasków* z *szufladami, trun, zedli* lub stołków, stołów w rozmaite *fladry, lichtarzy,* Meluzyn u *półapu, antfosów* i t. d. Lecz mężczyźni, jeśli ich rzemiosło nie przykuwało do warsztatu, nie długo w domach gościli; wywoływały ich sądy, sprawy miejskie i handlowe.

Cały przewód sądowy, pełen kruczków i sideł, szczególniej dla nieopatrznych, odbywał się w niemieckim języku, więc wsiąkło stąd wiele terminów do polszczyzny, począwszy od *gajenia* sądów i od *fordrowania* przez *fol-*

---

cinie) przezwane, więc czytamy w Kiermaszu na Zawiślu: „na smatruzie (kto świadom) własny *sejm niewieści*" (około r. 1615).

drownika (skarżenia, prawienia), — zamiast fordrować (fordern) mawiano później *foldrować,* omijając następstwo dwóch r, jak w słowach *molderz* (morderca, mordarz, *Mörder), mularz* Maurer, *kiemlarz* (Kämmerer, podskarbi miejski), *Małgorzata* Margareta, *Malbork* Marienburg *Kluczbork* (Kreuzburg), *Kielsztrank* (Kirschtrank) i t. d.

O niektórych z prawnych terminów oddawna zapomniano, n. p. *szepszelink* (Schöppenschilling, za świadectwo przysiężnikom płacony), *wargielt* (zapłata człowieka), *ochtować* albo *bantować* (ächten, wywoływać), *fryszt* (odwłoka) i *frystowanie, szperunk, szperować* (taksować, brać w zakład, nasze szperać od tegoż), *lotunk, lotować* (ponere taxam), *luprować, luprunk, lupr* (wysłowienie, wniesienie skargi, lautbaren); *gwar,* który z naszym gwarem, gwarzeniem, nie ma nic spólnego. Jest to bowiem Gewähr, upewnienie skargi, n. p. gwar się stał, aby więcej albo wyżej nie żałował — die gewere geschah; jeśli gwaru nie umiesz palcem wydać słusznie, pisze stary M. Bielski. Tu nadmieniamy, że ge — słów tej warstwy przechodzi zawsze w *g*, n. p. *gbit,* Gebiet; *gweśny* (gewisz, pewny; stąd w języku sądowym, n. p. w rocie z r. 1395, ugwesić, upewnić, ugweszać; jeszcze w biblii Leopolity czytamy: „gweśne a pewne jest królestwo Twoje"); *gwałt* Gewalt; z Gestalt powstaje *kształt; glejt, glejtowny* z Geleit; *gwicht* (waga) z Gewicht i t. d.

Wyjątkowo pozostaje *ge* n. p. w *gerada*, t. j. wyprawa kobiety, jej ruchomości, z Gerade. Do tych wyrazów prawnych należy i *cog* (Zug, sequela, n. p. który z takich ortelów miał większy cog i t. d.), którego dziś tylko u „woźników" (koni) znamy; lecz jednym z najciekawszych jest *wet*, u nas wcale zagęszczony, n. p. wet za wet, nawet, wety, odwet, powetować: z Wette, t. j. pamiętne (sędziego, pokup lub wina, podczas gdy przeciw-

nej stronie *busze* uiszczano) — płaceniem wety (u Czechów), czy wetu, kończył się przewód sądowy, więc i ostatnie dania przy stole tak nazwano.

Tu należy Thaiding (właściwie Tagedink), spór sądowy, potem każdy spór, n. p. posłowie na sejmie r. 1555 nie chcieli się koło tego w długie *tadynki* wdać z księżą, to znowu chcieli coś *wytatynkować,* lub o tymże co *tradynkować,* skąd wyszedł i wyraz trarunki, kłótnie. Jednacza, rozjemcę (arbitra) nazywali Niemcy Obermanem, stąd barman, borman (w XV wieku), n. p. tych wszystkich sędzią i obermanem był król, lub: aż się uczynił obermanem a jednaczem niesnasek tych (Turcyka Orzechowskiego z r. 1543) i in.

Inny, acz nie prawniczy termin dla sporów jest hadern, stąd polskie i czeskie hadrować, hadrunk, n. p. pisze książę Sierotka w r. 1596. „przyjdzie się z nim hadrunkować", inni zrobili z tego hadrynkować się (n. p. Wilkowiecki), a w końcu andrykować (Jantaszek z roku 1664.); w przeciwieństwie do tego należy się *pogleichować,* jak pisze warszawski wójt Skupieński r. 1634. Obok tych rzadszych, wymierających okazów, wymieńmyż powszechnie używane *strofować,* ganić wyrok, nie przyjmować go, n. p. ten ortel łajał go albo strofował, chcę to strofować prawo i t. d.; *rugi, rugować; basarunek* (pamiętne, pokup) i t. d. Sąd skazywał na *pręgę* (później u *pręgnerza* i *pręgierza* chłostał „niedobry", t. j. butel lub *budel,* Büttel, *szargarz* czy *hycel),* na wyświecenie z miasta i t. d.

Majątki *szacowano* wedle *szacunku;* płacono z nich miejskie *czyże* (pobory) i *czynsze,* a ponieważ prawo kościelne lichwy surowo zabraniało, brano na domy i inne nieruchomości za roczny płat summy na *wyderkauf* (wyderkow, wyderkaf, wyderki), chociaż o odkupie

ani myślano. Gospodarstwo pieniężne zmieniło się teraz w kraju najzupełniej; zarzucono dawną grzywnę lekką, surogaty pieniężne, jak krusze soli, łupieże (skórki) i *koce* kun, popielic, lisów i t. d., jeszcze dawniejsze grzywny (z których tylko nazwa została) i płatki; zarzucono dawne opodatkowanie, z licznemi, nieraz w surowcu składanemi powinnościami, z owemi staropolskiemi „narzazem, krową, podworowem“ i t. d. Zastąpiono je z korzyścią dla panów i poddanych czeskim i niemieckim systemem monetarnym i podatkowym. Więc odmienia się całe dotychczasowe słownictwo: *mińcarze* kują nową *minicę* (mennicę, Münze, w innem znaczeniu dziś używaną), obliczają wszystko na *wiardunki* (Vierdung), *grosze, szelągi, szarty, halerze,* do których później *talery* i *orty* przybywają; na *skoty, skoćce* (skojce) i *kwartniki* liczono z łaciny, lecz słowo to z dawnym *skotem* (teraz bydłem) w żadnym związku nie stoi. Przy kupnie przychodziło do *litkupu* (Litkouf), jakim niegdyś sprawę zapijano; *borgu* i *borgowania* wcześnie się nauczono; wyręczali i *wekslarze;* końmi facyendował *rostuszar* (Roszttäuscher), z którego już w XV. wieku *rostucharza,* a później *roztrucharza* zrobiono; wszystko załatwiano na *frymarku,* przyczem już nieraz słowem i uczciwością *frymarczono.*

Obok zwykłych targów odprawiano doroczne *jarmarki* albo *jarmaki* (jak je dziś jeszcze Słowacy zowią, a u nas w XVI wieku je zwano) — już wtedy pocieszał odjeżdżający ojciec płaczące dzieci, że im *jarmark* (gościniec) przywiezie (w kazaniu z r. 1407): tu *machlowali machlarze* lub *maklerze,* bacząc pilnie własnego *fortelu,* a *oszwabiając* nieopatrznych *dubieli,* co sił stało; pieniądze zgarniano na *celbracie.*

Z wrastającym dobrobytem, z ruchem handlowym,

wzrastały jednak i przestępstwa przeciw własności i bezpieczeństwu. Minęły czasy, kiedy prócz wypraw łupieskich na morzu i lądzie, dobroduszny Słowianin tylko kradł, aby mógł gościa uczęstować, kradł w nocy, aby się za dnia z innymi podzielił; teraz rozbijała i szlachta na „dobrowolnej“ drodze, *szyndowała* (schinden) *furmanów,* rozwożących za *furlonem* towary, idących na *węder* i własną bracią. W rotach, przysięgach sądowych, XIV i XV wieku, czytamy o szyndzie, *szyndem,* nieraz; więc przysięga jeden (r. 1404) „jakom Macieja nie szyndował z swym pomocnikiem żadnym“, inny (r. 1391) „jako Jan z Gawłowic nie szyndował Mikołaja Smoka na dobrowolnej drodze“ i t. d.; jeszcze r. 1558 skarżą posłowie na sejmie, że „panowie solnicy domy, skrzynie im szyndują, szukając soli“, a przestrzega M. Bielski: kobiety rozszyndują prostakom kalety. Mnożyło się *łotrów* i *łotrowstwa.*

Po drogach płacono prócz *myta* i *cło* (Zoll); jeśli dziś o przyjeżdżających do Zakopanego gościach mówią w tamtejszej gwarze, że przyjeżdżają na clenie, że ktoś pojechał do kąpiel na clenie, to niktby się nie domyślił, że wyraz ten, oznaczający kuracyę, leczenie, od cła poszedł.

Już Chróściński pisze o ziemi, „żeś sama wżdy uclała“, (uleczyła się; Knapiusz podaje „wyclić się — wyzdrowieć“; broszura polityczna J. Karczowskiego, z r. 1586, nosi tytuł: „Oclenie mieć“, nie Uczknienek, jak Przezdziecki wyczytał); uclicz znaczy pocieszyciel w XV wieku; r. 1393 przysięga jeden „jako z tego mię nie wyclił i nie wyręczył“, inny r. 1396. „że ma część dziedzictwa wyclić“ — oczywiście, dopiero za opłatą cła, za ocleniem lub wycleniem towar i kupiec wolni od nagabywań, wyswobadzają się — stąd rozwinęły się owe dalsze zna-

czenia. Wypadałoby teraz przechodzić po kolei wszelkie rzemiosła i ze słownictwa ich wykazać zależność od obcych wpływów — lecz tubyśmy i końca nie dopytali. Wybierzemy jedno, najszlachetniejsze, *rycerskie.*

Najpierw żołd zwabiał *żołdnierza* (później *żołnierza),* potem nadzieja łupów wojennych, *butynku* albo *bitunku* (Butinge, łupy, zdobycz); r. 1393. przysięga jeden: „jako Wojciech wziął mnie i mym towarzyszom pięćnaście grzywien butynku", w Biblii z r. 1456. „plon wojeński rozbitujesz" (podzielisz między wojskiem), „rozbitujecie" (złupicie); w Tarnowskiego „O gotowości wojennej" z r. 1558. czytamy nieraz, jak na bitunku obierają bitunkarze, kto traci bitunk, jak w walnej bitwie, gdy nieprzyjaciela na głowę porażą, albo gdy już „chorągwie ziemskie roztoczą, tam bitunku nie bywa". *Hufy* albo *ufy, ufce* stawały w *ordynku* swym (później *ordynek,* lecz u Tarnowskiego r. 1558 zawsze — *ordunk,* jakim ordunkiem i t. d.) albo *szyku, uszykowane* (już XV wiek tego słowa często używał, n. p. w Biblii z r. 1456. szykowano na bok wojskę, rozszykować, rozrządzać i t. d.); jedne wysuwał *hejtman* (hetman, etman) na czoło, na *szpicę* (w XV wieku częste w Biblii, n. p. szpicę wojeńską, lub po słowniczkach, n. p. przed szpicą wojski) albo *spicę,* ludzi niestatecznych, „straszliwych" w tyle. Na zupełny *rystunek* lub *rustunek* (dziś rynsztunek, jak już w „Piechotnem ćwiczeniu" Lipowskiego z r. 1660. czytamy, ale u Tarnowskiego r. 1558. zwie się to zawsze rynsztunkiem, a rustunkiem u Mączyńskiego i in.) składały się: *hełm, huckop* lub *hunskop z gehinkiem,* albo *łapki,* a na nich *pusze; pancerz, tarcza* lub *puklerz, wapanrok* czyli *kabat, szynki* (Schienen), *beigwanty* (bigwanty i t. d., wspominane wiele razy w rachunkach dworskich Jadwigi i Jagiełły); *plachy, brusblachy* i *pół-*

płacia, które wyrabiali *płatnarze* lub *płatnerze* (z krakowskim płatnerzem, Klimkiem, posprzeczał się chorąży Tęczyński r. 1461, co znaną tragedyę wywołało), *szable, spisy* i t. d. Z tych i innych części składała się *harnasz* albo zbroja (później rodzaju męskiego, w harnaszu i t. p. czytamy już w Biblii, tamże mowa o „harnaszowanych", t. j. uzbrojonych).

Nie wspominamy wcale o strzelbie ręcznej, o burzących działach, z których n. p. mniejsze *szlęgami* nazywano, o *możdżerzach* (moździerzach), potrzebnych, gdy oblegano *zamk* (zamek), gdy się *podszańcowano,* wszystko na *szańc* sadzono przeciw nieprzyjacielowi, broniącemu się z *blanków* lub *blankowania; hawerze* kopali *sztoły* i wysadzali prochy, aby w murze *rum* czyniły, aby były dziury do *szturmu.* Rozkładano się w *legierze;* wysyłano *śpiegierzy* albo *spieglerzy* (szpiegów), aby *wyśpiegowali* wroga; pod *fendlami* dzielnych *fendrychów* wyjeżdżano *hersztować, hercownicy* zwodzili *harce* (Herzu!) i jakby *szyrmierze* jacy *szyrmowali* w *szrankach* i w *kresie,* w kole, niby na *turniru* czyli *turnieju* albo *burdynku* (chociaż *turleje* i *burdy* nie tylko rycerską zabawę, lecz wszelkie hałasy i bitki później oznaczały), aż od małych, postronnych *szyrmic* do walnej bitwy przychodziło; przy panach *drabowali drabi.*

Dla pośpiechu *krepowano* koni u *krepłuchów* (worków z owsem); poczem dosiadali rycerze swe *hinszty, horze* albo *orze, urze* (horse, Rosz) i *drabarze* (Traber); trzymano je w *krygu cuglami,* okryte żelazem, *ladrowane;* nędzną szkapę przezywano *marchą* lub *merchą* (Mähre), chociaż od tegoż słowa takie zaszczytne nazwy, jak *marszałka* (pierwotnie koniuszego) i (czeskiego) *masztalerza* z *masztalnią* (Marstall) wyszły, a słowo samo celtycka kawalerya przed wielu wiekami Niemcom na-

rzuciła. U wozów rozróżniano nie tylko nowe ich okazy nazwami jak *rejnwajny* (Jagiełły, lekkie wozy, później *rydwany*), *kary, szrotwajny*, wozy szrotarskie, ciężkie *karwany* (później karawany i in.), lecz co do części ich zapominano o dawnych nazwach dla nowych, n. p. zastąpiono polskie i słowiańskie oje *dyszlem;* tak i *lusznie, łanwy* i *lony, wasęgi* i t. d. wcisnęły się, szczególniej zaś *łancugi* (łańcuchy, lencuchy, Lehnzug) wyparły dawne *rzeciądze* (wrzeciądze). Pomijamy *szory, szle* (od nich i *szelki*), *lejce,* wyrazy, jak koń *lecowy, szwarclowy,* lub *szwarcowy.* Lecz gdziekolwiek się obrócimy, znachodzimy ten sam stosunek. Weźmy co na chybił trafił, n. p. inwentarz z r. 1573 po *stolarzu* (tłumaczone z Tischler) Zygmunta Augusta, Jerzym Szwarcu; znajdujemy tam *szynwagę mosiądzową, rasple, heble, ambusy, klubzagi, winkelmosy, streichmodły* (*modła* wzór), *listwy, sprengle,* tablice *sztukferkowe, srobcwingi, srobstoki, kielbraty* i pełno innego *coigu ślusarskiego,* złotniczego i t. d.

Klonowic pisze najpiękniejszą polszczyzną, lecz gdy w „Żalach nagrobowych Kochanowskiemu", do *warsztatu* się udaje, aby postać *mistrza* wystawić, roją się z pod jego pióra *rotgisarze* (później ludwisarze, rodgisar u Reja), mistrze *stamieckiego* (Steinmetz) rzemięsła po *formsznejdersku grabsztyklemf orsznejdują* i t. d.; jako mieszczanin i ławnik, zna on wszelkie tajemnice Majdeburgii, więc prawi o obermanach, o lotunku i t. d.

I tak bywa w każdem rzemieśle, *szynkownem* czy nie szynkownem, któremu *sturarze* (Störer, partacze) przeszkadzają; u *knapa* (tkacza); *gultszlara* (goldszlara) i złotnika, któremu się *szmalc* (email) dobrze opłacał; u *kuśnirza* (później kusznierza) z *welpami, ślamą, błamami* i *futrami;* u *garbarza* i białoskórnika z ich *irzchą,*

leszem i *ciemcem* i *zamszem;* u *rymarza;* u *konwisarza, stalmacha;* u *bednarza* albo *leglarza;* u *malarza;* u *ślósarza* z *witrychem* i *ingrychtem* i t. d.; u *drukarzy* z ich *kunsztem* niemieckim, z *prasami* i *buksztabami* i t. d. Cóż mówić o towarach, które z zagranicy sprowadzają, mianowicie o owych suknach, z najrozmaitszemi nazwami, owych *bajach, czamletach, cwelichach, kanawacach, kapicelach, breklestach, karazyach, szychtuchach* i t. d.! Nazwy często wskazują miejsce lub kraj wyrobu (n. p. *aras* lub *haras, lundysz* i lepsze *falendysz,* fein lundisch, *całun, machelskie, brukselskie* i t. d., z Arras, Chalons i t. d.), które kupcy sprowadzali na własny *obentaier* (ryzyko, awantura; u Reja, Krowickiego, używane i w odmiennem znaczeniu, fałszywego kamienia).

Co o *cechach* i *giełdach,* o rzemieślnikach i kupcach, toż należy rozumieć o każdym przemyśle. Górnictwo, czy w Wielkiej Soli (Wieliczce) i Bochni, czy w Olkuszu, przyszło z obcemi *gwarkami* — Słowianie kruszców nie kopali i na Bałkańskim półwyspie „Sasi“ dopiero byli górnikami. Więc stąd nazwy metali, *cyny, mosiądzu, stali* albo *ocelu* i in.; więc nazwy *hut, hamrów, hałd, szybów* i *sztolni,* z całym ustrojem *bachmistrzów* (Bergmeister), *stygarów, hawerzy* i t. d., i z ich przyrządami i t. d. Należy n. p. zajrzeć do kilku zapisek górniczych z połowy XVI wieku, wydanych w Starożytnościach Ambrożego Grabowskiego, aby się przekonać o głębi i sile tego wpływu*).

Podobnie ma się rzecz n. p. z *flisowstwem;* i tu

*) Toż samo znajdujemy u „waryczów“ soli w ziemi n. p. przemyskiej i sanockiej wedle lustracyi królewszczyzn z r. 1565 i 1566: *liny* na oprawę *kieratów, haki, wanny, achtele, losofy, bukse* do *rur, łańcuchy, sprengzele, szynale, lusznie* do wiązania *skut, halwetów* i t. d.

począwszy od *szypra* i jego *trafty* albo *tratwy* i jej *tratowania,* czekających *fryjoru* i *hysu* (dobrego wiatru), z *frochtem* i *frycami,* a skończywszy na *rudlu* i *sterze,* na *maszcie* i *żaglu,* przeważają obce terminy; dawna komenda flisowska (z r. 1604) brzmi n. p. ru bakier, ru stywbork, wasta bakier, wara stymbork — stąd pochodzi jeszcze nasze *na bakier.*

Ale nie tylko samo nasze flisowstwo, cała żegluga obfituje w wyrazy niemieckie i w późne czasy. A więc wszelkie nazwy statków, *szkuty, kogi, lichtany, szmagi* (czytamy n. p. u Paska, str. 38, te małe okręty kupieckie, szmagi; w pamiętniku Niemojewskiego: statki większe szkut naszych, a na kształt szmak budowane) i t. d.; nazwy przyborów, manewrowania i t. d., n. p. w przekładzie „Metamorfoz" Otwinowskiego (r. 1638) czytamy: kazał *bosmanom* wsiadać i *odcumowawszy* (odwiązawszy liny) od brzegu odkładać; *rufa* tylna okrętu; u Paska str. 40 i 41: *wyhysowawszy* (rozpiąwszy) żagle... zaraz poszli na *garugę* (ukośnie, *gary* sznury u żagli), *burta* i t. d.

Również wszelkie nazwy miar i *wag,* n. p. *mila, cal; wiertel, łaszt; klofta* i *łatra* (Klafter); *mędel, tachry* skórek i *tuziny* (stąd *tachrować,* układać tuzinami, chociaż niemieckie *decker* dziesiątkę skórek oznaczało); *drelinki, fodry* i *półfodry* (Fuder); *fasy, musy* i *kuchy* oleju; *łuty, firacyntle* (srebra, t. j. vier achtzentel, *fanczlibru,* t. j. Feinsilber); *kloba* i *szalki* u *wagi, reza* t. j. roweczek w *grundwadze,* w który wpada *blejczyk* na *sznurce,* stąd mawiano w przenośni bardzo pospolitej: trzymać w rezie albo klubie, wypadać z rezy albo kluby; *sztuka, szychta, szych;* dalej *pale, dyle, forszty* (belki), *tramy, teble, standary, lestry* i *wasągi* u wozów, *wańczosy, ramy* i *łaty* i tyle, tyle innych.

Też uwagi dotyczą wszelkich innych szczegółów życia miejskiego, dążącego z jednej strony do zlania się z szlacheckiem, a spadającego z drugiej do trybu kmiecego. Na stroju miejskim, sposobie życia, na zabawach nawet, wzorował się znowu po części stan szlachecki. Nie myślimy tu gubić się w setnych drobnostkach toaletowych, począwszy od *mycki* i *słojerza* (Schleier) na głowie, a skończywszy na *obcasach botów* (butów), *trepek* (mniszych i kobiecych), *trosarzy* i *dreznarów* (toż samo), *patynek* i *pantofli* — lecz trudno pominąć owe *alzbanty, bramy, bryże* i *bryżyki* (oblamowania), *kołnierze, fałdy, bufy, pasamony, pantliki, zankle;* dalej owe *szuby, kiece, kitle* i *kiderle, mętliki, inderaki, obercuchy, pludry, junkiery, fartuchy, łoktusze, botuchy* (Badtuch), *punczochy* (później pończochy, Bundschuh). Tu należy i *kraniec,* niegdyś przepaska; jeszcze w Biblii Leopolity czytamy: jako kraniec około szyje obtoczyli mnie, lecz w drugiem jej wydaniu zastąpiono go już obojczykiem i dziś już nie o ubiorze go używamy, lecz o krawędzi. Od ubiorów możnaby wrócić do alkierzy i tam spotkalibyśmy się znowu z *dekami, kołdrami,* nawet ze *strozakami* (w XVI w.); moglibyśmy podpatrzeć niedyskretnie, jak panie *farbiczkami* twarze *meglują* i *wałkują,* lecz wolimy udać się do izby stołowej.

Podobnie, jak z ubiorem, bywało i z pożywieniem, *gnarowaniem* (przysłowie: bogaty się dziwuje, czem się żebrak *gnaruje*). Wprawdzie trzymały się rzeźników na *kutlofie* jeszcze dawne wyrazy, lecz w jatkach żądały kumoszki *flaków* (jakie już Jagiełło pożywał, Fleck), albo *kruszków* (Kröse), *cąbru* (Ziemer), *nyrki, wąpiu* (Wampe), *szpandru, szpiku* (Speck), *smaru* dla smarowania, *szmalcu, szołdry* (Schulter, szynki), *kałdunów, cenadry.* U mączarzy brano *krup, gruce,* owsianej mąki na *żur* (Sauer),

pytlowanej na *kloski* (kluski, kluchy) i placki; piekarze i *kichlarze* wyrabiali *begle, pracle, kreple, pankuchy* (lecz nie z nich chyba i pączki urosły); u *gręplarzy* w *straganach* (szragach) kupowano naci na *jarmuż, brukwi, krocmerki* albo *kucmerki* (Kritzelmöre, słodyczka, dziś nie pojawiająca się na naszych stołach, które i ruty i innych podobnych przysmaków nie znają, tem częstsza n. p. na dworze Jadwigi i Jagiełły), *hanyżu, wyki, poru* (albo łuku) i t. d. Śniadano, obiadowano, *jużynowano* obficie i *smacznie;* zaczynano od *żufek* (zup), *birembrutu* (z taźbieru i chleba), jedzonych z *kromkami*(?) chleba; pieczyste dawano z *szalszą* w *salsierce;* „poście" lubowano się w rybach, *minogach* (*neynogi* i t. d. od XV. wieku), *strekfusach* (w rachunkach Jagiełłowych), *stynkach, dubielach, flondrach, certach, sandaczach, piskorzach, oklejach, byklingach* albo *bydlinkach* i t. d. Na wety szły *rozynki, datły* (daktyle), *figi, cukry, marcypany.* Jadano bardzo korzenno i „pierno" (pieprzno), więc nie dziw, że i wiele się piło. Nie mówimy o winach, *rywułach, małmazyach, ipokrasie,* winie *reńskim* (fabrykowanem na Morawach), o ich *lurach, lagrze* i *fuzach;* były różne piwa, podły *taśbir,* dobry *konwent* (piwo klasztorne), ciężkie „dwuraźne piwa" (doppelbir); były *moszcze, kielstranki* (Kirschtrank) i inne *tranki* albo *trunki,* przywożone w *baryłach, tunach, kufach z czopami* i t. d. Jak potrawy i napoje, tak i przybory kuchenne i stołowe wykazywały nazwami pochodzenie: *talerze, brotfanny* (później *brytwanny*), *rynki, roszty, tegle, cybliki, kofle, kielichy, kruże* i *krugliki, halby, puhary, wilkumy.* W kuchni *szymowano* (szumowano), co się gotowało, a naczynia, *drybusy* i in. *szorowano* nie tylko od świąt.

Pito doma i w gospodzie lub w piwnicy, na *szepcu,*

gdzie *szynkarka* na *belce* lub *tramie* kretą zapisywała; biesiady kończyły się smutno, mniejsza o to, gdy do *apateki* po *lektwarze* i *piłuły* słano, lecz częściej przybiegał *balwierz* z *plastrami* lub zeszywał *szramy* i rany; gorsze odnoszono w *wacku, tobole, kalecie!* Lecz od kielichów puszczano się i w *tańce, reje* i *firleje* (obie nazwy dostały się i znakomitym rodom w kraju: Firlejom i Rejom), *cynary* (Zeuner), świeczkowe, gonione i inne; *gamraci* (i znana nazwa osobowa, a dalej skrócona w gach) i *fryjerze* zalecali się *fryjownie* i *dwornie* (tłumaczone z hübsch, t. j. höfisch); znachodziły się i *fryjerki* w *ceplikach* (warkoczach), strojne i ładne. Kogo zaś *rańtuch* (t. j. podwika albo ruszka, staropolskie, zasłona) nie wabił, ten zasiadał do kart albo kostek; z pierwszych były „dziwne fluksy, turmy, rusze" (wedle Reja z r. 1543), *krępy* i *drużbarty,* i nie zawsze się w *rumel trafiało,* a równie zdradliwe bywały *es, tuz, dryja* albo *zez.* Urozmaicano biesiady i inaczej; występowali *szpilmany, kuglarze, rymarze* (składacze-poeci, jeszcze Reja tak nazwano w urzędowej zapisce z r. 1546), albo żacy wyprawiali komedye; popisywali się mietelnicy w *morspręgach* (saltomortale), w chodzeniu po *linie,* rozmaitem *spryncowaniem.*

Cóż dopiero w doroczny kiermasz albo w zapusty, gdy *mumszańc* sprawiano, gdy w tłusty czwartek baby krakowskie *combrzyły* (Schampern, schempern, chodzić w maskach w ów czas i napastować przechodniów — o cząbrowych babach wspominają jeszcze Załuski w „Próbie pióra" z r. 1753 i Krasicki). Główną zabawą, zarazem rycerskiem ćwiczeniem, dla mieszczan i rzemieślników, było strzelanie do kurka, do *celu* i *malu*, niegdyś wielkim *cymbulcem,* później rusznicą; dalej gra w *kegle* albo *kregle* (kręgle); zabawiano się i na *frywołtach* (fryworłach, biesiadach) cechowych, gdy naprzykład *majster-*

sztyk towarzysz wystawiał. Dziatwa i młodzież znowu Wielkiej Nocy z upragnieniem oczekiwała, nie dla walatki, gry w jajka, lecz dla *dyngusu* i *śmigusu*. Obie, rzeczy i nazwy wcale nie polskie, choć je aż do czasów pogańskich, niby jakieś igrzyska czy obchody wiosenne, odnoszono; jedna nazwana od *dyngowania* (dingen, szacować), właściwie dingnus, jakim się okupowano od nachodzenia żaków i młodzi, składając dobrowolnie, gdy za dyngusem przychodzili, do kobiałek jaja, *małdrzyki* i t. d.; śmigus zaś przerobiono z Schmeckostern, gdy śmigano palmą lub prętem i zlewano wodą, kogo w łóżku zastano; więc n. p. w „Uciechach" z r. 1655 czytamy, że kogoś oblano: „i jak więc po Śmigorzcie w niwecz umaczano", a ks. Woysznarowicz, pisząc kazanie na zejście Cecylii Renaty w Wilnie r. 1644, powiada, że Wilno, miasto Śmigurstu, śmierć królowej za upominek oddało. Dyngus i śmigus cofnęły się z miast na wieś, między gburów, gdzie i we zwyczajach i w mowie, wiele dawnego ocalało; więc przedrzeźniając mowę Mazurów, każą im chodzić *gasami*, strzec *wardęgi* (bydła), albo między przodkami żony Marchołtowej wardęgę wymienią.

Na wsi też przechowała się najsilniej wiara w *skrzata* lub *skrzatka* (Schratt, leśny duch), albo *skrzabła* (wedle dyabła), którego z latawcem zmieszano; jeśli zaś przeklinając, Walantego wzywano, (bodaj cię Walanty, kiś się Walanty ma dziać, Walkać mię witano i t. d.), to nie zastąpiono świętym patronem nazwy nieczystej siły, lecz przyplątano może i niemieckiego dyabła Valanta, Volanta, do znanej nazwy.

Wobec tych i tylu innych wyrazów, całkiem specyalnych, nie wychylających się nieraz poza warsztat, niezrozumiałych poza jego obrębem, nie zawadzi w końcu wskazać i wyrazy ogólnej treści i używania, abstrakcyjne,

etyczne i inne. Tu należą *los* i *losować,* co wyrugowały słowiański źrzeb (my go tylko o udziale na roli używamy); *kawał,* kawalec, skawałkować; *wart,* wartość; *koszt,* kosztowny, kosztować; okrzyk *rata, rety,* stąd ratować, ratunk; *szukać,* co zastąpiło dawne iskać; *musić, mus, przymus,* nieznany Słowianom, u których z niewolą, przyniewoleniem spadał; *hamulec,* hamować, jak i *cofać,* od furmanów się rozszerzyło; *rachować,* rachunk i *brak,* brakować od kramarzy; od strzelających do kurka mieszczan *cel, traf* (trafiać, trafny i potrafić) i *fal* (falować, też *szwankować*). Zamiast starania się (to znaczy właściwie zestarzenia się od trosk i kłopotów), zaczęto się teraz *frasować* rozmaitym frasunkiem, szczególniej, gdy się w prawne *folgi* (folgować, ustępować komu) i *kieraty* (przenośnia od kieratu) wdało, co na *reszcie* i zdrowiem i mieszkiem przypłacano. *Warowano* albo *wiarowano* się też prawa ile możności, lecz cóż robić przeciw *anslagom* (handszlakom, hanszlakom), *sztukom* i *kunsztom* złych ludzi, co się na zgubę dobrego *zbuntują* (*bunt* znaczył jak w niemieckim tylko związek, więc mawiano n. p. na sejmie r. 1555, abyśmy się zbuntowali z królem rzymskim w ligę, albo na sejmie roku 1563, chciano ten bunt unii wcale zachować, dopiero później: spisek); przeciw ich *konszachtom* i *fortelom;* przeciw ich *fałszu* (stąd fałeszny albo fałeczny, dziś fałszywy, fałszować).

Miarkowano się też wedle tego i *stosowano:* wszyscyśmy położeni na takim stosie, wytrzymujemy go stosownie (wedle stosunku); *winszujemy* też sobie (lub winczujemy), gdy udało się zbyć go *żartem, kunsztem,* jeśli nie nam dano *sznypkę* (sznupkę) albo *fiszkę. Szonowano* (później szanowano) się; *pielegowano* (później, w XVII wieku n. p. u Simplicyana r. 1601 i u Kuligow-

skiego r. 1688, pielęgowano i pielęgnowano) znajomości i zażyłość, choćby drobnymi darunkami (słowo z niemieckim ogonkiem); takim *kształtem* i *trybem* trybowano się wzajemnie i *forytowano*.

Są i inne ogólnie przyjęte wyrazy; z dygnitarstw i t. p. bardzo niewiele, *grof, ochmistrz* (hofmeister), hochmagister Jagiełły, *trukczaszy, burgrabia, herołt, hołd* (hołdować), *leńskie* i *mańskie* prawo, *man* poddany, *podmanić* i t. p.; tu i *fraucymer* zaliczymy.

Z nazw pokrewieństwa *szwagier* wyparł *dziewierza* i *szurzę* (*surzyna*, na Mazowszu jeszcze w XVII. wieku), lecz *brutka* (narzeczona) spadła dawno do wyrazów gburskich. W najdosadniejsze przezwiska tak obfituje rodzimy słownik, że pozostawia daleko w tyle niemiecki, więc i pożyczek mało; zwać kogo *kacerzem*, *kacerzować* go, było ciężką winą; z *łotrem* już spotkaliśmy się, *szelma* właściwie przez Czechów i teologów-polemistów wkroczył; za to *bękart* (bąk, bęś i dla fałszywej monety) i *bastard* (bastrzę) wyrugowali pokrzywników i wylegańców; tu można doliczyć wyrazy, jak *rabować* (rabuś), *plądrować, mordować;* nazwy zwierząt, ryb, ziół przenoszono na ludzi głupich, niechlujnych, złych, n. p. *dubiel, flądra, grundal* (grundys, grundychwał, Gründel) i inne.

Oto główne zasoby tego rodzaju obcych słów. Jeśliby pytano, po czemżeż poznać, że one właśnie między 1250 a 1550 r. do języka weszły, nie wcześniej, ani później, to współczesne pomniki, akty, zapiski, wiek ich niemal zawsze stwierdzają; dalej przekształcenia zewnętrzne i wewnętrzne, jakim ulegają, zdradzają, że nie książką, lecz żywą wymianą, przez usta ludu miejskiego i wiejskiego przechodziły, że się z zasobami rodzimych słów zespalały. Nie znosi więc lud niepolskiej zbitki *ge* na początku

słowa i powstają owe gminy, gwarki, gmerki, ksztele (buksztele), gmachy, o których już wspominaliśmy. Lud odrzuca też niemieckie *h* w nagłosie, n. p. aftkarz, ochmistrz, uf, ufnal, usnacht, alzbant, antfas, antaba, Olandrowie, ołd, olstro (Halfter), orz, obcęgi (pierwotnie hebcągi, n. p. u Tarnowskiego r. 1558) i naodwrót dodaje je: hałun, hanyż, hanszlak (Anschlag), herb, herszt, hachtele, hecować (ätzen, więc mówi n. p. Rej o zbroi, że powinna być wyhecowana i t. d.), co i inni Słowianie, wymawiając niemieckie słowa, stale czynili tak, że to Niemcy dawno, n. p. u Słowian załabskich, zauważyli i słusznie się temu dziwili. Dalej zmienia niemieckie *a* na *o*, n. p. oksza z Axt, obcas, obława (Abelouf) i t. p.; zbija *an* w *ę*, węder, mędel, mętlik i t. d.

Do niektórych obcych końcówek tak nawyka, że używa ich dla nowych, rodzimych słów, n. p. — *arz* (z niemieckiego — ari, a to z łacińskiego — arius), przyjęte w lekarz, malarz, murarz, mordarz i t. d., tworzy nowe polskie słowa: garncarza (zamiast zduna), piekarza (Bäcker), stolarza (Tischler). Podobnie ma się z przyrostkiem — *unk* (dziś — unek); wzięty wraz ze słowami rachunk (Rechnung), gatunk (Gattung), ratunk (Rettung), bitunk (biutunge), ordunk, rystunk i t. d., tak się rozwielmożył, że i polskim słowom służy, pocałunek, podarunek, karczunek, sprawunek, i od niemieckich niesłychane w niemczyźnie urabia, n. p. rysunek i t. p. Złożenia z *holc* tak są dawne i utarte, że odpowiedni jemu — ulc (ulec) za polski przyrostek uchodzić może, n. p. w budulec z Bauholz, hamulec, krępulec, strychulec i t. p., które bezpośrednio z budować, hamować, krępować, strychować, łączymy. Podobnie *nal* z Nagel powstało; już w rachunkach Jagiełłowych czytamy o brutnalach (Brettnagel) i szpernalach, podobnie ufnale i inne. O zmianie

dwóch po sobie następujących *r* (murarz z Maurer, folwark, ruła, lubryka, Małgorzata i t. p.) już wspominaliśmy. Za to zatrzymuje się już i niepolskie *f* (funt i t. d.) i *h* (huta), których słowa pierwszej i drugiej warstwy wcale nie znały; *f* zastępują i przez *w*, jak n. p. w *wasągu* i *wachlowaniu* (ale *fasować* i t. d.).

Tym i innym zewnętrznym zmianom odpowiadają i wewnętrzne; słowa tej warstwy przyjmują się jeszcze tak znakomicie, że, choć przesadzone, bujnie się rozrastają i rodzimym nieraz wcale nie ustępują. Przypomnijmy n. p. koleje, jakie wyrazy jak waga (uwaga, odwaga), brak, dzięk, smak, wet, traf, stos, kres i t. p. w polskim języku, niezależnie od niemieckiego przychodziły. Tu wspomnijmy choć o *harapie:* dziś, to bat myśliwski, kańczug, lecz właściwie okrzyk to niemieckich łowców, odganiających (herab!) psy od napadniętego zwierza, więc i koniec (polowania i t. d.) oznacza, — już po herapie, po wszystkiem, po niewczasie; i *harować* od okrzyku *haru*, którym się nawoływano (haru, haru a psy w krupy!) poszło.

Zresztą polowanie właśnie najmniej wyrazów tego rodzaju przyjęło, chyba że między przyborami myśliwskimi (*kulka, glot* i in.) takich przybyszów znajdziemy; strzelby nazywano od miejsca wyrobu, n. p. *guldynki, cieszynki* i t. d. Możnaby tu wspomnieć i o nazwiskach: Olbrachcie, Jadwidze, Halżce, Jadze i tylu innych, rzadszych; o rodowych: Szembeków, Morsztynów, Worcelów (wurzel) i innych spolszczonych, jak Reje, Firleje i Fredry; o nazwach geograficznych, przejętych z niemieckiego, n. p. Szwajcaryi (*szwańcarski* dawniej), Iflant (później Inflant), Holandyi, Francuzów — nie mówiąc o krainach rzeszy samej, Brunświku, Szwabii i t. d. —

lecz nie było zamiarem naszym, zasoby bogate zupełnie wyczerpać.

Czegóż dowodzi cały ten nadmiar szczegółów, z których ledwieśmy wybrnęli? Dowodzi przedewszystkiem, jak szybko się przyjęła i szeroko rozwinęła ogłada miejska. Przynieśli ją do nas wprawdzie Niemcy, lecz nie oni ją stworzyli; zawdzięczali ją przecież sami innym, municypiom romańskim z ich tradycyami ogłady starożytnej; zawdzięczali owej nierozerwalnej łączności kultury, sięgającej w swych pierwszych początkach dalekiego wschodu, a odbywającej teraz nowy, zwycięski pochód od zachodu; sam język niemiecki o zależności tej na każdym kroku świadczy.

A wypadałoby dodać i to, że i Niemcy od nas (lub od innych Słowian) niejedno przejęli, dziś zapomniane albo jeszcze istniejące; n. p. słowa jak *Grenze* z *granica; Dolmetsch* z *tłumacz; Petschaft* z *pieczęć (pieczać); Zeisig* z *czyż; Stieglitz* ze *szczygieł; Temnitz* (więzienie) z *ciemnica; Dornitz* (izba) z *dwornica; Hallunke* z *hołomka; Talken* z *tłokno* i Geiszlitz (co u nas Stanko r. 1472 zapisał) z *Kisielica* i t. d., nie naszem ządaniem to wszystko wyliczać. Dalej, że wiele naszych słów najniesłuszniej o niemiecki pomawiano początek, nasza *chąźba* n. p. (kradzież, rozbój) nic niema z *Hansą* do czyniena, ani *gmerać* z *mähren*, ani *szlochać, gderać, szłapać, szturchać, rzępolić, mitręga, gabać, gapa* i *gapić się* (o wronie, też *glapa*) i kilkadziesiąt innych słów (nawet *kiep* między niemi), Słowian czy Polan rodowitych, jak najdowolniej i najmylniej o niemieckie oskarżano pochodzenie — co wszystko umyślnie milczeniem zbyliśmy.

Lecz nie zalały fale tej nowej kultury miejskiej niw polskich doszczętnie; istniała tu cywilizacya i przed ich

napływem czerpała a i dalej, jak przedtem, wprost ze źródeł łacińskich, chrześcijańskich i pogańskich; wchłaniała wpływy pogranicznych, słowiańskich Czech; nawiązywała bezpośrednie stosunki z włoskiem południem, z jego humanizmem i odrodzeniem; garnęła się ku ościennym Węgrom, których ustrój państwowy i społeczny tak silnie polski przypominał; wciągała Ruś, najpierw pograniczną, czerwoną, potem i dalszą, białą, litewską, we własny ruch polityczny, socyalny, umysłowy i nastręczała się tem samem wpływom wschodnim. Jak się to wszystko w języku odbiło, wykażemy po kolei.

Zaczynamy od Czech.

V.

Gwarno w wązkich i ciemnych ulicach starej Pragi; ciasno w szczupłych a ponurych lektoryach; z półmroku kościołów wypływają strojne i barwne tłumy różnojęzykowe na miejsca otwarte; porywane tu ognistemi słowami Niemca Waldhausera, albo Czecha Milicza, wzruszone i skruszone, ślubują odmianę i poprawę, zarzucenie barw i strojów, przyrzekają miłosierdzie ubogim i upadłym. Scena taka powtarza się nieraz, jeden z objawów wrącego życia w mieście.

Już od końca XIII wieku przedstawiała Praga środowisko umysłowego ruchu, wzbudzanego ścieraniem się różnorakich prądów, wzrastaniem dobrobytu materyalnego i znaczenia politycznego; lecz jakżeż potężniał ten ruch od bezpośrednich związków z najcelniejszemi ogniskami kultury średniowiecznej z Paryżem i Oksfordem, z krajami nadreńskimi i włoskimi, to jest od czasów Karola luksemburskiego, ojczyma dla Niemiec, ojca dla Czech; od założenia Studyum Generalnego, przeznaczo-

nego wprawdzie dla krajowców, ściągającego jednak, jak Studyum Paryskie, klejnot Francyi, krocie młodzieży z Czech, Niemiec i Polski, nie uszczuplonego bynajmniej świeżem urządzeniem Studyów wiedeńskiego i krakowskiego, chylących się natychmiast po założeniu ku czasowemu upadkowi.

Pomijamy artystyczne, humanistyczne i inne objawy ruchu tego; górująca w nim średniowieczczyzna, dążyła ku zagadnieniom religijnym. Jeszcze nie wyłamywał się ten ruch zpod powagi Kościoła, poddawał się szczerze jego sądowi, lecz coraz śmielej i silniej napadał już na wszelkie nadużycia, szczególniej w życiu duchowieństwa i w gromadzeniu jego dostatków; wołał coraz głośniej o reformę, o zaspokojenie sumień potrwożonych przerażającą ilością zła, wyrodzonego z życia średniowiecznego, gdzie obok przepowiadanej słowami askezy i ciągłego *memento mori,* bezwzględne używanie, ciągłe *memento vivere,* zdawało się przytłumiać wszelkie porywy myśli i uczucia chrześcijańskiego na zawsze. Tak zbierały się powoli materyały palne; niebawem wybuch ich miał zalać ziemię czeską morzem krwi i ognia, gdy z przeciwieństwami religijnemi zlały się narodowościowe i społeczne.

Czarodziejskim musiał być wpływ, który taki ruch i życie wywierały na Sandomierzaninie lub Mazurze, przybyłym do Pragi dla studyów. I snuł się nasz Stanisław, z początku nieco oszołomiony tem wszystkiem, później coraz śmielszy, w *tabardzie* i długiej *hazuce* (sukni) po lektoryach i kościołach, roznamiętniał się w sporach teologicznych: czy należy często przyjmować Sakrament Ołtarza, czyli nie; czy w cudach, jakie w Wilsnaku na Marchii za zjawieniem krwi Pańskiej się działy, gdzie to napływający zewsząd pątnicy grzechy swe na wielkiej

wadze zbożem, bydłem lub woskiem odważali, nie kryło się więcej przesądów i szalbierstwa, niż wiary i skruchy; czy taki jubileusz, świeżo Pradze nadany, z licznymi a drogimi indulgencyami, nie zakrawał raczej na wyłudzanie grosza; a w sporach tych rozstrzygali nieraz rodacy n. p. Mateusz Stadtschreiber z Krakowa, jeden z najsłynniejszych teologów studyum praskiego i wieku XV, popieraniem uniwersytetu krakowskiego i około własnej ojczyzny znakomicie zasłużony, Wigandy, Skalmierzycki i inni. Stanisław nasz czuł się rychło jakby między swymi; przesiąkał czeszczyzną, nazbierał piosneczek żakowskich, religijnych, politycznych; wracał do domu z przepisem „postylli studentów praskich“ (Waldhausera), z traktatami Rankonis, Mateusza Krakowskiego, Husa, a może i samego Wiklefa. Cóż za dziw, że, każąc później polskiej gminie, w duchu czeskiej reformy wzywał, aby świeccy przełożeni nadużycia duchownych karali; że zaśpiewał na czeski ład polską pieśń o Ciele i Krwi Pańskiej, której świeckim niegodnie bronią; że liczne czeskie wyrazy, nie tylko teologiczne, ale i pospolite, wplatał w polszczyznę. Tak n. p. powie: „oto tłuszcze te trzy dni i więcej za Chrystusem chodziły, a nasi *bumbacy* (praski wyraz, pijacy!) boją się, aby im nie skląsł brzuch i omijają kazanie... niech słyszą i straszą się tem *tatrmani* (kuglarze, — czyż gmina polska słowo to zrozumiała?); dzisiejsi ludzie, zamiast słuchać słowa bożego, przechodzą raczej na *frywołty* (hulanki) do karczem, na tańce“. Więc na poły z czeska będzie gromił *świętokradztwo, złoczyństwo* (niecnotę) i t. d.; będzie rozprawiał o *podstacie* (substancyi), o *istocie* (eksperymencie) i t. d. Inni Stanisławowie całkiem w Czechach grzęźli, wyrobili nawet w końcu nowy typ czesko-pol-

skiego duchownego, fanatyka nieraz i nieuka równocześnie, którego i czeski katolik z niechęcią wspominał.

Lecz nowy obraz przedstawia się oczom naszym. Gdy hufy Zygmuntowskie zalewały Czechy, paląc i zabijając, nie szczędząc nawet dziatek w łonie macierzyńskiem, porwał się naród do broni, otrząsł się z napastników, odpłacił ich najazdy groźnymi wylewami na zewnątrz, do Łużyc i Marchii, i włożył się cały nie tylko w teologiczne, ale i w nowe rzemiosło wojenne: wyrobił się niebawem na doskonałego żołnierza; spustoszona ojczyzna już rychło nie mogła go wyżywić, więc niedawny „wojownik Chrystusów“ przemienił się w najmitę, służącego i znienawidzonemu sobie Niemcowi (chociaż pierwotnie nie przeciw Słowianom; Czechów, co się tego dopuścili, palili właśni bracia) i spokrewnionemu z sobą Polakowi.

W zaciągach Żyżki, Iskry lub Czerwonki stawał Czech z *kapalinem* na głowie, ze zbroją *jezdecką*, *kolczą, kopieniczą,* z *rucznicą* (ruśnicą) lub *piszczalą* (pistoletem), włożony w sztukę *otaborowania się,* wyćwiczony, karny, pod *hejtmanami,* posłuszny *hasłu*(?) wychodził na *harce, kopieniczył,* a po *walnej* bitwie *chałupował* (rabował) niemiłosiernie, w czem go jeszcze prześcigali *drabi* i *luzacy,* przepełniający każdy obóz. Z czeskiego uzbrojenia przedostały się wraz z rzeczą i nazwy do dawnego słownictwa obozowego, więc *huczące działa, hakownice* i *półhaki; kutrygały* (rodele, puklerze), *szefeliny* (spisy) i pięciołokciowe *rohatyny* (włócznie); *szarszuny* (miecze), *koncerze, burderze* (bunderze), *koczpergały* (szpady), *deki* (sztylety), *krupierze* (na koniu, pod *masztalerzem*) i t. d.; wszystko nieforemne, zbyt ciężkie, przygniatające jeźdźca i konia, nieocenione za to w ręcznych zapasach, we zwieraniu się nielicznych, lecz bitnych rot. Od rot tych i hufów sze-

rzyły się i wyzwiska: *szelmę* n. p. wzięliśmy z czeskiego, nie ze niemieckiego, dalej *frant, fryjerz, kujon* lub *kojan* i t. p., i przysłowia różne (zmyć bez ługu, warzyć piwo ze strzechy i t. p.), trącące rubasznością, ale i otwartością, szczerością obozową, ową słownością, jaką Czech w Polsce słynął.

Nie zapominajmy jednakże, że prócz czeskiej zbroi i taktyki, ceniono dalej, jak i dawniej, czeskie książki (rękopisy). Posiadał je n. p. król Zygmunt w wileńskiej bibliotece (biblię i dzieło św. Jana Złotoustego), jak je niegdyś posiadała królowa Jadwiga, której cała biblioteka wymieniona przez Długosza, może raczej czeską niż polską była; r. 1519 przepisał p. Piotr Pilecki na Rabsztynie (w Krakowskiem) czeską Wojnę Trojańską; niejeden cenny rękopis czeski przechowały do dziś nasze biblioteki, nie tylko biblie, kazania (w Dzikowie), modlitewniki (we Lwowie) i t. d., lecz i epopeje, i poezye czeskie, które bez śladu we własnej ojczyźnie już zaginęły. Pierwsi czescy księgarze liczyli stale na zbyt towaru i w Polsce; autorowie przypisywali dzieła polskim mecenasom; rzeczywiście, jeszcze dzisiaj zrozumie Polak łatwiej religijno-filozoficzny język Tomasza Szczyteńskiego, niż język filozoficzny p. Durdika, łatwiej rymowaną kronikę czeską (z początku XIV wieku), niż historyę Palackiego lub Szafarzyka, — cóż dopiero w latach, o których mówimy. I okazuje też wszędzie ówczesny Polak znaczną poufałość ze słownictwem czeskiem, jego *grododzierżcy* (kasztelani), *chlebojedźcy* (słudzy domowi), *chorągiewni panowie* i t. d., choć brzmią czysto po polsku, wywołane są czeskim wzorem. Tak-to starsi w kulturze bracia wpływali na młodszych.

Jakżeż przyszło do tej kultury i do tego wpływu? Przecież już w XIII wieku mogło się zdawać, że Czesi

pod rodzimą dynastyą wynarodowią się doszczętnie, jakby jacy Pomorzanie lub Rujanie; królowie i magnaci popierali w zawody napływ obcego żywiołu; po dworach, grodach i wsiach otaczali się niemieckimi singerami; panowie przezywali swe zamki (a od nich nieraz i swe rody) Rozenbergami, Waldsteinami, Hazenburgami i t. d. Lecz podobny proces, w innych warunkach, wydał też wręcz przeciwne rezultaty: co Pomorzan wynarodowiło, posłużyło Czechom do wzbudzenia i wzmocnienia własnej narodowości, do przejęcia się kulturą zachodnią, a tem samem do wyniesienia się na czoło słowiańskiej cywilizacyi średniowiecznej. Ziemia była przedewszystkiem bogatsza i większa, skupiona około jednego rodu i grodu, od wieków chrześcijańska, a położeniem bardzo obronna; więc zawisłość od Niemców nigdy zbytnio ciężyć nie mogła: okupywano się uznawaniem zwierzchnictwa i wcieleniem do Rzeszy, nie pozbywano się poczucia odrębności; samowiedza narodowa obudziła się wcześniej, niż gdziekolwiek indziej. Tak samo było z literaturą: niemiecka służyła jej za wzór, naśladowano epopeje, kroniki, legendy, liedy, misterya; lecz formy obce przesiąkały nowym duchem narodowym (tak jaskrawym naprzykład w kronice rymowanej lub w Ezopie), dążeniem patryotycznem. Obok literatury świeckiej zakwitła i religijna, w pieśniach pobożnych, w przekładach, już od XIII wieku, wznosząc się w Tomaszu Szczyteńskim do głębokich rozmyślań nad pięknem i dobrem, nad światem, człowiekiem a Bogiem. Takto pojętni uczniowie Niemców wyprzedzili innych Słowian na każdem polu: obyczajowem, umysłowem, społecznem.

Skorzystali z tego najpierw Polacy, blizkością geograficzną, o wiele większą etnograficzną, związkami dynastycznymi, stosunkami politycznymi (choć nieraz

wrogimi) dawno z Czechami spajani. Stosunek ten uwidocznił się najdokładniej w literaturze; gdy się bowiem nakoniec obudziła potrzeba pisma polskiego, ksiąg polskich, pieśni polskich, ciągłość pracy umysłowej, jakąśmy w rozwoju średniowiecznym nieraz zauważyli, oddała znakomite usługi: gotowe wzory czeskie języka i pisowni, wyrażeń i form, stylu i treści, naśladowano w pierwocinach pracy umysłowej polskiej, ułatwiano sobie tym sposobem zadanie znakomicie, zachęcano się do prób coraz większych i samoistniejszych.

Początkowo bowiem zależność od wzoru czeskiego bywała bardzo znaczna, niemal gorsząca. Wprawdzie nie groziło niebezpieczeństwo, że czeski język literacki przygniecie polski, że powtórzy się w zachodniej słowiańszczyźnie zjawisko południowej i wschodniej, gdzie język literacki (ale zarazem i cerkiewny) narodowe języki przez całe wieki z literatury wykluczał. Coś podobnego, choć w drobniejszych o wiele rozmiarach, powtarzało się u nas w XIV i XV wieku. Posiadamy n. p. pieśni kościelne, niby polskie, w istocie jednak czeskie, albo co najmniej w języku mieszanym pisane. N. p. czytamy w starej pieśni o św. Dorocie: „bohu służyła, ślibując (ślubując) bohactwa mnoho, złato, kamienie, draho... tot je welmi (bardzo) tepechu (bili), aż potoci teczechu“ i t. d. Jeden z tłumaczy psałterza brał żywcem czeskie formy wzoru; tłumacz biblii również gorliwie z czeskiego przekładu korzystał. I fakty te nie są odosobnione, ani też urywają z XV wiekiem; najdawniejszy druk polski, coś w rodzaju biblii dla „pauprów“ odzywa się takąż polsko-czeską mieszaniną; jeszcze w połowie XVI wieku pisarze teologiczni świadomie używali wyrazów czeskich, uzasadniając ich wybór tem, że „Czesi są pirwszy, niżeli Polacy w tłumaczeniu biblii“ i t. d. (Hieronim Malecki,

postilla domowa, 1574 r.). Sekłucyan, władający znakomicie językiem polskim, gdy w przekładzie ewangelii mniej zwykłych form używał, ostrzegał o nich czytelnika, aby go nie posądzano o czeszczyznę („tam niektórzy drugiego Czechem od Czerwieńska — t. j. niedoszłym — ochrzczą").

I tak powtarza się ciekawe zjawisko (wniesione w roczniki nie dziejowe, lecz w językowe), że, jak w dziesiątym wieku polskie chrześcijaństwo przybrało szatę językową czeską, tak od r. 1350—1550 język literatury religijnej (a główny dział literatury był właśnie religijnym) wedle czeskiego się urabiał. Tylko nie szedł w ślad za wszystkiem, w pisowni n. p. nie przyjął jednolitości, wprowadzonej przez Husa, lecz nie został przy dawniejszej mieszaninie znaków.

Nie ograniczały się jednak wpływy czeskie literaturą religijną lub umiejętną, której słownictwo Polacy stale naśladowali. Przewaga królewstwa Karolowego nad skołatanem Kazimierzowem, a Pragi nad Krakowem, dążenia do podniesienia dobrobytu i ładu, późniejsza przewaga wojenna Czechów, o której już mówiliśmy, sprawiały, że szerzyły się w Polsce czeskie porządki w państwie, mieście i obozie, a z nimi wzrastała coraz przewaga samego języka. Czeszczyzna uchodziła jeszcze na dworze Zygmunta Starego za gładszą, wykwintniejszą, pieszczotliwszą; chętnie popisywał się Polak, choć w Czechach ani bywał, czeskiem słóweczkiem, doma i u dworu; jeszcze Dworzanin Górnickiego (r. 1566), poświadcza to i ubolewa nad tem. Przykładów dostarczy nam choćby Rej, ów zawołany ojciec piśmiennictwa polskiego.

Miewał on nieraz pesymistyczne poglądy na język rodzimy, n. p. gdy twierdził, żeśmy „język swój, acz też nie bardzo foremny, tak byli zatłoczyli a zaniszczyli,

żeśmy mu (go) czasem sami właśnie nie rozumieli". Czuł się więc uprawnionym pomagać sobie zasobami czeskiego języka, jedynego obcego, jaki (prócz łaciny) posiadał, wypełniając *anticipando* program, który później Dworzanin, dla rozumnego wzbogacania „nieforemnej" mowy polskiej, stawiał; tylko że Rej nieraz, i to bez najmniejszej przyczyny, ot tak sobie, dla gustu i mody, wszelkie granice przekraczał. Rozumiemy n. p., że zażyje czeskich terminów *burda, łudarstwo, pokryciec* (obłudnik) i innych; że powie *czeski kohucik, zahrada* zamiast ogród; ale po co pisze n. p. *ohromny, hruby, prażen być czego* (zamiast próżen; znaczy minąć, zbyć się czego), *tesar* (por. *tesaczek)* zamiast cieśla, *kulhać* (kuleć) — *złotohław, hońca* (gońca), *brana* (brama), *kraszczy* (piękniejszy) i tyle innych. W Postyli jego, słów czeskich, owych *pochwiłek, pożartków, pokrytstw, pochłubek,* owych *burzyców, społków, upełnych, zamułków, istot* (zapisów), *powyszszeności* i t. d. tyle jest, że mimowoli pytamy, czy nie posługiwał się w niej Rej czeskiemi źródłami? chociaż postyl czeskich nie było.

Inni znowu wprowadzą czeskie słowa dla żartu, z fantazyi, gdy im rymu zabraknie, n. p. jeżeli Kochanowski dla komicznego wrażenia pisze: „kiedy w pytlu *hrosza neni"*; Klonowic obok czeskiego wyrazu położy choć na boku karty polski. Tym sposobem wkradły się do polszczyzny czechizmy, bez żadnej potrzeby i niczem nie uzasadnione.

Zapyta jednak czytelnik: po czemto poznać czeskiego właza (intruza)? Niemieckich rozpoznać i wyłączyć nie bywa zbyt trudno; język odmienny, więc słowa zdradzają się natychmiast obcym dźwiękiem lub przynależnością do rodzimych pni niemieckich czy do romańskich; czeski zaś język tak jest zbliżony do polskiego, że

i badacz nieraz zawaha się, czy tożsamość polskiego i czeskiego słowa wyprowadzać ma ze spólnoty polsko-czeskiej, czy z równoległego, samoistnego rozwoju w obrębie każdego z tych języków z osobna, czy wreszcie z prostego zapożyczenia.

Są przecież cechy, które czeską narodowość wlaza zdradzają. Mimo ścisłego pokrewieństwa, wiążącego oba języki, zachodzą między niemi i znamienne odrębności: my mamy n. p. brzmienie *g*, Czesi tylko *h*; my nosowe *ą, ę*, oni *u* lub *ie, a*; my zmiękczamy *t, d* na *ć, dź*, zmieniamy *ie* na *io* lub *ia*, oni zachowują *t, d, e*; my mamy *ło, ro* w pewnych razach, oni *ła, ra* i t. d. Parę przykładów rzecz objaśni. Polskim był Więcław (więcej sławny), czeskim jest *Wacław*; mówimy *nauczyciel*, mówiliśmy więc i *obywaciel* (od obywać, mieszkać), *obywatel* zaś zdradza te same koła, w których z czeska i *stawami* ziemskimi, zamiast stanami, i *sniemami*, zamiast sejmami, i *bratrami* (n. p. Orzechowski, Paprocki), zamiast braćmi, się popisywano. Polskiemi są słowa *włość, włodarz, Włodzisław* (n. p. w nazwach miejscowych, we *Włocławku* i *Włodzisławiu*), dawniej *włosny, włodać*; czeskim jest *Władysław*, to znaczy, że do rdzennie polskiego słowa wkradła się od XVI wieku czeska wokalizacya. Polak nie „pożyczył" bynajmniej nazwy *Wacław* lub *Władysław* od Czechów, tylko zastąpił w tych staropolskich słowach i nazwach wokalizacyę polską przez modniejszą czeską; są to niby mieszańce i należy je ściśle od wszelkich właściwych pożyczek odróżniać.

Napływ żywiołu niemieckiego, mieszczan, *rękodzielników*, kupców, górników i t. d., pozostawił w języku grubą warstwę wyrazów dla urządzeń miejskich, dla rzemiosł, przemysłu i handlu; wyrazów, używanych nieraz wyłącznie w izbie radzieckiej, lub cechowej, w warszta-

cie, w kramie lub w szybie górniczym, a nieznanych poza ich obrębem. Wyjątkowo rwą się i te wyrazy na przestwór, uogólniają się, nabierają nowego znaczenia, n. p. takie *sztuki* (już nie *kunszty)* piękne, które z warsztatowego (majster) — sztuku wyszły, chociaż ze znaczeniem i rodzaj zmieniły (jak zresztą i inne, *turma, sznur, tama, sztaba* i t. d.).

Niemieckie słowo wpłynęło nieraz na znaczenie polskiego: jeżeli n. p. nasz *pokój*, spokój i izbę zarazem oznacza, jak w kalamburze Henryka Rzewuskiego o paryskim pokoju r. 1856, który jedni mieli obitym, a drudzy malowanym, to urosło to z naśladowania niemieckiego Gemach (pokój, gmach i spokój, gemächlich); podobnie nasz *sklep* (t. j. sklepienie) wedle niemieckiego Gewölbe i kram oznacza, nie w innych językach słowiańskich. Powtarzamy jednak: są to wyjątki; z zasady przyswojony wyraz niemiecki bywa tylko technicznym, specyalnym, zaściankowym.

Odwrotnie ma się rzecz z czeskiemi. Pojęcia oderwane, religijne, etyczne, terminy umiejętne, lekarskie, botaniczne, przeważają w czechizmach polskich stanowczo, skoro głównie drogą literacką do nas się przedostały. Przymiotników z niemieckiego prawieśmy nie pożyczali (prócz nazw barw i t. p.), za to kilka z czeskiego. Ot, takie *niezbedny*, o któremśmy tak dalece zapomnieli, że wydawcy starych pism stale je w *niezbędny* przekręcają (tyle, co brzydki, obmierzły); znamy je tylko w tem przeczącem złożeniu, dodatniego „zbedny“ starych Czechów nie posiadamy. Albo przymiotniki na -telny, śmiertelny, czytelny, wierzytelny, skazitelny, rzetelny, gdyby były polskie, brzmiałyby wierzycielny i t. d,; w starej polszczyźnie nie było śmiertelnego razu lub czasu, był tylko raz lub czas śmiertny; nie było listu wierzytelnego,

był wierzący; rzetelny zresztą brzmiał pierwotnie źrzetelny, t. j. widomy, jawny, później przerobiono znaczenie na „uczciwy“. Tak się ma rzecz i z uprzejmym, dawniej uprzemym, który otwartego, prawego, honorowego oznaczał, — uprzejmy i wiernie nam miły, w urzędowych tytulaturach; potem go z przyjemnym pomieszaliśmy. I moglibyśmy jeszcze więcej takich czechizmów przytoczyć, ale nie zawsze wszystkie pewne; a powtóre, wystarczy tu streścić zasadę: im więcej wyraz (oderwany, wspólny czeskiemu i polskiemu) złożony, n. p. sprawiedliwy, nabożeństwo i t. p., tem większą ma się pewność, że pierwotny tłumacz polenił się pomyśleć o odpowiednim polskim wyrazie, że zadowolił się przeniesieniem gotowego czeskiego do swego wykładu; żacy w szkołach słyszeli go od mistrzów, i tak wkradały się przybysze na miejsce słów swojskich. A były między niemi nawet spójniki, n. p. „ponieważ“. Lecz przy tych pożyczkach wyrazów oderwanych należy znowu i walne zastrzeżenie uczynić: język polski czeskiego wcale nie okradał, wieleż tych słów jest tego rodzaju, że język polski musiał i samodzielnie na nie wpaść, nie mógł ich ominąć, n. p. duchowieństwo i t. p. Czeskiemu można chyba to tylko przyznać, że je już o jakie stulecie wcześniej urobił; tylko uprzedzony lub nieoględny badacz pomiesza takie wyrazy z właściwemi pożyczkami, nie uzna ich względnej lub całkowitej polskości.

Możnaby wyróżnić jeszcze dział osobny: wyrazy botaniczne. Czescy lekarze (tylko botanika lecznicza istniała dla średnich wieków) tłumaczyli dla celów praktycznych łacińskie nazwy roślin od końca XIII w.; żacy polscy przywozili z Pragi owe łacińsko-czeskie spisy i przykrawali je w Krakowie lub na prowincyi na polski ład; tak weszły w nasz język n. p. *kostywał, kosaciec, czyściec, kurza noga, macierza duszka* i tyle innych. Przytem

warto nadmienić, że Czesi, gdy się raz do tłumaczeń zabrali, z rozpędu tłumaczyli wszystko, nawet tygrysy, Merkurych i Wenery — można się i po rękopisach polskich takiemi tłumaczeniami ubawić.

Lecz nie same oderwane pojęcia oznaczaliśmy, wyrazami bądź to rodzimymi czeskimi, bądź niemiecko-czeskimi, których osobno nie chcieliśmy wyróżniać. Od Czech szły i nazwy geograficzne, n. p. *Cochy (Akwisgran), Wiedeń, Rakusy, Uhry* (częste w XVI wieku, Węgry) i inne; szły nazwy monet, urządzeń, n. p. *berna* (podatek za Kazimierza Wielkiego), *oprawca* i in. Jeden z dawnych wyrazów prawniczych stał się dziś prostym wykrzyknikiem: stary Polanin, gdy nieszczęście go ćwiczyło, wołał: „biado! gorze mnie! ach jałacie“; lecz już w wieku XVI Polacy *niestotali*, t. j. wołali *niestocie, niestoty, niestety*. Był to stary okrzyk czeski, którym zbrodniarza (na gorącym śladzie) tropiono, wołając za nim *nastojcie*, t. z. prześladujcie, gońcie, to samo, co Niemcy z swoim Zeter. *Nastojcie* (nastawać na kogo) zmieniono u nas po miastach w XV wieku na wręcz bezmyślne *niestojcie;* już w tak zwanych ortelach magdeburskich czytamy: „gdyby nań niestojcie abo ceter po trzykroć zawołano“. Niestojcie, termin ściśle kryminalny, spadł w ciągu następnego wieku do ogólnego wyrażania „biady“; „bieda a niestoicie“ czytamy w Kancyonale polskim ks. Wal. Brzozowskiego z r. 1554: „ach, niestojcie na ten świat“ w komedyi starego Bielskiego z r. 1557 i t. d.

Może jeszcze ciekawsze pochodzenie naszego *nader*. Mówiąc dziś o nader niepomyślnym wyniku, n. p. wyborów, ani przypuszczamy, że to dwa słowa, jak w *nawet*. Nader pojawia się dopiero w XVI wieku, przedtem go nie było; pierwszy niemal użył go Marcin Kwiatkow-

ski w książeczkach o wychowaniu dziatek (r. 1564), *nadert* rozpustnej swobody; potem pisarze ruscy, jak Smotrycki i inni; u Smotryckiego czytamy: „pod nogi w *podert* podścielasz". Czeskie drt, któreśmy dert wymawiali (jest zresztą i ruskie dert'), znaczy opiłki lub trociny; na dert coś zmleć, zetrzeć, skruszyć, znaczy w drobne kawałeczki, na mąkę, zupełnie. *Nawet* i *nader* (skrócone z nadert) są to więc słowa złożone; złożenia już nie odczuwamy, jak i n. p. w słowie psikus; jeszcze w r. 1574 pisano o ucieczce Walezego: rex Henricus wyrządził Polakom psi kus (psotę, psią sztukę, czeskie kus, obok polskiego kęs kęsy i kus, kusy).

Z takich to drobiazgów językowych można widzieć, jak kultura starsza Czech na Polskę działała. Z początku był to wpływ jednostronny; biernie przejmowali się nim Polacy; nadeszły jednak czasy, gdy się młodsza brać hojnie odpłacała. Niegdyś przodkowie, w początkach XV wieku, gościnnie przyjmowali uchodzących przed husytyzmem mistrzów i księży praskich; obsadzali nimi i uniwersytet krakowski; teraz znajdowały przytułek i opiekę stokroć liczniejsze tłumy Braci Czeskich, wygnanych za wiarę. Niebawem zaczyna się żywioł czeski sam kurczyć i zwężać, piśmiennictwo maleje, język szczupleje; już od połowy XVI w. poczyna się odwrotny wpływ, wpływ polszczyzny na czeszczyznę; polska pieśń, polska książka, trafia coraz częściej pod czeską strzechę, tylko kreślenie tego nie jest już naszem zadaniem, a zaczęło się to od XV wieku i przynajmniej niejedna pieśń polska już przed r. 1500 w Czechach obiegała.

Wobec czeskiego i niemieckiego wpływu, wszelki inny obcy w całej tej epoce (1250—1550) usuwał się na daleki plan. Łaciny nie umiano; umieli ją tylko księża i żacy, notaryusze i pisarze; do nauki szkolnej zbyt się

nie garniono, wiemy to od Reja, o nim samym zarówno (w młodości), jak o innych, o których pisze: „jeden laik nie umiał kęsa po łacinie, jakoż ich dosyć roście prawie (całkiem) jako świnie". Wiemy o kasztelanach za Zygmunta Starego, nie umiejących ani czytać ani pisać (jednemu, Rusockiemu, przyczynił się nawet ten brak do tragicznej śmierci); dopiero od połowy XVI w., gdy dla samych powodów wyznaniowych szkół dobrych się namnożyło, rozlała się łacina po kraju. Toż samo o włoszczyźnie powiemy: Polacy gościli za Alpami już od XIII w., ale prawdziwy wylew najzdolniejszej młodzieży, mijającej stary Kraków dla Padwy i Bononii, rozpoczął się dopiero w XVI wieku.

Stosunki z Rusią zawiązały się już ściśle; całe ziemice, Przemyską, Halicką i t. d., włączono do Korony, a unia osobista z Litwą (i Rusią litewską) zacieśniała się coraz bardziej, aż przeszła w parlamentarną. Z przeludnionych mazowieckich i małopolskich dzielnic wynosiły coraz liczniejsze rody polszczyznę na wschód, lecz w zamian nic nie przybywało; do r. 1550 znajdujemy w polszczyźnie, n. p. czerwonoruskiej, jeden lub drugi wyraz miejscowy, n. p. *dziecki* zamiast woźnego, *torłop* zamiast kożucha lub futra, płaconego sędziemu (koc albo torłop gronostajowy, czytamy w małopolskiem tłumaczeniu ustawodawstwa Wiślickiego, dwa torłopy kun w zapiskach Krakowskich Nr. 4134), czy nie z tego słowa poszedł i ruski *tułup* „kożuch barani" i nasz *tułów*?

W rachunkach dworskich Jadwigi i Jagiełły jest późniejszy *roztruchan*, tam jeszcze *dostuchanem* albo i *hostruchanem* zwany; o kubkach — *rostuchanach* czytamy nieraz w zapiskach Krakowskich; jest to ruskie słowo, i w dzisiejszej mowie, choć obcięte, ocalałe (stakan).

Najdawniejszą pożyczką jest *bojarzyn*, co na pol-

skiej ziemi mylnie z hojem, bitwą, połączono i zamiast wojownika, bohatera, od XIV w. używano; ale *wałach* (wałaszyć) stajni królewskiej (pastuchy i koniuchy wałascy (wołoscy) trzebieniem stad i bydła oddawna się zajmowali), przez Niemce przeszedł do Polski; inny, z dalszego wschodu, od Persyi, przywędrował *kamcha* (adamaszek); łacińskie „purpura“ przez cały XV wiek kamchą tłumaczono.

Rusko-litewski dwór Jagiełły przyniósł nam i *praskury* albo *plaskury*, niekwaszone ciasto, z greckiego prosfora (ofiara) przez ruskie proskura; dalej *nasciłki*, w owych rachunkach obok obrusów i ręczników często wymieniane; a może i *pałuby*, przykrycia wozów królewskich, z ruskiego nazwano. Ubiór i zbroja, idąc od wschodu przez Ruś, już powoli odmieniały wygląd polskiego rycerstwa: już kaznodzieje XV wieku obruszali się na tę „pogańskość“, na ten ubiór, „trącący Turkiem, Litwą, Rusią“, nie chrześcijański — „ojcom naszym nie w takich ubiorach Bóg szczęścił do posiadania szerokich ziemic“.

Pojawiają się też wyrazy wschodniego pochodzenia dla oznaczania szczegółów ubioru i zbroi, i tak widzimy na głowie wysokie, śpiczaste, perskie *kiwiory*, albo *zarkuły* janczarskie (jak je M. Bielski nazywa), albo okrągłe, małe i ciepłe *szłyki*, *kuczmy*, *jarmułki* (jarmołkami pisze je Stryjkowski, jamułki zowią się one u Knapiusza, ale w XV w. znajdujemy jalmurki, n. p. w zapiskach sądowych krakowskich; *kiwior* pileus; u Paprockiego chodzą w kiwiorach „Karwatowie“), na *szarawary* używają *kitajki*, t. j. chińskiej materyi, Kitaj = Chiny; kythaka zapisek krakowskich. U boku wisi *kord*, raczej krótki nóż, niż miecz; gdzie n. p. Mazur Świętosław (r. 1449) „miecza albo *noża* dobył“, tam Małopolanin już

w kilkanaście lat później „miecza albo *korda* dobył". Znacznie starszym jest *tłumacz*, który przez Czechów aż do Niemców (Dolmetsch) dotarł i turskim swym początkiem o odwiecznych stosunkach Słowian ze wschodem świadczy.

I myśliwstwo nie obyło się bez wpływu obcego, przynajmniej zapewnia Maciej z Miechowa (w słynnem dziełku, Opisaniu dwojej Sarmacyi, r. 1517 napisanem), że co Polacy białozorem (od białego pierza na brzuchu), Ruś *krzeczotem* nazywa; on pierwszy opowiadał o obżartym *rosomaku* i o chyżym *sumaku*, o *morszach* i *worwolu* (wielorybie), o *tatarskiem zielu*, o *kulczybie* (strychnos, wschodnie słowo!); jak Ruś *brahę* warzy, a Tatarowie z mleka silno odurzającą *arakę* przyrządzają; przykrywają się *japończą* przeciw deszczowi (stąd nasza *opończa).* Kobiety polskie noszą *koltki* w uszach; później, n. p. w biblii Leopolity z r. 1561, *kołstkami* zwane (od kołtania, kołysania). A może już i *ruble,* nie jako monetę obiegową, lecz jako odważaną ilość srebra, przyjęliśmy; w rachunkach Jadwigi i Jagiełły spotykamy się nieraz z wyrazem rublones; w biblii Zofii tłumacz polski oddaje łacińskie siclus bądź przez czeskie *zaważe,* lub przez ruskie *rubl;* czytamy u niego nieraz n. p. pięćdziesiąt rublow, obok dwadzieścia zaważy i t. d. Lecz wszystkie te wyrazy przypadkowe raczej, odosobnione nie powszechne, nie ważne, żadnych głębszych wpływów ani bliższych związków jeszcze nie dowodzą.

VI.

Jeśli, dla najwybitniejszego okazu cywilizacyjnego, pierwszy okres oświaty polskiej (950—1250) *chrześcijańskim,* a drugi (1250—1550) *mieszczańskim* lub miejskim

nazwaliśmy, nie zawahamy się, trzeciego (ostatniego wchodzącego w nasz zakres), od r. 1550 (a raczej już od r. 1500) do 1750, jako *szlachecki* oznaczyć. Jeden stan, jedna warstwa uprzywilejowana, zastąpiła cały naród: lud nie istnieje; mieszczaństwo ubożeje, niszczeje i upada wkońcu zupełnie; cała potęga państwowa i cała ogłada umysłowa, wszelkie zasoby społeczne skupiają się wyłącznie w szlachcie i szlacheckiem duchowieństwie. Nawet najdalsze obszary Rzeczypospolitej, najodmienniejsze od siebie pod względem geograficznym, etnograficznym i historycznym, nabierają jednego pokostu szlacheckiego; ten sam język i obyczaj, strój i duch, byt i przekonanie, wiara i przesąd, panują po wszystkich dzielnicach wszechwładnie.

Wprawdzie w zaraniu okresu tego szalały burze i nie zanosiło się wcale na ową późniejszą jednostajność; zapowiadał się świetny i wszechstronny rozwój oświaty, który powoli tylko słabiał, nie odświeżając się więcej nowymi dopływami; podejmowano wielkie zadania dziejowe, aby, żadnego nie spełniwszy należycie, zakończyć apatycznym bezwładem, liczącym tylko na Opatrzność i na wzajemną zawiść „potencyj“ sąsiednich, paraliżującą ich kroki. Tak, co zaczynało życiem, ruchem i wrzawą, kończyło w pełnej zgrzybiałości i martwocie.

Od r. 1550 reformacya broiła niesłychane dziwy w zapalnych głowach szlacheckich, lecz przesiliła się niebawem i pożarła sama w sobie: nawet pamięć o niej wcześnie drobniała i ginęła; najwyraźniejsze i najtrwalsze jej ślady pozostały w literaturze i języku. Reformacya bowiem poruszyła głowy i pióra w niesłychanej dotąd mierze: spory dogmatyczne, społeczeństwu do niedawna jeszcze zupełnie obce, roznamiętniły je; teraz żadne „posiedzenie“ ani biesiada nie obeszły się bez nich; od do-

wodów z pisma świętego przechodzono do pięści, a nieraz i do broni. Ożywieniu umysłowemu odpowiadało literackie: liczba ksiąg polskich (nie jak dotąd bywało, kilkunastukartkowych piśmideł), wzrastała szybko i stale; z Królewca zalewali Seklucyan i Rej tłumaczeniami pisma św. i dyalogami polemicznymi Polskę. Od r. 1560 drukarnie: pińczowska, brzeska, krakowska, łoska i in., w Polsce i na Litwie, wspierały propagandę; nie obywało się i bez pomocy Braci Czeskich; katolicy odpierali napady tą samą bronią. Szermierze w tej walce zaciągali się zewsząd, nawet ze stron, gdzie piśmiennym językiem nie zupełnie władano: z Prus królewskich i z Mazurów pruskich, z ziem ruskich lub z obczyzny, jak śród Braci Czeskich; nieraz powstaje wskutek tego znaczne zamieszanie.

Tak n. p. wydaje Czech, „impressor z Litomyśla", Aleksander, *żądany* (proszony) *za to* od pobożnych Polaków, w Królewcu 1554 r., Kancyonał, pieśni duchowne: tytuł zapewnia wprawdzie, że tłumaczenia nowo dokonał ks. Walenty Brzozowski, a inni uczeni mężowie z *wielką* pilnością je przejrzeli; lecz jak można było kogo podobną czesko-polską mieszaniną częstować? Natrafiamy tam ciągle na *uczelników* (uczni), *prośpiech* (skuteczność), *dobrorzeczeństwo* (błogosławieństwo); na jeszcze bardziej czeskie *uczastenstwie* (uczęstnictwo), na czasowniki jak *obżywiuje, splodzuje, wzbudzuje* i t. d.; jest i *żądający* w znaczeniu pożądanego, czeskie żaduci, już i w średniowiecznych pieśniach kościelnych utarte; i polsko-czeskie *zmarhać* (strwonić), tenem czas marnie w grzechach zmarhał; zawsze z czeska *sumnienie*, zamiast sąmnienia; po panu *tużyli*, zamiast tążyli i t. d. Podobnież ówczesne słowniki, n. p. wielki Mączyńskiego z r. 1564, posiłkują się czechizmami, choć już nie w tej

mierze, co dawniejsze nieco Murmeliusze i Mimery; „wokabularze“ znowu, wydawane niegdyś dla Niemców krakowskich i ich dzieweczek w Krakowie, przeniesione później do Prus i Królewca, uczyły panienki nieraz czeskich i niemieckich zamiast polskich słów i zwrotów, n. p. *procz nie?* (dla czego nie?), *borgować,* do Lemberku (Lwowa), *bretar* (desk), *hausknechcie!* i t. d.; lecz i polskie ich zwroty nie zawsze szczęśliwie wypadały, n. p. jeśli panienka się skarży, że on *pomokrzył mi plotki* (zamaczał warkocze), albo jeśli piesek marga z *ogonem,* zamiast ogonem. Mimo tych braków, panienki z tej książki „rady uczyły się polskie“, dowodzą tego liczne jej wydania.

Wpływy czeskie i niemieckie wysiliły się niebawem do szczętu. Czechy istnieją w XVII wieku tylko geograficznie; naród sam traci wszelkie znaczenie, ogładę, mowę nawet. I stosunki niemiecko-polskie ulegają zmianie; napływ z Niemiec do miast polskich, silny jeszcze w XV wieku, ustaje teraz zupełnie; młodzież polska omija Witenberg i Lipsk, Strasburg i Heidelberg; nawet w politycznych stosunkach przeważają węgierskie, tureckie, ruskie, szwedzkie. Niemczyzna nie zdobywa nigdzie nowego pola, traci, co niegdyś nabyła po miastach, targach i warsztatach, liczne jej wyrazy giną zupełnie, albo ocalają w najodleglejszych narzeczach, n. p. taką *gasę* (Gasse), znaną w Poznaniu ogólnie w XV wieku, lub *wardęgę,* t. j. bydło, znaną również powszechnie, spotykamy w następnym już tylko na Mazowszu, — czytamy n. p. w ówczesnej kolędzie mazowieckiej „perolmy się sibretkowie tą gasą“ (bieżmyż bracia tą ulicą) i t. d.*).

*) Podobnie ocalały po narzeczach wyrazy, niegdyś ogólnie używane, n. p. u Kurpiów *todynki* swary (por. wyżej), *fela* wada, *małtych* obiad, *reptuch* i *reptuz* worek z sieczką dla koni z *krepłuch* (por. wyż. *clić* i t. d.).

Tylko w wojskowości, szczególniej w służbie piechotnej i dragońskiej, żywioł niemiecki nie usuwał się; komenda bywała niemiecką, *holt, wer do,* i t. d.; *kwartier,* albo *frit frit* wołał zwyciężony Hanusz i gorsze odbierał plagi od tego, co to całkiem inaczej zrozumiał; *szylwachy* zaciągano w *lagrze,* gdzie *szancmajstry, prowiantmajstry* i t. d. rządzili; *rajtarką* przezwano kurtkę (u Reja r. 1543) od *rajtara* ciężkiego, a lekszego *dragona,* co z lontem *zafasowanym* z konia zsiadał dla strzelania w *munderunku,* bił się za *lenung,* stojąc pod *Krigsrechtem* i t. d. Z języków obcych wysuwa się teraz na pierwszy plan *łacina,* w której się Polska szlachecka tak w końcu rozmiłowała, że o potrzebach własnego języka zapomniała. Głównem zadaniem coraz liczniejszych szkół było wprawiać w łacinę; każdy inny cel był raczej ubocznym; ze szkół wychodzili też łacinnicy, władający w porównaniu z wiekiem XV poprawnym językiem, mimo nieodzownych naleciałości słownictwa, n. p. sądowniczego; barbaryzmy i solecyzmy wyganiano przecież w szkole co sobota bez litości, gdy „dawano taką łacinę, że aż w pięty szło", jak przysłowiowo mawiano; inny choć sobie „łaciną gębę pomazał". W życiu, do którego taka szkoła przysposabiała, coraz chętniej posługiwano się słówkiem lub zwrotem łacińskim; nałóg ten, świadczący i o braku smaku, i o pewnej leniwości umysłowej, chwytającej raczej za gotową obczyznę, niż wysilającej się na pracę własną, poczyna się od XVI wieku i przetrwa z górą dwa wieki; nazywają go niesłusznie makaronizowaniem, służącem ściśle ograniczonym celom w poezyi humorystycznej. Obok makaronicznych utworów polskich poetów, od czasów Zygmunta Starego aż do biskupa Załuskiego, Minasowicza i innych, staje odrębnie ta polsko-łacińska mieszanina słów i zdań całych, przenikająca

wszędzie: do poufnej pogadanki, do listów prywatnych, głównie zaś do mowy politycznej i panegirycznej. Przewaga łaciny, naginanie polszczyzny do jej wymagań, sprawiły w końcu, że i dziś jeszcze nie zupełnieśmy się z niej otrzęśli, mianowicie nasz szyk słów utracił niejednę cechę słowiańską, a przybrał łacińską; rytm cyceroński przebija i dziś jeszcze w naszej prozie poważnej. Tylko wymowa religijna, n. p. w kazaniach, i poezya nie uległy wtedy tej zarazie, temu łatwemu popisywaniu się ogładą i oczytaniem; one to odbijają zawsze od prozy rażąco: nie można n. p. równać prozaika Wacława Potockiego z poetą; jego Wojna Chocimska napisana jest najświetniejszym wierszem polskim; za to prozaiczna przedmowa do niej, to barbarzyńska mieszanina polsko-łacińska. Cóż za dziw, jeśli po tem wyłącznem panowaniu łaciny i w ówczesną poezyę i w dzisiejszy nasz język wkradły się wlazy łacińskie, pozostałości od gorzkiej pamięci Alwarów, które wszyscy rozumiemy, chociaż już nie wszyscy ich używamy.

Są to po największej części wyrazy oderwane, jakie niegdyś mowę wielkich „statystów“ ozdabiały, wyrazy szkolnej dyalektyki, obce każdej nowożytnej mowie; n. p. ks. Hieronim Powodowski „w Korabiu zewnętrznego potopu“ 1578 r. mając wyliczać dziesięć „predykamenta“ „musi je tu kłaść po łacinie, bo ich naszym polskim językiem, który się więcej kuchnią, niż dyalektyką bawił (na boku nota: Polski język o rzeczach kuchennych obfity), właśnie wyłożyć nie możemy“. Podobne świadectwo z r. 1605 o trudności wykładu umiejętnego w języku polskim przytoczyliśmy wyżej. Każdy rozezna te wyrazy, chociaż nieraz się zawaha, czy nie raczej z francuskiego, niźli z łaciny wyszły; niektóre z nich wcześnie tłumaczono, n. p. rzeczpospolitą z respubliki;

między przysłowiami niejedno w obiegu, nawet w ustach ludu, co niegdyś po łacinie ukuto, n. p. choćby od Horacego, co przez szkołę w końcu aż do wiejskich strzech dotarło. Nie myślimy tu wcale o prostych tłumaczeniach klasycznych frazesów, n. p. „nie każdemu w drogę do Koryntu“, jak Rej mówi, lub „ruszyć kamaryny“ (biedy śpiącej) i t. p., lecz o takich n. p.: czego się nowa skorupka napije, tem zawsze trąci i t. p. Wpływ łaciny przypomina więc poniekąd wpływ (językowy) czeski; w szkole, umiejętności, literaturze odżyła zamarła mowa, przez nie wpływała na żyjących, bardzo silnie w pewnych sferach, n. p. w życiu i trybie księży, żaków, lekarzy, prawników; znacznie mniej, albo wcale nie, w innych.

Ubiór księży, przybory kościelne i t. d. obfitują w podobne nazwy, starsze i nowsze; należą tu infuła, pastorał, ornat, alba, komża, stuła, rewerenda, tonsura (korona), albo cyboryum, monstrancya, hostya, patyna, mszał, organy, celebrować, suma i t. d.; wyrazy jak synod, konsystorz, dyecezya, parafia, witrykusz (kościelny dozorca); u protestantów, minister, superintendent, pastor. Na Litwie nazywają od XVII wieku ministra (ą nieraz i każdego Kalwina) *bombiza**), opowiadano nam i o pani *bombizinie;* dowcip to szkolny: katolicy wyszydzali ministrów, przywłaszczających sobie katolickie x. (ks., ksiądz), rymując wedle znanej reguły łacińskiej „ix pix bombix“, stąd ich bombixami, bombizami przezwano. Przed kościołem siedzą dziady i baby, ze *skaplerzami*, z *mantykami* (torbami), *mendykując* (żebrząc) *parteki* (kawałka) chleba. Z kościołem w nierozerwalnym związku stoi szkoła, więc i o niej wspomnimy. Wszelkie przy-

*) We Wiśle XI. (1897), str. 433, opowiadał p. Jasiński o znanym legendowym Sicińskim, że „chrzcili go bombizi, którzy kumają się z dyabłem... sławne heretyckie szkoły bombiskie w Kiejdanach“.

bory szkolne noszą nazwy łacińskie, atrament (czyrznidła dawnej polszczyzny), kałamarz, membrana, karta, arkusz (jak i niemieckie *Bogen*), papier, bibuła, skrypturał, linia, kreda, pióro *otemperowane* i t. d.; wedle opłat szkolnych, jak *kretales,* urobiono i *kozubales,* danina, którą trapieni przez żaczków żydzi dla miłego pokoju składali. W szkole wodzili rej obok mistrza, bakałarza (bakuły), kantora, lokat (podmistrek), sufleta-kalefaktor, rybałt, bean i pedan (stąd pedant, pedanterya); kantor *repetował* z *partesów* (nut), stąd przenośnia: mówić z partesu. Tu pytamy, czy i staropolskie *fasoł,* kłopot, fasołować się, nie stoi w związku z nazwą skali, którą uczniom wbijano, ku wielkiemu ich utrapieniu; Czesi używali fasolovati o śpiewie, jak my solmizować. Podczas *lekcyi* wciągano *noty* w *pularesy* i t. d.; mijamy inne liczne terminy, bo oto „niemądra“ *kanikuła* rozpędza żaków; i przed nią, w dzień rekreacyjny, wychodzono *spaciatum* (na spacer; poza szkołą również nie „przechadzano się“, ale „spacyowano“); grano tam w *piłę* i t. d.

Sama powaga stanu wymagała, aby *medyk, cyrulik* i balwierz łaciną pluskał, szczególniej gdy był *au bout de son latin.* Z łaciny tej wsiąkło w język niejedno; humory i wapory przypominają nam te świetne dla szalbierzy czasy, gdy je w ciele niby to w ciągłej równowadze utrzymywano; flegma, fluks, reuma, katar i t. d. utrzymały się również; temperament też tu należy z odmiankami; o *spinie* my wprawdzie zapomnieliśmy, za to na Rusi łacińska nazwa do dziś przetrwała; z piłuł zrobiliśmy *piguły;* nasze *likwory* dziś smaczniejsze, choć się niemi już nie leczymy, a nasza *dyeta* bywa ściślejsza; i wtedy już aqua vitae (okowita) nieraz *salwowała pacyenta.*

Jurysta obławiał się przy każdej sposobności: przy

testamentach z artykułami i kodycylmi; przy komparomisach i komplanacyach, ferując dekret i apelując od niego do trybunału; lecz ponieważ cały język aktowy był łaciński, więc niema celu wyliczać detentów, reasumptów i t. d. szczegółowo. I statyście damy pokój, gdy one zakusy na *absolutum dominium* konfederacyą przy dawnych przywilejach, prerogatywach, odpiera, a wszelkiej prywaty się przytem wyrzeka. Uwzględnimy tylko jeden termin, kaptur, t. j. juryzdykcya (sądy kapturowe) za bezkrólewia — historycy i juryści wywodzą bowiem słowo to, za Krasickim, od łacińskiego *captura*, niby *libera captura* — dozwolone uwięzienie każdego burzyciela porządku publicznego, z zawieszeniem prawa *neminem captivabimus nisi iure victum*. Zdaniem naszem, dawniejsze tłumaczenie, od czarnych kapturów na głowie, jakie ci sędziowie na znak żałoby i opróżnionego tronu zarzucali, trafniejsze. Zapisujemy jeszcze wota, wotowanie, albo dawniej wotunki.

Prócz tych, że tak powiemy, specyalnych słów, mamy liczne ogólniejszego znaczenia, nie tylko dla pojęć oderwanych, lecz i dla przedmiotów i rzeczy codziennego życia. Pomijamy łacińskie nazwy miesięcy, omówione wyżej; inne dotarły do kuchni i kredensu, n. p. kochle, serwety, talerze, kraty — tylko najniesłuszniej jeden lingwista nam nazwę pewnej części ciała z łaciny wywiódł; urosłaż ta między nami samymi, czytamy n. p. w polskim Krescentynie z r. 1549: „pierze też godzi się na poławie ku siedzeniu panie grzesznicy“. Ależ i na polu spotkamy się z łaciną; nie tylko *łan* ją przypomni, lecz i *gleba* i *stywa* (kozica u pługa, styk); nawet i wózek, *bieda*, od biga, przezwany.

Najwięcej wyrazów dotyczy usposobienia, nawyknień, porywów i t. d. etycznych i fizycznych. Jacyśmy *kon-*

tenci, że *fatyga* nareszcie ustała, że nic nas więcej nie *turbuje*, żeśmy bez *tumultu* zawinęli do *portu*, załatwili *z sukcesem interes* (dawniej interesse!) takim *procederem* i zdobyli z tego *tytułu* rzecz może bez *realnego waloru*, lecz naszym *gustom zaakkomodowaną*. Mówimy jeszcze o *rygorze* rodzicielskim i t. d. inne *terminy* stanowczo przestarzały, n. p. taki *rumor*, *rańkor*, *wigor*, *prowent*, *asumpt*, *ansa*, *submitować* się, *solenny* i i.; nawet *afekty*, które już Górnicki (1587.) pochociami zastępował, i *respekty* i *despekty* trącą staroświeczczyzną. Inne znowu kwitną sobie w najlepsze, kolor i odor, sens i honor, natura i norma, koncept, racya i kwestya, porcya, kwarta, kwota i kwadrans, okulary (dawniej okulaty) i sulejaty (bóty), fundusz, familia, kolumna i meta, rudera i ruina i t. d. — nie potrzebujemy przypominać, że to słowa najczęściej po całym świecie używane. Co ciekawsze, że dla *impetu*, dla porywczego wybuchu, służą terminy obce, n. p. *raptem*, albo *obces*, obcesowy (w dawniejszej polszczyźnie zawsze obses, obsessus, t. j. pomieszany, *waryat*, *furyat*, n. p. rzuci się obses na cię, obses cię zabije, pewnie obses skoczą): dziwacznem wyda się nam, że „złote pióro“ Orzechowskiego nie wzdrygało się kłaść zamiast ojczyzny (która ojcowiznę znaczyła), patryę, mówić o miłej patryej naszej. Znamienne jest również, że, do czego się z wielkim zachodem zabierano, przyczem się na *oracye* sadzono, nazywano z łaciny, a więc n. p. *quamquam* (właściwie „chociaż“, od którego *arenga* często się rozpędzała): p. starosta witał go (r. 1580) od panów z długiem quamquam; albo W. Potocki opowiada o sobie: „nim na ławie siędę, na krótkie quamquam się zdobędę“, u Kochowskiego mamy wiersz: „Do monarchów chrześcijańskich sąsiedzkie quamquam“; „na weselu quamquam bych też potrafił“, czytam indziej.

Albo *kweres,* zamiast czego i skweres (jakby od skwierku) mawiają, w gruncie rzeczy tyle co *kwerenda* lub raczej quae res? n. p. uczyni takie *queres* (r. 1575); we współczesnym liście zaś: „jakie *quae res,* jakie inkwizycye i t. d.“ Kto się dziś do ładnej twarzyczki *amprztyfikuje,* czyli *sztyfelkuje,* używa tylko tej samej *amplifikacyi,* mowy przesadnej, jaką dawny panegirysta łaski mecenasa zaskarbiał i t. d. Warto wspomnieć i o słowach, łacińskich i rodzimych, zakończonych z łacińska na us albo usz, wzgardliwych, n. p. wagus, nygus, obdartus, albo: słabeusz, chudeusz i t. p. Tu należą i *androny,* niedorzeczności, znane i w ruskim (n. p. androny jadą u Gogola) z łacińskiej nazwy pierzei, długiej ulicy, od której może i nazwa ciasta, *androtów* (dziś andrutów) dla długiego i wązkiego ich kształtu, wyszła — androty między papinkami wymienia już Knapiusz: baba uparta androny (ambaje) stroi, czytamy w Compendium medicum z r. 1703.

Łacina otwierała niegdyś wszędzie przystęp, skoro *„disce puer latine, faciam te* Mościpanie“ mawiał Batory, a stosował się do tego naród szlachecki, więc i stan miejski w swych szkołach jej nie zaniedbywał. W jezuickich szkołach robiono prędsze postępy w łacinie, jak sam profesor jeneński, Mylius, przyznaje (w rzadkiem, tłumaczonem z niemieckiego, pisemku, „Przestroga do Ewangelików i t. d.“ r. 1596), tak że protestanci nie wahali się dzieci do tych szkół oddawać, co Mylius ostro karcił. Jeszcze szkołom Komisyi Edukacyjnej zarzucali rodzice, że słabo łaciny uczą. Wszystko, co się z ostatniej nędzy gramoliło, znało ten język, a choćby tylko początki jego: wszyscy go używali i nikt się na to nie obruszał, chyba p. starosta Szafraniec na sejmie koronnym 1569 r. w przystępie złośliwości, gdy marszałek

powiedział: „jam tu jest *accusatus*“, przerywa mu: „mów WM. po polsku, wszakżeśmy tu wszystko Polacy“. Ale łacina nie tylko w Polsce w szkołach, kościołach, trybunałach i aptekach panowała; panowała w równej mierze i za granicą, więc dzielimy z innymi ów ciężar słów łacińskich, który u nas chyba nieco większy; te słowa łacińskie dawne pozostają wyraźnym dowodem naszego związku nierozerwalnego z obyczajowością zachodnią, są niby naszą legitymacyą cywilizacyjną.

VII.

W inne koła przenosi nas język *włoski:* z zakrystyi i lektoryów, z *apatek* i od szranków trybunalskich przechodzimy z nim na dwory wielkopańskie, między wykwintne towarzystwo, co w cudownej Italii najpiękniejsze lata młodości spędziło. Cecha wyższej ogłady wyciśnięta tu wszędzie: naśladują go więc i poeci, choć nieraz Włoch ani oglądali, przesypując chętnie język, wolny od szkolarskiej łaciny, włoskimi, wyszukanymi wyrazami, szczególniej w XVII wieku Twardowski, Gawiński lub Kochowski, rzadziej Morsztyn, jeszcze rzadziej stary Polus, Potocki. Wystarcza przebiec te włoskie „słówka“, aby się przekonać, co za wyrafinowany smak, przepych i zbytek z nich przemawiają. Zacząćby można choćby od jarzyn i ogrodowin wykwintniejszych, od owych *wernancyi*, n. p. od kalafiorów, któreśmy dziś zmieszali z karafiołem, co zupełnie inną roślinę oznaczało, od pomidorów, szparagów, selerów, sałaty, karczochów, kalarepy i t. d., a skończyć na szczegółach ubioru *alamodnego*, budowy *pałaców*, zakładania *dziardynów*, tajemnic *baletów, gorgów* i *treli* we spiewie, a instrumentów i tonów w muzyce. Tu znajdzie się w końcu miejsce i dla *dżelozyi*, jakby jej

małżonek *(becco cornuto*, rogal, tylokrotnie wyszydzany w XVII wieku) i kochanek, *inamorat,* po polsku nazywać nie umieli. Już od poprzedniego wieku napływało z Włoch, co tylko tchnęło „gracyą“ i smakiem, ogładą i wytwornością, kunsztem i modą; tylko u Włochów wyuczał się dworzanin i żołnierz, jeździec i myśliwy, baletnik i muzyk sztuki swej aż do doskonałości. Jak wysoko cenił znawca, p. marszałek Dorohostajski, włoskich *kawalkatorów*, zbyt drogich dla miernej szlachty! Wprawdzie zawodziły nieraz kosztowne *dzianety* włoskie na podolskiej grudzie, lecz nie wadziło to przyjmowaniu włoskich przyborów do jazdy, wozów, skoków i t. d., n. p. *kawecanów, kurbetów* i *karerów* (carriera; u Stryjkowskiego 1582 r. czytamy nieraz: „karery biegając, karery wywracaj“ i t. d.), *karet* i *karoc.* Dawniejsze i słynniejsze od „brytanów“ są psy gończe *medyolańskie,* których nazwa po dziś na Litwie ocalała (medelańskie w Statucie Lit.). Z Włoch szły broń i stroje żołnierskie, jak i fortele dobywania *fortec, fos, rawelinów,* więc n. p. *darda* (spisa), *szpada* i *sztokada* (spada, stoccata), *paweża* lub *pawęża* (pavese, tarcza; jest i czeskie); ulubione między młodzieżą *stradyotki* i *karwatki* przypominały ubiór weneckich żołnierzy; wiele z tego, co do *floty* należy, również z włoska przezwano, n. p. *bat, bacik* (batto), *galia* (galea, galera) i in., lecz *koga* (okręt) wprost z łaciny przyszła, bo znajdujemy ją już w pieśniach i legendach z XV wieku; do Matki Boskiej wołają: „Bądź Ty nasza koga, bychom morze przebyli, do nieba przypłynęli“; *kordel* (sznur, lina statku) również tu należy, cordiglio; K. Twardowski błaga niebios o łaskawy bieg *fuście* (nawie, fusta) nadwątlonej i t. d.

Do dawnych tańców, niemieckich i narodowych, do cenara, gonionego, świeczkowego i t. d., przybywają włos-

kie *padwany, saltarele, galardy, kapryole,* które wszystkie *galantuomo* i *kortyzanka* umieć winni, jeśli *reputanzę* utrzymywać myślą; w *stancyi* (stanza) i *dentro* (w obrębie) *dziardyna* oddają się oni wszelkim śmieszkom, *lazom (lazzo,* stąd *lazy* u pamiętnikarzy XVII wieku, nie zrozumiane przez wydawców), *spasom* (spasso, stąd *alaspasy, halaspasy,* rozrywki, Twardowskiego, Gawińskiego i Kochowskiego) i *bontempom,* wedle najnowszej *maniery* i *fozy* (wenecka forma słowa, u nas bardzo pospolita w XVII wieku, też *fodza,* dla mody, trybu), w *karnawał* naturalnie z *maszkarami* i *dżogi* (tany, z giuoco).

Oni już się nie sadzą, tylko *sforcują* (forca = forza), na rozmaite *splendece, altece, grandece, kortece* (grzeczności) i *alegrece;* sprawia im to największą *kontentecę,* chociaż nieraz cała *impreza,* mimo wielkiej *spezy* (kosztu) i za *fraszkę* (frasche, brednie) nie stoi, *speranzę* (nadzieję) zawiedzie. Na stół dają im *antypasty* (przedsmaki) i *potazye,* choć polski żołądek na nie sarka: nie przebłagają go i liczne „włoszczyzny" — „czy ja wół, abym trawę jadł", pyta rozżalony. Damy stroją się do stołu w *fetocye* (wstążki); dbają przedewszystkiem, żeby *cera* była świeża, choćby dla niej środeczków i na *wendecie* (targu) nabywać miały. Na wendetę nęci nieostrożnych inna nowinka: *faryniarz* urządza *farynę* (loteryę), stawiający wyjmuje karteczkę, ale na niej najczęściej *cyfra* (zero) zamiast wygranej; zresztą któż wie, czy go nie oszukują, boć to sami *birbanci* i *furfanci,* którzy za *bukatę* (kęs, boccata) chleba i brata rodzonego zdradzą. Obok wendety dostaniesz i rozmaitej *wiwendy**) i *be-*

*) Wiwenda ich (Duńczyków) ucieszna bardzo i t. d. opowiada JMc. P. Pasek *(vivanda,* potrawa), który terminów włoskich często zażywa, n. p. *foryszter* obcy *(forestiere), paragon* (w paragon nie wcho-

wandy (napitku), a z niej urosną niebawem *bewerye* (pijatyki), skąd do brawaryi albo *breweryi* (braveria) najprostsza droga. Więc rozumniejsi przestrzegają i grożą, wydają *Bando* (zakaz) przeciw gorzałce i wszystkim jej naśladowcom (tytuł wcale ciekawej broszury wierszowanej z r. 1716, Michała Karasia); lecz to nie skutkuje. Wyrazu bando (wywołanie) używano często, n. p. „Bando na Aryany“ (słynna swego czasu broszura), stąd *bandyzować* i t. p.; obok niego możemy przytoczyć *fallo* (błąd), n. p. w Jedności ś. Cerkwie i t. d. z r. 1632 czytamy „wielkie fallo“, *falluje* (błądzi) i t. d., *falit* i inne.

Oto najpospolitsze słowa włoskie. O silnym wpływie języka przekona nas fakt, że aż w najdalsze zakątki polszczyzny wciskały się najrzadsze, najwyszukańsze terminy włoskie. Zdziwieniśmy n. p. niepomału, czytając w tejże prawosławnej broszurce (Jedność i t. d.), że (czterej biskupowie swemu metropolicie) „ten sekret *palesowali*“ (t. j. odkryli, włoskie palesare). Sakowicz (w Okularach i t. d. 1645 r.) oskarża czerńców, że, zrzuciwszy habit zakonny, chodzą jak księża świeccy „w palendrach, rewerendach“; o unitach mówi (w Perspektywie z r. 1642), że chodzą „w palendrach, czamarach“ — obie nazwy włoskie, z pierwszą porównajmy n. p. tytuł: Tryumf Miłości (Petrarki) w polski kopieniak (płaszcz) ubrany, zewleczony z toskańskiej ślicznej *palandrany* (palandra, płaszcz). Aryan Farnowiusz („O znajomości Boga“ r. 1573) i inni każą apostołom „z jednego miasta do drugiego *palentować*“ (palante = wagus, wałęsający się — odróżniać należy od tego słowa inne, *palantować*, bić, od palantu). I nasze

---

dzi z orłem puhacz i t. d., t. j. w porównanie; z włoskiego *paragone*, nie z greckiego, jak Linde i inni twierdzą; paragonować, równać, mierzyć się z kim, bardzo częste w XVII wieku u W. Potockiego i innych) i t. d.

buza, buzować kogo (złajać) wywodziliśmy z włoskiego, *far buzzo,* gniewać się (na kogo), buzzo i buzzone opryskliwy, mruk, buzzurro prostak, gruby; więc czytamy w Smotryckiego „Obronie Verificaciey i t. d.“ z r. 1621: „wam lada buzie wolno na majestat następować“... „ten zły człowiek nas buzuje“*).

Szczególniej wiele terminów przyjęła dawna polszczyzna od „kapeli“ włoskiej. Nie myślimy tu wyliczać instrumentów, n. p. regałów, sztortów (storta) i in., lecz zaznaczymy choćby kilka nazw melodyi i t. p., które całkiem polski wygląd przybrały, n. p. *wycwerki* i *wycwerkować.* Knapiusz objaśnia je łamaniem, strzępieniem głosu, trzęsieniem gardła, lecz obok wycwerków znajdujemy *rycwerki* w XVI wieku, jest to włoskie ricerco, recercare (preludya, fantazya); Jabłonowski utworzył stąd nowe słowo, *wycwier* i *wyćwirny,* wymyślny. Od *gorgów* (trelów) poszło gorgolić się, nadymać się, podobnie, jak „mówić z partesów, stąpać z tabulatury, przekwintować, wykwintować“ (stąd wykwintny), mowę, chód i tryb nienaturalny, wymuszony, napuszony, oznaczają: wszystko, jak i *biszkunty,* figle, od śpiewu i *not* przejęte, wedle których piosnkę „nócono“ (biscanto).

Nie mówimy o tańcach i melodyach, o galardach, pasomeziech (u Morsztyna, passomezi), kanzonach, motetach, madrygałach i t. d. Warto też wspomnieć o urządzeniu ważnem, przezwanem z włoskiego: nasza *poczta* (równobrzmiąca z zupełnie jej obcą, staropolską pocztą, upominkiem) z *poszty* (włoskie posta) powstała; najdawniejsza „gazeta“ polska, t. j. „Poczta Krolewiecka“, wy-

*) Natomiast *buza* braha (u Miechowczyka r. 1518 wyraźnie jako słowo tatarskie wymienione) poszła ze wschodu; *buzia* po całym świecie się rozeszła, ani wiemy, skąd właściwie wyszła; *buzerować* słowo włoskie znowu.

dawana przez drukarza J. Dav. Zankiera albo Cenkiera r. 1718—1720, na tytule naprzemian Poszta albo Poczta wypisuje; lecz wtedy „obrywka z Gazetow Polskich bardzo licha była“, bo niewielu było, „którzyby chcieli Polskie trzymać Gazety“. Poprzedziły je krakowskie, wydawane przez Włochów, Merkuryusze i „Awizy“ (częste po ówczesnych tytułach, n. p. „Świeże Awizy z koła panieńskiego“ i t. p.).

Najwięcej nowinek włoskich zagęściło się jednak w kulcie ciała i stołu. Minęły te święte czasy, kiedy to szlachcic szubkę baranem podszywał, a pani jego starczył kożuch z pozłotką w zimie, haras z barchanem w lecie, pacierze bursztynowe, na szyi prosty czecheł, na głowie toczenice, a chomla na czoło; kiedy to na chlebowych talerzach bez serwet jadali, piwo a miód pijali, w piekarniach siadali... I bogata szlachcianka dawniej dosyć miała, gdy wzięła od rodziców parę pektoralików a krzyżyk od męża i piszczałkę z rubinem dla dzieci, dalej Boże uchowaj napierać się było; i ona w powszedni dzień w letniczku, w koszuleczce białej, a sznóreczka na szyi... teraz wszystko inaczej. Wspominaliśmy już o włoszczyźnie, o antypastach i potazyach, marcepanach i tortach; na stołach leżały cieniutkie i bieluchne *towalie* (tuwalnie), serwety; w *kredensach* stały kosztowne szkła (weneckie) malowane, „z Bożą męką“ i *bukale* dla małmazyi, kanaru, seku, alakantu, odwilżających gardła, spiekłe od *mostardy* i innej korzennej przyprawy.

Mężczyźni, osobliwie młodzież, ubrani wedle ostatniej *fozy* (proszą bowiem u krawca: „uczyń mi, jako dziś noszą“. — A czemu nie jako wczora, Zaż to inny rok z wieczora? pyta Rej), *kapelusz* (capeluccio), albo *galer* (galero) na głowie; w *kapie* włoskiej, *palendrze* albo w *sajanie* (z *sai*, *adamaszku, sztametu),* zdobnych *pasa-*

monami, puntałami; z nożykiem (piórkiem), szatno i łańcuszno; z rapirem u boku, opatrzonym dla ręki w *fordyment;* w bufiastych spodniach i obcisłych pończochach, w kordybanowem obuciu, zalecają się damom, które o poważnym stroju staropolskim tak dalece zapomniały, że „przydany" (drużba) Zbylitowskiego, zjawiając się na weselu, zdziwiony widzi liczne „damy", lecz żadnej Polki.

Mają perły w uszach, czemu nie i w nosie? ponawieszano na nich *feretów*, *terepel* (trzeperelle, trepele, t. j. krezy, „których dyabeł trafiać pomaga, a jednej paniej były w szyję wrosły" sarka Widawski; czy to drapperia?), *fortygałów z bramami* i bez nich, *kornefesów* albo *kornufasów, maneli* na ramiona i ręce, w których *facelety* (chusteczki) powiewają, *gorgulików* i *gurgielli*, t. j. koszulek *(gorgiera* krezy, „teperelle z gorgulikiem, iścieć skarbu nie umnoży, niźli to na szyję włoży", skarży Rej r. 1543); sukienki z prostej *kanawace* (canavaccio, materya) ani obaczyć, zniknęły stare „smykawice", obcisłe, długie; w ciężkich sukniach panie same niby ociężałe, młodzież obraca je w tańcach i śmieje się potem: azaż to lekki kozub? Zbytek zbytku, koszt kosztu popycha; w sypialni:

Uźrzysz tam niderlandzkie opony na ścianach,
I kobierce adziamskie (perskie) i *włoskie szpalery,*
Przy kącie pyszne łoże, nad nim zawieszony
Namiotek z rozmaitych utkany jedwabiów,
Maść od maści śliczniejszych; pościel haftowana,
Kołdry albo drotowem złotem*) przeszywane,
Albo z brzegów drogiemi perłami osute...
Wóz musi być z poklatem *włoskim* na kształt brożku,
Popona złotogłowem podszyta, a w koło
Frandzami bogatemi pięknie lamowana.
Srebrne gałki muszą być, srebrne u szlej przęcki i t. d.

*) Por. „Owo śrebro drutowe, co je *włoszek* złoci", Bielski M. w „Rozmowie dwu baranów".

(Ciekliński, Potrójny, r. 1597). Przy wozach kroczą stale ustrojeni pysznie *sztafiry* (staffiere, lokaj), nie wypierając dawnych forysiów i nowszych stangretów; do dziś pozostał od nich wyraz: *sztafirować się*, t. j. stroić. „Jak w złocie *dżioja*“ pisze Bojanowski, „Naumachia chocimska“, r. 1622; jest to giaja (drogi kamień, juwel) i t. d.

Oto główna treść napływowej fali włoskiej. Gdy miejsce Włoch w ogładzie, zbytku i modzie, w galanteryi, elegancyi, rafineryi smaku, w kulturze umysłowej, Francya zajęła, ustąpili włoscy przybysze francuskim. Zapomnieliśmy o nich zupełnie; strój zmieniony zatarł wszelkie wzmianki o dawnych szczegółach i nazwach włoskich; mało co uszło zagłady; fraszka, dzięki Kochanowskiemu, uwieczniła się, podczas gdy lazy, bontempy i spasy, nie podtrzymane jego sztuką, zaginęły. Najwięcej „włoszczyzny“ zostało w ogrodzie warzywnym; obok niego teatr i balet, śpiew i muzyka, już nie tylko u nas, lecz i na całym świecie cywilizowanym, dawną szkołę i mistrzowstwo włoskie ujawniają. Inne języki romańskie na polski nie oddziaływały. Po hiszpańsku umiano w XVI wieku, n. p. *guzmana* (błazna) i *karawakę* (krzyż) z hiszpańska nazwano; jeszcze sędziwy Chodkiewicz wybuchał pod Chocimem zwrotami „kaballerów“; lecz w XVII wieku, przy gasnącej potędze państwowej, gasł i urok języka, którym niegdyś Tęczyńscy i Lubomirscy władali. Nawet tłumaczenia z hiszpańskiego języka są bardzo nieliczne, chociaż hiszpańska literatura polityczno-moralna (n. p. u Warszewickiego) i romansowa (n. p. u Twardowskiego) wpływ pewny wywierała.

Francuszczyzny uczono się już od XVII wieku; znamy liczną szlachtę średnią, około 1620 r., umiejącą po francusku, tłumaczącą książki francuskie (n. p. Bolestraszycki z nieszczęsnym i dla siebie i dla książki,

przez kata palonej, skutkiem); od połowy XVII wieku zaczyna francuszczyzna przeważać na dworach królewskich i wielkopańskich, ruguje Włochów zupełnie; lecz dopiero od XVIII wieku opanowała wszystko, co do ogłady się garnęło, chociaż romanse francuskie czytano (Sobieski!), tłumaczono i naśladowano już od 1640 roku; równie dawne są nazwy stroju damskiego, od *muszta-siów* na czole począwszy, *kwefów, fontazyów, kapot, west, mant* i *mantoletów, kornetów* i t. d., od których się w opisach satyrycznych (n. p. Łącznowolskiego z r. 1682) aż roi.

VIII.

Stosunki polityczne łączyły oddawna Węgry i Polskę, jak familijne Arpadów i Piastów; cechy ich bywały nieraz wrogie wskutek wzajemnej rywalizacyi, n. p. o Halicz. Życie obu państw płynęło jednak odrębnemi korytami, chociaż tu i tam osiągnięto w końcu ten sam cel, wszechmoc oligarchiczno-szlachecką; znano się nawzajem bardzo mało, w średniowiecznej polszczyźnie ledwie jeden i drugi termin węgierski odnajdziemy, n. p. jobaggionów w XIII wieku dla oznaczenia kmieci, chłopów (iubaiones et colonos, u Miechowczyka r. 1518), albo wyżej wspomnianych Kunów. Zmienia się to zupełnie od Jagiełłowiców; Władysławowie i Ludwik zasiadają na tronie węgierskim, a na ich dworze znajdziemy niejednego Polaka; za Zapoliami odzywają się polskie sympatye, wyrażane i czynną pomocą; wreszcie powołał naród szlachecki na tron opróżniony Węgra. Od Batorego głównie idą wpływy węgierskie w Polsce; wpływy te ograniczały się jednak do kół ściśle zakreślonych.

Węgrzyn Polakowi w ogładzie ledwie dorównywał;

toć z Krakowa czerpał on wiedzę i wtedy jeszcze, gdy sami Polacy źródła tego już nie cenili. Lecz Batory przyprowadził z sobą znakomicie wyćwiczoną piechotę węgierską, posługiwał się najchętniej, ku wielkiemu zgorszeniu panów, Węgrami, i uczynił Węgrów strój, uzbrojenie, służbę, nawet zwroty ich mowy, modnemi. O zmianach zaszłych za Batorego poucza współczesny świadek, Andrzej Lubieniecki, w Poloneutychii (pisanej znacznie później, 1615 r.). „Rycerstwo polskie zachowało było w zależeniu pola i pokoju długim staroświecką armaturę, godną przeciw kuszom i łukom, nie przeciw ognistej strzelbie; siodło na koniu, blachą okowane, tak wysokie, że zakrywało pół jeźdzca, a ważyło za trzy siodła teraźniejsze; pancerz ciężki, tak, że nie tylko kijem, ale i nahajką można było rycerzowi dobić; ciężka tarcza, szyszak wysoki i szeroki jak pudło, co wszystko razem i w najmniejszy wiatr rycerza umordowało a konia osadniło; i kopia ważyła więcej, niż teraźniejsze dwie, i były inne rzeczy błazeńskie.

Piechota też polska była, że bardziej do błaznów byli podobni niż do rycerzów, bo je ubierano w szaty szachowane z różnych barw sukna; każda karwatka i szarawara miała w sobie kilka farb różnych; a broń ich miecz a barta (siekiera), ruśnica bardzo rzadko; a ci ani wiedzieli, jako szańce robić abo kosze. Król tedy rozpuścił wojsko polskie, przepisawszy im taki sposób wsiadania na koń, jakiego teraz nasi usarze używają; tak i nasza piechota węgierskiej się jęli we wszystkiem akkomodować“. (Wydanie z r. 1843, str. 110—111). Podobnie, choć z pewnem zastrzeżeniem, wyraził się i Bielski w „Kronice“ (w wieku XVI): „drabikowie nasi chadzali z oszczepy, a miecze przy boku mieli, pawęzy też miewali, które spiąwszy, bywali bezpieczni za nimi jako za murem, ani jazda ledajaka nie przełomiła. Ale już dziś

wszystko inaczej, więc nie wiem, jeśli tak lepiej, lecz to baczę, że co pierwej Węgrowie piechocie naszej dank dawali, to my dziś węgierską chwalimy“ (u Łebińskiego, Militaria, 1889., str. 144). Odbiło się to natychmiast i w języku, który już przed Batorym niejedno ze słownictwa szlachecko-państwowego, z kroju i zbroi, przejął.

Ustalało się to później żołnierką polską na Węgrzech przeciw Turkom, jeszcze częstszą węgierską w Polsce, a w XVII i XVIII wieku, przyczyniło się tego zalaniem kraju winem, które na Węgrzech się rodziło, lecz w Polsce umierało, i rzeczywiście do szabli i do szklanki głównie ograniczyła się cała poufałość z Węgrami. Wyrazów politycznych przyjęło dwa: *rakosz,* później *rokosz* smutnej pamięci, pole elekcyjne i tłumy szlacheckie zalegające pole, i spisek przez nie wywołany. Jeszcze na sejmie elekcyjnym r. 1587 (Acta XI, 195) twierdzono: „iż WMości do czegoś niezwyczajnego mieć się chcecie, do jakiegoś rokoszu, które słowo językowi polskiemu nie jest znajome“; tymczasem to myłka, słowo i pojęcie choćby od Wojny Kokoszej znakomicie się ustaliło, używali go wszyscy, nie tylko Górnicki („na miejscu rokoszu na elekcyą“), albo taki Adam Czachrowski, co to w chorwackiej ziemi długo służywszy i po węgiersku wiersz złożyć umiał („aby się schodzili na rokosz w pole“ — czytamy w jego „Threnach“ z r. 1596 i t. d.). Drugi, niewinniejszy, *orszak* (otoczenie, pochód), z węgierskiego orség, „załoga, straż“, ale jest między Słowianami rozpowszechnione i inne słowo węgierskie ország, państwo i tak go Orzechowski w liście do Krowickiego używa: „świat albo orsag nasz“. Tem liczniejsze są inne nazwy, „jezdeckie“.

I tak dosiada pan *deresza* albo *parepy* (paripa wierzchowiec, wałach); *hajduk* (sługa, drabant) jedzie za *kot-*

czym (wozem, koczem) na *łogoszu,* aby go panu w razie potrzeby dodał; źrebcowi opinają nogi w *forgocze* (fargasz, rzemień, jak w czeskim). Wygoliwszy czuprynę, nasadza pachołek *magierkę* (czapeczkę węgierską), nieraz z *forgą* (forgo, pióropusz); zarzuci *kopieniak* (köpenyeg, płaszcz), *kontusz* (köntös, suknia), *dołman* lub *czuhę;* już Rej r. 1543 skarży się: „ale tam rzadko bywa pan, gdzie rządzi czuha, dołoman"; po nim często o dołmanie mowa, n. p. „co u naszych ojców była kurta, to dziś dołoman" („Co nowego" z r. 1650), do których później i *bekiesza* futrzana przystąpi; wcześniejsza już węgierska *delia* („drugi więc swą wioskę mija, rozwiodła go z nią delia" — Rej r. 1543) i *delura.* Naciągnął *nadragi* (spodnie) i obcisłe *ciżmy* (trzewiki) lub krótkie *bociury,* a w rękę bierze *bełtę* (siekierę) albo *czekan* czy *nadziag.*

Śmieje się z niego p. Baltyzer z Kaliskiego powiatu w swoich „Rozkosznych Biesiadach":

> Pan brat prawie (całkiem) z *magierska* sobie szaty sprawił,
> Ale dla nich nieborak siodłaka (chłopka) zastawił.

Inni zowią te „magierszczyzny", „magierskie ubrania", ohydnemi, lecz moda modą pozostała.

Nietylko w ubiorze męskim przebijała węgierszczyzna; więcej jeszcze znać ją było w obozie i w wojsku, gdzie *katana* (katona, „żołnierz", od niego przezwana „katanka", jak rajtarka od rajtarz, brandebura, karwatka, stradyotka, radziwiłka u żydów litewskich i t. d.), z brodą katańską (wedle Kochowskiego), rej wodził w *szeregach* (sereg, pułk*).

Z Węgrów zaciągali się tak zwani *lewencowie* i *sabaci,* o których n. p. Żółkiewski pisze: „abyśmy się

*) I w polsko-ruskich tekstach, n. p. księdza Drobiszewskiego z XVII wieku czytam *szeręgi,* skąd ruskie słowo szerenga poszło. Na ubiorach i broni połyskiwał i *szych* węgierski.

strzegli Sabatów od Sambora, jako byli wpadli przed kilku laty", a p. Gajewski w „Rozmowie Ukrainy z Żołnierzem" z r. 1619 skarży się, że „zaciągamy do Polski, jakbyśmy mieli mało własnego „chłopia", Węgry, Sabaty, co nic nie umieją". Są to węgierscy *szabados*, od wolności, swobody przezwani; sławniejsi niż oni, uwijali się dzielni *husarze* na zwinnych *sekielach* (konie siedmiogrodzkie) z twarzą nieraz na krzyż ciętą, *kiereszowaną* (kereszt, krzyż), za nimi *giermki* (gyermek, dziecko, chłopiec), *harcowali* na koniu; na przód darli się ochotnicy wybrani, *elearowie* (elöjaro, przodujący); żelazne *szyszaki* kryły im głowę, *karwasze* szły na łokcie, a *paiż* (pais, tarcza) na bok, u którego pałasz wisiał. *Dobosze* i *szyposze* zajęli miejsce dawniejszych piszczków; i z wieży pobudka (stróż, dawniej; dziś grają nam pobudkę, lub pobudka na nas działa, moralna, którą dawniej pobiedką zwano, czeskie pobidka) wytrąbywał *hejnał* (hajnal, jutrzenka); laskę marszałkowską i t. d. zastępował *palcat* (palcsa, laska, *t* dodano jak w; kajet, filut).

Cóż za dziw, że od tej węgierskiej służby i piechoty (która zresztą, jak już Batory mawiał, w Polsce miewała tyle zysku, co wyniosła w pysku) i całe węgierskie słowa i zwroty się szerzyły. Szczególniej po humorystycznych utworach XVII wieku napotykamy często takie *uram* (mój pan *bizun* (bizoniy, naprawdę; poszła stąd nazwa bizunów, batogów, jakie hajduk — bizoń leżącemu na kobiercu odliczał), więc czytamy n. p. w Satyrze na twarz dworską: „Uram odstąpcie, han J. M. idzie do Pana"; albo w „Intermedyum chełmińskim": „Uram gazda beszte" i t. d., całe węgierskie wiersze, włożone w usta chudego pachołka. Jeden z takich wyrazów zachował się w słowie *beszłać,* urobionym od węgierskiego *beszte* (bestya), którego piechota Batorowa tak często

używała, że urosło w przysłowie: „nie mów królowi beszte, bo cię zetną jeszcze“. Gorzkie było to życie hajduckie: „służały“ opowiada o sobie:

Mierzi mię kij i szabla, zkosztuję obucha;
Aż ja hajducką służyć. Jak ze dżdżu pod rynę
Trafiłem... Rzekł mi stary Andrasz: tej nocy strzedz musisz.
Zbiereż (strzeż) karetu, jisty niczeho nie skusisz.
Jeśli co ukradziono, to mię siekierkami
Trzepali, równie jak trzej kowale młotami;
Beszte bizom tak mówiąc, źle mię to pytkują itd.

Ci hajducy byli często Słowakami lub Rusinami z gór, mówili po rusku: tak ich też zawsze W. Potocki i inni wprowadzają. Od nich szły w Polsce nazwy Andraszów, Istwanów, Januszów (Janos, nazwa hajducka, czytamy n. p. w „Intermedyum chełmińskim“: „tylkoćto tak hajdukom mówią, słyszysz ty Janusz!“) — chociaż byli i staropolscy Januszowie. Ci „Matjasowie“ z gór przymierali często głodem, zanim na służbę trafiali, stąd mawiają i dziś jeszcze po narzeczach, jak i w XVII wieku n. p. Kmita i inni: było mi *„matjasno“*, t. j. było ze mną źle, smutno i t. p. Ale węgierski *baciarz* zjawił się świeżo; zamiast niego istniał w XVII wieku „chudy *Ferens*“ (t. j. Franciszek), goły jak „bizun“ prawdziwy, który, jak właśnie wspomnieliśmy, również z Węgier, nie od bizonu — wołu(!) wyszedł; o „bezgrosznych Ferensach“ nieraz Jagodyński mawia. Z handlu winami pozostało n. p. słowo *antał* i *antałek* (antalag, beczka wina); *maślacz* (słodkie wino) to przeróbka wschodniego masłoku, odurzającego napoju.

W tak ścisłych i szczupłych granicach przedstawia się wpływ węgierski, uosobiony w języku; jeszcze słabiej oddziaływali dalsi sąsiedzi na południu. Mimo ścisłości związków politycznych, jakie nieraz od Jagiełłów do So-

bieskiego, Rumunów z Polską łączyły, wpływów obyczajowych nie wywarły żadnych, prócz jednego pola, które z polityką i dążeniami rumuńskiemi żadnej nie miało styczności. Rumun zawdzięczał, w jeszcze większej mierze niż Węgrzyn, całą oświatę Słowianinowi, Bułgarowi; bułgarski język był jego językiem piśmiennym, urzędowym i kościelnym przez całe wieki (aż do XVIII); Rumun jeszcze za naszych czasów wszystko pisał i tłoczył cyrylicą, dopiero książę Kuza narzucił narodowi alfabet łaciński, ale n. p. książe Ghika, prezydent senatu, do śmierci swej cyrylicą pisał; jeszcze dziś chłop rumuński sporządzi sobie za życia „epitaf", krzyż nadgrobny, z napisem bułgarskim; bułgarska „arynga" przy testamentach bywała najdłuższy czas obowiązkową.

Setki najważniejszych słów rumuńskich (podobnie ma się rzecz z węgierszczyzną, również od Słowian zawisłą) świadczą ciągle o dawnej, walnej przewadze słowiańskiej, i Rumun nie miał co udzielać Polakowi. Od hospodarów wołoskich, lenników polskich, od rodzin takich jak Mohiłowie, szerzyła się zato znajomość języka polskiego; najznakomitszy oświatą i ogładą Rumun XVII wieku, Miron Costin, spisał przecież dawne dzieje ojczyste dla Sobieskiego wcale niezłym wierszem polskim: liczne rękopisy (sami znamy trzy) świadczą o wzięciu tej epopei między szlachtą. Od Rumuna korzystał Polak w jednej, gospodarczej gałęzi.

Pasterz „wałaski" od wieków, postępując śladami przodków, pasterzy zabałkańskich, zapełniał trzodami owiec *hale*, *połoniny* i *działy* (góry) Karpackie, rozszerzał swe pokojowe zdobycze wolno a stale, aż dotarł do Morawy, opisawszy olbrzymie półkole. Pasterz wałaski, z *fujarką*, poprzedzający trzodę i psy, już w XV wieku był tak typową figurą w Polsce podgórskiej i krakowskiej, że i kaz-

nodzieje o nim wspominać mogli. Otóż z rumuńskiego języka przedostało się wiele słów „pasterskich“, dotyczących hodowli owiec i jej produktów, do języka podgórskiego, polskiego i ruskiego, lecz nie myślimy wymieniać wyrazów odnośnych, już dawniej przez innych badaczy zebranych*); poprzestajemy na tych, które ogólniej się przyjęły.

Więc z narzędzi muzycznych długa prosta *fujarka*, piszczałka (flueru) i *multanki*, „w które na ustach grają“, nieraz w kolędach wspomniane; z ubioru *bunda*, biała lub czarna, kosmata; z wyrobów owczarskich *bryndza* i *żętyca; koszary*, niegdyś dla owiec tylko przeznaczone, dziś i ludziom służące. Lecz *Multan* bywał nie tylko pasterzem, kowalem lub konowałem, nie tylko *wałaszył* źrebce; on sprawował i urząd kata z swoim wielkim *multanem* (mieczem, „multan w szyję zmierza“, w „Penelopei“ J. A. Kmity z r. 1610, „o multanie Gedeonów“ woła Kochowski w „Ogrodzie panieńskim“); wspominają i o „kałaraszach“ (jeźdźcach) wołoskich.

Przy niektórych wyrazach trudno ustalić, czy je wprost od Rumunów właśnie przyjęliśmy, n. p. *czaban* (wół podolski, lecz dawniej pasterz, jeszcze u Reja zawsze tak, n. p. „dzikie pola, gdzie się czubani osadzają“ i in.) z rumuńskiego *czoban*, pasterz (czy raczej nie przez ruskie z tureckiego?) albo *buhaj* (byk), z rumuńskiego buhaj (czy przez ruskie i in.); nawet *bukatę*, którąśmy do Włoch odnieśli, możnaby od Wołochów (bukata) wyprowadzać; *sałasz* lub *szałasz* jednak pasterski, pewnie od nich przyszedł; również i *hurmem, hurmą*, którego objaśnić

*) Por. prace Miklosicha, Kałużniackiego i L. Malinowskiego (Rozprawy akademickie, wydz. filolog. XVII t.); lecz i one nie objęły jeszcze wszystkiego, n. p. *cygarki*, baranki, u Wacł. Potockiego i i.

nie umieją, od Rumunów na Ukrainę wyszło; *h* jest tylko przydechem (*urma*, impet).

IX.

Najniebezpieczniejszymi sąsiadami Rzeczypospolitej od południa i wschodu byli Tatarzy i Turcy; tamci, dla nieustannych napadów i grabieży, wyludniających Ukrainę i Podole, sięgających Rusi Czerwonej, grożących Lwowu i Lublinowi; ci, dla strasznej potęgi, która, po zawładnięciu Węgrami, dla samych spraw wołoskich i kozackich do nieodzownych zderzeń parła, jak to pod Chocimem, czy pod Kamieńcem. W ciągłych zapasach z Tatarami, zmuszających do zmiany szyku i wojowania, przejmowano liczne szczegóły z ich własnego uzbrojenia i walczenia; popisywała się młodzież, nie służąca w obozach, nadrabiająca miną i strojem; ciągłe stosunki dyplomatyczne z Portą, wielkie poselstwa, począwszy od Taranowskiego za Zygmunta Augusta, a skończywszy na Chomętowskim za Augusta II, które i w literaturze liczne i obszerne pamiętniki prozą i wierszem zostawiły (n. p. „Przeważną legacyę“ Twardowskiego, lub „Dyaryusz Poselstwa“ Chomętowskiego z lat 1712—1714 przez Gościeckiego), obznajamiały szlachtę z wyrazami tureckimi, w jakie szczególniej proza i poezya XVII wieku obfitują.

Nie myślimy wymieniać tych wyrazów, tyczących się tureckich stosunków, urządzeń i t. p., o ile tylko temu służą (u Twardowskiego, Potockiego, Gościeckiego), aby koloryt miejscowy wiernie zachować (z wyjątkiem chyba „derbisza“; o „chudym derbiszu“ — nagi, jak święty turecki, toż samo — nieraz w literaturze humorystycznej mowa). Dla nas tylko te słowa ważne i ciekawe, co się w ogólnym języku przyjęły, jako osad owych wpływów

i związków: nie rozróżniamy przy tem tatarskich od tureckich.

Orda (horda), albo *kosz* tatarski, obóz, z *ordyńcami* i z *kozakami**), wypadała szlakami dla *jasyru, koczując* z miejsca na miejsce *czambułami* (zagonami), ciągnąc w *temrukach, kajdanach (kandałach)* i *cymborzech* (więzach), w *arkanach,* w *torkmyszach* (rzemieniach), nieszczęśliwe ofiary, siekąc je *nahajkami* i *basałykami, kańczukami* i *karbaczami,* darując je życiem tylko w nadziei okupu, lub spieniężenia na *bazarze, aurathbazarze,* jak Twardowski mówi („Targ niewieści"), albo wprost na *majdanie,* placu. I *characz* roczny, kształtniej upominkiem zwany, nie zapewniał od napadów *chanaji* (tłuszczy) tatarskiej, szukającej *ułafy* (zysku, jeszcze Rej zawsze tak mawiał, później tylko *łafę* żołnierską tak nazywano), nie u chana, ale na Rusi, stojącej otworem. Dowodzili niemi *asawuli, ułani* i t. d. z *buzdyganami* (buławami), pod *buńczukami* (ogonami końskimi na drzewcu, stąd bundiuczyć się). Niesłychaną szybkość ruchów zawdzięczali oni *łoszakom* (konie tatarskie, których oni łoszakami zowią, pisze Gwagnin, r. 1611, ruskie łoszad'), *rumakom,* albo jak je pierwotnie zwano, *ohromakom* (jako bystry ochromak, mawiał Rej), lub *hromakom* (u Stryjkowskiego), *bedewijom* arabskim, *badrakom* i *bachmatom, bułanym, karym* i innej maści. Siedzieli na *jarczakach* (lekkich siodłach) i *wojłokach* (wojdłokach u Reja), przykryci *burką* (której widok sam

---

*) Z tureckiego kazak „wolny, swododny, rozbijaka"; w panegiryku Firlejów czytamy: kozakami nazwani lubo z tatarskiego nazwiska niewolnicy lubo z Holackiego sposobu życia, bo o żadne dostatki nie dbają, przy gorzałce tylko w kobzy grają (kozacy niby kobzacy, inni od kóz słowo wywodzili); holacki od hulaki; Miechowczyk r. 1518 wiedział, że to tatarskie słowo *rajtara* oznacza.

zdradzając Tatarzyna, straszył), albo *krymką;* do świetnego wystąpienia należały *kutasy, czołdary* i *czapraki* na koniu (chociaż czaprag i kosztowną zarzutkę kobiety oznaczał, n. p. w „Penelopei“ J. A. Kmity; i *kanak,* naszyjnik, stąd wzięty). Ulubiona broń, strzała, tkwiła w *sajdaku* lub *kołczanie;* i części jej (*zekir, kibić, majdan* i t. d.) przezywał Polak z tatarska, *kibić* przeniesiono później na kształt i wzrost; dalej *dzida;* piersi strzegł *bechtyr* (pancerz) i *kałkan* (tarcza); do ubioru służył *kaftan;* w *demeszce* lśnił się znakomity *bułat* (stal) — tak wygląda i polski husarz w opisie u Kochowskiego: „wąs nową fozą (modą) *bałłabańską* (tatarskiego atlety), *telej* z turecka, z gęstą strefą złotą, *andzar* za pasem... but z turecka wielki, przy nim albańskie ostrogi“ i t. d. Lecz nie koniec tym nazwom: *kulbaka, tebinki* (rzemienie u siodła*) — co innego niż tabinki, podeszwa), *temlak* dla szabli i t. d., a przedewszystkiem rozmaite płaszcze i koce, *czekman,* z którego później i „sukmanę“ zrobiono, jakby od „sukna“ ją wyprowadzając; *kiliny* (*kilimy,* kilimki) i *derhy* („co za ojców naszych była gunia, to teraz kilim, derha“, „Co nowego“ z r. 1650); (*kirejka* nie z grubego *kiru,* szarej materyi!; Jabłonowski w „Pamiętnym uprowadzeniu“ r. 1745 pisze: „kierejkę Turczyn, Tatar burkę suszy“); *czuhy* i t. d. Materye na to wszystko sprowadzano ze Wschodu i nazywano po wschodniemu, począwszy od drogich *altembasów* (złotogłowia), *tabinu, tafty* i *sai,* a skończywszy na prostym *kindiaku, dymce, musułbasach.* Gościecki n. p., bawiąc w bułgarskiej Prewadyi r. 1712, zapewnia, że do nas „stąd najwięcej mamusy jak i musułbasy, bo co dom, to ich warsztat, idą temi czasy“, „za swoje

*) Por. Jak od starej kulbaki z Tembiniek (!) złe płaty w Kirysie Hartownym (około r. 1660).

(Turczyn) musułbasy, za garść wełny koziej", pisze W. Potocki. Aż do obuwia, do *baczmag* i do *czobotów,* sięgały te nowe mody; tu należy i *taśma,* która jak i niemiecki *szlak* (szlaczek, por. szlak albo ręcznik biały u M. Błażewskiego), nie tylko obramowaniu, listwom i t. d. służyła, lecz i w polu ślady znaczyła, n. p. Ulryk Radziwiłł, goniąc w r. 1749 hajdamaków (w ciemnych, zielonych czekmanach), bierze po nich „taśmę".

Znajomość rzeczywista języków wschodnich była nadzwyczaj rzadka; posiadał ją chyba jaki „poturnak", lecz ze służby i obozów, od *kardaszów* (braci) tatarskich*), szerzyły się przy ciągłych najazdach pojedyncze wyrazy coraz dalej. Zamiast przewodników, poszukiwano teraz *kałauzów,* choćby i do nieba; kto dobrą nowinę przynosił, żądał i odbierał jako oduzdne albo napiwek (dawniej kołaczem to nazywano) *musztułuk* albo *munsztułuk;* u Twardowskiego n. p. wołają Turcy: „dajcie Laszy munsztułuk, nowina wesoła", albo: „munsztułuk pośle gotuj, nowina wesoła" i t. p. Co dawniej butynkiem było, teraz w *paju* (dział łupów) chodzi; wziął w paju, pisze Ulryk Radziwiłł, a p. Dobiński w „Świcie wierszów na święta Maryi" (z r. 1725) żałuje łotra na krzyżu, co „nieszczęśliwy w paju" (gdy łotr Dyzmas dostał raju). Zamiast rozkazów, mówią o *emirach,* rzadziej i o *bujurdunach;* marsze przerywają *kunaki* (stacye); sławnych rycerzy już Grochowski zowie „delijunakami" (deli — odważny, szalony), a staropolskich „gardzin" dawno już *bohater* (stąd i węgierskie Batory) zastąpił. Mikstatników, szrota-

*) Częste u pisarzy XVII wieku: Bączalskiego (pan kardasz kraje ruskie łupił r. 1606), Birkowskiego, Białobockiego (u którego wilk-Tatar mówił do psa: dobra twoja, koliż tak budesz sobak kardasz moja); *Kartasi* nazywa szpiegów tatarskich Czech Dalemil r. 1310; zepsuto niezrozumiany wyraz na *kurdesz* (w znanej piosence).

rzy, tragarzy, zastąpili *hamali;* obok hajduków i t. d. zjawiają się *pajucy* (laufry); co w wojsku tureckiem byli akandzi, ochotnicy, spieszący w przedniej czacie na łupy, stają się u nas zbrojnym orszakiem, *achandyją,* i *archandyją,* otaczającą pana, lecz Zimorowic nazywa i „psów archandyją straszną"; podłą gawiedź *haramzą* przezywają, n. p. mówią o zaporoskich haramżach, albo harańdzi — od tureckiego *charami,* zbój, którego po dziś dzień w „harmiderze" używamy; charmider, dziś wrzawa, hałas, słowo przed Zbylitowskim i przed „Zwierzyńcem Jednorożców" (Fredrów) Glinki (z r. 1668) zupełnie, ile wiem, nieznane, zwało się miejsce, pełne niebezpiecznej wrzawy; Harmideres, o którym Glinka pisze:

...jest to miejsce niebezpieczne w lesie;
Każdy kupiec tamtędy jako na szańc niesie
Zdrowie swe rozbójnikom, aż go nazywają
Dół rozbójniczy drudzy, lecz straż w niem miewają.
Teraz szaraj cesarski piękny zbudowano,
Zwierzyniec uczyniono, a zbójców wygnano.

Jak najmylniej wywodzono słowo to i z niemieckiego. Milicyę cesarską stanowili i *Semeni,* których nazwę u nas na kozaków nadwornych przenoszono, i *Serdeniata,* szalone pałki; *Dejneki* zato tłum najpodlejszy (nazwani od kija) oznaczali. Od Tatarów i Turków nie tylko przejmowano stroje i kroje, bronie i konie; bieda zmuszała nieraz, szczególniej w obozach, żywić się ich sposobem, *ciorbą* (polewką), *bastramami* (kawałkami suszonego mięsa) i *abuchtami* (ormiański wyraz dla solonego i wędzonego mięsa, koziny); w *saganach* gotowano *sałamachę* i kaszę, do tego miano w *bukławie* lub *bukładzie* buzę z prosa albo brahę, a w najlepszym razie „horylicę" — oto „bewandy i frukty ukraińskie", a i te jeszcze należało wozić z sobą w *sepetach* (skrzyniach), na

samarach i w *jukach,* jakiemi Turcy wielbłądy, a nasi konie i wozy okładali. I ciężko się biedowało dla ciągłej napaści od jednego nieprzyjaciela, a w strachu od drugiego sroższego, od *dżumy,* gdy złowrogi *tuman* stepy zaścielał, w których się i niszcząca wszystko *szarańcza* wylęgała. Dym *tabaku* i *tiutuniu* odurzał choć nieprzywykłe mu głowy; „piją“ go kozacy, a od nich i polski żołnierz go przejął, mimo protestu, jaki szczególniej literatura zanosiła przez całe stulecie (XVII) przeciw takiemu „podkurzaniu mózgu, że się rozum zaćmi, fantazya wzburzy“ (słowa Zimorowica). Szlichtyng, Morsztyn (Andrzej), Trembecki (Jakób) i inni układali w zawody mniej lub więcej udatne wiersze i żarty „na tabakę“. Nie wstrzymało to jej zwycięskiego pochodu; niełaskawe witanie i z kawą się powtórzyło z takim samym skutkiem. Pierwszy Andrzej Morsztyn o napoju tym z obrzydzeniem wspominał:

W Malcieśmy, pomnę, kosztowali kafy,
Trunku dla Turków... Ale tak szkarady
Napój, tak brzydka trucizna i jady,
Co żadnej śliny nie puszcza za zęby,
Niech chrześcijańskiej nie plugawią gęby...

lecz zmieniły się gusta, i właśnie ten „napój“ arcychrześcijańskim został. Wschodnie jego pochodzenie wskazują choćby nasze *filiżanki farfurowe* i *imbryki,* z których go pijemy; takie to kruche, a panowanie tureckie pono przetrwa; farfura, porcelana, właściwie „towar chiński“, a imbryki z ibryków, dzbanków powstały; lecz „sprośne *imbryaki*“ Klonowica, to włoskie, „ebbriaco“, opiły. Wspomnijmy i o słowie, dziś do wyższego języka należącem choć niegdyś bardzo pospolitem, jak: *całun, rydwan* i t. d., które również z najnędzniejszej prozy do poezyi się wzniosły: *kotara,* dziś droga zasłona, niegdyś prosty,

pilśniowy namiot *(szater)* tatarski, dawniej i kotarhą zwany, n. p. Batory w drodze pod Psków „na południe pokarmuje w chrześcianej (zamiast chróścianej) kotarze", pisze Jan Piotrowski; kotarhy słomą, sianem pokrywają u Jana Tarnowskiego i t. d. Zawój turecki, owo „pudło" na głowie, zowiemy dziś turbanem, tulbantem i tulipantem: tulipany w ogrodach po nich do dziś zostały (tureckie tulbend, węgierskie turban). I *gajdy* (dudy) z turecka nazwano. Tatarzy sami, w ciągłych wyprawach na Ukrainę i Podole, mawiali łamaną ruszczyzną; w literaturze stale ich tak wprowadzają, n. p. u Białobockiego w „Brat Tatar" z r. 1652, mówi „Tatar" do „Chmiela": moja nie jesz (ja nie jem), kiszka bolisz, stukasz... Już tebe zjesz (zjem), bo moja (ja) teper hłodna i t. d., albo pyta Tatarzyn o chorągiew albo znak z św. Jerzym: hde bajrak szczo mołada żołnir żabu kole? i t. p. I o słowach tatarskich powtórzymy, cośmy powiedzieli o węgierskich i włoskich: nadpłynęły do języka z falą dziejową, lecz zmieniły się kierunki, więc odpłynęły na zawsze — użyje ich chyba Sienkiewicz, dla dokładniejszego odwzorowania ludzi i czasów, i wprowadzi w ambaras, nie tak czytelnika, jak tłumacza, który n. p. z kunakami, z Lipkami i Czeremisami poradzić sobie nie umiał. Inaczej miała się rzecz na Rusi, gdzie, z powodu długowiecznych stosunków z Ordą, wiele najważniejszych wyrazów, naprzykład w gospodarce państwowej, pieniężnej i domowej, do dziś o dawnych związkach i wpływach świadczą. Należy tu i nazwa „wroniego oka" (strychnos, tłumaczone z łaciny), *kulczyba,* albo jak je Miechowczyk r. 1518 z tatarskiego zapisał, *kuczylabuka* albo *kylczabuka,* i *airu* albo tatarskiego ziela (tataraka), wedle tegoż Miechowczyka.

X.

Gdy tak obyczajowość polska, wchłaniając najrozmaitsze obce żywioły, wobec nich niby bierną rolę odgrywała, przyjmowała na zawsze lub chwilowo, przetrawiała lub odrzucała, jako zbytne, niemodne, przestarzałe — przypadała równocześnie na jej udział zupełnie odmienna rola wobec Wschodu, wobec Rusi i Litwy; co Polska z za granicy nabywała, wszystko obce i wiele własnego, szerzyła znowu w obrębie państwowym i nawet daleko poza jego granice. Całe życie, przedewszystkiem klas wyższych, na Rusi i Litwie, polszczało doszczętnie: zostały imiona rodowe i miejscowe, lecz zmieniała się treść ich; wpływ polski przenikał wszędzie, a wyrazem jego najzewnętrzniejszym był język Rusi Czerwonej, Czarnej i Białej, język litewski i żmudzki, obfitujący w niezliczone polonizmy. Wystarczy dziś jeszcze wziąć byle jaki słownik małoruski, białoruski, litewski: co czwarty lub piąty wyraz wzięto tam z polskiego; a w dawnym języku piśmiennym, znanym z akt urzędowych, z literatury polemicznej, z „wirszów“, zjawisko to występowało jeszcze jaskrawiej. Ileż to razy tylko pisownia i końcówki są ruskie, a sam tekst właściwie polski; i najlepszy znawca ruszczyzny pomyli się, jeśli nie będzie coraz uwzględniał toku polskiej myśli i wysłowienia, bo co tu po rusku wyrażano, pomyślano wprzód po polsku.

Lecz i poza Kijów, Połock i Smoleńsk, aż do samej Moskwy, docierała książka polska, szkoła polska, wzory obyczajów i urządzeń polskich, bezpośrednio przez „kolegium Mohilańskie“ (akademię kijowską, rządzącą się wedle szkół jezuickich), przez stosunki z bojarami, którzy nieraz zdradzali się z zamiarami przeszczepienia szlacheckiego państwa do siebie. Najsilniej występowały te wpływy za Zofii i Golicyna, podczas małoletności Piotra Wielkiego,

a główne znaczenie reformy Piotra właśnie na tem polegało, że z pominięciem Polski, ponad jej głową niby, zawiązał stosunki z zachodem i pchnął państwo na tory zachodnie, dyplomatyczne, wojenne, ekonomiczne, naukowe i obyczajowe.

Wykazać to wszystko byłoby rzeczą osobnego studyum, do którego zebrał cenny materyał, n. p. Szlapkin w dziele o Dymitrze Rostowskim (r. 1891); zaznaczamy tu mimochodem, że znowu język przechował po dziś dzień ślady owych dawnych stosunków. W XVIII wieku było ich więcej, kiedy jeszcze n. p. język urzędowy używał zwrotów, jak: szlachecki, korona i t. p., lecz i dziś znajdziemy je nieraz, począwszy od pożywienia (bułka, kuchnia i kucharz); ubioru (pończocha, szpilka); szkoły (tablica, szkoła); mieszkania (komnaty, pokoje, zamek, turma, buda); rzemiósł (malarz, malować, rysować, gwazdać, obrazy, sztuka) aż do nazw społecznych (mieszczanin, pan, pani i pański, stolica, herb i herbowy, bunt, węzeł); w wojskowości (pułkownik, porucznik, chorąży, tabor, szeręga); oderwanych (powód, cel, szkoda, przedmiot, pozwolić) i in. Pomijamy takie, jak owczarnia, szelma, smarować, różaniec, potomek, gwałt, trafić, krochmal, jarmarek, niejedną nazwę botaniczną i in. — niektóre z nich są wprawdzie niemieckie, lecz przywędrowały przez Polskę i Małoruś.

Rzeczą innego studyum byłoby znowu wykazywać, jak na Rusi polskiej i litewskiej przemiany szły odrębnymi torami: na Podole i Ukrainę przenosiły się rody polskie, pańskie, magnackie, polonizacya szła tu z góry, popierana miejscami i przez kolonizacyę. Na Litwie przeciwnie, żadnej „immigracyi“ ani „kolonizacyi“ nie było, rody polskie dostępu tu niemal nie miały, przedewszystkiem od urzędów wyższych, duchownych czy świeckich,

były wyłączone. Ile to zachodu i hałasu było, nimby „Polak“ biskupem wileńskim lub wojewodą nowogrodzkim (jak Jabłonowski) został! Na Litwie polszczała tubylcza szlachta (i mieszczaństwo) przez szkołę i kościół, przez dwór królewski i książkę, przez pobyt za Niemnem, pacholikiem, „rękodajnym“ polskim, przez szwagierstwo. Już w XVI wieku władano znakomicie językiem pisemnym; trzeba czytać listy Radziwiłłów, Chodkiewiczów, Sapiehów, aby ocenić ich polszczyznę; znajdzie się tu czasem słowo lub przysłowie ruskie, jak i w listach Zygmunta Augusta, ale to wyjątkowo (n. p. *staryna* — stąd starynny, *mładeniec* i kilka innych). Tylko statut litewski trzymał się dawnych terminów jeszcze i w siedmnastym wieku. Coraz zwiększała się liczba Litwinów, Białorusów i Małorusów (rodem), biorących udział w polskim ruchu umysłowym, albo ludzi z polskiej krwi, na ruskiej ziemi wyrosłych, obznajomionych z językiem otoczenia, nie wahających się słowa jego, uważane jakby za własne, nie obce, wnosić i do języka piśmiennego, od Stanisława Orzechowskiego i Szymona Budnego począwszy, a kończąc ów pierwszy szereg na Klonowicu i Zimorowicu.

Orzechowski więc napisze: „na tym kierchmaszu, albo na tym *prażniku*“, *puhami* zamiast pęgami (biczami), *sorom* i in. Budny, acz mu się propaganda religijna między Rusią nie powiodła, ruskiego pisma św. był najgorliwszym czytelnikiem i własne tłumaczenie biblii rusyzmami bodaj po bokach opatrywał, n. p. pisał *dziełaciele* (robotnicy), *zawidować* będzie; lnu tłającego się, po rusku *kurzącego* i t. p. Klonowic, Wielkopolanin, dopiero w dorosłym wieku na Czerwoną Ruś przybył, lecz we Lwowie i Lublinie tak się w niej rozkochał, że i najlepsze dzieło swe poetyckie jej opisom poświęcił, i własny wiersz polski ruskiemi słowami przetykał: we „Flisie“

i w „Worku Judaszowym“ czytamy n. p. *hołowieńko, izmiennik, diedu, borzobohaty, mołodziec (mołojce),* rysią *kużą* (skórą) *przewerniona, chorosze, pohański, zołote* żniwo, *chwostem* (ogonem) i t. d. Zimorowic, Lwowianin, używa nietylko nieodzownych wyrazów, aby w sielankach miejscowe tło ruskie wydać, lecz i bez tej przyczyny nie waha się wplatać słowa te same, co Klonowic, i inne, n. p. *sobaka, wataha, pohańcom,* nie *trunie* (piśnie) za nami i t. d. Litwin Jagodyński bardzo chętnie się niemi posługiwa, pisze n. p. *niet druhów bez rublów* na świecie, kup pierożek *choroszy,* na jawnych *ambarach.* Te przykłady niech wystarczą. Moglibyśmy cały szereg poetów i poezyi przytoczyć, Twardowskiego, Potockiego, Gawińskiego i innych; w XVIII wieku n. p. jowialne, w stylu Baki pisane, Refleksye duchowne ks. Mikołaja Juniewica. r. 1753, poświęcone wojewodzie Sołłohubowi (sam *prowodyr,* tam się *głumią* i t. d.); we wszystkich znaleźlibyśmy podobne przyczynki.

Gdy tak poeci, dla komicznego wrażenia, dla miejscowego kolorytu lub z prostego nawyknienia rusyzmów zażywają, brak ich zupełnie w prozie, jeżeli pominiemy liczne dzieła i broszury, wojujące o unię, przez cały ciąg XVII wieku. Autorowie ich Rusini, o ruskie rzeczy im idzie, więc nie tylko wyrazy cerkiewne zatrzymali, ale i pospolite, choćby i przysłowia, a najwięcej ostre wyzwiska wtrącali od Pocieja i Smotryckiego począwszy, aż do Baranowicza, Żochowskiego i innych. Z przytoczonych właśnie okoliczności wynika, że próżnobyśmy się silili ruskie słowa polskiego języka pod jakieś ogólniejsze normy czy rubryki wciągać. cośmy dotychczas z wszelkimi innemi czynili, bo są nieliczne, przypadkowe, dorywcze; wrzucił je jeden i drugi pisarz w XVII wieku, jedne się przyjęły, drugie znowu zanikły. Więc umyślnie, bez żad-

były wyłączone. Ile to zachodu i hałasu było, nimby „Polak“ biskupem wileńskim lub wojewodą nowogrodzkim (jak Jabłonowski) został! Na Litwie polszczała tubylcza szlachta (i mieszczaństwo) przez szkołę i kościół, przez dwór królewski i książkę, przez pobyt za Niemnem, pacholikiem, „rękodajnym“ polskim, przez szwagierstwo. Już w XVI wieku władano znakomicie językiem pisemnym; trzeba czytać listy Radziwiłłów, Chodkiewiczów, Sapiehów, aby ocenić ich polszczyznę; znajdzie się tu czasem słowo lub przysłowie ruskie, jak i w listach Zygmunta Augusta, ale to wyjątkowo (n. p. *staryna* — stąd starynny, *mładeniec* i kilka innych). Tylko statut litewski trzymał się dawnych terminów jeszcze i w siedmnastym wieku. Coraz zwiększała się liczba Litwinów, Białorusów i Małorusów (rodem), biorących udział w polskim ruchu umysłowym, albo ludzi z polskiej krwi, na ruskiej ziemi wyrosłych, obznajomionych z językiem otoczenia, nie wahających się słowa jego, uważane jakby za własne, nie obce, wnosić i do języka piśmiennego, od Stanisława Orzechowskiego i Szymona Budnego począwszy, a kończąc ów pierwszy szereg na Klonowicu i Zimorowicu.

Orzechowski więc napisze: „na tym kierchmaszu, albo na tym *prażniku*“, *puhami* zamiast pęgami (biczami), *sorom* i in. Budny, acz mu się propaganda religijna między Rusią nie powiodła, ruskiego pisma św. był najgorliwszym czytelnikiem i własne tłumaczenie biblii rusyzmami bodaj po bokach opatrywał, n. p. pisał *dziełaciele* (robotnicy), *zawidować* będzie; lnu tłającego się, po rusku *kurzącego* i t. p. Klonowic, Wielkopolanin, dopiero w dorosłym wieku na Czerwoną Ruś przybył, lecz we Lwowie i Lublinie tak się w niej rozkochał, że i najlepsze dzieło swe poetyckie jej opisom poświęcił, i własny wiersz polski ruskiemi słowami przetykał: we „Flisie“

i w „Worku Judaszowym“ czytamy n. p. *hołowieńko, izmiennik, diedu, borzobohaty, mołodziec (mołojce),* rysią *kużą* (skórą) *przewerniona, chorosze, pohański, zołote* żniwo, *chwostem* (ogonem) i t. d. Zimorowic, Lwowianin, używa nietylko nieodzownych wyrazów, aby w sielankach miejscowe tło ruskie wydać, lecz i bez tej przyczyny nie waha się wplatać słowa te same, co Klonowic, i inne, n. p. *sobaka, wataha, pohańcom,* nie *trunie* (piśnie) za nami i t. d. Litwin Jagodyński bardzo chętnie się niemi posługiwa, pisze n. p. *niet druhów bez rublów* na świecie, kup pierożek *choroszy,* na jawnych *ambarach.* Te przykłady niech wystarczą. Moglibyśmy cały szereg poetów i poezyi przytoczyć, Twardowskiego, Potockiego, Gawińskiego i innych; w XVIII wieku n. p. jowialne, w stylu Baki pisane, Refleksye duchowne ks. Mikołaja Juniewica. r. 1753, poświęcone wojewodzie Sołłohubowi (sam *prowodyr,* tam się *głumią* i t. d.); we wszystkich znaleźlibyśmy podobne przyczynki.

Gdy tak poeci, dla komicznego wrażenia, dla miejscowego kolorytu lub z prostego nawyknienia rusyzmów zażywają, brak ich zupełnie w prozie, jeżeli pominiemy liczne dzieła i broszury, wojujące o unię, przez cały ciąg XVII wieku. Autorowie ich Rusini, o ruskie rzeczy im idzie, więc nie tylko wyrazy cerkiewne zatrzymali, ale i pospolite, choćby i przysłowia, a najwięcej ostre wyzwiska wtrącali od Pocieja i Smotryckiego począwszy, aż do Baranowicza, Żochowskiego i innych. Z przytoczonych właśnie okoliczności wynika, że próżnobyśmy się silili ruskie słowa polskiego języka pod jakieś ogólniejsze normy czy rubryki wciągać. cośmy dotychczas z wszelkimi innemi czynili, bo są nieliczne, przypadkowe, dorywcze; wrzucił je jeden i drugi pisarz w XVII wieku, jedne się przyjęły, drugie znowu zanikły. Więc umyślnie, bez żad-

nego ładu, tak, jak i one do języka się wkradały, wymienimy tu kilka ciekawych i ważniejszych, które próżnoby kto wytłumaczyć się silił, gdyby nie wykazał ich pochodzenia ruskiego. *Nadwyrężyć* (n. p. oczy czytaniem) zdaje się dobrem polskiem słowem, ma przecież i *wy* i *ę*, a wszystko fałszywe, jak wdzięki starej kokietki. Przed XVII wiekiem słowa tego nie znano, wprowadzili je półruscy pisarze jako *nadwerężyć*, n. p.: których zazdrość ludzka nie *nadwerężyła*, pisze A. Tyszka w „Atalancie“ r. 1617; lód *nadwerężony*, Żebrowski r. 1637; z *nadwerężeniem* zdrowia, Karaś „Bando na gorzałkę“ r. 1716; kogo choroba dużo *nadweredzi*, Niewieski „Rythmy“ r. 1698. i t. d. Gdyby to słowo było polskiem, brzmiałoby *nadwrzedzić* (od wrzodu), ere jest ruskiem, jak w galicyjskich czereśniach zamiast trześniach, czerepach zamiast trzopach, czerewach (Klonowic, Kochowski) zamiast trzewach, czeremchach zamiast trzemchach (por. Trzemeszno). Już dominikan Okolski pisze *„nadwerędza* prochów“ w Kontynuacyi dyaryusza (kozackich wojen) r. 1639. Podobnie ma się rzecz z *oszołomionym* (uderzonym w głowę, odurzonym), będącym „pod hełmem“ (nietrzeźwym, jak dawniej mawiano). *Sobor*, koncylium, pozostał od wspomnianej literatury polemicznej, od Smotryckiego i innych; po polsku byłby zborem; podobnie *sojusz* z ruskiego poszedł, po polsku byłby związem. Od tychże polemistów dostaliśmy i *trutnia*, zamiast trątu, jak go jeszcze Klonowic zowie, n. p. abyśmy trutniom podobnemi się stali („Elenchus pism uszczypliwych“ r. 1622), i inne przezwiska, szczególniej *durnia*, bardzo częste w owych pismach, mianowicie w „Lithosie“ Pimina z r. 1644, gdzie n. p. czytamy: „stulże pysk panie mudrohelu (mędrohelem się czynisz, choć oni i o mędrelach często piszą), miły bałako (bałakać), bakuło, saperdo“ i t. d. Obok durnia mamy durzyć,

durnicę i durować: u Kochanowskiego w „Szachach". Fiedor tak mówi; duraka, ale te słowa, to nie pożyczki.

Nieco starszym jest *duży,* pierwotnie silny, później i wielki (jak siła ludzi, wiele ludzi oznacza); przyszło ono i z przysłowiem „serdyt a ne duż" = lecz nie silny; duży chłop znaczył silnego, potem i wielkiego, więc w „Polityce pańskiej" Lipsiusza tłumaczonej przez ks. Szczerbica (r. 1608) czytamy: „lepiej, że będzie duży, niż wielki" (przy wyborze żołnierza). Mimo czteru wieków, jakie co najmniej temu wyrazowi u nas liczą, język piśmienny od niego stroni nieco, chociaż wyraz ten, jak i poprzedni uważamy za rodzimy.

Ruskie *hoży* panienkom się dostało, pełnym ruchu i wdzięku (ale „więcej zgraje niż chłopa hożego", mówi Błażewski), gdyż się „godzą", podobają; pominąwszy *h,* które mogłoby być i czeskiem, *ż* zdradza ruskie pochodzenie, jak i w *przedaż, sprzedaż* i *odzież* — *ż* ruskie, zamiast polskiego *dz* (odziedza); polskiemi były, znane i dziś, przedaj (porównaj przedajny) i odziew (przyodziewek); u Kochanowskiego jest nawet *nadzieżny* koń (wobec nadziei). I to są więc mieszańce, nie pożyczki, w których polskie brzmienie zastąpiono obcem; zamiast nędzny, znędzniały, poeci w XVII w. używają nieraz *nużny* w podobny sposób. *Ochoczy* znowu i *roboczy,* ze względu na swoje *cz* zamiast *c* i późne zjawienie się, rusyzmami się wydają, chociaż mamy we własnym języku przykłady podobnego *cz* zamiast *c* i bez wpływu ruskiego (n. p. dep-

*) Nie wiemy, czy nie zaliczać i *narowu, znarowienia* i t. d. do podobnych pożyczek. Słowo bowiem pojawia się dosyć późno, u pisarzy jak Jagodyński (narowity), M. Błażewski (zwykłym norowem, roznorowiona swawola i t. d., do norowów = ad ingenium), obfitujących w rusyzmy. I dziedziniec, zamiast dziecińca (część wewnętrzna, podwórze zamkowe), od Rusi przybył.

czę zamiast depcę i pod.); Knapiusz obu tych słów jeszcze nie zna, ma tylko ochotny i robotny.

Ramotą nazywamy dziś piśmidło, dawniej ramoty i hramoty pisma oznaczały, *h* odpadło, jak w *ruby* z hruby (gruby), w *rabieży* z hrabieży (grabieży); od rabieży, niby od rabowania, należy *rubieże* (granice, właściwie poręby) odróżniać, które w XVII wieku nieraz mieszano; tu należy i *rubaszny,* od *rubacha,* mieniano się bowiem w nadmiarze poufałości na rubachy (koszule). *Opryszkowie,* dawniej *opryszczkowie* („na Podolu i Pokuciu, między opryszczkami żyjący i przewodnią z niemi trzymający", Sakowicz „Perspektywa" z 1642 i inni), *hultaje* i *szukajły* rozbijali *kolasy* (nie twierdzimy ruskiego początku słowa, lecz jak od nieba mamy niebiosa, tak oczekiwalibyśmy od koła kolosa); stąd ta wielka niepewność dróg, nietylko na Pokuciu i Podolu, ale i na Pobereżu, tak, że przysłowiowo mawiano n. p. Starowolski „Pobudka na zniesienie Tatarów" 1617, „czyż królestwo nasze zawsze będzie jak na pobereżu wszystkim łotrom na szarpaninę wydane?" — narzeczowe *berezye, zberezye,* niegodziwości, z tem w związku pozostają. Słynne były ruskie czarownice, co na ożogu do Kijowa latały, i Chmielnicki się niemi otaczał; więc *wiedma,* później *wiedźma* z ruskiego przezwana, jak i *upiór, upierzyca* (zamiast *upir,* z wampiru zruszczone). Nasyłały one i *kołtuny* (gościec po polsku) z ich dziwacznemi zachciankami, i leczyły od nich zamawianiami, o czem szeroko rozpisuje się dr. Syxt (O Cieplicach we Skle, r. 1617), o tej od trzydziestu kilku lat, najpierw na Pokuciu i przy Bieszczadach, zjawionej chorobie, szerzącej się bardzo szybko ku Wiśle. *Kołtun,* nazwany od kiełtania, kołysania się, jak *kołtki,* zauszniце, o których wyżej mówiliśmy.

W rubasznej mowie znajdziemy i inne rusyzmy,

wykluczone z piśmiennego obiegu, n. p. *morda, portki, hreczka* (gryka), *korcić* i *czupurny,* naczupurzyć się, tutaj należy, czytamy je n. p. u Juniewicza: „Jegomość durny, niegdy czupurny“ i t. d.; w poezyi, u Mickiewicza n. p., trafiamy również na jeden i drugi wyraz, pominąwszy *chołodziec* litewski lub *borowik* (grzyb), n. p. *rozhowory,* podczas gdy u Zimorowica Demian z Panasem *rozgwary* czynili; *wraży* synu i t. p. *Rusałka* acz w końcu z łaciny wyszła (rosalia, uroczystość, jak kolęda) również tu należy.

Znacznie więcej słów takich było w XVIII wieku; czerpali z nich autorowie jak ze skarbca własnego języka (jeszcze w XIX wieku zaliczano nieraz małoruskie do polszczyzny, a XVII wiek między mazurską a ruską, chłopską gwarą, niebardzo rozróżniał); są to słowa charakterystyczne, specyalne, n. p. dla Kozaczyzny, są jednak między niemi i słowa ogólniejszego znaczenia. Z przysłowiami wędrowało niejedno; wspominaliśmy już: *serdyt a ne duż;* łatwo *durować* kiedy przystępuje; podobnie: nie cięży swe *boroczno* (obrok) koniowi, najdzie swadźba *soroczkę* (wesele — koszulkę), *mołczanka* nie *puszy* i in.*). Jedno z najciekawszych, jako rażący przykład dowolności językowej, jest słowo *borys* dla grubego chleba; najbystrzejszy etymolog nie odgadłby nigdy, że pod nazwą tą kryje się imię świętego, Borysa, brata Gleba (w małoruskiej wymowie Hleba, Chleba), synów Włodzimierzowych, męczeników. Skoro imię jednego brata z chlebem utożsamiono, imię drugiego, innemu podlejszemu chlebowi przywłaszczono, czytamy n. p. w kazaniach kieleckich, z początku XVII wieku (Wisła VII., str. 74): „tu

*) Tu należy i przysłowie: wielka *derewnia* (wieś, potem postać, osoba), n. p. wielkąście wy derewnią w tej koronie naszej, mówi Bączalski o panach w „Ochronie koronnej“ z r. 1606.

(na ziemi) chleb czeladny i *borys,* a tam (w niebie) szczera żemła pańska"; podobnie u Knapiusza: chleb gruby jako borys litewski, chleb powszedni i in.; nazwa bułgarska (nie słowiańska) i książęca dla prostego chleba— postęp nie lada!

Powszechnie używano *rochmanny* w znaczeniu ułaskawionego, łagodnego, *urochmanić* oswoić, ułagodzić i t. d., słowo wschodnie, przez małoruskie (rachmanny) przejęte. Również *komunik* dla jazdy (z ludźmi komonnymi, komoników o jednym koniu, komonnikiem bez wozów, komonnie się przebrawszy i t. d.) z ruskiego (komoń = koń) poszło. Nakoniec *czołobitna, czołobitnia* dla oznaczenia kornej prośby, z jaką Rusin przed książęciem czołem bił.

Specyalnymi wyrazami dla kozaków, *semenów* (por. wyżej), *serdeniat* i *dejneków* z zakręconym *seledcem* (kosmykiem) na głowie ogolonej, z *samopałem* na ramieniu, a *wekierą* (pałką) *dereniową* za pasem, którym po *kurzeniach (sadybach)* na *kobzach* i *bandorach* Chmielnickiego *dumę* (pieśń) przygrywano, a *horelicą* głowy zalewano, nie myślimy czytelnika trudzić; należałaby tu i ulubiona ich gra w karty *(semodynacet),* i rozmaite przezwiska, *bledyniec* i t. p. Jeśli n. p. u Twardowskiego w czwartym „punkcie" Władysława (z r. 1646) Polacy się Szwedom odgrażają:

> Cóż, morskich tych *szewluhów* śmierdzących śledziami
> Nie mieliby za morze zasiec *nahejkami?*

to autor użył ruskiego słowa dla szkapy, jak n. p. Okolski w dyaryuszu, gdy przyznaje Kozakom, iż u nich na starszyznę „nielada *szelucha* się obiera, albo nielada *chirawca* (słabeusza) między sobą obierają". Słów takich u Okolskiego i innych dosyć, n. p. *komesz* trzcina (wprzód

komeszyną jawnie skarano — Filoneńkę po straconej sprawie, stąd zwrot: *w komesz*, t. j. precz, na bok); *wereszka* (dla strzały, przytępionej czy odłamanej, ogólnie znane) i inne.

Tylko o jednym jeszcze wyrazie wspomnimy, częstym po pamiętnikach XVII wieku, niezrozumiałym nieraz dla nowszych wydawców — *szysz,* co nie „strzałę", lecz (ze wschodnich języków poszedłszy) wolontaryusza, „franctireura" oznacza, n. p. w dyaryuszu wojny r. 1633 czytamy: „nasi pachołkowie wojskowi giną partim od szyszów, partim od czat nieprzyjacielskich"; Maskiewicz pisze: „napadli na nas szyszowie"; najobszerniej Lubieniecki (str. 181): „szyszowie zaś, zbójcy moskiewscy, których się było wiele naczyniło z tych, którym ona wojna majętności, żony i dziatki odjęła, ci mieli zimę onę (1612) po sobie i tak na nartach, albo *jak tam zowią na łyżach biegając* po kilkuset w kupie z łukami, rusznicami i *berdyszami,* naszych w ciągnieniu nabiegali i siła im szkodzili na zdrowiu, na koniach i inszych majętnościach". Podobnych wyrazów specyalnych, o broni, stroju i t. d. ruskim, moglibyśmy jeszcze sporą liczbę z owych wieków przytoczyć; może tu należą właśnie wspomniane *łyże (łyżwy)* i inne.

XI.

Ostatniej epoki w dziejach oświaty naszej i naszych słów obcych, doby od 1750 r. do 1900, tu już nie włączamy.

Gdy po wiekowym zastoju umysłowość i obyczajowość do zachodu, do jego życia i trybu, światła i wiedzy, myśli i mody na nowo się zwróciła, ani olbrzymia niegdyś przewaga łaciny, ani dawny polor włoski w nich

już nie przewodziły. Ton i etykieta dworu wersalskiego, mody paryskie, filozofia encyklopedystów, literatura pseudoklasyczna stały na świeczniku; ku nim zwracało się i w Polsce wszystko, co do nowej ogłady się rwało, co z wiekowym sarmatyzmem zrywało. I zapanowała gładka, wymuskana francuszczyzna ogólniej, wyłączniej jeszcze, aniżeli niegdyś łacina i włoszczyzna: strój i meble francuskie i francuskie książki i nuty, ogród, kuchnia i służba, zabawa i karty, konwersacya i maniery rugowały wszystko, co staropolskie, z zamków i dworów, z salonów i gabinetów, z tualety i reduty. I znowu odbił się w języku ten przewrót. Lecz cóż nam po tem, po krawcach i modystkach, po fryzyerach i perfumiarzach, po restauracyach i magazynach, u stolika zielonego i na polu wyścigowem, którego terminy angielskie na Francyę wędrowały, na giełdzie i po bankach, gdzie dawne włoskie wyrazy (lombardy, bankrut i t. d.) francuziały, w nauce i literaturze, zbierać wpływy francuskie, wyrażone słowami? Niema tu już żadnych zagadek ani trudności; są co najwyżej jakieś nieporozumienia czasami, n. p. „liliowy“ kolor chociaż nie biały, lecz bzowy = lilas; bransoleta, bagnet i in.; są wyjątkowo jakieś samoistniejsze nieco porywy, n. p. spry, sprytny z esprit, filuterny z rzadkim przyrostkiem; zresztą wszystko jasne, widoczne, powszechnie znane. Z przesadnej galomanii, wyszydzanej już w XVIII stuleciu, otrząśliśmy się nieco później.

Olbrzymi rozwój naukowy i techniczny zalał w tym samym okresie, a szczególniej w ostatnich latach, język nowotworami, czasem zupełnie sztucznymi, dowolnymi (jak n. p. słowo gaz, wymyślone), najczęściej zaś greckimi (złożonymi), rzadziej łacińskimi (motor i t. p.). W stuleciu chemii i mechaniki obejść się bez nich

niepodobna; zastępować je gwałtem nowoukutymi dziwolągami wydaje nam się nie zawsze trafne — lecz wyliczać je tu, albo zastanawiać się nad niemi, znowu niema najmniejszej potrzeby. Każdy je rozezna i zrozumie, a purysta zaledwie na czas zdąży, aby terminy obce coraz nowych odkryć, wynalazków i sportów domorosłymi zamieniał, aby za Edisonem i Szczepanikiem, za Pasteurem i Kochem niezbyt w tyle zostawał.

Przedstawiliśmy, jak obce wpływy w ciągu wieków kulturę polską zasilały, o ile w archiwach języka samego te wpływy widocznieją; zaniedbaliśmy przytem objawy i okazy drobne, n. p. parę słów szwedzkich (nieraz przez Ruś do nas wędrujących), hebrajskich (dziwnie nielicznych, wobec ilości i dawności Żydów w kraju; lecz wobec odosobnionych i żyjących przez całe wieki zupełnie odrębnem życiem, trudno się było czego innego spodziewać) i innych. Nasuwa nam się jeszcze kilka uwag co do rzekomej przewagi obcych żywiołów, wyrazów „pożyczonych“ w języku polskim. Co o niej sądzić należy?

Przewaga ta, którą niby profesor paryski (L. Léger) stwierdził, a czem się p. Wł. Mickiewicz tak zgorszył, jest tylko pozorna. Należy przedewszystkiem uwzględnić, że wobec wiekowej kultury polskiej i różnorakich jej dopływów, fale słów obcych nadpływały i odpływały stale, że n. p. wyrazy włoskie, węgierskie lub tureckie miały nader ograniczony czas trwania; nie znał ich wiek XV zupełnie, a XVIII tak dalece o nich znowu zapomniał, że należało wyrazy te objaśniać, jeżeli czytelnicy starych pism rozumieć je mieli. Słów tych wszystkich razem równocześnie w języku wcale nie było; nawarstwiały się raczej stopniowo; nowa doba, nowe życie, uprzątały je, tylko w literaturze współczesnej zostawał ich osad. Któryż Polak przyznałby się dziś do *katany* lub *sabata?* On ich

przecież nie rozumie, trzeba mu powiedzieć, że są to słowa węgierskie i wytłumaczyć mu, co znaczą i jak się do języka polskiego dostały. Czas je przywiał, czas je odwiał i dowodzą one, nie ubóstwa języka polskiego, lecz bogactwa i dawności literatury, która je zapisała i tem tylko od zupełnej niepamięci ochroniła, dalej bogactwa wpływów ościennych, jakie potężne państwo bez drobnostkowych obaw o zachowanie samobytności wchłaniało i przetrawiało. Otóż bardzo znaczna część obcych słów polskich należy do tej właśnie kategoryi, do takich *przelotnych* pożyczek; one charakteryzują pewną dobę języka, pewną gałęź życia narodowego w danej chwili, lecz nie stanowią samego języka, samego życia.

Innej części słów „obcych“, wcale do „obcych“, do „pożyczek“ odnosić nie wolno. *Hańba* przypomina słowo czeskie, a *sprzedaż* ruskie: mimo to słów tych Polak ani od Czecha, ani od Rusina nie pożyczał nigdy. Miał swoje własne, prastare słowa *gańbę* i *sprzedaj,* ale, ocierając się o Czechów i Rusinów, rozmiłowawszy się w czeszczyźnie a wsłuchawszy w ruszczyznę, może zastąpił własne *g* czeskim *h,* a własne *j* ruskiem *ż,* przyczem postępował tak dowolnie, że w *sprzedaży* pierwszą połowę słowa zostawił polską (nie przyjął ruskiego *pro*) i tylko w drugiej ustępstwo uczynił. Ktoby więc podobne słowa „obcemi, zapożyczonemi“ przezwał, wykazałby tylko nieoględność albo stronniczość swego sądu; są to słowa polskie, zabarwione tylko z obca pod wpływem ościennych, pobratymczych narodów; są to pożyczki *mniemane, rzekome.*

Wskażmyż jeszcze dwie fazy w rozwoju języka, piśmiennego szczególniej, starszą i nowszą, obie tem samem dążeniem nacechowane. W przełomie od wieku średniego do nowego, około r. 1500, zarzucił język szereg

dawnych słowiańskich wyrazów, albo usunął je do narzeczy, albo zapomniał o nich zupełnie; tak utraciliśmy n. p. nazwy stopni pokrewieństwa: dziewierza i szurzę, zołwicę i jątrewkę, nieściorę i czędo; słowa jak gospodzin i skomroch (kuglarz), trzem (pałac) i szłom (hełm), wrzemię (czas) i gorze (bieda), stredź (miód) i wełnę (falę), gozd (gaj) i źrzeb (los); przymiotniki, jak golemy (wielki) i urępny (piękny); czasowniki, jak lelejać (kołysać), bakać (hałasować), kiełzać (ślizgać) i t. d. Pod wpływem piśmiennego języka, te jędrne i barwne wyrazy wyszły z obiegu, zastąpiono je mniej wyrazistymi, bledszymi, ogólniejszymi; język zyskał na przejrzystości, ale stracił na dosadności, malowniczości i różnolitości.

Coś podobnego w jeszcze znaczniejszych rozmiarach powtórzyło się w polszczyźnie czasów Stanisławowskich. Cały szereg „staropolskich“ słów, własnych i obcych, wychodzi wtedy również z obiegu; wystarczy porównać język satyr Naruszewicza lub Piotrowskiego, z językiem satyr Krasickiego, aby przekonać się, o jakie straty wyłączna dbałość o gładkie, potoczyste, wytworne, salonowe wyrażenia język przyprawiła; w tem usuwaniu szorstkich może, chropawych nieraz, zato silnych i malowniczych zwrotów i słów, późniejsza proza z wielką szkodą języka postępowała stale, wygładzała go i polerowała niemiłosiernie, aby powtórzyć wzór francuski, bezbarwny, spokojny, chłodny, ale wymuskany, salonowy, „comme il faut“. Tory te zarzucił dopiero romantyzm; jemu zawdzięczamy, najpierw w poezyi, za którą o wiele później i proza podążyła, odświeżenie słownictwa i stylu.

W całym przebiegu tego studyum uwzględnialiśmy wyłącznie język piśmienny, a pomijaliśmy *gwary ludowe*, co w pasach pogranicznych, wystawione na o wiele silniejsze wpływy ościenne, obcemi słowami i zwrotami cał-

kiem inaczej przesiąkły, niżeli gwary środkowe. Tak n. p. gwary kaszubskie, pruskie i śląskie rażą germanizmami, w śląskich i czechizmy spotykamy, w górskich słowackie i węgierskie słowa, w gwarze lubelskiej ruskie, w augustowskiej litewskie; słów tych jednak nie używa i nie zna ani ogół, ani język piśmienny, mają znaczenie dla okolicy, nie mają znaczenia dla języka, chociaż się ich nieraz„ szczególniej w poufałej lub żartobliwej mowie na szerokich obszarach używa; wyliczanie ich należy do słowniczków gwarowych; spostrzeżeń i wywodów ogólnych nie zmieniają. Należy tylko zaznaczyć, dla uwidocznienia stałej dowolności językowej, że niema prawie zakątku polskiego, gdzieby nie przetrwał jakiś wyraz rodzimy zamiast germanizmów innych zakątków — najlepszy dowód, jak zbędne, „nieorganiczne“ są te germanizmy; wszelkie n. p. części wozu chłopskiego, kół itd., jedna okolica bez najmniejszej potrzeby niemieckiemi, lecz druga zawsze jeszcze polskiemi przezywa słowami!

Uzupełnienia.

W marcu 1917 rozesłała Akademia „Zasady pisowni polskiej“ „wszystkim powołanym czynnikom i oczekuje, że otrzyma od nich niebawem odpowiedź, czy Zasady w całości przyjmują czy nie“; ponieważ i mnie te Zasady przesłano, więc parę słów o nich na zakończenie książki nie zawadzi.

Dawniejsze uchwały Akademii co do pisowni (z r. 1891) trzymały się jedynej zasady, podolskiej: naj bude jak buwało; dzisiejsze godzą „tradycyę z postępem“, t. zn. nie trzymają się żadnej zasady i zamiast ustalania pisowni, rozszerzają jej dowolność, bo kreślą jedną ręką „przepis“ a drugą go obalają, nie uważając przeciwnej pisowni „za błąd“; dalej wikłają się w ciągłych sprzecznościach. Różnica między obiema uchwałami jest ta: dawniejsza była zła, ale miała za sobą choć tradycyę; dzisiejsza jest również zła, zato niema tradycyi za sobą. Żeby mnie nie posądzono o przesadę, przytoczę kilka próbek nowej pisowni.

Poleca się więc pisać „Austrja“, ale urobione od tej „Austrji“ słowo pisz „Austryjak, austryjacki“! trudnoż nie przyznać, że pisownia r. 1891 „Austrya, Austryak,

austryacki“ była lepsza, bo przynajmniej jednostajna. I tak na każdym kroku: polecają pisać „fijołek“, ale „fiolety“, więc w r. 1891 stanowczo lepiej sobie poczynano. Z różnych sprzeczności w r. 1917 nie zdołano się wywikłać i machnąwszy ręką na nie, orzeczono: „wahania, jak *triumf* obok *tryjumf* są nieuniknione i dopuszczalne“— ależ właśnie od tego są zasady i uchwały, aby wahań unikać i nie dopuszczać, boć chodzi tylko o ustalenie prawopisu, nie o rozgrzeszanie krzywopisu.

Na str. 4 „przyjęto zasadę — pisać *z tym moim dzieckiem,* zaś w liczbie mnogiej *temi dobremi panami*“; na str. 12. każą pisać: *dobrym dzieckiem, dobrymi panami*“. Więc któraż uchwała obowiązuje?

Na str. 13. każą pisać w wyrazach obcego pochodzenia *ge, ke, agent, kefir,* ale na str. 12 każą pisać *pakiet, pakier,* jakby to były wyrazy polskie — gdy należy je raczej pisać *paker, paket,* już dla tego, aby ich obce pochodzenie nas w oczy ćwikało i od używania ich oduczało. Co zaś Litwini „Giedymin“ i „Jagiełło“ zawinili, żeby ich nie pisać tak, jak się należy, t. j. Gedymin, Jageło, niewiadomo. Każą pisać *giemza,* tylko nie wiem, od kiedyto *giemzę* jako wyraz swojski odczuwamy, i co z nią ma *giez* do czynienia, więc pisz *gemzę,* jak *kelner* i t. d.

„W imiesłowach zatrzymać *ł,* pisać *zjadłszy*“; ta zasada grzeszy przeciw pierwszej zasadzie każdego prawopisu: nie sadzić znaków niepotrzebnych! U nas w wieku szesnastym pisano te nieszczęśliwe imiesłowy i tak: wylazłszy i wylawszy, odgryzłwszy i odgrywszy — jedyna poprawna pisownia jest *wylazszy, odgryzszy, zjadszy,* każda inna polega tylko na naszem narodowem widzimisię i żadna, choćby najdawniejsza tradycya nic w tem nie odmieni.

„Przymiotniki *bliski, męski, niski,* pisać przez *s*“ — jawny błąd; tylko *męski* (przyrostek *-ski*) pisz przez *s; nizki, blizki* (przyrostek *-ki*) tak nie pisz., lecz wedle ogólnej zasady, podstawowej całego naszego prawopisu, pisz: *blizki, nizki, ślizki, wązki, grzązki; wąski* i t. d. jest krzywopisem.

„Pisz *Gallowie,* ale *iluzja, ilustracja*“!

„Pisz *Konsul,* ale *cenzor; uniwersytet, intensywny,* ale *ofenzywa, defenzywa*“!

„Dopuścić postać *dwóch* obok *dwu*“ — dobrze, ależ pisz ją poprawnie: *dwuch,* nie: *dwóch!*

„Dzielenie wyrazów odbywa się wedle poczucia etymologicznego lub fonetycznego“: i to do bajek należy; dziel: *bo-ski, mę-ski, ma-tka,* żebyś się nie wahał, jak dzielić n. p.: *Francu-zka,* boć dzielenie ani z etymologią ani z fonetyką nic niema do czynienia; jest rzeczą mechaniczną, liczy się tylko z miejscem i z brakiem tegoż; najmądrzej dzielono też w średniowieczu: *ś-wiat,* jeżeli tak właśnie wypadało dla zapełnienia rządku.

„Przyimek *z* (przed czasownikiem należy) pisać zawsze wedle wymowy, *z* lub *s*“ i sprzeciwiać się zatem najogólniejszej naszego prawopisu zasadzie; wedle niej należy ten przyimek, nietylko przed czasownikiem, ale wszędzie pisać przez *z: z pola* jak *zpaść, zkraść, zkąd* jak *z kąta, zkończyć* i t. d.

Te próbki wystarczą na dowód, że jedyną zasadą prawopisu Akademii w r. 1917 jest brak wszelkiej zasady; że rozmija się właśnie z zadaniem każdego prawopisu, ustala chwiejność i sprzeczność tylko. Wobec zmiany jednak, jaka w pisowni Akademii zaszła, cofam i ja własne wywody: zgadzałem się przecież powyżej i na świadomie złą pisownię tylko dlatego, aby jej jednolitość uzyskać; dziś kiedy Akademia sama od własnej pisowni odstąpiła,

i ja nie mam przyczyny więcej bronić dawnej złej pisowni, a jeszcze mniej przyczyny, zgadzać się na nową złą — z jednym wyjątkiem, t. j. gdyby wszyscy na tę złą pisownię się zgodzili, bo nigdy i nigdzie liberum veto nie uznaję.

Korzystam ze sposobności, aby dodać kilka szczegółów do rozdziałów poprzednich.

Powiedziano, że Towarzystwo Przyjaciół Języka Polskiego nie miałoby nic do czynienia; otóż na pierwszem jego posiedzieniu przedstawiłbym taką n. p. sprawę. Wyszła świeżo (1917) w Warszawie książka naukowa, dzieło obszerne, wydane wprost wspaniale, pod dozorem kilku panów z największą starannością, bez błędów. Czytając je z prawdziwem namaszczeniem utknąłem jednak rychło na rzeczach, co chyba z Towarzystwa Nieprzyjaciół Języka Polskiego wyszły. Piszą n. p. autorowie stale *przeaczać* — godne stanąć obok *zaspakajać, zadawalać, uwidaczniać.* Znalazłem dalej *obci,* t. j. pierwszy przypadek liczby mnogiej, godny stanąć obok *nasi, starsi, insi* i t. d., postaci których lud nie zna, i słusznie, bo to wlazy nie prawowite (lud mówi *inszy panowie* albo i *jenszy panowie,* ale nie *insi* i mybyśmy mogli tę postać na śmietnik językowy odrzucić), a z czasem dojdziemy chyba i do *wielci* panowie, *mnodzi?* bo tylko te odpowiadałyby dokładnie owym *nasi* i t. d. Znalazłem dalej *harta* zamiast *charta, pasożytów* zamiast *pasorzytów, probież* zamiast *probierza,* o *mrzonkach* i t. d. ani wspominając. Otóż i od tego byłoby Towarzystwo Miłośników Języka Polskiego, żeby takie wilki i narośle tępiło, bo nietępione rozrastają się stale. Gdyby u nas dawniej o język kto dbał, nie mielibyśmy dziś kłopotów prawopisowych. Pisaliż dawni ludzie dobrze n. p. *persuasia,* dopiero później zamazano je kwaczem polskim, jak n. p. i w *giemzie* i t. p.

Jak bez podobnego Towarzystwa wyrazy polskie ginęły, jak je chwast obcy przytłumiał, unaocznia (nie unaacznia) słowniczek z końca XV wieku, zapisujący jeszcze stale obok Niemca Polaka, skazanego na śmierć przez naszą niedbałość, więc czytamy tam: *zawora* albo *rygiel, ruszt* albo *siatka, szykować* albo *rządzić, sadło* albo *szmalc, solnica* albo *salsierka, pączek* (słowo rodzime, nie niemieckie!) albo *ornaf* albo *begel, blaskaty* albo *szyl* (zezowaty), *panew* albo *brytjanna, kamień* albo *cętnar* albo *funt, ferska* albo *brzeskinia* (brzoskwinia), *dyszla* albo *oje* albo *ciągadło (oje* śląskie, *ciągło* kaszubskie dziś jeszcze), *cyb* albo *zatoczka* albo *zwój, szkudła* albo *dranica, podszycie* albo *futro, przymierze* albo *glejt, gzło* albo *koszula, kara* albo *jednokole, jata* albo *buda, kiella* albo *korzkiew* (kielnia dziś), *kłódka* albo *zamek, kołdra* albo *opona, płachta* albo *łoktusza, śpiegierz* (dziś szpieg) albo *łazęka, stępa* albo *mozdzierz* i t. d.

Wobec przesądu o „organicznym“ rozwoju języka, nie znoszącego niby dowolności, przypadku i t. d., nie wadzi zwracać uwagi na dowolności wszelakie; n. p. mamy *taniec, szaniec* (dawniej tylko szańc); ale *glanc* (nie glaniec) zawsze takim pozostał. Z privilegium zrobiliśmy *przywilej,* ale innych łacinników na *-egium* (collegium), *-ogium* (horologium) nie tknęliśmy, Czesi mają choć kolej, orloj i i.; mamy *testament, instrument* z *instrumentum* i t. d., ale *wotum* zamiast poprawnego *wot* i t. d. Już ten Francuz, co pierwszy w r. 1568 gramatykę polską dla cudzoziemców (dla rodaków nie istniała, chociaż im właśnie potrzebniejsza była) napisał, dziwił się niejednemu, dlaczego n. p. nauczycielka, ale przyjaciółka zamiast jedynie poprawnego przyjacielka (Francuz nie domyślił się, że to u nas poplótł drugi spadek liczby

mnogiej, przyjaciół, co nawet niesłychaną dawniej odmianę przyjaciółmi, przyjaciołom, zamiast jedynie poprawnej przyjacielom, przyjacielami i t. d. wywołał). A skoro o tym Francuzie i jego gramatyce polskiej mówię, nie zawadzi wspomnieć, że on zawsze każe pisać -ymi, białymi końmi, białymi farbami, jasnymi zwierciadły, twardymi wędzidły, złymi drogami (pisze jednak i z białemi głowami i każe *samemi* pisać); zawsze tylko: potym, przedtym; pisze: pomóc, ale strzydz i strzedz; już u niego są i *urzęda*, drugi spadek: *radł, siodł*. Dobrzy towarzysze źle go nieraz, czasem umyślnie obuczali, n. p. uczyli go odmieniać: jastrząb, jastrząba; chcąc go oczywiście w Babinie pasować na polskiego słownikarza, wmówili weń, że do dziewica jest i dziewic = chłopiec! i biedny Francuz im uwierzył.

BIBLIOTEKA Państwowej Wyższej Szkoły Pedagogicznej W KRAKOWIE

Z KSIĘGOZBIORU

Spis wyrazów objaśnionych.

	Str.
Administracya	33
afekt	19
agrest	172
aksamit	82
akwarela	78
alamodny	229
album	115
alkierz	183
ambicya	17
amplifikacya	228
androny	228
angieł	165
ankieta	21, 29
annały	83
anonse	33
anslagi	197
antał	242
antykwarnia	50
araka	218
ardziakon	165
arkusz	50
asenterować	31
atak	83
atrament	50, 225
aras	78
Azya	59, 60, 78
Bachmistrz	191
baciarz	242
bakać	265
bajronowski	82
bakałarz	225
balet	229
balon	29
balsam	83
bałwochwalca	99
barta	238
barwa	25, 171
basałygi	246
bat	230
bawełna	155
bazar	246
beczka	171
beigwant	188
belta	240
bez	154
bękart	198
berło	25
besztać	241
biały	126, 127
bibuła	21, 30
bieda	226
biodro	109
biórko	87
birbant	231
bitunk	188
bizun	241
bladnąc	140, 141
bludo	159
błahy	87, 88
bława	171
błękitny	171

	Str.
bochenek	107
bodziec	70
bojarzyn	216
bombiza	224
borowik	259
botuch	193
boty	193
braha	218
bratowa	118
breklesty	191
bronz	71
bruk	31, 182
brwi	111, 112
bryndza	244
brzoskwinia	172
budowla	35
budowniczy	35
budulec	64
budy	172
buzdygan	246
bug	158
buhaj	246
buk	160
bukształty	191
buła	174
bunda	244
buńczuk	246
burderze	205
burdynk	189
burka	246
butersznyt	21, 26, 27
buty	64
buzować	233
brewerya	232
byronowski	82
Cal	192
całun	250
ceklarz	48, 182
cenzura	83
cepliki	195
celbrat	17
cele	35
cerkiew	164
chabina (habina)	88
chaja (haja)	88
chałupować	205
chążba	200
chardy (hardy)	88
chełzać	90
chełztać	90
chory (hory)	88
chichotać	89
chleb	160
chlebojedźcy	206
chmiel	157
chwila	174
chram	44, 48
chrześcian	110
chrześcianin	110
chrzest	90
chrztem	165
chychotać	89
chyz	159
chyży	159, 88
chrzyżmo (krzyżmo)	90, 91
cichostęp	13, 24, 46
ciemierzyca	158
ciżmy	240
cmyntarz	115, 165
cofać	197
cog	184
cyfra	108
cykata	11
cymbulec	195
cyna	191
cynar	195
cywil	26
czaban	244
czambuł	246
czamlety	191
czaprak	247
czasopismo	43
czekman	247
czekolada	86
czerak	100
czeredy	25
czeremcha	25
czerep	25
czereśnia	25
czesać	127
częstowanie (czestowanie)	92
czołobitny	260
czrześnie (trześnie)	172
czupurny	259

Str.

czyrak 100
ćma 109
ćwiek (ćwiok) 127

Dach 19
dalekowidz 42
dank 25
decyzya 78
deki 205
depczę (depcę) 122
derka 171
deszczochron 13, 24, 27, 46
diaboliczny 99
diabolski 99
djaboł 165
dnie 138
dobosz 241
dobrym (dobrem) 121
dobytek 159
dołman 240
drabarz 189
drabować 189
druh (druch) 88
drut 135, 136
drzymać (drzemać) 90
duma 158, 260
dureń 256
dusza 111
duży 257
dyngus 196
dyszel 190
dyszla 20, 31, 32
dywizya 78
działy 243
dziać się 124
dzianet 230
dzięki 25, 71, 174
dziecki 216
dziełaciel 254
dziennik 43
dziewanna 84
dziewierz 198, 265
dzionek 108
dżokej 79
dżuma 250

Egzaltacya 82
egzamin 81

Str.

egzekucya 82
egzekwie 82
egzemplarz 81
egzystować 82
egzycerować 31
egzystencya 82
ewangelia 79

Fal (fala) 197
fałsz 197
farba 25
fasol 225
fatyga 17, 32
fauniczny 99
faunowy 99
feblik 18
fendle 189
fendrych 189
feruła 25
ferula 154
filiżanka 250
fiszka 197
flota 230
fołdrować 184
formsznejder 190
forteca 230
forwark 183
forytować 198
fotel 21, 30
foza 231, 247
frajda 18
Franciszkan 110
Franciszkanin 110
frasować 197
fraszka 231
frenzle 71
fryc 192
fryjer 195
fryjor 192
fryszt 184
frywołty 195
fujarka 243, 244

Gaj 155
gajdy 251
ganek 106
gamraci 195
garbarz 190

Str.

garncarz 199
gas 17
gaz 262
gbit 21, 184
gbur 21
gderać 100
gdule 172
generał 80
geneza 79
geniusz 79
geografia 79
gest 79
giełda 79
giermek 241
gilza 26
gimnazista 99
gimnazyasta 99
gimnazyalista 99
gimnazyum 115, 116
gleba 226
gmerać 100
gnarować 193
godło 107
golemy 265
gomółka 87
gomułka 87
gontyna 44
gorętsi 103
gorze 265
gozd 265
grododzierżcy 206
grzech 166
grzywna 49
gunia 174
gwar 184
gwesić się 21
gwiazda 126

Hajduk 239
hale 243
hałastra (chałastra) 88
hamulec 197
hańba 264
haracz (characz) 88
harakter 87
harami 249
haramza 249
harap 200

Str.

harce 189
harmider (charmider) 88
harnasz 189
harować 200
hasło 107
hawerze 189
Hazarowie (Chozarowie) . . . 88
hejnał (hajnał) 241
hejtman 188
heksametr 81
hełm 154
herb 170
herbowa szlachta 20, 21
hercownicy 189
hetman 26, 188
hersztować 189
herubim 88
hinszty 189
histeryczny (histeryjny) . . . 100
hodowla (chodowla) 88
hołdy 35
honor 19, 32, 36
hór 87
horze 189
hoży 88, 257
hrabina 116
hreczka 259
huckop 188
hufce 35
hugowy 83
hujdać (huśtać) 88
humanizm 78
humowy 83
hurgot (churkot) 88
hurmą 244
huzar (chuzar) 88, 89
hymn 90
hys 192

Idea 117
Igołomia 46
imbryk 250
improwizacya 78
ingrycht 191
inserat 33
intendant 85
introligator 50
irzcha 190

	Str.
istby	159
izba	109
Jagiełło	84
jałmużna	165
japończa	218
jarmułka	217
jasyr	246
jedwab	170
jeniec (jęć)	93
jeździec	70
jeźli (jeśli)	94
jutrzyna	51
jużynować	194
Kacerz	198
kaczka	173
kadź	171
kaftan	247
kajdany	246
kalafonia (kolofonia)	91
kałamarz	21, 27, 30
kamcha	217
kanapka	26
kańczug (kańczuk)	246
kapa	174
kapelusik	, 103
kapelusz	234
kapitalny	36
kapłon (kapłun)	86, 87
kaptur	226
karafioł (kalafior)	91
karery	230
karnawał	231
karwany	190
kary	190
kasa	78
kaszleć, (kaszlać)	90
katana	240
kawalkator	230
kawał	197
kawior (kawiar)	91
kefir	79
kegle	195
kelner	79
kibić	247
kiel	79
kielich	79
kielnia	32, 79
kiełzać	265
kiemlarz	184
kierlesz	168
kieroty	197
kierunki	35
kij (kyj)	89
kilim	247
kir	247
kitajka	217
kiwiory	217
klasa	78
klasyk	78
kleryk	165
klęska	109
klofta	192
klomb	71
kluski	64
kłobuk (kołpak)	154
kmieciowie	170
kmota	165
knap	190
kniazie (księdzy)	158
knucia (knowania)	90
koczować	246
kolęda	71
koltki	218
kołczan	247
kołtun	258
komenderować	31
komesz	260
kompletny	36
kompliment	85
komunik	260
konew	171
konopie	157
konszachty	197
kontusz	240
konwisarz	191
koperta	21, 30
korab	177
korczpergały	205
kord	217
kordeł	230
korekta	78
korespondentka	48
korkociąg	13, 46
korytarz (kurytarz)	86

	Str.
kościół	164
koszary	244
kosztuje	20
koszula	174
kozubales	225
kot	173
kotara	250
koteryjny	100
kotezy	239
kotły	159
kozieł	108
kraniec	193
kraszczy	210
kredens	234
kręgosłup	46
krepować	189
kreptuch	189
kres	189
kresy	35
krewki (krechki)	93
krobia	171
król	170
królestwo	66
królewski	67
królik	173
krupy	174
krzywoprzysięsca	69
krzyż	165
ksiądz	164
kształt	198
kubeł	171
kubki	171
kuchnia	171
kucmerki	194
kuczmy	217
kukły	173
kulbaka	247
kulczyba	218, 251
kupcy	159
kurtyna (kortyna)	86
kuśnirz	190
kutloł	193
kutrygały	205
kwarc	86
kweres	228
Lać	124
ladrować	189
ląd	71
legierz	189
legenda	79
lejce	190
leki	159
lektwarz	116
lelejać	265
lenistwo	67
leniuszek	30
lesz	191
liker	79
likwor	225
listonosz	27, 46, 47
listopad	27
listówka	48
litra	108
liturgijny (liturgiczny)	100
lokat	225
lon (len)	108
lonarz	, 183
lony	190
los	20, 32, 197
lubszczyk	172
lucyper	96
ludwisarz	64
ludzki	69
lufy	188
lusznie	190
luźny	64
Łan	175, 226
łancugi (łańcuchy)	190
łanwy	190
łapki	188
łatra	192
ławka	108
łebski	96
łuna	17
łupiezca	66
łut	64
łyże	261
łyżwy	108
łzykwiat	176
Magiel	79
magierka	240
majestatyczny	36
majster	25

	Str.
małżona	167
maniera	231
mantyk	224
marazm	78
marcha	189
marnotrawstwo	67
marmur	64
marszałek	189
masa	78
masarz	18
masaż	83
maska	108
maszerować	31
maszkary	231
masztalerz	189
męczennik (męczenik)	84
mędel	192
męglować	193
mełł	83
mendykować	224
mężczyzna	66
miarkować	35
miasto	25, 182
miecz	158
między (miedzy)	93
mięsarz	18
miesięcznik	43
mikroskopowy	99
miksztat	183
mila	192
misa	171
mistrz	25
mizdrzyć się (miździć się)	86
młyn	174
mnih	87
mobilizacya	78
moc	69
móc, módz	69
modlitewnik (modlitwnik)	106
moję	119
molderz	184
morsprzęgi	195
moździerz	189
mrówczarz	27
mrzonka (mżonka)	70
msza	109
mularz	184
multanka	244
museum	115, 116
musić, musieć	124, 197
muszkuł (muskuł)	98
musztułuk	248
muzyka	78
mydło	107
myślić (myśleć)	124
myślistwo (myśliwstwo)	67
Nader	214
nadragi	240
nadwerężyć (nadwereżyć)	93
nadwyrężyć	256
nahajka	246
najezdca	69
nasiłki	217
nasi	103
nastojcie	214
nasuwień	43
natręctwo	93
nawet	215
nieborak	24
nienawidzieć	124
niestety	214
niezbytny	94
nucić	64
nuta	64
Obces	227
obszar	156
obówie (obuw)	86
obywatel	211
obywatelski	23
ocel	191
ochoczy	257
odwach	31
odzież	257
ogół (ogul)	64, 86
ohyda	88
ojcostwo	67
ojcowizna	23
ojcowski	67
ojczyzna	23
oje	20
okonia (okunia)	86
okulary	50, 51
olej	170
ołówek	30

	Str.
opozycya	78, 85
orda	246
ordynk	188
orędzie	174
orsząk	239
osieł (osioł)	108
osiwiali (oświeli)	126
oszołomiony	256
owoc	160
Pajęcznik	176
pajucy	249
pałac	229
pałuby	217
pankuchy	194
papież	165
parasol	26, 27
parostatek	24, 27
partek	224
partes	225
pasmo	107
patent	29
patria	23
patryotyczny	23
paznogieć	96
pełł	83
penzel (pęzel, pędzel)	71
pergamin (pargamin)	96
perła	108
pieczęć	93
piekarnia	139
pielęgnować	71, 92
pielęgować	197
pieniądze	158
pieprz	170
pierła	170
pierogi (pirogi)	100
pies	108
piguły	225
pigwy	172
piły	159
piosnka	110
pisarzów (pisarzy)	135, 139
pkieł	166
plachy	188
plenny	84
pługawstwo	67
płatnarz	189

	Str.
płonny (płony)	84
pochwa	107
pociąg	43
poczta (poszta)	94, 233
pocztowiec	48
podpądający	24
poganin (pogan)	110
pogany	168
pójść	97
pokój	25, 51, 212
pokryciec	210
polerować	31
polszczyzna (polszczyzna)	97
połoniny	243
pomoc	69
ponieważ	213
ponsowy	71
pop	164
pospiech (pośpiech)	97
poszlę (poślę)	94
pożyczka	33
praskury	217
prawiędny	109
prawodawstwo	67
prowincyalny	99
próba	64
przedsiębiorca	135
przekleństwo (-ęctwo)	93
przysiołek	107
przyśli	94
puchacz (puhacz)	88
puhar (puchar)	88
pulares	38
puńczocha	193
puszki	17, 20, 171
Rachować	197
rachunek	35, 106
radca	67, 69
radzić	174
rakosz	239
ramota	258
rańtuch	195
rata	197
ratunek	106
raz	102
recenzent	83
regent	80

	Str.
regestr	80
rejent	80
rejwajny	190
rękopism (o)	43
reparować	85
reszt	197
reumatyczny (reumatowy)	99
roboczy	257
rochmanny	260
rohatyny	205
rostuszar	186
rotgisarz	190
rousseauwy	83
rozbroić (rozebroić)	130
rozgrzeszyć (rozrzeszyć)	92
rozkosz	110, 111, 112
rozpostrzeć	69
roztrzeć (rozetrzeć)	130
rozumię	71
róża	64
rubaszny	258
rubieże	258
ruby	258
rucznica	205
ruła	192
rum	189
rumaki	246
rumatyczny	78
rumianek	11, 20, 172
rura	64
rusałka	259
rybołówstwo	67
rystunek	188
rzeciędze	190
rzeczpospolita	46
rzetelny	213
rzodkiew	90
rżać (rżeć)	91
Sabaci	240
sajan	234
sajdak	247
saksoński	30
Sapieha	87
sataniczny (satanowy)	99
satyrowy	99
schadzka	70
schillerowski	82
scyzoryk	21, 30
sędzi, sędziu (w)	140
sekretarz	22
seminarz	116
sentyment	19
sensacya	83
sepety	249
siedm (siedem)	109
siodło	106
skaplerz	98, 224
skarb	175
skiba	175
sklep	25, 51, 212
skomroch	265
skopy	171
skot	159
skrupulatny	36
skrzat	196
skrzynia	171
słojecz	193
słomka (słąka)	86
słonkowiec	27
służba	109
snać (snadź)	102
sobor	25, 256
sobótki	176
sojusze	25
spacerować	31
spądy	171
spieglerz	189
spina	17
spiż (śpiż)	97
spryt	262
sprzedaż	257, 264
ssać	83
stać	131
staniecki	190
statua	117
stawy	18
stębnować	71
ster	192
stodoła	172
stojaczka	176
stosunki	35
strąpacz	176
strofować	185
strozak	193
struna (stróna)	87

	Str.
strychulec	64
strzedz	69
strzedź	265
strzyga	175
studnia	139
stuła	64
sturarz	190
styczeń	177
sufit	78
suggestya	83
sukienka	108
sulejaty	50
sutanna	84
swora (sfora)	96
synostwo	67
synowski	67
szabla	140, 189
szałasz	244
szańc	189
szaragi	25
szarańcza	250
szarawary	217
szarszuny	205
szczęka (szczeka)	71, 134
szefeliny	205
szekspirowski	82
szelma	206
szepszelink	184
szereg	240
szewcowa	118
szewstwo	67
szkaplerz	98
szklanny	84
szkopuł (skopuł)	98
szkut	192
szlachetny	35
szlachta	170
szlak	248
szle	190
szlegi	189
szłom	154, 158, 265
szłyki	217
szmagi	192
szmalc	190
sznur	31
sznypka	197
szołki	159
szory	190
szosa	77, 182
szpada	230
szpica	25, 26
szpona (spona)	98
szranki	189
szron (śron)	97
szrotarz	183
szrotwajny	190
sztafirować	236
sztempel (stempel)	97
sztoły	189
sztuka	212
szturm	189
szurz	198, 265
szwoleżer (chevauxlegers)	77
szyk	188
szyllerowski	82
szyndowała	21
szynka	19, 20, 188
szypr	192
szyrmierze	189
szyszak	241
Ściana	126
ścka	159
śliski (ślizgi)	90
ślusarz	64
śluz (szluza)	97
śmiać się	124
śmie	71
śmiertelny	212
śmigus	196
śpic (szpic)	97
śpichlerz (szpichlerz)	97
śpisz	97
śrót	64
świecidlnik	106
Tabak	250
tachry	192
tajemnik	22
tanecznica	106
taniec	106
taśma	248
tebinki	247
telefon	29
telegraf	29
telegrafowy	99

	Str.
terrakota	83
terroryzm	83
tesar	210
tętent (tęten)	92
tiutiun	250
tłumacz	218
topola	173
torłop	216
torpeda	29
trąba	175
tradynkować	185
traf, trafić	20, 32
trafty	192
trenzle	71
trepki	193
tretuar, trotuar	91
trosarz	193
trunek	106
truteń	256
trzaskać	24
trzem	265
tulipan	251
tuman	250
turban	251
turma	17, 31
turniej	189
tutki	26
tygodnie	138
tym, tem	120
tyny	159
tytoń, tytuń	91
Uczelnik	220
uczennica	84
uczestnik (uczęstnik)	92
uczniów (uczni)	135, 139
umię	71
uniwersalny	36, 83
uniwersytet	83
upadłszy (upadszy)	125
upiększyć	70
upiór	258
urępny	265
urwisz	96
usieręgi	159
usnachci	182
usterki	109
Wapanrok	188
wardęga	159
warsztat	190
warzecha	93
wasęgi	190
wdzięczny, wdzięki	35
wębor	171
wędrować	71
wegetacya	79
wełna	265
wendeta	231
weranda	85
werbunek	86
werk	25
wet	184
widelec	107
widoczek	49
widza (dalowidz)	42
widziemy	123
wiedma	258
wiedźma	107
wielbąd (wielbłąd)	94, 160
wielki (wielgi)	89, 90
wieś	110, 111
wilkierz	182
wiosło	107
wioska	108
wiotchy	93
wisznie (wiśnie)	140
witrykusz	224
wiwenda	231
wizerunek (wizerunk)	106
wlokę (wlekę)	126
włość	211
wodociąg	46
wojłoki	246
worwol	218
wpychać (wepchnąć)	129
wrazy	259
wrzemię	265
wstrzemięźliwy	92
wszcząć (wzcząć)	131
wściec (wzciec)	131
wwlec (wewlec)	128
wychodca	69
wycwerki	233
wydma	107
wyspa	109

	Str.
wyżej	93
wsiąść (wziąć)	127
Zacz stoi	20
zagajenie	25
zamek	25, 51
zarkuły	217
zaś (zasię)	135
zasadzka	70
zasłonka	11
zbieg	135
zboże	159
zbuntować	197
zgniecenie (zgniecienie)	125
ziobra	70
z którym (ze którym)	128, 129
zmarhać	220
zsunąć (zesunąć)	128
zszywać (zeszywać)	128, 130
zwycięzca	66
zwyciężyć	93
Żądać	220
żak	161
żałm	165
żebra (rzebra)	70
żegnanie	165
żemła	174
żętyca	244
żmija (zmija)	71
żmudny	71
żołdnierz	188
żołtarz	165
żubr (ząbr, zubr)	71
żupan	177
żumpiarz	183
żupy	174
żur	193
Źrebię (żrebię)	70
źrenica (zienica)	93
źródło (źrodło)	70
źrzeb	265

SPIS RZECZY.

Str.

Zamiast przedmowy . . . . . 1—9
Walka z cudzoziemszczyzną (I—III) . . . . . 11—52
Wady naszej pisowni (I—XI) . . . . . 53—142
Wyrazy obce i ich znaczenie (I—XI) . . . . . 143—266
Uzupełnienia . . . . . 267—272
Spis wyrazów objaśnionych . . . . . 273—284
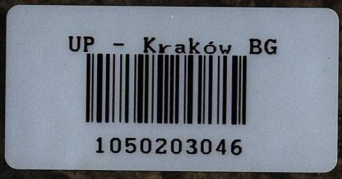
14903